

SIMON BECKETT

ZAPISANE

W

KOŚCIACH



BECKETT SIMON

**David hunter #2 Zapisane w
kosciach**

Rozdział 1

W odpowiedniej temperaturze pali się wszystko. Drewno. Ubranie.

Ludzie.

W temperaturze dwustu pięćdziesięciu stopni Celsjusza zapala się ciało. Skóra czernieje i pęka. Tłuszcz podskórny zaczyna topić się jak słonina na gorącej patelni. Podsycany nim płomień trawi tkankę miękką. Najpierw zajmują się ręce i nogi, które działają jak podpałka dla masywniejszego tułowia. Kurczą się ścięgna i włókna mięśniowe, i kończyny, ju płonąć, poruszają się w obscenicznej parodii ycia. Jako ostatnie ulegają organy wewnętrzne. Tkwią w kokonie wilgoci, dlatego często pozostają nienaruszone, nawet jeśli pozostałe tkanki miękkie ulegną całkowitemu zwęgleniu.

Ale kość to zupełnie inna sprawa, inna materia, dosłownie i w przenośni. Kość opiera się wszystkiemu, z wyjątkiem najgorętszego ognia. I nawet jeśli wypali się z niej cały węgiel, nawet jeśli jest ju martwa i bez ycia niczym pumeks, wciąż zachowuje swój pierwotny kształt. Ale jest wtedy jedynie wątłym duchem samej siebie sprzed spalenia, cieniem, który łatwo kruszy się i rozpada, ostatnim bastionem spopielatego ycia. Proces ten, z bardzo nielicznymi wyjątkami, przebiega zwykle według tego samego schematu.

Zwykle, lecz nie zawsze.

Spokój starej chaty zakłóca odgłos kroków. Butwiejące drzwi otwierają się, nie zwaając na protest zardzewiałych zawiasów. Do pokoju wpada światło dnia – wpada i przygasa, gdy w progu wyrasta cień męczyzny. Męczyzna pochyla głowę, eby zajrzeć do środka. Towarzyszący mu stary pies waha się, bo instynkt ostrzegł go ju przed tym, co czai się w mroku. Waha się i męczyzna, tak jakby nie chciał przekroczyć progu. Kiedy pies rusza przed siebie, przywołuje go dwoma słowami:

–Do nogi.

Pies posłusznie zawraca, zerkając na niego nerwowo oczami zmętniałymi od katarakty. Wyczuwa nie tylko bijący ze środka zapach, ale i niepokój swojego pana.

–Zostań.

Zdenerwowane zwierzę patrzy, jak mężczyzna wchodzi do opuszczonej chaty. Otacza

go mdły zapach wilgoci – wilgoci i czegoś jeszcze. Powoli, niemal niechętnie mężczyzna zbliża się do niskich drzwi na końcu pokoju. Drzwi są zamknięte. Mężczyzna wyciąga rękę, eby je otworzyć i znowu się waha. Pies wydaje cichy skowyt. Jego pan tego nie słyszy. Otwiera drzwi ostro, jakby bał się tego, co za nimi zobaczy.

Ale początkowo nie widzi nic. Pokój tonie w półmroku, bo światło wpada tam tylko przez małe okno z pękniętą szybą, spowite pajęczyną, od dziesięcioleci niemyte i pokryte grubą warstwą brudu. W świetle, które się przez nie sączy, pokój chroni swoją tajemnicę kilka chwil dłużej. Gdy oczy przywykają do ciemności, mężczyzna dostrzega coraz więcej szczegółów.

I widzi to, co leży pośrodku pokoju.

Wciąga powietrze tak gwałtownie, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch, i odruchowo robi krok do tyłu.

–Jezu Chryste.

Te dwa ciche słowa brzmią nienaturalnie głośno w stępsłej ciszy pokoju. Mężczyzna blednie. Rozgląda się, jakby bał się, e zaraz zobaczy tam kogoś jeszcze. Ale nie, jest sam.

Wychodzi tyłem, niechętnie, jakby nie mógł oderwać wzroku od tego, co leży na podłodze. Odwraca się dopiero wtedy, gdy skrzypiące drzwi znowu zasłaniają widok.

Wychodzi z chaty niepewnym krokiem. Pies wita go, lecz on nie zwraca na niego uwagi: szpera w kieszeni i wyjmuje paczkę papierosów. Trzęsą mu się ręce i dopiero za trzecim razem udaje mu się zapalić zapalniczkę. Zaciąga się głęboko dymem; ar szybko pochłania papier i dociera do filtra. Ale gdy dociera, mężczyzna jest ju spokojny.

Rzuca niedopałek na trawę, rozdeptuje go i podnosi. Chowa go do kieszeni, bierze głęboki oddech i idzie zatelefonować.

Zadzwonili, kiedy jechałem na lotnisko w Glasgow. Był paskudny lutowy dzień, zimny, wietrzny, z przygnębiającą mawką i szarym posepnym niebem. Wschodnie wybrzeże atakowały sztormy i chociaż nie dotarły jeszcze w głąb wyspy, sytuacja nie wyglądała zbyt obiecująco.

Miałem tylko nadzieję, e do najgorszego dojdzie ju po tym, jak złapię samolot. Wracałem do Londynu. Przez cały tydzień najpierw wydobywaliśmy, a potem badaliśmy zwłoki w Grampian Highlands w północno-wschodniej Szkocji. Niewdzięczne zadanie. Krystaliczny mróz zmienił góry i wrzosowiska w stal, lodowato

zimną, lecz piękną. Było to ju drugie ciało, które badałem tam w ciągu kilku ostatnich miesięcy. To było okaleczone i naleało do młodej kobiety, której jak dotąd nie zidentyfikowano. Ci z prasy niczego jeszcze nie zwęszyli, ale członkowie ekipy śledczej nie mieli wątpliwości, e obydwu morderstwa są dziełem tego samego człowieka. Kogoś, kto zabije znowu, jeśli się go nie złapie, a w tej chwili raczej się na to nie zanosilo. Co gorsza, byłem przekonany, e okaleczeń dokonano post mortem, chocia ze względu na stan rozkładu zwłok nie mogłem mieć całkowitej pewności.

Tak więc w sumie była to wyczerpująca podró i nie mogłem się ju doczekać powrotu do domu. Od półtora roku mieszkałem w Londynie i pracowałem na uniwersytecie, na wydziale kryminalistyki. Był to anga tymczasowy, który dawał mi dostęp do wszystkich laboratoriów, do chwili a znajdę coś bardziej na stałe, ale w ciągu kilku ostatnich tygodni więcej czasu spędziłem w terenie ni w gabinecie. Obiecałem Jenny, e po Grampian Highlands będziemy spędzać razem więcej czasu. Obiecałem nie pierwszy raz, ale tym razem zamierzałem dotrzymać słowa.

Kiedy zadzwonił telefon, pomyślałem, e to pewnie ona, e chce sprawdzić, czy ju wracam.

Ale na wyświetlaczu zobaczyłem numer, którego nie znałem, a w uchu zabrzmiał mi stanowczy, burkliwy głos.

–Przepraszam, e przeszkadzam, doktorze. Nadinspektor Graham Wallace z komendy

główniej w Inverness. Moe mi pan poświęcić kilka minut?

Mówił tonem człowieka nawykłego do posłuchu, z ostrym akcentem bardziej typowym dla mieszkańca czynszówki z Glasgow ni dla kogoś z Inverness. Spojrzałem w zalane deszczem okno taksówki. Byliśmy prawie na lotnisku.

–Ale tylko kilka. Zaraz mam samolot.

–Wiem. Przed chwilą rozmawiałem z Allanem Campbellem z Grampian. Powiedział mi, e ju skończyliście. Cieszę się, e pana złapałem.

Campbell, starszy śledczy, który pomagał mi przy ekshumacji, był porządnym człowiekiem i dobrym policjantem, i trudno mu było oddzielić ycie osobiste od pracy zawodowej. Dobrze to rozumiałem.

Zerknąłem na taksówkarza. Nie chciałem, eby ktoś mnie podsłuchał.

–Co mogę dla pana zrobić, inspektorze?

–Moe wyświadczyć mi pan przysługę. – Wallace mówił krótkimi, urwanymi

słowami, jakby kade z nich kosztowało go więcej, ni chciał zapłacić. – Pewnie słyszał pan o

tej katastrofie.

Słyszałem. Przed wyjściem z hotelu obejrzałem dziennik, w którym podano, e ekspres dowoący do pracy mieszkańców zachodniego wybrzea wpadł na stojącą na torach ciężarówkę i się wykoleił. Zmiadone wagony, zmiadona ciężarówka – wyglądało to fatalnie. Liczby ofiar jeszcze nie ustalono.

–Wysłaliśmy wszystkich, których mieliśmy – ciągnął Wallace – ale wciąż panuje tam chaos. Moliwe, e ciężarówkę zostawiono na torach celowo, dlatego cały teren traktujemy

jak miejsce przestępstwa. Ściągamy ludzi, skąd tylko się da, ale zaczyna nam ich brakować.

Wiedziałem, do czego zmierza. Według dziennika niektóre wagony stanęły w ogniu i zanosilo się, e priorytetem będzie identyfikacja ofiar – priorytetem i prawdziwym koszmarem. Ale zanim rozpocznie się proces identyfikacji, trzeba wydobyć ciała, a z tego, co widziałem, jeszcze się do tego nie zabrano.

–Zrobię, co będę mógł. Ale nie bardzo wiem, jak mógłbym w tej chwili pomóc.

–Nie dzwonię w sprawie katastrofy – odparł niecierpliwie Wallace. – Dostaliśmy meldunek, e ktoś zginął w poarze na Western Isles, na Runie. To taka mała wyspa na Hebrydach Zewnętrznych.

Nigdy nie słyszałem o Runie, ale nie było w tym nic dziwnego. O Hebrydach Zewnętrznych wiedziałem tylko tyle, e to najdalej wysunięty na północ zakątek Wielkiej Brytanii, e ley kilometry na północny zachód od wybrzea Szkocji.

–Podejrzewacie, e coś jest nie tak? – spytałem.

–Nie, nic na to nie wskazuje. Moe to samobójstwo, a moe jakiś pijak albo włóczęga, który zasnął za blisko ogniska. Spacerowicz z psem znalazł go w opuszczonej chacie. Ten spacerowicz to emerytowany policjant, mieszka tam teraz. Pracowałem z nim. Kiedyś był dobrym detektywem.

„Kiedyś” – zastanawiałem się, czy Wallace powiedział to celowo.

–Mówił coś jeszcze? Ten detektyw. Wallace jakby się zawahał.

–Tylko tyle, e zwłoki są niemal doszczętnie spalone. Ale nie chcę odrywać ludzi od

pracy przy katastrofie, chyba, e naprawdę będe musiał. Dziś wieczorem płynie tam promem dwóch policjantów ze Stornoway. Chciałbym, eby zabrał się pan z nimi, obejrzał zwłoki i zdecydował, czy to coś pilnego i czy mam wysłać tam ekipę, czy nie. Zanim spanikuję i puszcze maszynę w ruch, chciałbym zasięgnąć opinii eksperta, a Campbell mówi, e jest pan w tym cholernie dobry.

Pochlebstwo i szorstka bezpośredniość – nie wypadło to najlepiej. No i zawahał się, kiedy spytałem go o zwłoki, dlatego wyczułem, e czegoś mi nie powiedział. Ale z drugiej strony, gdyby uznał, e jest w tym coś podejrzanego, wysłałby tam ludzi bez względu na katastrofę.

Dojedaliśmy na lotnisko. Miałem wszelkie powody, eby odmówić. Właśnie skończyłem due śledztwo, a ta sprawa wyglądała na prozaiczną na tragedię z rodzaju tych, które nigdy nie trafiają do gazet. Musiałbym zawiadomić Jenny, e jednak nie wrócę. Zwaywszy, ile czasu spędzałem ostatnio poza domem, wątpiłem, eby dobrze to przyjęła.

Wallace musiał wyczuć moją niechęć.

–To zajmie panu najwyżej parę dni, razem z dojazdem – powiedział. – Widzi pan, ta sprawa jest trochę... dziwna.

–Mówił pan, e nie jest.

–Mówiłem, e nie jest podejrzana. A przynajmniej nie ma powodów, eby tak sądzić. Niech pan posłucha. Nie chcę za duo gadać i wolałbym, eby rzucił na to okiem fachowiec, taki jak pan.

Nie znoszę, kiedy ktoś próbuje mną manipulować. Chocia nie mogłem zaprzeczyć, e mnie to zaciekało.

–Nie nalegałbym, gdybyśmy nie byli zarnięci – dodał Wallace, dokręcając śrubę. Za zalaną deszczem szybą mignęła tablica informacyjna. Dojechałem na lotnisko.

–Oddzwonię – powiedziałem. – Za pięć minut. Nie spodobało mu się to, ale có. Rozłączyłem się, posiedziałem przez chwilę,

zagryzając wargę, wreszcie wybrałem numer, który znałem na pamięć.

I usłyszałem jej głos. Uśmiechnąłem się, chocia wiedziałem, e rozmowa nie będzie miła.

–David! Właśnie wychodzę do pracy. Gdzie jesteś?

–W drodze na lotnisko. Roześmiała się.

–Dzięki Bogu. Myślałam ju, e dzisiaj nie wracasz. Ścisnęło mnie w dołku.

–Właśnie dlatego dzwonię, Jenny. Poproszono mnie, ebym gdzieś pojechał...

–Ach tak.

–Tylko na parę dni. Na Hebrydy. Nie mają nikogo innego. – Nie powiedziałem jej o katastrofie, bo wyglądałoby to tak, jakbym próbował się usprawiedliwić.

Zapadła cisza. Nie znośm chwili, kiedy przestawała mieć roześmiany głos.

–I co im odpowiedziałeś?

–Śe oddzwonię. Najpierw chciałem porozmawiać z tobą.

–Po co? Obydwoje wiemy, e ju podjąłeś decyzję. Nie chciałem, eby rozmowa przerodziła się w kłótnię. Zerknąłem na taksówkarza.

–Jenny, posłuchaj...

–Czy to znaczy, e jednak nie? Zawahałem się.

–Tak myślałam.

–Jenny...

–Muszę iść. Spóźnię się do pracy. Odłożyła słuchawkę. Westchnąłem. Nie tego spodziewałem się po tym poranku. No to

zadzwoń jeszcze raz i powiedz jej, e nie jedziesz! Palec zawisł nad telefonem.

–Niech się pan nie martwi, panie kolego – rzucił przez ramię taksjarsz. – Moja stara te

załazi mi za skórę. Jakoś to przeboleje, nie?

Mruknąłem coś wymijająco. W oddali zobaczyłem startujący samolot. Gdy wybierałem numer, taksówkarz włączył prawy migacz. Wallace odebrał po pierwszym sygnale.

–Jak się tam dostać? – spytałem.

Rozdział 2

Większość dnia spędzam ze zmarłymi. Czasem ze zmarłymi, którzy nie yją od bardzo dawna. Jestem antropologiem sądowym. Antropologia sądowa to dziedzina nauki i smutna rzeczywistość, której większość ludzi starannie unika. Do czasu. Ja te unikałem. Kiedyś. Po tym, jak moja ona i córka zginęły w wypadku samochodowym, praca w terenie przypominała mi codziennie to, co straciłem. Przypominała zbyt boleśnie, dlatego zostałem lekarzem, woląc zajmować się ywymi ni zmarłymi.

Ale wydarzenia, do jakich doszło półtora roku temu, zmusiły mnie do powrotu do profesji. Mojego powołania, jak kto woli. To po części patologia, po części archeologia – to, co robię, wykracza poza jedno i drugie. Bo nawet wtedy, kiedy biologia człowieka przestaje działać, kiedy z tego, co było yciem, zostaje jedynie zepsucie, zgnilizna i stare suche kości, nawet wtedy zmarły moe być wanym świadkiem. Moe opowiedzieć swoją historię pod warunkiem, e umie się ją zinterpretować. Ja umiem.

Umiem skłonić zmarłych do zwierzeń.

Wallace musiał wiedzieć, e nie odmówię. Czekał ju na mnie bilet na samolot do Lewis na głównej wyspie Hebrydów Zewnętrznych. Ze względu na złą pogodę lot był opóźniony blisko godzinę, siedziałem więc w poczekalni, próbując nie patrzeć i nie słuchać, jak wywołują pasaerów na samolot do Londynu, jak kończą odprawę i jak numer lotu znika w końcu z tablicy.

W samolocie koszmarnie trzęsło i jedynym za to zadośćuczynieniem było to, e podró trwała krótko. Zanim złapałem taksówkę z lotniska do portu w Stornoway, ponurego miasteczka, zalanego głównie od przemysłu rybołówczego, zrobił się wieczór. Na nabrzeżu, gdzie mnie wyrzucono, zamglonym i zimnym, cuchnęło ropą i rybami, jak to w porcie. Myślałem, e popłynę wielkim promem samochodowym, takim, który będzie wyrzucał kominem dym w szare deszczowe niebo, tymczasem krypa, przed którą stanąłem, wyglądała jak mały kuter rybacki, a ju na pewno nie jak łódź do przewozu pasaerów. Gdyby nie rzucający się w oczy policyjny rangę rover, zajmujący większość pokładu, nigdy bym nie zgadł, e dobrze trafiłem.

Na prom prowadził mocno rozkołysany trap i ju na sam jego widok dostałem mdłości. Na betonowym nabrzeżu u stóp trapu stał umundurowany policjant, sierant z rękami w kieszeniach. Policzki i nos miał czerwone od pękniętych naczynek. Ja walczyłem z torbą podróną, a on przyglądał mi się złowieszczo znad przyprószonych siwizną wąsów.

–Doktor Hunter? – burknął. – Sierant Fraser. – Bez imienia, wciąż z rękami w

kieszeniach. Mówił z wyraźnym, nosowym akcentem, bardzo różniącym się od szkockich

akcentów, które znałem. – Czekaliśmy na pana.

Z tymi słowami wszedł na trap, zostawiając mnie sam na sam z ciężkim bagażem. Zrzuciłem na ramię torbę i aluminiową walizeczkę na pasku, i ruszyłem za nim. Mokry i śliski trap nieustannie podnosił się, kołysał i opadał. Z trudem utrzymywałem równowagę, próbując dostosować krok do jego nieprzewidywalnych ruchów. Nagle ktoś wyszedł mi na spotkanie. Młody policjant w mundurze posterunkowego z uśmiechem wziął ode mnie walizeczkę.

–Pan pozwoli.

Nie zaprotestowałem. Policjant podszedł do przymocowanego do pokładu range rovera i włożył walizeczkę do baganika.

–Co pan tam ma? – spytał wesoło. – Zwłoki? Zdjąłem z ramienia torbę.

–Nie jest ciężka, tak się tylko wydaje. Dziękuję.

–Nie ma sprawy. – Najwyżej dwadzieścia lat, szczerą, przyjacielską twarz, mundur, który wyglądał porządnie nawet w deszczu. – Posterunkowy McKinney, ale proszę mi mówić

Duncan.

–David Hunter.

Entuzjastycznie uścisnął mi rękę, jakby chciał zrekompensować mi brak entuzjazmu Fräsera.

–A więc to pan jest tym lekarzem sądowym?

–Obawiam się, że tak.

–Świetnie! To znaczy, nie, ale... No, wie pan. Lepiej zejdźmy z tego deszczu. Kabina pasaerska mieściła się pod sterówką. Za przeszkloną ścianą Fraser rozmawiał

z owym brodatym mężczyzną w sztormiaku. Stojący tu za brodaczem wysoki nastolatek z twarzą pocętkowaną trądzikiem ponuro patrzył, jak Fraser dźga palcem powietrze.

–...czekaliśmy i czekaliśmy, a teraz mówisz, e zaraz? Brodacz spojrział na niego beznamiętnie.

–Brakuje pasaerki. Bez niej nie odbijemy. Fraser poczerwieniał jeszcze bardziej.

–Myślisz, e to jakaś wycieczka? Jesteśmy spóźnieni, więc lepiej wciągnij ten cholerny trap.

Mężczyzna popatrzył na niego znad czarnej brody, która nadawała mu wygląd dzikiego zwierzęcia.

–To moja łódź i to ja ustalam rozkład kursów. Chcesz wciągnąć trap, to wciągnij go sobie sam.

Chcąc zaznaczyć swój autorytet, Fraser spiął się jak do walki, gdy usłyszeliśmy jakiś stukot. Po trapie biegła młoda drobna kobieta, uginając się pod ciężarem torby. Była w jaskrawoczerwonej kurtce, dwa razy na nią za duej, i w naciągniętej na uszy grubej wełnianej czapce. Rudo-blond włosy i szpiczasty podbródek nadawały jej wygląd elfa.

–Witam panów – wysapała. – Czy ktoś mi pomoże?

Duncan zrobił krok do przodu, ale brodacz go uprzedził. Uśmiechnął się do nowej pasaerki i błysnąwszy w mroku białymi zębami, bez wysiłku dźwignął jej torbę.

–Najwyższa pora, Maggie. Mieliśmy ju odbijać, bez ciebie.

–Dobrze, e zdążyłam, babcia by mnie zabiła. – Maggie wzięła się pod boki i spojrzała na nich, z trudem łapiąc oddech. – Cześć, Kevin, co słychać? Tato nie kae ci za ciężko pracować?

Nastolatek zaczerwienił się i spuścił wzrok.

–Cześć – szepnął.

–Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Masz ju osiemnaście lat, tata powinien dać ci podwykę.

Spojrzała na rangę rovera i w jej oczach zabłyśły iskierki zainteresowania.

–Co się dzieje? – spytała. – Coś, o czym nie wiem? Brodacz wskazał nas ruchem

głowy.

–Ich spytaj. Nam nic nie chcą powiedzieć.

Maggie zerknęła w naszą stronę, zobaczyła Frasera i przestała się uśmiechać. Po chwili pozbierała się i znowu się uśmiechnęła, tym razem jakby zadziornie.

–Witam, sierancie. Cóż za niespodzianka. Co pana tu sprowadza?

–Sprawy ślubowe – odparł krótko Fraser i się odwrócił. Nie wiedziałem, kim jest Maggie, ale na pewno nie ucieszył się na jej widok.

Ostatnia pasaerka była ju na pokładzie, więc kapitan i jego syn zajęli się łodzią. Zajączkał silnik, trap wpełzł na pokład, zadygotał drewniany kadłub, zagrzecotał łańcuch kotwicy. Maggie zerknęła ciekawie przez ramię i weszła do sterówki.

A potem zadudnił silnik, łódź odbiła od brzegu i wypłynęliśmy z portu.

Morze było wzburzone, dlatego zamiast dwóch godzin płynęliśmy prawie trzy. Niebo, i tak ju posępnie szare, poszarzało jeszcze bardziej, gdy za ścianą deszczowej mgły dostrzegłem zarys wyspy. Nie powiem, eby widok ten mnie zmartwił, wprost przeciwnie. Gdy tylko wyszliśmy z portu, Atlantyk udowodnił nam, e zasługuje na swoją reputację.

Wyglądał jak szara wściekle wzburzona równina, jak bezkresna pustynia pokryta falami, z furią atakującymi dziób łodzi. Ilekroć uderzały, łódź stawała dęba, a potem gwałtownie opadała w dół tylko po to, eby po chwili znowu zadrzeć pysk.

Jedynym schronieniem była ciasna kabina, lecz spaliny i niemiłosierne gorąco to kiepska kombinacja. Przez większość czasu Fraser i Duncan ponuro milczeli. Próbowałem wyciągnąć z Frasera coś na temat tych zwłok, ale najwyraźniej wiedział niewiele więcej ode mnie.

–Cmentarna robota – mruknął ze spoconym czołem. – Pewnie jakiś pijak zasnął za blisko ognia.

–Wallace mówił, e znalazł go miejscowy detektyw. Tak?

–Tak, Andrew Brody – wtrącił Duncan. – Jest ju na emeryturze. Mój tata kiedyś z nim pracował, ale potem przeprowadziliśmy się do Stornoway. Tata mówił, e był dobrym policjantem.

–Ano był – dodał Fraser. – Rozpytywałem o niego. To samotnik. Nie lubił z nikim współpracować. Rzuciła go ona, uciekła mu córka, to się i załamał. Dlatego przenieśli

go na emeryturę.

Duncan wyglądał na zaenowanego.

–Tata mówił, e przeżył stres, e to dlatego. Fraser lekceważąco machnął ręką.

–Co to za różnica. Oby tylko pamiętał, e nie jest ju inspektorem. – Sierant

zesztywniał, bo łódź nagle zadygotała, wspinając się na kolejną falę. – Chryste, eby trafić na

takie zadupie...

Siedziałem tam, zastanawiając się, co ja właściwie robię na tym przeklętym Atlantyku. Przecie mogłem być teraz w drodze do domu, do Jenny. Coraz częściej się ostatnio kłóciliśmy, i zawsze o to samo: o moją pracę. Wiedziałem, e wyjazd na Runę na pewno nie polepszy sytuacji, i nie mając nic do roboty, gryzłem się tym, czy podjąłem dobrą decyzję, i zastanawiałem się, jak jej to zrekompensować.

Po godzinie rozmyślenia zostawiłem ich i wyszedłem na pokład. Natychmiast smagnął mnie wiatr i z ulgą poczułem na twarzy drobiny morskiej piany. Runa była niewyraźnym, niedostrzegalnie powiększającym się kształtem wyrastającym z morza. Patrząc na nią poczułem znajomy ucisk w brzuchu, trochę ze zdenerwowania, trochę z nerwowego wyczekiwania.

Nie wiedziałem, co mnie tam czeka, ale miałem nadzieję, e się nie rozczaruję.

Kątem oka dostrzegłem coś czerwonego: niepewnym krokiem szła ku mnie młoda kobieta w przydziej kurtce. Pokład przechylił się nagle i musiałem ją podtrzymać.

–Dzięki. – Posłała mi łobuzerski uśmiech i stanęła przy relingu. – Ostro huśta. Iain

mówi, e będzie niezła zabawa z cumowaniem.

Mówiła z akcentem podobnym do akcentu Frasera, moe bardziej śpiewnym.

–Iain?

–Iain Kinross, kapitan. Miejscowy, mój sąsiad z Runy.

–Mieszka pani na Runie?

–Ju nie. Moja rodzina przeprowadziła się do Stornoway, cała z wyjątkiem babci. Odwiedzamy ją na zmianę. A więc przyjechał pan tu z nimi, z policją?

Zadała to pytanie tak niewinnie, e omal jej nie zaufałem.

–Mniej więcej.

–Aha, to znaczy, e nie jest pan policjantem, tak? Pokręciłem głową. Uśmiechnęła się szeroko.

–Tak myślałam. Iain słyszał, jak tamci zwracali się do pana „panie doktorze”. Mamy na wyspie rannych czy co?

–Nic o tym nie wiem.

Tą odpowiedzią jeszcze bardziej zaostrzyłem jej ciekawość.

–A więc co tu robi lekarz, w dodatku z policjantami?

–Proszę zapytać sieranta Frasera. Skrzywiła się.

–Tak, na pewno go spytam.

–Znacie się?

–Powiedzmy. – Nie rozwinęła tematu.

–Co pani porabia w Stornoway?

–Och, jestem... pisarką. Piszę powieść. Tak przy okazji: Maggie Cassidy.

–David. David Hunter. Zapisała tę informację i skatalogowała, tak to przynajmniej wyglądało. Milczeliśmy

przez chwilę, patrząc, jak wyspa wynurza się stopniowo z mroku; widać ju było strome szare klify zwieńczone monotonną zielenią. Przed klifami strzelała w niebo wysoka czarna iglica, naturalna kamienna wiea.

–Ju prawie jesteśmy – powiedziała Maggie. – Port jest zaraz za Stać Ross, za tym czarnym czymś. Podobno to trzecia pod względem wysokości skała w Szkocji. Cała Runa.

Słynie tylko z tego, e jest w czymś trzecia. – Odepchnęła się od relingu. – Miło mi było pana

poznać, Davidzie. Moe się jeszcze spotkamy.

Przeszła przez pokład i dołączyła do Kinrossa i jego syna w sterówce. Zauwayłem, e szła teraz krokiem o wiele pewniejszym ni przedtem.

Spojrzałem na wyspę. Za czarną iglicą Stać Ross skalny klif opadał w stronę małego portu. Mimo słabego światła dostrzegłem rozrzucone wokół niego domy, małą zamieszkaną przez ludzi oazę na wzburzonym oceanie.

Głośno zagwizdał gwizdek, zagłuszając i wiatr, i dudnienie silnika. Spojrzałem na sterówkę: Kinross gniewnie wymachiwał rękami, dawał mi jakieś znaki.

–Do środka! Niech pan wejdzie do środka!

Nie musiał powtarzać mi tego dwa razy. Morze, uwięzione w kanale między wysokimi klifami, było jeszcze bardziej wzburzone i ciskało łodzią na wszystkie strony. Fale zderzały się ze sobą i zamiast huśtać jak dotąd, rzucały nami spiralnym, przyprawiającym o mdłości ruchem i obryzgiwały pokład pianą.

Przytrzymując się relingu, wróciłem do przegrzanej kabiny i razem z pobladłym Fraserem i Duncanem czekałem, a rozdygotana łódź wejdzie do portu. Przez okno widziałem, jak grzywacze roztrzaskują się o betonowe moło, wzbijając w niebo białe fontanny. Próbowaliśmy dobić trzy razy, wreszcie kapitan dał całą wstecz i łódź gwałtownie zawibrowała. Przycumowaliśmy.

Z trudem szedłem po wciąż rozhuśtanym pokładzie. Wiał silny wiatr, przed którym nie mogłem się nigdzie schronić, ale powietrze było cudownie świeże i miało czysty słonawy posmak. Wysoko na niebie krążyły rozkrzyczane mewy, a na nabrzeżu uwijali się ludzie z linami i gumowymi odbojnikami. Mimo skalnych klifów, port był całkiem otwarty na morze i miał tylko jeden falochron, eby osłabić siłę naporu fal. Nieco dalej cumowało kilka kutrów rybackich, które szarpały się na cumach jak psy na smyczy.

Strome go zbocza, opadającego w stronę portu, uczepiło się kilkanaście niskich domów i chat. Za nimi rozciągał się bezdrzewny, zielono-bury krajobraz, ponury i smagany przez wiatr. W oddali wznosiła się groźnie góra, której szczyt ginął w niskich chmurach.

Maggie Cassidy zbiegła z pokładu, gdy tylko opuszczono trap. Byłem trochę zaskoczony, e się ze mną nie poegnała, ale miałem na głowie inne sprawy. Odpalił silnik rangę rovera. Usiadłem z tyłu, czując na sobie wzrok ludzi, którzy pomagali nam przycumować. Zauwayłem, e Fraser pozwolił Duncanowi prowadzić. Chocia łódź wciąż się kołysała, policjant wprawnie zjechał na dół niebezpiecznie rozchwianą rampą.

Na nabrzeżu czekał pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna o wyrazistych rysach twarzy. Wysoki i potężnie zbudowany miał w sobie coś, co mówiło, e jest policjantem. Bez niczyjej podpowiedzi wiedziałem, e mam przed sobą emerytowanego detektywa inspektora, który znalazł zwłoki.

Fraser opuścił szybę.

–Andrew Brody?

Mężczyzna z potarganymi przez wiatr siwymi włosami krótko kiwnął głową i spojrzał na nas. Miejscowi przyglądali się nam ciekawie.

–Tylko tyłu? – spytał Brody z jawną dezaprobatą w głosie.

–Na razie wystarczy – odparł sztywno Fraser.

–A ci z dochodzeniówki? Kiedy przyjadą?

–Jeszcze nie wiadomo, czy w ogóle przyjadą – odparował Fraser, któremu wyraźnie nie podobała się postawa byłego inspektora. – Na razie nie ma decyzji.

Brody zacisnął usta. Na emeryturze czy nie, nie lubił, kiedy przygadywał mu zwykły sierant.

–A ci ze Stornoway? Przecie muszą przyjechać, tak czy inaczej.

–Przyjadą, kiedy doktor Hunter obejrzy zwłoki. Jest specjalistą od... Jest lekarzem sądowym.

Brody nie zwracał na mnie uwagi – do tej pory. Teraz spojrzał na mnie z większym zainteresowaniem. Oczy miał bystre, inteligentne, i przez chwilę czułem, jak prześwietla mnie i ocenia.

–Ju wieczór – powiedział, spoglądając na niebo. – To tylko kwadrans jazdy stąd, ale zanim dotrzemy na miejsce, będzie ciemno. Moe pojedzie pan ze mną? Po drodze wprowadzę pana w sprawę.

–Pan doktor na pewno widział ju spalone zwłoki – obruszył się Fraser. – 1 to niejedne.

Brody przyglądał mu się przez chwilę, jakby właśnie przypomniał sobie, że nie jest ju inspektorem. Potem przeniósł wzrok na mnie.

–Ale nie takie – odparł.

Jego samochód, nowe volvo kombi, parkował na nabrzeżu. W środku było

nienagannie czysto. Pachniało odświeczem powietrza i – ledwo wyczuwalnie - papierosowym dymem. Na rozłożonym z tyłu kocu leżał stary pies, owczarek szkocki z posiwiałym pyskiem. Gdy Brody wsiadł, podekscytowany pies wstał.

–Połó się, Bess – powiedział łagodnie inspektor. Pies natychmiast się położył. Brody chciał włączyć ogrzewanie. Spojrzał na deskę rozdzielczą i zmarszczył czoło. – Przepraszam.

Mam go od niedawna i nie wiem jeszcze, gdzie co jest.

Wyjechaliśmy z portu. Światła reflektorów policyjnego rangę rovera we wstecznym lusterku mówiły, e Fraser i Duncan jadą za nami. Tu, na dalekiej północy, dni są krótkie, zwłaszcza o tej porze roku, i zmierzch ustępował ju miejsca nocy. Pałące się latarnie oświetlały wąską ulicę, która ledwie zasługiwała na tę nazwę. Biegła od nabrzeża przez całe

miasteczko; stało przy niej kilka małych sklepów, kilka starych kamiennych domów i kilka bungalowów, nowych i dość prowizorycznych.

Nawet z tego, co zdążyłem zobaczyć, odkąd wyruszyliśmy z portu, było oczywiste, e Runa nie jest zaściankiem, jakiego się spodziewałem. Na poboczu stały ruiny małego, pozbawionego dachu kościoła – albo kirku, jak mówili miejscowi – dowodząc, e religia nie odgrywa ju większej roli w yciu mieszkańców wyspy. Ale większość drzwi i okien w mijanych domach robiła wraenie nowych, jakby niedawno je wymieniono. Była tam i mała, ale nowoczesna szkoła, a napis na nowej dobudówce do drewnianej świetlicy miejskiej kilkadziesiąt metrów dalej dumnie głosił, e mieści się tam przychodnia.

Wymieniono nawet nawierzchnię jezdni. Ulica była bardzo wąska, jednopasmowa, co sto metrów poprzecinana przejściami dla pieszych, ale gładki czarny asfalt nie przyniósłby wstydu najlepszym drogom w Szkocji. Pięła się stromo prawie przez całe miasteczko i wyrównywała dopiero za ostatnimi domami. Na szczycie górującego nad nimi wzgórza stał krzywy wysoki kamień, stercząc z trawy niczym oskary-cielsko wyciągnięty palec.

–To Bodach Runa – powiedział Brody, widząc, e nań patrzę. – Starzec z Runy.

Legenda mówi, e pewien starzec wypatrywał stąd syna, który wypłynął w morze. Ale syn nie

wrócił, a on stał tam, a zmienił się w kamień.

–W taką pogodę to całkiem moliwe.

Brody uśmiechnął się, lecz zaraz spowoniał. Chciał, eby z nim jechał, ale teraz nie bardzo wiedział, jak zacząć rozmowę. Wyjąłem telefon, eby sprawdzić wiadomości.

–Tu nie ma zasięgu – ostrzegł. – Jeśli chce pan zadzwonić, musi pan skorzystać albo z

telefonu stacjonarnego, albo z policyjnej radiostacji. A podczas silnego sztormu nawet

radiostacja nie zawsze działa.

Schowałem telefon. Łudziłem się nadzieją, e Jenny zostawiła mi wiadomość, chocia wiedziałem, e nie zostawiła. Będę musiał zadzwonić do niej później i spróbować to jakoś załagodzić.

–Lekarz sądowy, tak? – zaczął wreszcie Brody. Wypowiedział te słowa z lekkim naciskiem, eby pokazać, e zauważył wahanie Frasera.

–Tak i antropolog. – Zerknąłem na niego, eby sprawdzić, czy wymaga to dalszych wyjaśnień. Niektórzy policjanci nie mieli zielonego pojęcia, czym się właściwie zajmuję. Ale jego chyba to zadowoliło.

–To dobrze. Będziemy mieli tu chocia jedną osobę, która wie, co robi. Co powiedział panu Wallace?

–Tylko tyle, e ktoś zginął w poarze i e jest w tym coś dziwnego. Nie powiedział co, dodał tylko, e to nic podejrzanego.

–Nic podejrzanego. No, proszę... – Brody z dezaprobatą poruszył szczęką.

–Uwaa pan, e jest inaczej?

–Nie chcę nic mówić. Zobacz pan, to i wyrobi sobie własne zdanie. Myślałem tylko, e Wallace przyśle tu pełną ekipę, to wszystko.

Zaczynałem mieć złe przeczucia. W przypadku podejrzanego zgonu policja musi przestrzegać ściśle określonych procedur i w normalnych okolicznościach wpuszczono by mnie na miejsce zbrodni dopiero wtedy, kiedy przeczesałiby je ci z dochodzeniówki. Miałem nadzieję, e katastrofa kolejowa nie zamąciła Wallace'owi w głowie.

Ale pamiętałem równie to, co powiedział o Brodym. „Kiedyś był dobrym detektywem”. Emerytowanym policjantom trudno jest zapomnieć o pracy i o tym, e swego czasu miało się coś do powiedzenia. Brody nie byłby pierwszym, który

przesadzał, eby znów znaleźć się w centrum wydarzeń. Nie za bardzo wierzyłem twierdzeniom Frasera o jego załamaniu nerwowym, zastanawiałem się jednak, czy podobne wątpliwości nie wpłynęły przypadkiem na decyzję Wallace'a.

–Chce tylko, ebym obejrzał zwłoki – odparłem. – Jeśli zauważę coś sugerującego, e nie był to zwykły wypadek, wycofam się i zaczekam na ekipę.

–Chyba nie ma innego wyjścia – mruknął Brody.

Ale wcale go to nie pocieszyło. Okazało się, e Wallace nie wziął jego słów za dobrą monetę: taka decyzja sprawiłaby przykrość kademu detektywowi, nawet emerytowanemu.

–Jak znalazł pan zwłoki? – spytałem.

–Bess zwierzyła je na spacerze. Dziś rano. Leą w chacie, w starym, opuszczonym gospodarstwie. Czasem bawią się tam dzieci, ale nie zimą. I zanim mnie pan spyta, nie, niczego nie dotykałem. Mogę być na emeryturze, ale wiem, co robię.

W to nie wątpię.

–Domyśla się pan, kto to moe być?

–Nie mam pojęcia. O ile wiem, nikt tu ostatnio nie zaginął. Runa ma dwustu mieszkańców, nawet mniej ni dwustu, więc trudno tu zniknąć niezauważenie.

–Duo obcych tu przyjecha?

–Nie, ale przyjeżdżają. Czasem zajrzy tu jakiś przyrodnik czy archeolog. Te wyspy są upstrzone ruinami. Epoka kamienia łupanego, epoka brązu, Bóg wie, co jeszcze. Na górze są podobno kurhany grobowe i stara wiea obserwacyjna. Trwają tam teraz prace renowacyjne, więc przyjeżdżają tu przedsiębiorcy budowlani i robotnicy. Poza tym wymiana nawierzchni dróg, budowa domów i tak dalej. Ale odkąd zmieniła się pogoda, nikogo obcego tu nie było.

–Kto jeszcze wie o tych zwłokach?

–Nikt. Powiedziałem tylko Wallace'owi. Wyjaśniało to ciekawskie spojrzenia miejscowych w porcie. Na tak małej wyspie

obecność policji była wielkim wydarzeniem. Wątpięm, eby powód naszej wizyty na długo pozostał tajemnicą, ale przynajmniej na razie nie musieliśmy się opędać od gapiów.

–Wallace mówił, e prawie doszczętnie spłonęły. Brody uśmiechnął się ponuro.

–Prawie. Ale lepiej będzie, jeśli sam pan je zobaczy. Powiedział to stanowczo i z przekonaniem, ostatecznie zamykając temat.

–Podobno pan z nim pracował, z Wallace'em.

–Tak, przez jakiś czas, w komendzie głównej w Inverness. Był pan w Inverness?

–Tylko przejazdem. Przeprowadzka na Runę musiała być dla pana dużą zmianą.

–Tak, ale na lepsze. Dobrze się tu yje. Spokojnie. Jest dużo czasu i miejsca na myślenie.

–Urodził się pan tu?

–Boe uchowaj – odparł. – Jestem tak zwanym elementem napływowym. Przeszedłem na wcześniejszą emeryturę. Chciałem uciec od tego wszystkiego. Okazało się, e wystarczy przyjechać tutaj.

Miał rację. Tu za miasteczkiem zniknęły wszelkie oznaki ycia. Jedynym dowodem na to, e ktoś tu mieszka, był wielki stary dom stojący z dala od drogi. Poza tym widziałem tylko owce i ruiny. W zapadającym zmierzchu Runa wyglądała pięknie, lecz odludnie.

Samotnie tu było umierać.

Brody skręcił, samochód podskoczył na wyboju i potoczył się zarośniętą chwastami drogą. W świetle reflektorów zobaczyłem rozpadającą się chatę. Wallace powiedział, e ciało znaleziono na terenie opuszczonego gospodarstwa, ale niewiele ju z niego zostało. Inspektor zaparkował i wyłączył silnik.

–Zostań, Bess – rzucił do psa.

Wysiedliśmy i w tej samej chwili w drogę skręcił rangę rover. Przysadzista chata, niegdyś parterowy dom, powoli ulegała siłom natury. Majaczyła za nią góra, którą widziałem ju wcześniej. W gęstniejącej ciemności była tylko mrocznym cieniem.

–To Beinn Tuiridh – powiedział Brody. – Tutaj uchodzi za górę. Powiadają, e z jej szczytu widać Szkocję.

–I widać?

–Nie spotkałem głupca, który by to sprawdził.

Wyjął latarkę ze schowka na mapy i zaczekaliśmy, a Duncan zaparkuje. Otworzyłem baganik rangę rovera, wyjąłem z torby własną latarkę i w podskakujących, krzyżujących się ze sobą smugach światła ruszyliśmy w stronę chaty. Chaty, a raczej kamiennej budy o ścianach porośniętych mchem i dzikim pnączem. Drzwi były tak niskie, e wchodząc, musiałem się pochylić.

Przystanąłem i poświeciłem latarką. Mieszkańcy musieli porzucić chatę dawno temu i była teraz posępnym nagrobkiem zapomnianego ycia. Z dziury w dachu kapłała woda, a małe, ciasne pomieszczenie, w którym staliśmy, miało niski sufit, co jeszcze bardziej wzmagało uczucie klaustrofobii.

Tak jak w grobie.

Zły na siebie szybko odpędziłem tę myśl i się rozejrzałem. Kuchnia. Stara płyta, elazna zakurzona patelnia na zimnej fajerce. Wyłoona płaskimi kamieniami podłoga, rozchwierutany drewniany stół. Na podłodze porozrzucone puszki i butelki, dowód na to, e ktoś tu jednak czasem bywa. Pachniało pleśnią i wilgocią, ale niczym więcej. Poar? Śmierć w ogniu? Nic na to nie wskazywało.

–Tędy – powiedział Brody, oświetlając latarką drzwi.

Podchodząc bliżej, po raz pierwszy poczułem lekki swąd. Ale był to zapach bardzo słaby, oczekiwałem znacznie silniejszego. Wypaczone drzwi, skrzypnięcie zardzewiałych zawiasów. Ostronie wszedłem do sąsiedniego pomieszczenia. Było jeszcze bardziej ponure ni kuchnia. Uderzył mnie smród spalenizny, teraz ju zupełnie wyraźny. W świetle latarki ukazały się nagie ściany ze starym odpadającym tynkiem i rozdziawiona paszcza kominka. Ale smród nie dochodził stamtąd. Bił ze środka pokoju i gdy tam poświeciłem, zabrakło mi tchu.

Z ywego niegdyś człowieka nie pozostało prawie nic. Trudno się dziwić, e Brody wyglądał tak, jak wyglądał, gdy spytałem go, czy zwłoki są doszczętnie spalone. Rzeczywiście były. Nawet rozgrzany do białości piec krematorium nie spopieli całkowicie ciała, tymczasem ogień, który płonął w tym opuszczonym pokoju, jakimś cudem zdołał tego dokonać.

Na podłodze leała kupka tłustego popiołu i ula. Ogień strawił kości z taką samą łatwością z jaką zwęglił skórę i tkanki. Z kości ocalały jedynie te większe, które sterczały teraz z popiołu jak martwe gałęzie ze śniennej zasy. Ale nawet one były całkowicie wypalone, szare i kruche. Niczym pęknięta skorupka jajka spoczywała na nich ludzka czaszka z przekrzywioną na bok szczęką.

Mimo to nic w pokoju nie uległo zniszczeniu. Ogień, który spopielił ciało, wypalił z kości cały węgiel i nadał im konsystencję pumeksu, zrobił to, nie uszkadzając niczego w pobliu. Płaskie kamienie na podłodze były osmalone, ale leący

kilkadziesiąt centymetrów dalej materac, brudny i wystrzępiony, był nietknięty. Płomienie pogardziły nawet suchymi liśćmi i walającymi się na podłodze gałązkami.

Ale nie to było najgorsze. Wstrząśnięty, zaniemówiłem dopiero na widok dwóch stóp i ręki sterczącej z popiołu. Wszystkie kości były spalone i wyglądały jak czarne patyki, tymczasem stopy i ręka ocalały.

Podszedł do mnie Brody.

–No i co, panie doktorze? Wciąż uwaa pan, e nie ma w tym niczego podejrzanego?

Rozdział 3

Na dworze ponuro zawodził wiatr – makabryczny akompaniament do makabrycznej sceny, która nas powitała. Słyszałem, jak stojący w drzwiach Duncan gwałtownie wciąga powietrze, widząc z Fraserem to, co leało na podłodze.

Powoli otrząsałem się z szoku i zaczynałem oceniać znalezisko.

–Dałoby się załatwić trochę więcej światła? – spytałem.

–W samochodzie mamy przenośny reflektor – odparł Fraser, odrywając wzrok od kości i popiołów. Próbował powiedzieć to jak obojętny, zblazowany policjant, ale nie zdołał. – Przynieś go, Duncan. Duncan!

Posterunkowy wciąż gapił się na spalone szczątki. Był bardzo blady.

–Dobrze się pan czuje? – spytałem. Nie chodziło mi tylko o niego. Wiele razy widziałem, jak pozieleniały policjant wymiotował prosto na zwłoki, które właśnie badałem.

Nikommu nie ułatwiało to pracy.

Duncan kiwnął głową. Jego twarz zaczynała odzyskiwać normalny kolor.

–Tak. Przepraszam. – Szybko wyszedł. Brody wciąż przyglądał się znalezisku.

–Powiedziałem Wallace’owi, e dziwnie to wygląda, ale mi nie uwierzył. Pewnie pomyślał, e zmięknę po tych kilku latach przerwy.

Fakt, pewnie pomyślał, bo jeszcze przed kilkoma minutami ja te miałem wątpliwości. Ale wcale się nie dziwiłem, e podchodził do tego sceptycznie. To, co przed nami leało, było tak niezwykle, e zaprzeczało wszelkiej logice. Gdybym nie zobaczył tego na własne oczy, uznałbym, e Brody przesadza.

Ciało – a raczej to, co z niego pozostało – leało na brzuchu. Nie ruszając się z miejsca, poświeciłem latarką po ocalałych kończynach.

Stopy były nietknięte a do kostek i wyglądały tym makabryczniej, e tkwiły w sportowych butach. Poświeciłem wyej, na rękę. Była to prawa ręka drobnego mężczyzny albo rosłej kobiety, dłoń bez pierścionków i bez lakieru na nieogryzionych paznokciach. Z nadgarstka sterczała kość promieniowa i łokciowa – tu przy ciele obydwie miały kolor ciemnego bursztynu, ale ju nieco dalej były czarne i popękane od gorąca. Całkowicie przepalone, kończyły się tu przed stawem łokciowym.

Podobnie stopa. Wystawał z niej zwęglony piszczel i kość strzałkowa, jakby płomień strawił wszystko do tego miejsca i jakby w połowie golenia nagle zgasł.

Nie licząc tego, na ocalałych kończynach nie widać było prawie adnych śladów ognia, który strawił pozostałą część zwłok. Znacznie większych uszkodzeń dokonały na nich

gryzonie i małe zwierzęta, które poszarpały ciało i ponadgryzały kości, ale gdyby zwłoki leżały na dworze, uszkodzenia byłyby liczniejsze. Tkanka miękka zaczynała się już rozkładać i pod pociemniałą skórą widać było charakterystyczny marmurkowy wzorek. Nie zauważyłem adnego śladu działalności owadów, wanego wskaźnika, dzięki któremu można określić, kiedy zaczął się rozkład. Ale zwaywszy, e było zimno, mogłem się tego spodziewać. Muchy lubią ciepło i światło. Sprawa byłaby jeszcze bardziej zagadkowa, gdybym o tej porze roku znalazł na dworze ywe czerwie.

Poświeciłem latarką po pokoju. W kominku leżały zwęglone polana, na kamiennej posadzce widniały ślady mniejszego ogniska. Ktoś rozpalił je niecałe dwa metry od miejsca, gdzie leżały zwłoki, ale nie musiało to nic znaczyć. Człowiek, który się pali, nie leży bez ruchu, chyba e jest nieprzytomny.

–Poświeciłem na sufit. Bezpośrednio nad zwłokami był okopcony, lecz nie nadpalony. Zebrał się tam tłusty brązowy osad. Taki sam zauważyłem na podłodze wokół szczątków.

–Co to jest? – spytał Fraser.

–Tłuszcz. Z palącego się ciała. Fraser się skrzywił.

–Taki jak z frytkownicy?

–Mniej więcej.

Wrócił Duncan z reflektorem. Kładąc go na podłodze, rozszerzonymi oczami patrzył na spalone szczątki.

–Czytałem o takim czymś – wypalił. Spojrzeliśmy na niego i się zawstydziliśmy. – O

ludziach, którzy zapalają się sami z siebie, bez powodu. Nie podpalając przy tym niczego w

pobliu.

–Przestań gadać bzdury – warknął Fraser. Aleja spodziewałem się tego, odkąd tylko zobaczyłem zwłoki.

–Nie, nie, ma pan rację – powiedziałem. – Mówi pan o tak zwanym samozapłonie. Duncan z oywieniem kiwnął głową.

–Tak, właśnie! śadna nowina. Powszechnie uwaano, e samozapłon, albo samozapalenie się, jest

czymś równie rzeczywistym jak yeti czy UFO, e jest to zjawisko paranormalne, którego nie mona wyjaśnić. Tymczasem istniały dobrze udokumentowane przypadki, kiedy to w nietkniętym przez ogień pomieszczeniu znajdowano zupełnie spalonych ludzi, zwłoki z częściowo ocalałymi rękami i dolnymi partiami nóg. Wysnuwano przeróne teorie na ten temat, od opętania przez demony poczynając, na mikrofalach kończąc. Jednak powszechnie

zgadzano się, e bez względu na to, co wywołuje ów samozapłon, nauka nie potrafi go wyjaśnić.

Ja weń nie wierzyłem.

Fraser łypnął spode łba na podwładnego.

–Skąd ty, do diabła, o tym wiesz? Duncan spojrział na mnie z zaenowaniem.

–Widziałem zdjęcia. Starszej kobiety, która się tak spaliła. Nie zostało z niej nic oprócz nogi i stopy w papuciu. Nazywają ją kobietą-węgłem.

–Tak naprawdę nazywała się Mary Reeser – wyjaśniłem. – W latach pięćdziesiątych mieszkała na Florydzie i była wdową. Nie zostało z niej nic oprócz nogi od golenia w dół i stopy w papuciu. Fotel, w którym siedziała, zupełnie się spalił, spaliły się stojące obok stół i lampa, ale inne meble ocalały. O tym przypadku pan mówi?

–Tak – odparł zaskoczony Duncan. – Ale czytałem te o innych.

–Słyszcy się o nich od czasu do czasu. Ale ludzie nie zapalają się bez powodu. Nie wiem, co przydarzyło się tej kobiecie, ale na pewno nie było w tym nic „nadprzyrodzonego” czy „paranormalnego”.

Brody obserwował nas i słuchał bez słowa. Odezwał się dopiero teraz.

–Tej kobiecie? Skąd pan wie, e to kobieta?

Na emeryturze czy nie, był bardzo czujny.

–Poznaję po szkielecie. – Poświeciłem latarką na resztki miednicy przysypanej popiołem, lecz wciąż widocznej. – Nawet teraz widać, e kość biodrowa jest za szeroka jak na męczyznę. Głowa kości ramieniowej natomiast, staw, gdzie ręka łączy się z

ramieniem, jest za mała. To zdecydowanie kobieta. Rosła, grubokoścista, ale na pewno kobieta.

–Tak jak mówiłem, to chyba nikt stąd. Zauwaylibyśmy, gdyby ktoś zaginął. Jak długo moe tu leć?

Dobre pytanie. Chocia pewne fakty mona ustalić na podstawie najbardziej nawet zwęglonych szczątków, dokładna data śmierci do nich nie należy. żeby ją określić, trzeba zbadać stopień rozkładu protein mięśniowych, bardzo nietrwałych aminokwasów i kwasów tłuszczowych, które zazwyczaj ulegają spaleni. Ale dziwaczny stan zwłok, zwłaszcza ilość ocalałej tkanki, oznaczał, e w tym przypadku mona przeprowadzić testy niemoliwe do przeprowadzenia u większości ofiar śmierci w ogniu. Testy musiały jednak poczekać, a wróće do laboratorium, tymczasem mogłem jedynie sięgnąć do zasobów mojej wiedzy i doświadczenia.

–Niska temperatura spowalnia tempo rozkładu – odparłem. – Ale tkanka miękka na ręce i nogach zaczyna ju gnić, więc zgon musiał nastąpić jakiś czas temu. Zakładając, e

ciało leało tu przez cały czas, e znikąd go nie przywieziono, i biorąc pod uwagę to, e kamienie, na których ley, są osmalone, powiedziałbym, e śmierć nastąpiła od czterech do pięciu tygodni temu.

–Budowlańców ju tu wtedy nie było – myślał na głos Brody. – Nie mogła z nimi przyjechać.

Fraser słuchał nas z narastającą irytacją; wyraźnie nie podobało mu się, e były detektyw inspektor przejmuje inicjatywę.

–Jeśli to nikt stąd – wtrącił – zawsze mona sprawdzić listy pasaerów promu. O tej porze roku nie powinno być duo przyjezdnych.

–Czy pana zdaniem Kinross wygląda na takiego, co to prowadzi jakąś dokumentację? Zresztą ta kobieta nie musiała przyjechać tu promem. Między Runą i Stornoway kursuje kilkanaście innych łodzi. Nikt nie robi adnych list, nikt nie wie, kto odpływa, kto przy pływa.

Odwrócił się do mnie, ignorując sieranta.

–I co teraz? Rozumiem, e powie pan Wallace'owi, eby przysłał ekipę, tak?

Ju otwierałem usta, ale uprzedził mnie Fraser.

–Nie zrobimy nic, dopóki doktor nie skończy oględzin. Z tego, co wiemy, to pewnie jakaś ćpunka albo pijaczka. Podpałała się, i tyle.

Brody miał nieprzeniknioną twarz.

–W takim razie co tu robiła w środku zimy? Sierant wzruszył ramionami.

–Moe miała tu rodzinę albo przyjaciół. Albo należała do tych z New Age i chciała wrócić do natury. Oni są wszędzie, nawet na wyspach odleglejszych niż ta.

Brody poświecił latarką na czaszkę. Leżała twarzą do podłogi i była lekko przekrzywiona. W jej gładkiej niegdyś kości czołowej ziała duża dziura.

–Uwaa pan, e przy ćpała i przy okazji roztrzaskała sobie głowę?

Zainterweniowałem, zanim Fraser zdążył wybuchnąć.

–To dość typowe wśród ofiar śmierci w ogniu. Pod wpływem wysokiej temperatury czaszka często pęka. Praktycznie rzecz biorąc, jest to hermetycznie zamknięty pojemnik z

płynem i galaretowatą substancją. Ogrzana zmienia się w coś w rodzaju szybkaru.

Ciśnienie wzrasta i kość nie wytrzymuje.

Fraser zbladł.

–Chryste.

–A więc myśli pan, e to był wypadek? – spytał z powątpiewaniem Brody.

Zawahałem się, wiedząc, jak zwodnicze mogą być skutki oddziaływania ognia na ludzkie ciało. Mimo tego, co powiedziałem, dręczyło mnie wiele wątpliwości. Problem w tym, e Wallace chciał faktów, nie domysłów.

–Moliwe – odparłem. – Wiem, e wygląda to bardzo dziwnie, ale to, co dziwne, nie musi być podejrzane. Muszę obejrzeć to w świetle dziennym, ale na razie nie widzę tu

niczego, co wskazywałoby na morderstwo. Nie licząc pękniętej czaszki, czego można się w

takich przypadkach spodziewać, ofiara nie ma adnych wyraźnych obrażeń. Ani śladów

przemocy na ciele, na przykład śladów po sznurze na ręku czy nogach.

Brody zmarszczył czoło i potarł podbródek.

–Sznur nie spaliłby się tak jak cała reszta?

To bez znaczenia. Mięśnie kurczą się w ogniu, dlatego kończyny i całe ciało zwijają

się w kłębek. Nazywamy tę postawę postawą bokerską, bo zwłoki przypominają wtedy skulonego boksera. Ale jeśli ofiara ma związane ręce lub nogi, nie dochodzi do tego, nawet jeśli sznur się zupełnie spali.

Poświeciłem latarką, eby zwrócili uwagę na układ zwłok.

–Gdyby ją związane, ręce i nogi byłyby proste, a nie podkurczone. Dlatego wiemy ju, e tego nie zrobiono.

Ale Brody nie odpuszczał.

–Na pewno ma pan rację. Ale widzi pan, przez trzydzieści lat byłem policjantem.

Widziałem sporo ludzkich zwłok, spalonych w poarze czy w wypadku, ale nigdy dotąd nie

spotkałem się z czymś takim. Trudno uwierzyć, e ciało moe doszczętnie spłonąć bez

adnego przyspieszacza.

W normalnych okolicznościach miałby rację. Sęk w tym, e te normalne nie były.

–Przyspieszcz, taki jak choćby benzyna, by tego nie zrobił. Płonąca benzyna nie wytwarza tak wysokiej temperatury. Ale nawet gdyby wytwarzała, spaliłaby i zwłoki, i całą

chatę. W adnym wypadku nie byłby to poar zlokalizowany.

–W takim razie jak to się mogło stać?

Miałem pewną teorię, ale było za wcześnie na domysły.

–Właśnie tego muszę się dowiedzieć, po to tu przyjechałem. Ale có, strzeonego Pan Bóg strzee. – Spojrzałem na Frasera. – Moe pan wytyczyć przejście od drzwi i ogrodzić zwłoki taśmą? Nie chcę narobić tu większego bałaganu, ni trzeba.

–Duncan. – Sierant wskazał głową drzwi. – Leć po taśmę, tę od wypadków. Nie będziemy tu sterczeć przez całą noc.

Nie spytał mnie nawet, jaką chcę, tę, którą kazał mu przynieść, czy tę, którą ogradza się miejsce przestępstwa. Brody te to zauwaył, ale tylko zacisnął usta. Duncan ruszył do drzwi.

Nagle w pokoju pojaśniało. Przed chatą zaparkował samochód i przez małe okno wpadło do środka światło reflektorów.

–Chyba mamy gości – rzucił Brody.

–Duncan! – Fraser ju wymachiwał rękami. – Idź tam, nikogo nie wpuszczaj! Ale było za późno. Gdy weszliśmy do kuchni, w drzwiach ju ktoś stał: Maggie

Cassidy, młoda kobieta, z którą rozmawiałem na promie. Jej przy dua kurtka była plamą jaskrawej czerwieni na tle wszechobecnej w chacie sepii, monotonnej i przygnębiającej.

–Wyprowadź ją stąd – warknął sierant do Duncana. Maggie opuściła latarkę i przesłoniła ręką oczy, bo zaświecił jej prosto w twarz.

–Czy to tak traktuje się przedstawicieli prasy? Prasy? – pomyślałem skonsternowany. Mówiła, e jest pisarką. Duncan zatrzymał się,

nie wiedząc, co robić. Tymczasem ona zaglądała mu ju przez ramię do jasno oświetlonego pokoju, chocia z miejsca, gdzie stała, niewiele mogła zobaczyć. Brody chciał zamknąć drzwi, ale zardzewiałe zawiasy jakby zamarzły. Głośno zaskrzypiały, ale ani drgnęły. Inspektor stanął w progu, eby zasłonić widok. Maggie posłała mu uśmiech.

–Andrew Brody, prawda? Babcia mi o panu mówiła. Maggie Cassidy z „Lewis Gazette”.

Zdawało się, e jej nagle pojawienie się wcale Brody’ego nie poruszyło.

–Co pani tu robi? – spytał.

–Swoje. Chcę zobaczyć, co się tu dzieje. Mam szczęście, co? Akurat przyjechałam odwiedzić babcię. Ma się to wyczucie, prawda?

Teraz ju wiedziałem, dlaczego tak szybko uciekła z promu. Pobiegła po samochód, eby nas śledzić. Na Runie była tylko jedna szosa, przed chatą stał policyjny range rover -nie trudno było nas znaleźć.

Spojrzała na mnie.

–Znowu się spotykamy. Ale nie przyjechał pan chyba do pacjenta?

–Niewane, do kogo przyjechał – uprzedził mnie Fraser z posiniałą z wściekłości twarzą. – Wynocha! Ale ju. Bo wezmę za dupę i wyrzucę.

–To byłaby napaść, sierancie. Nie chciałby pan chyba, ebym wniosła przeciwko panu oskarenie. – Poszperała w torebce i wyjęła dyktafon. – Tylko kilka słów komentarza, o nic więcej nie proszę. Nie codziennie ktoś znajduje tu zwłoki. Bo to zwłoki tam leą. Prawda?

Fraser zacisnął pięści.

–Duncan, wyrzuć ją. Maggie wyciągnęła dyktafon w naszą stronę.

–Wiecie ju, kto to jest? Podejrzewacie coś? Duncan podszedł bliżej.

–Chodźmy... – zaczął przepraszająco. Maggie z rezygnacją wzruszyła ramionami. No có. Przynajmniej próbowałam. Odwróciła się, eby wyjść i nagle upuściła

torebkę. Duncan odruchowo schylił się po nią, a wtedy Maggie skoczyła w bok i zajrzała do pokoju. Wytrzeszczyła oczy, widząc to, co tam leało.

–O Boe!

–Wynocha! – Fraser ominął Duncana i chwycił ją za ramię. Zaczął popychać ją w stronę drzwi.

–To boli! – Maggie podniosła dyktafon. – Nagrywam to: sierant Neil Fraser napastuje mnie fizycznie, właśnie wyrzuca mnie z...

Fraser nie zwracał na to uwagi.

–Jak zobaczę, e znowu tu wieszysz, wsadzę cię do paki. Jasne?

–To jest czynna napaść! Ale sierant ju wypchnął ją na dwór. Odwrócił się i spojrzał na Duncana.

–Wsadź ją do samochodu i dopilnuj, eby odjechała. Na pewno sobie poradzisz?

–Przepraszam, ja tylko...

–No to ju! Duncan wybiegł z chaty. Brody milczał, lecz milczenie to miało boleśnie oczywistą

wymowę.

–Świetnie! – wściekał się Fraser. – Tylko tego nam brakowało. Przeklęta pismaczka!

–Widzę, e się znacie – mruknął Brody. Sierant łypnął na niego spode łba.

–Spiszę teraz pańskie zeznania, panie Brody – warknął, kładąc nacisk na „panie”. – Potem nie będzie pan ju potrzebny.

Inspektor zacisnął zęby, lecz była to jedyna oznaka irytacji.

–Gdzie urządzicie punkt dowodzenia? – spytał. Sierant podejrzliwie zamrugął.

–Co?

–Przecie ktoś musi pilnować chaty, zwłaszcza teraz.

To chyba oczywiste. Mogę podrzucić jednego z was do miasteczka. Mam samochód kempingowy, w sam raz na punkt dowodzenia. Nic luksusowego, ale trudno tu będzie znaleźć coś innego. – Uniósł brwi. – Chyba e chcecie przesiedzieć całą noc w samochodzie.

Mina sieranta mówiła, e zupełnie o tym nie pomyślał. Ale chocia nie przypadło mu to do gustu, musiał przyznać Brody’emu rację.

–Duncan z panem pojedzie – burknął.

Inspektor spojrział na mnie z wesołymi iskierkami w oczach.

–Miło mi było pana poznać, doktorze. Powodzenia.

Wyszli z chaty. Stałem w ciszy pośrodku małej izdebki, próbując wmówić sobie, e nie odczuwam niepokoju, chocia go odczuwałem.

Przestań, nie bądź głupi. Wróciłem do pokoju, gdzie leały zwłoki. Właśnie układałem prowizoryczny plan działania, gdy nagle stanęły mi włosy na karku. Szybko się odwróciłem, myśląc, e to któryś z nich, Duncan albo Fraser, e po coś wrócili.

Ale nie licząc mrocznych cieni, w pokoju nie było nikogo.

Rozdział 4

Prowadził Fraser. Siedziałem z przodu, senny od duszącego gorąca z nawiewu i rytmicznego postukiwania wycieraczek. Światła reflektorów skupiały się hipnotyzująco na drodze, ale poza ich stokowatą jasnością, za poprzecinaną smukami deszczu szybą, panowała nieprzenikniona ciemność.

Zrobiłem, ile mogłem. Kiedy Brody pojechał z Duncanem po samochód kempingowy i kiedy Fraser zaczął ogradzać chatę taśmą, połączyłem się przez radio z Wallace'em. Nadinspektor był jeszcze bardziej zagoniony niż podczas naszej pierwszej rozmowy.

–A więc Brody nie przesadzał – powiedział zaskoczony. W słuchawce zatrzeszczało, jakbyśmy mieli zaraz stracić łączność.

–Nie. – Wziąłem głęboki oddech. – Pewnie się to panu nie spodoba, ale będzie pan musiał przysłać tu ekipę.

–Więc jednak uwaa pan, e to morderstwo? – spytał szorstko.

–Nie, po prostu nie mogę jeszcze powiedzieć na pewno, e to wypadek. Nie sposób tego sprawdzić, nie usuwając popiołów, a nie chcę przy okazji zatrzeć śladów na miejscu przestępstwa.

–Przecie nie zauważył pan tam niczego podejrzanego. Co więcej, z tego, co pan mówił, wynikało coś zupełnie przeciwnego.

Có mogłem powiedzieć? Śe instynkt coś mi podpowiada? Wiedziałem, e to za mało.

–Tak, ale...

–A więc ekipa pojechałaby tam tylko na wszelki wypadek, bez konkretnego powodu. Tak?

Zaczynałem się ju domyślać, do czego zmierza.

–Jeśli tak to ująć...

Chyba powiedziałem to z lekkim rozdranianiem, bo ciężko westchnął.

–Panie doktorze, rozumiem i doceniam pańską ostroność. Proszę mi wierzyć, e w normalnych okolicznościach wysłałbym tam ludzi choćby jutro, i to z samego rana. Ale teraz najwspanialsza jest katastrofa. Tam są uwięzieni ludzie, a pogoda utrudnia akcję ratunkową. Poza tym podejrzewamy, e tę ciężarówkę skradziono i porzucono na torach celowo, więc na domiar złego muszę uwzględnić moliwość, e to był zamach terrorystyczny. W tej chwili nie mogę odrywać ludzi od pracy i wysyłać ich na

miejsce czegoś, co wygląda na zwykły wypadek.

–A jeśli okaże się, że to nie wypadek?

–Wtedy natychmiast wyślę ekipę dochodzeniową. Zamilkliśmy. Rozumiałem go, co wcale nie oznaczało, że jestem z tego zadowolony.

–Dobrze – powiedziałem w końcu. – Ale jeśli jutro znajdę coś, co nie będzie mi się podobało, zostawię wszystko tak, jak jest, i zaczekam na wasz przyjazd. I jeszcze jedno.

Spróbuję wstępnie ustalić jej tożsamość. Czy może pan zajrzeć do bazy osób zaginionych i

wysłać mi e-mailem dane kobiet, które odpowiadają jej przybliżonemu profilowi?

Rasa, wzrost, wiek i tak dalej. No i zdjęcia.

Obiecał, że mi je przyśle, i bez ceregieli skończył rozmowę. Uznałem, że zrobiłem, co mogłem. Wallace miał pewnie rację. Chyba przesadzałem z tą ostrożnością.

Tego wieczoru nie mogłem działać nic więcej. Zasilany akumulatorem przenośny reflektor Frasera był marną namiastką zasilanych generatorem reflektorów polowych, które stosuje się w terenie, dlatego postanowiłem poczekać do rana. Odłówszy na bok wątpliwości, wyjąłem z walizeczki aparat i zacząłem robić zdjęcia.

Zapadający się sufit, stary, popękany tynk – opuszczona chata miała w sobie coś dziwnego i przytłaczającego. Pracując, próbowałem zapomnieć o niepokoju, który ciągle mnie prześladował. Nie miał nic wspólnego z ałosną kupką kości i popiołu na środku pokoju. Zmarłych się nie boję. Widziałem śmierć w najprzeróśniejszych formach i nie wierzę w duchy. Jeśli zmarli yją dalej, to tylko w naszych umysłach i sercach.

Przynajmniej moi tam yli.

Mimo to denerwowałem się, że jestem sam. Złożyłem to na karb zmęczenia, posępnego wycia wiatru i mrocznych cieni w każdym kącie pokoju. Powiedziałem sobie, że większym niebezpieczeństwem jest stary sufit, że to on najbardziej zagraża dowodom rzeczowym na podłodze. W pokoju był bardziej wybruszony niż w kuchni, a pogoda z każdą chwilą się pogarszała. Nie chciałem, żeby zawalił się i zniszczył kruche kości, zanim zdąży je zbadać.

Właśnie skończyłem robić zdjęcia, gdy wrócił Duncan z samochodem kempingowym Brody'ego. Okazało się, że to mały domek na kółkach, taki z oddzielnymi, w pełni wyposażonymi pokojkami. W środku było ciasno, ale nienagannie czysto, tak jak w samochodzie inspektora.

–Będzie ci tu wygodnie. – Fraser poklepał bok samochodu; nie wiedzieć czemu, nie zdziwiło mnie, że to właśnie Duncan spędzi w nim noc. Ruchem głowy sierant wskazał chatę. – Jeśli ta baba znowu tu przylezie, masz prawo ją aresztować.

–Wielkie dzięki – mruknął ponuro Duncan.

Fraser chrapliwie zachichotał. Obiecał, że przywiezie mu coś na kolację, zostawił go przy parafinowym grzejniku i pojechaliśmy do miasta. Mniej więcej po dziesięciu minutach zobaczyłem coś, co w zupełnej ciemności wyglądało jak latarnia morska. Był to wielki dom, który zauważyłem, jadąc w tamtą stronę, tonący teraz w blasku samochodowych reflektorów.

–Dobrze jest mieć forsy jak lodu – rzucił kwaśno Fraser.

–Kto tam mieszka?

–Facet nazwiskiem Strachan. Miejscowi mówią, że słońce mu z dupy świeci.

Przyjechał tu kilka lat temu i zaczął szastać forszą. Naprawiał drogi, budował domy, ufundował nową szkołę i przychodnię. Nadziany gość. Jacht, wystrzałowa ona. Tak, szkoda,

że nie widział pan jego ony. Chryste! – Sierant prychnął szyderczo. – Niektórzy to mają fart.

Popatrzyłem na wesołe, zawieszane w ciemności okna i pomyślałem, dlaczego życie jednych rozpieszcza, a innym daje w kość. Weszliśmy w zakręt i dom zniknął mi z oczu.

Niedługo potem dojechaliśmy do miasteczka. Rozciągało się u stóp opadającej ku portowi drogi, pośród rozrzuconych jak ółte węgielki świateł. Wkrótce byliśmy na tyle blisko, że mogłem rozróżnić poszczególne domy – wszystkie miały pozaciągane zasłony w oknach, chroniąc się przed nocą w kokonach ciepłego światła.

Gdy zjechaliśmy na dół, Fraser skręcił w wąską boczną uliczkę. Na jej końcu stał samotnie stary wysoki dom z szyldem, który głosił, że mieści się tam hotel Runa. Robił wrażenie przyjaznego i przytulnego, ale po całym popołudniu w towarzystwie ludzkich szczątków wszystko wygląda lepiej.

Zaparkowaliśmy przed drzwiami. Wsiadłem. Deszcz zelał. Po czarnym jak atrament niebie sunęły wystrzępione chmury, zza których chwilami widać było jasne gwiazdy i księżyc; świecił niczym kawałek pękniętego opalu. Noc była zimna, a wymyte deszczem powietrze świee i słonawe. Nawet tutaj było tak cicho, e słyszałem szum fal rozbijających się w niewidocznym w ciemności porcie.

Schody, podwójne drzwi, długi ciepło oświetlony hol – otoczył mnie zapach pieczonego chleba i wosku do mebli. Buty przyjeżdżających tu od pokoleń gości wypolerowały nagą podłogę na cynamonowy brąz, a wyłoone sosnową boazerią ściany i sufit nadawały wnętrzu wygląd starego statku. Prawie całą jedną ze ścian zajmowało wielkie ciężkie lustro w grubych mahoniowych ramach, trochę ju zmętniałe i pocętkowane czarnymi plamkami. Obok lustra dostojnie tykał duy zegar.

Z wahadłowych drzwi na końcu holu wyszła młoda, szczupła kobieta w dinsach i niebieskim swetrze pasującym do jej ciemno-rudych włosów. Miała uderzająco piękne oczy w kolorze morskiej wody i piegi na nosie i policzkach.

–Oidhche mhath. Dobry wieczór – dodała, spoglądając na mnie. Wiedziałem, e na niektórych wyspach Hebrydów Zewnętrznych wciąż mówi się po gaelicku, lecz jak dotąd słyszałem tylko toasty wygłaszane w tym języku. – Sierant Fraser i doktor Hunter, prawda?

–Tak – odparł z roztargnieniem Fraser, niecierpliwie zerkając na drzwi prowadzące do baru. Słuchać było zza nich kuszący gwar głosów i śmiech.

–Ellen McLeod. Nie wiedziałam, o której panowie przyjadą, ale pokoje są ju przygotowane. Czy panowie ju jedli?

Sierant niechętnie oderwał wzrok od drzwi.

–Jeszcze nie. Zostawimy tylko torby i chętnie przegryziemy coś gorącego.

–A Duncan? – spytałem.

–No tak, Duncan – mruknął bez entuzjazmu Fraser. – Mój posterunkowy jest na ślubie. Mogłaby pani przygotować coś na wynos?

–Oczywiście.

Fraser znowu popatrzył na drzwi baru. Miał wyglądniały wzrok.

–Proszę zająć się doktorem, a ja... Ja zaczekam tam.

I ruszył do drzwi. Popękane naczynka krwionośne na nosie i policzkach nie kłamały.

–Jeśli chce się napić, czeka go rozczarowanie – powiedziała Ellen. – Za barem stoję

tylko ja. – Uśmiechnęła się do mnie konspiracyjnie. – Zaprowadzę pana do pokoju.

Schody trzeszczały, ale były krzepiąco solidne. Leący na nich ciemnoczerwony dywan, kiedyś na pewno kosztowny, teraz wytarty i wypłowiały, był nienagannie czysty tak jak cały dom.

Gdy weszliśmy na pierwszy podest, kątem oka dostrzegłem coś białego. Coś na podeście nad nami. Podniosłem głowę i zobaczyłem bladą twarz małej dziewczynki, która obserwowała mnie zza balustrady.

Zadrało mi serce.

–Ann, mówiłam ci, e ju pora spać – powiedziała surowo Ellen. – Wracaj do łóka.

Dziewczynka potraktowała to jako zaproszenie do zejścia na dół. Gdy wyszła z cienia

w koszulce nocnej, wstrząs, który przeżyłem w pierwszej chwili, zaczął powoli mijać. Podobieństwo do mojej córki było tylko powierzchowne. Alice była starsza i miała jasne włosy. Tak jak jej matka. Ta dziewczynka miała najwyżej cztery, pięć lat i rude włosy, podobne do włosów młodej kobiety.

–Nie mogę zasnąć – wyszeptała, patrząc na mnie z nieukrywaną ciekawością. – Boję się wiatru.

–Coś takiego, nigdy dotąd się nie bałaś – odparła oschle Ellen. – No? Proszę do

łóeczka, młoda damo. Zajrzę do ciebie, kiedy zaprowadzę pana doktora do pokoju. Dziewczynka posłała mi ostatnie spojrzenie i wreszcie posłuchała mamy.

–Przepraszam. – Ellen skrzyła w korytarz. – Moja córka cierpi chyba na coś, co nazywają zdrową ciekawością.

Zdołałem się uśmiechnąć.

–To dobrze. I proszę mi mówić po imieniu. David. Ile ma lat? Pięć?

–Cztery. Jest dua jak na swój wiek. – Powiedziała to z cichą nutką dumy w głosie. – Ma pan dzieci?

Stęła mi twarz.

–Nie.

–A onę?

–Ju nie. Skrzywiła się.

–Dobrze mi tak. Rozwiedziony?

–Nie. śona nie yje. Ellen zasłoniła ręką usta.

–Boe, przepraszam...

–Nie szkodzi. Dopiero teraz to do niej dotarło.

–Nie tylko ona, prawda? To dlatego był pan taki wstrząśnięty, kiedy zobaczył pan Ann.

–Były mniej więcej w tym samym wieku, to wszystko – odparłem, siląc się na obojętność. Wiedziałem, e chciała dobrze, ale widok jej córki rozdrapał zagojoną ranę. Uśmiechnąłem się. – Ann jest naprawdę urocza.

Od razu mnie zrozumiała.

–Nie powiedziałby pan tak, widząc, co wyprawia, kiedy nie moe postawić na swoim.

Jest jeszcze malutka, ale potrafi ju zaleźć za skórę jak nieznośna diablica.

–A będzie jeszcze nastolatką.

Ellen roześmiała się ładnym, czystym śmiechem i śmiejąc się, od-młodniała o dobrych

dziesięć lat.

–Nawet nie chcę o tym myśleć.

Zastanawiałem się, gdzie jest jej mą. Nie nosiła obrączki, a sądząc po tym, jak

zwracała się do córki, była z nią sama. Nie twoja sprawa, pomyślałem. Otworzyła drzwi na końcu korytarza.

–To tutaj. Boję się, e pokój nie jest zbyt okazały.

–Jest bardzo ładny – odparłem. Nie kłamałem. Był urządzony po spartańsku, ale

czysty i wygodny. Po jednej stronie mosiężnego łoka stała stara sosnowa komoda z lustrem, po drugiej szafa. Pod starannie podwiniętą tartanową narzutą widać było bielutkie prześcieradło.

–Łazienka jest w korytarzu. Wspólna, ale teraz mieszka tu tylko pan i sierant

Fraser. O tej porze roku nie mamy zbyt wielu gości. – Powiedziała to z cichą rezygnacją w

głosie. – Dobrze, zostawię pana, eby mógł się pan ogarnąć. Kiedy będzie pan gotowy, proszę

zejść na kolację.

Na komodzie stał telefon, mogłem więc przynajmniej zadzwonić do Jenny.

–Czy jest tu Internet? – spytałem. – Chciałbym sprawdzić pocztę.

–Jest. Jeśli ma pan laptop, proszę skorzystać z linii telefonicznej. Bezprzewodowego jeszcze nie mamy, mamy za to szerokopasmowy.

–Szerokopasmowy? – powtórzyłem zaskoczony.

–Myślał pan, e wciąż puszcza tu sygnały dymne?

–Nie, ale...

Uśmiechnęła się, wiedząc, e jestem zakłopotany.

–Wcale się panu nie dziwię. Podczas sztormu często wysiada światło i telefony, więc

nie jesteśmy a tak bardzo cywilizowani. Ale przez większość czasu wszystko działa normalnie.

Gdy wyszła, usiadłem ciężko na łóku. Cichutko zaskrzypiały sprężyny. Boe. Byłem bardziej zmęczony, ni myślałem. Spotkanie na schodach zburzyło wszystkie struktury obronne, które z takim trudem wznosiłem po śmierci Kary i Alice. Minęło duo czasu, zanim pogodziłem się z bezdusznym faktem, e ja yję, a one nie. Bardzo pomogła mi Jenny i byłem jej wdzięczny za drugą szansę.

Ale od czasu do czasu wspomnienia wracały z taką siłą, e dosłownie brakowało mi tchu.

Przetarłem oczy. Dopadło mnie zmęczenie. To był długi dzień. A jeszcze się nie skończył.

Wyjąłem laptop i postawiłem go na komodzie. Czekając, a załadowuje się system, podniosłem słuchawkę telefonu, eby zadzwonić do Jenny. Powinna ju wrócić z

pracy. Nieoficjalnie mieszkaliśmy w jej mieszkaniu w Clapham. Nieoficjalnie, bo wciąż miałem swoje mieszkanie we wschodnim Londynie, chociaż rzadko kiedy tam bywałem. Po wyjeździe z Norfolk przed półtora rokiem, kiedy to Jenny dochodziła do siebie po wydarzeniach, które omal jej nie zabiły, obydwójce uznaliśmy, że przyda nam się trochę niezależności. Dlatego przedyskutowaliśmy to i postanowiliśmy, że zamiast cokolwiek

pochopnie przyspieszać, każdy z nas zatrzyma swoje mieszkanie. Rozwiązanie okazało się dobre i skuteczne.

Dopiero ostatnio pojawiły się między nami tarcia.

Wiedziałem, że to moja wina. Kiedy się poznaliśmy, byłem lekarzem rodzinnym. Wciąż miałem prawo wykonywania zawodu, lecz teraz robiłem coś zupełnie innego. Praca ta nie tylko odbierała mi dom, ale i boleśnie przypominała o chwilach – i przeyciach – o których wolałbym zapomnieć.

Nie miałem pojęcia, jak rozwiązać ten konflikt. Praca była dla mnie jak oddychanie, ale nie mogłem sobie wyobrazić, że mógłbym stracić Jenny.

Czułem jednak, że już wkrótce będę musiał dokonać ostatecznego wyboru.

Odebrała dopiero po kilku dzwonekach.

–Cześć, to ja – powiedziałem.

–Cześć. – Chwila pełnej napięcia ciszy. – I co słychać na Hebrydach?

–Zimno i mokro. Jak minął dzień?

–Dobrze.

Jenny była nauczycielką. W Londynie trudno o pracę, ale dostała pół etatu w przedszkolu i bardzo się cieszyła. Była dobrą przedszkolanką, lubiła dzieci. Wiedziałem, że kiedyś chciałyby mieć swoje. Co do tego to miałem wątpliwości.

Nie mogłem znieść tej sztucznej, sztywnej rozmowy.

–Posłuchaj, przepraszam za tamto.

–Nie trzeba, to niewane.

–Wane. Chciałem ci tylko wytłumaczyć...

–Nie, nie tłumacz. Proszę – dodała trochę łagodniej. – Nie ma sensu. Już tam jesteś. Byłam po prostu rozczarowana, że nie wróciłeś.

–To potrwa tylko parę dni – odparłem, wiedząc, e to marna gałązka oliwna.

–Dobrze.

Milczenie. Przeciągająca się cisza.

–Pójdę ju – powiedziałem. – Zadzwonię jutro. Westchnęła.

–David?

Ścisnęło mnie w ołądku.

–Tak? Pauza.

–Nie, nic. Po prostu tęsknię, to wszystko.

Powiedziałem, e ja te, i niechętnie odłożyłem słuchawkę. Zastanawiałem się, co tak naprawdę chciała powiedzieć. Ale chyba nie chciałem tego usłyszeć.

Westchnąłem, podłączyłem aparat do laptopa i przekopiowałem na dysk zdjęcia z chaty. Było ich ponad sto; pokazywały szczątki pod wszystkimi moliwymi kątami. Przejrzałem je szybko, eby sprawdzić, czy o niczym nie zapomniałem. W jaskrawym rozbłysku flesza widok ocalałej ręki i nogi był równie wstrząsający jak tam, w chacie. Skupiłem się na zdjęciach pękniętej czaszki. Wyglądała jak czaszka dziesiątek innych ofiar ognia, z którymi miałem do czynienia. Podręcznikowy przypadek eksplozji pod wpływem wysokiej temperatury.

Więc dlaczego wciąż zdawało mi się, e coś przeoczyłem?

Gapilem się w ekran, a rozboleły mnie oczy. Oglądałem jedno zblienie po drugim, nie znajdując w nich niczego niepokojącego. Wreszcie się poddałem. Wallace miał rację. Byłem za ostrony.

Skopiowałem pliki na pendrive i podłączyłem komputer do Internetu, eby sprawdzić pocztę. Akta osób zaginionych, o które prosiłem Wallace’a, jeszcze nie dotarły, ale nadinspektor miał pewnie waniejsze sprawy na głowie. Odpowiedziałem na najpilniejsze emaile, potem położyłem się na łoku i zamknąłem oczy. Szybko bym zasnął, gdyby ołądek nie przypomniiał mi hałaśliwie, e mimo zmęczenia muszę jeść.

Wstałem i ruszyłem do drzwi. Po drodze spojrzałem bezmyślnie w okno. W ciemnym, zbryzganym kroplami deszczu szkle zobaczyłem swoje własne odbicie, lecz przez ułamek sekundy wydawało mi się, e widzę coś jeszcze, coś na dworze. Coś albo kogoś.

Zawróciłem i podszedłem bliiej. Samotna latarnia, rozmyta plama jasnoóltego

światła. Nie, na ulicy było pusto.

Mam przywidzenia, pomyślałem. Zgasilem światło i zszedłem na dół.

Rozdział 5

Bar był mały i mieścił się w bocznej salce, gdzie wciśnięto kilka stolików. Tak jak hol, był wyłożony sosnową boazerią i przypominał wielkie drewniane pudło. Kominek zrobiono z morskich muszel. Palił się w nim kawał torfu, przesycając powietrze ostrym, aromatycznym zapachem.

W sali siedziało dziesięciu, moe dwunastu gości, ale to wystarczyło, eby bar tętnił życiem, nie robiąc wraenia zatłoczonego. Słysząc było ciekawą mieszaninę śpiewnych szkockich akcentów i chrapliwych gaelickich spółgłosek. Gdy wszedłem, kilku bywalców spojrzało na mnie ciekawie; wieść o tym, co znaleziono w chacie, musiała się ju rozejść, niewątpliwie dzięki Maggie Cassidy. Ale zerknęli na mnie i na powrót zajęli się tym, co robili. Doszedł mnie grzechot kości i brzęk kieliszków – przy oknie dwóch starszych mężczyzn grało w domino. Kinross, brodaty kapitan promu, rozmawiał przy barze z brzuchatym olbrzymem. Towarzyszyła im czterdziestokilkuletnia kobieta, której chrapliwy śmiech zagłuszał panujący w izbie gwar.

Wszystkie stoliki były zajęte. Fraser gdzieś przepadł; pojechał pewnie do chaty z kolacją dla Duncana. Zawahałem się jak obcy, który wtargnął na zebranie rodzinnego klanu.

–Doktorze. – Przy kominku siedział Brody; podniósł rękę, ebym go zauważył. U jego stóp spał zwinięty w kłębek pies. – Przysiadzie się pan?

–Dzięki.

Ucieszyłem się na widok znajomej twarzy. Podszedłem do niego, precyzyjnie się między tymi z dominem.

–Napije się pan czegoś?

Stał przed nim kubek herbaty. Jeszcze nie jadłem, ale miałem ochotę na coś mocniejszego.

–Chętnie, moe whisky.

On poszedł do lady, ja usiadłem. Kinross skinął mu głową i odsunął się na bok. Z

yczliwości? Raczej z ostronego szacunku. Za ladą nikogo nie było, więc Brody obsłużył się sam, po czym zrobił kredą kreskę na wiszącej z boku tablicy.

–Proszę – powiedział, stawiając przede mną szklankę i dzbanuszek z wodą. –

Piętnastoletnia szkocka z Islay.

Zerknąłem na jego kubek.

–Pan nie pije?

–Ju nie. – Podniósł kubek jak do toastu. – Slainte. Dodałem do szkockiej trochę wody.

–Na zdrowie.

–Duo pan zrobił po moim wyjeździe? – spytał i uśmiechnął się smutno. –

Przepraszam, nie moja sprawa. Stare nawyki.

–Nie szkodzi, ale i tak za wcześnie na wnioski. Kiwnął głową i zmienił temat.

–Wygodnie im w mojej budzie?

–Chyba tak. Przynajmniej Duncanowi. Uśmiechnął się szeroko. – Wyciągnął krótszą słomkę, co? To nic. Będzie sypiał w gorszych miejscach, zanim

przejdzie na emeryturę. Ta buda dobrze mi służyła. Ale tutaj mało z niej korzystam.

–Duncan mówił, e pracował pan kiedyś z jego ojcem. Brody uśmiechnął się w zadumie.

–Tak. Świat jest mały, co? Jako młodzi zieloni policjanci służyliśmy razem w obronie terytorialnej. Kiedy widziałem Sandy’ego ostatni raz, jego syn chodził jeszcze do szkoły. – Pokręcił głową. – Jak ten czas leci. Jesteś młody, uganiaasz się za bandziorami, myśląc o awansie, i zanim się obejrzysz...

Urwał i rozpromienił się na widok nadchodzącej Ellen.

–Zje pan coś, panie doktorze?

–Davidzie. Tak, chętnie.

–Davidzie – poprawiła się z uśmiechem. – Mam nadzieję, e Andrew nie zawraca panu głowy. Wie pan, jacy są byli policjanci.

Brody artobliwie pogroził jej palcem.

–Uwaaj, to pomówienie. Mam świadka.

–Dasz się przeprosić kawałkiem szarlotki? Inspektor z alem poklepał się po brzuchu.

–To kuszące, ale lepiej nie.

–Ziemia się nie rozstąpi, jeśli raz sobie odpuścisz.

–Ostroności nigdy za wiele.

–Tak, tak – odparła ze śmiechem Ellen. – Przypomnę ci to, kiedy znowu będziesz przemycił cukierki dla Ann.

–Jeszcze dwa jasne! – krzyknął rozmawiający z Kinrossem brzuchaty olbrzym.

–Za chwilę, Sean.

–To moe sami się obsłuymy? Umieramy z pragnienia. Powiedziała to towarzysząca im kobieta. Była pijana, co – jak się domyślałem – nie było tu niczym niezwykłym. Kilka lat temu musiała być niebrzydka, ale teraz miała napuchniętą, rozgoryczoną twarz.

–Karen, kiedy ostatnio obsługiwałaś się sama, zapomniałaś zaznaczyć to na tablicy.

–

W głosie Ellen zabrzmiała stalowa nuta. – Teraz rozmawiam. Na pewno jeszcze trochę

wytrzymacie.

Odwróciła się do nas i nie widziała gniewnej miny kobiety.

–Przepraszam. Wystarczy kilka kieliszków i niektórzy zapominają o manierach. Pytałam, co chciałby pan zjeść. Mamy gulasz barani, ale mogę zrobić kanapkę, jeśli pan woli.

–Nie, chętnie spróbuję gulaszu. Ale moe najpierw obsłuy pani ich?

–Niech zaczekają. Dobrze im to robi.

–Ellen... – zaczął cicho Brody. Ellen westchnęła i posłała mu zmęczony uśmiech.

–Tak, tak, wiem. Brody patrzył za nią, gdy wracała za ladę.

–Ellen bywa trochę... porywcza – powiedział z czułością. – Czasem wywołuje to nieporozumienia, ale hotel jest jedynym miejscem na wyspie, gdzie mona się czegoś

napić,

więc ludzie albo przestrzegają obowiązujących tu reguł, albo zostają w domu. Jest dobrą

kucharką. Jadam tu prawie co wieczór.

Nawet gdyby Fraser nie wspomniał na promie, e Brody rozstał się z oną i stracił córkę, i tak domyśliłbym się, e mieszka sam. Miał w sobie coś z odludka.

–Prowadzi hotel sama?

–Tak. Niełatwo jej, ale ma bar, czasem miewa gości i jakoś sobie radzi.

–A jej mąż? Brody zamknął się w sobie jak ostryga.

–Nie ma męża. Ojca Ann poznała gdzieś w Szkocji. Nie chce o tym rozmawiać. Było oczywiste, e on te nie. Odchrząknął i ruchem głowy wskazał grupkę przy barze.

–Przedstawię panu kilku gości, nasz „miejskowy koloryt”. Kinrossa widział pan pewnie na promie. Bywa upierdliwy, ale ma ciężkie ycie. Dwa lata temu zmarła mu ona i

został z nastoletnim synem. Ten brzuchaty krzykacz to Sean Guthrie. Kiedyś był rybakiem,

ale bank zabrał mu łódź. Próbuje naprawić starą i chwyta się teraz dorywczych prac; czasem pomaga Kinrossowi na promie. Nieszkodliwy gość, ale jak się urnie, lepiej

trzymać się od niego z daleka.

Przerwał mu chrapliwy śmiech kobiety przy barze.

–A to Karen Tait. Kiedy jest trzeźwa i ma ochotę, prowadzi sklep wielobranowy. Ma szesnastoletnią córkę Mary, która jest trochę... inna. Karen powinna siedzieć z nią w domu,

ale woli przychodzić tutaj.

Jego mina wyraźnie mówiła, co o tym myśli.

Otworzyły się drzwi i do środka wpadł podmuch zimnego powietrza. Chwilę później, drapiąc pazurami po podłodze, do baru wbiegł pies, golden retriever.

–Oscar! Oscar!

Za psem wszedł mężczyzna. Miał koło czterdziestki, gęste, ciemne, przedwcześnie posiwiałe nad uszami włosy i wyczelowane rysy twarzy dojrzałego Byrona. Był w czarnej, drogiej kurtce. Pasowałaby raczej do ekskluzywnego ośrodka sportów zimowych i wśród starych wytartych ortalionów rzucała się w oczy.

Goście ucichli. Nawet ci z dominem przestali grać. Mężczyzna strzelił palcami na psa. Pies podbiegł do niego, merdając ogonem.

–Przepraszam, Ellen – rzucił nowo przybyły swobodnie i z pewnością siebie. –

Wbiegł, kiedy tylko otworzyłem drzwi. – Mówił z południowoafrykańskim akcentem.

Ani jego obecność, ani przeprosiny nie zrobiły na Ellen większego wrażenia.

–Powinieneś go lepiej pilnować – odparła. – To nie psiarnia, tylko hotel.

–Wiem. To się ju nie powtórzy. Miał skruszoną minę, ale kiedy Ellen odeszła, uśmiechnął się i puścił oko do pijących

przy barze. Ci odpowiedzieli mu uśmiechem. Nie wiedziałem, kim jest ten człowiek, ale na pewno był lubiany.

–Witam wszystkich – rzucił, zdejmując kurtkę.– Paskudna dziś pogoda.

Odpowiedział mu zgodny chór głosów: „Oidchche mhath. Tak, tak, paskudna”.

Miałem wrażenie, że zgodziliby się z nim nawet wtedy, gdyby powiedział, że jest piękny wieczór. Ale on albo nie zauważył ich spolegliwości, albo potraktował ją jak coś, co mu się słusznie należy.

–Napije się pan, panie Strachan? – spytał Kinross, oficjalnie i niezdarnie.

–Nie, dziękuję, Iain. Ale chętnie postawię wam kolejkę. Obsłucie się i zaznaczcie to na tablicy. – Uśmiechnął się do stojącej obok Kinrossa kobiety i w kącikach jego oczu

pojawiły się kurze łapki. – Dawno cię nie widziałem, Karen. Co słyhać u Mary? Mam nadzieję, że wszystko dobrze.

Karen była bardziej podatna na jego urok osobisty ni Ellen. Zarumieniła się tak mocno, e widziałem to nawet z miejsca, gdzie siedziałem.

–Tak, dziękuję – odrzekła, ucieszona, e ją wyrócił. Dopiero teraz Strachan spojrział na nas.

–Dobry wieczór, Andrew.

Brody sztywno skinął głową. Twarz miał jak wykutą z granitu. Nogami zasłonił sukę przed wężącym wokoło retrieverem.

Strachan odpędził go rękawiczkami.

–Zostaw ją, Oscar, ty wstrętny psie.

Oscar pomachał ogonem i dał suce spokój. Jego właściciel uśmiechnął się do mnie. Mimo całej pewności siebie, miał w sobie coś ujmującego.

–A pan jest pewnie jednym z tych, o których wszyscy dzisiaj mówią. Michael Strachan.

Człowiek, o którym opowiadał mi Fraser, właściciel wielkiego domu. Nieoficjalny właściciel Runy.

–David Hunter. – Uścisnąłem mu rękę. Miał silną, suchą dłoń.

–Czy mogę coś panom postawić?

–Ja dziękuję, jeszcze mam – odparłem. Brody wstał z kamiennym wyrazem twarzy. Był wyższy od Strachana o pół głowy.

–A ja właśnie miałem wyjść. Miło było pana widzieć, doktorze. Chodź, Bess. Suka posłusznie potruchtała za panem. Strachan popatrzył za nim z krzywym uśmiechem i przeniósł wzrok na mnie.

–Mogę się przysiąść?

Usiadł na krześle Brody’ego i niedbałym gestem rzucił na stół rękawiczki. Eleganckie

czarne dinsy, grafitowy sweter z kaszmiru, podciągnięte rękawy, opalone ręce,

szwajcarski zegarek – lepiej czułby się w Soho ni na Hebrydach Zewnętrznych.

Pies położył się przy nim, eby być jak najbliżej trzaskającego w kominku ognia. Strachan podrapał go za uszami, spokojny i odprężony.

–Przyjaźni się pan z Andrew? – spytał.

–Dopiero co się poznaliśmy.

–Boję się, e za mną nie przepada, jak pan pewnie zauwaył. Był dobrym policjantem, ale Boe, trudno o większego ponuraka.

Milczałem. Brody zrobił na mnie jak najlepsze wraenie. Strachan rozsiadł się na krześle, opierając nogę o kolano.

–A zatem jest pan... Kim? Antropologiem sądowym? – Uśmiechnął się, widząc moje zaskoczenie. – Jak sam się pan przekona, na Runie trudno utrzymać coś w tajemnicy.

Zwłaszcza jeśli pewna dziennikarka odwiedza tu swoją babcię.

Przypomniało mi się, jak poznałem na promie Maggie Cassidy. Jak wpadła mi w ramiona, udając pisarkę i ciągnąc mnie za język. Pewnie ju wtedy chciała mnie przeświecić. A ja jej uwierzyłem.

–Proszę nie robić sobie wyrzutów. – Strachan czytał w moich myślach. – Nieczęsto dzieje się tu tyle ekscytujących rzeczy. Nie, ebyśmy tego chcieli. Kiedy ostatnim razem

znaleziono tu trupa, okazało się, e to stary gospodarz, który wracał nocą do domu, wypiwszy

kilka kieliszków za duo. Zabłądził i umarł z zimna. Ale teraz to chyba nie to, prawda?

Zamilkł, czekając, a coś powiem. Nie powiedziałem nic, mimo to drął dalej:

–Co to było? Jakiś wypadek?

–Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć. Uśmiechnął się pojednawczo.

–Oczywiście. Proszę wybaczyć moją ciekawość. Po prostu mam tu... Có, mona by powiedzieć, e mam pewne prawa do tej wyspy. Ostatnio zainwestowałem sporo pieniędzy w jej modernizację. Dzięki temu przyjeda tu teraz znacznie więcej ludzi, w tym przedsiębiorców, budowlańców i tak dalej. Byłoby okropnie, gdybym ściągnął tu

razem z nimi wszystkie bolączki wielkiego miasta.

Robił wraenie szczerze zatroskanego, ale nie zamierzałem dać się podpuścić.

–Nie mówi pan jak miejscowy – stwierdziłem.

–Akcent to zdradliwa rzecz, prawda? – odparł z uśmiechem. – Moja rodzina pochodzi ze Szkocji, ale wychowałem się pod Johannesburgiem. Mieszkam tu z ona dopiero od pięciu lat.

–Daleko pan zawędrował. Strachan znowu podrapał psa.

–Fakt, daleko. Duo podróowaliśmy i nadeszła pora zapuścić korzenie. Spodobało mi się, e tak tu odludnie. Tak spokojnie. Pod pewnymi względami ta wyspa przypomina mi okolice, gdzie dorastałem. Kiedy tu przyjechaliśmy, atmosfera była przygnębiająca. Spadała liczba mieszkańców, dogorywała gospodarka. Jeszcze kilka lat i byłoby tak jak na St. Kildzie.

Widziałem kiedyś film dokumentalny o St Kildzie, wyspie Hebrydów Zewnętrznych opuszczonej w latach trzydziestych i od tamtego czasu niezamieszkaney. Była teraz wyspą widmem, którą odwiedzały tylko ptaki i przyrodnicy.

–Wygląda na to, e bardzo pan tym ludziom pomógł – powiedziałem.

Sprawił wraenie zakłopotanego.

–Czeka nas jeszcze duo pracy. Nie chcę, eby wszystkie zasługi przypisywano mnie.

Runa stała się naszym domem. Grace, moja ona, pomaga w szkole, robimy, co tylko się da.

Dlatego niepokoję się, kiedy słyszę o czymś takim. Oscar, co się dzieje?

Pies patrzył wyczekująco na drzwi. Nie słyszałem, eby ktoś wchodził do hotelu, ale po chwili dobiegł mnie trzask zamykanych drzwi. Podniecony retriever cicho zapiszczał, uderzając ogonem w podłogę.

–Nie wiem, jak on to robi, ale zawsze ją wyczuwa – powiedział Strachan, kręcąc głową.

Wyczuwa kogo? – pomyślałem i właśnie wtedy do baru weszła kobieta w poplamionej deszczem białej parce. Od razu domyśliłem się, e to jego ona. Nie tylko dlatego, e była piękna, chocia rzeczywiście była. Miała gęste kruczoczarne, sięgające ramion włosy, nieskazitelną cerę i pełne usta, od których trudno było oderwać wzrok.

Ale nie tylko to. Biła od niej jakaś energia, czysta fizyczność, która zdawała się przyciągać wypełniające bar światło. Przypomniał mi się bolesny okrzyk Frasera: „Szkoda, e nie widział pan jego ony. Chryste!”

Teraz ju wiedziałem, co miał na myśli.

Wchodząc, uśmiechała się niepewnie, ale na widok męa uśmiech ten rozkwitł niczym oszałamiający kwiat.

–Mam cię! A więc to tutaj przychodzisz „w interesach”, tak? Mówiła z takim samym akcentem jak on. Strachan wstał i pocałował ją w policzek.

–Poddaję się, przyłapałaś mnie. Skąd wiedziałaś, gdzie jestem?

–Przyjechałam na zakupy, ale sklep był zamknięty – odparła, zdejmując rękawiczki, czarne, skórzane, kosztowne, choć nierzucające się w oczy. Na lewym ręku nosiła złotą obrączkę i pierścionek z brylantem, w którym igrały błękitne refleksy. – Jeśli znowu będziesz chciał wymknąć się z domu na drinka, nie zostawiaj lepiej samochodu na ulicy.

–To przez Oscara, to on mnie tu zaciągnął.

–Oscar, ty łobuzie, jak mogłeś! – Poglaskała psa, który natychmiast zaczął się do niej łaścić i podskakiwać. – Dobrze, ju dobrze, uspokój się.

Spojrzała na mnie, czekając, a mą mnie przedstawi. Oczy miała tak ciemnobrązowe, e niemal czarne.

–Grace, to jest David Hunter – powiedział Strachan. – Davidzie, to moja ona Grace.

–Bardzo mi miło. – Uśmiechnęła się i wyciągnęła do mnie rękę. Ujmując ją, poczułem delikatny zapach pimowych perfum.

–David jest lekarzem sądowym – dodał Strachan. – Przyjechał tu z policją.

–Boe, to straszne. – Grace przestała się uśmiechać. – Mam tylko nadzieję, e to nikt stąd. Wiem, e brzmi to egoistycznie, ale... Chyba mnie pan rozumie.

Rozumiałem. Kiedy los nam nie sprzyja, w głębi serca wszyscy jesteśmy egoistami i wszyscy wnosimy te same modły: tylko nie ja, tylko nie ja, jeszcze nie teraz. Strachan wstał.

–Miło nam było pana poznać, doktorze. Moe zobaczymy się jeszcze przed pańskim

wyjazdem.

Grace ironicznie uniosła brew.

–Nie postawisz mi nawet drinka?

–Ja pani postawię. Propozycję rzucił Guthrie, brzuchaty olbrzym; jak na moje oko, wielkością brzucha

pobił i Kinrossa, i kilku innych bywalców baru. Stojąca obok niego Karen Tait miała twarz ściągniętą zazdrością.

Grace Strachan uśmiechnęła się ciepło.

–Dziękuję, Sean, ale widzę, e Michael rwie się do wyjścia.

–Przepraszam, kochanie, myślałem, e chcesz wracać – odparł Strachan. – Chciałem ugotować małe na kolację, ale jeśli nie jesteś głodna...

–To brzmi jak szanta. – Uśmiech Grace stał się niemal intymny. Strachan spojrzał na mnie.

–Jeśli będzie pan miał okazję, proszę koniecznie obejrzeć kurhany grobowe na naszej górze. Jest ich tam całe skupisko, to dość niezwykle. Pochodzą z neolitu. Są niesamowite, naprawdę warto.

–Nie wszyscy lubują się w makabrze tak jak ty, skarbie. – Udając poirytowaną, Grace pokręciła głową. – Michael pasjonuje się archeologią. Czasem myślę, e woli stare ruiny ode mnie.

–To tylko hobby – odparł z zakłopotaniem Strachan. – Chodź, Oscar, ty leniwa bestio. Pora wracać.

Podniósł rękę, odpowiadając na poegnalny chór głosów, który odprowadził ich do drzwi. W progu omal nie wpadli na wchodzącą Ellen. Ellen gwałtownie przystanęła – niewiele brakowało i rozlałaby gulasz.

–Przepraszam, to nasza wina – powiedział Strachan, wciąż obejmując onę w talii.

–Nie szkodzi. – Ellen uśmiechnęła się układnie. Gdy zobaczyła Grace, przez jej twarz

przemknęło coś, czego nie umiałem zinterpretować, przemknęło i momentalnie znikło. – Dobry wieczór.

Powiedziała to z pewną rezerwą, ale Grace chyba tego nie zauwayła.

–Dobry wieczór, Ellen. Podobał się pani obrazek Ann?

–Wisi na drzwiach lodówki razem z resztą kolekcji.

–Ma wielki talent. Powinna pani być z niej dumna.

–I jestem. Strachan ruszył do drzwi. Wyglądało na to, e chce jak najszybciej wyjść.

–Pozwólmy jej pracować, Grace. Dobranoc. Gdy Ellen stawiała przede mną talerz, jej pozbawiona emocji twarz była jak maska.

Przyjęła moje podziękowanie ze zdawkowym uśmiechem i natychmiast się odwróciła. Patrząc, jak wychodzi na korytarz, pomyślałem, e Brody nie jest jedynym mieszkańcem wyspy, który nie przepada za bogatymi ulubieńcami Runy.

–Suka!

Słowo to zadźwięczało w ciszy jak dzwon. Karen Tait patrzyła na drzwi z gorzko zaciśniętymi ustami, ale nie było wiadomo, o której z dwóch kobiet to powiedziała.

Kinross wycelował w nią palcem i gniewnie błysnął oczami. Jego czarna broda zafalowała.

–Wystarczy, Karen.

–Ale to suka. Nadęta...

–Karen! Karen niechętnie zamilkła. Ciszę stopniowo wypełniły barowe odgłosy. Znowu

zaklekotały kości domina i napięcie minęło.

Spróbowałem gulaszu. Tak jak powiedział Brody, Ellen gotowała wspaniale. Gulasz był pyszny, pełen kawałków mięsa i warzyw. Jedząc, poczułem, e ktoś mi się przygląda.

Podniosłem głowę. Kinross. Patrzył na mnie przez bar z zimnym, czujnym wyrazem twarzy. Patrzył tylko przez chwilę. Potem powoli się odwrócił.

Kiedy się obudziłem, w pokoju było ciemno. Do środka wpadało tylko światło ulicznej latarni, rozmywając się na zaciągniętych zasłonach. Panowała głucha cisza. Po wietrze i deszczu nie pozostał nawet najcichszy szept. Słyszałem tylko swój miarowy oddech, który równie dobrze mógł być oddechem kogoś innego.

Nie wiem, kiedy zdałem sobie sprawę, e nie jestem sam. Świadomość ta nie przyszła

gwałtownie, zrodziła się powoli i stopniowo. W przyćmionym świetle bijącym z okna spojrzałem na nogi łóka i zobaczyłem, e ktoś tam siedzi.

Chocia widziałem tylko cień, wiedziałem, e to kobieta. Patrzyła na mnie, ale nie odczuwałem ani strachu, ani zaskoczenia. Czulem natomiast niemy ciężar jej oczekiwań.

Kara?

Ale nadzieja była tylko codziennym odruchem. Nie wiedziałem, kto to jest, ale na pewno nie była to moja zmarła ona.

Kim jesteś? – powiedziałem albo tak mi się tylko zdawało. Słowa te nie zakłóciły stępego, zimnego powietrza w pokoju.

Kobieta milczała. Po prostu siedziała tam, cierpliwie przy mnie czuwała, jakbym znał ju wszystkie odpowiedzi. Patrzyłem na nią, próbując dostrzec jej twarz, zgłębić jej zamiary. Ale nie zdołałem.

Oknem wstrząsnął silny podmuch wiatru. A podskoczyłem. Przestraszony, myśląc, e kobieta wciąż siedzi w nogach łóka, rozejrzałem się po pokoju. Ale pokój był pusty. Zdałem sobie sprawę, e przedtem te był pusty, e kobieta tylko mi się przyśniła. że był to sen, niepokojąco realistyczny, ale tylko sen.

Miewałem takie sny długo po śmierci ony i córki, i dobrze je znałem.

Kolejny podmuch wiatru potrząsnął okienną ramą i sieknął w szybę deszczem jak garścią wiru. Usłyszałem coś, co zabrzmiało jak krzyk. Moe sowy albo innego nocnego ptaka. Albo jak krzyk człowieka. Zupelnie ju rozbudzony wstałem i podszedłem do okna. Latarnia trzęsła się na wietrze. Na skraju rozchwianej plamy rozmytego óltawego światła mignęło coś białego. Mignęło i znikło.

Gdy się ju nie pojawiło, wmówiłem sobie, e był to tylko jakiś śmieć, niesiona wiatrem gazeta. Patrzyłem jednak w ciemność, dopóki zimno nie zagnało mnie z powrotem do łóka.

Rozdział 6

Podczas gdy ja zastanawiałem się, co widziałem z okna, pełniący służbę Duncan bynajmniej nie skakał ze szczęścia. Wiatr się wzmógł i huśtał przyczepą jak łodzią na morzu. Piecyk parafinowy na wszelki wypadek ustawił w kącie, eby się nie przewrócił. Błękitny płomień syczał ledwie kilkadziesiąt centymetrów od krzesła za stolikiem. Ale chociaż przyczepa była ciasna, wolał spać tutaj niż w rangę roverze czy w drzwiach chaty. Gdzie Fraser chętnie by mnie ulokował, pomyślał skwaszony. Nie, to nie nocleg w przyczepie go niepokoił.

Niepokoilo go coś, co zobaczył w chacie.

Fraser mógł się sobie śmiać, ale to nie on musiał tu sterczeć. No i przywiózł mu tylko kolację i zaraz odjechał. Śpieszyło mu się pewnie do baru, bo sądząc po jego oddechu, musiał wypić już co najmniej szklaneczkę. Duncan patrzył za znikającymi w ciemności tylnymi światłami rangę rovera z uczuciem, jakiego nie doświadczył od dzieciństwa.

Nie, eby bał się zostać sam. W każdym razie nie a tak. Mieszkał na wyspie, a zaraz za Stornoway roilo się od miejsc, gdzie nie widać było ywej duszy. Po prostu nigdy dotąd nie musiał nocować samotnie na pustkowiu.

A już na pewno nie w odległości sześciu metrów od spalonych zwłok.

Nie mógł zapomnieć widoku tych ocalałych kończyn i szerniałych kości. Nie miał pojęcia, jak to się stało, ale te szczątki były kiedyś ywym człowiekiem. Według doktora Huntera młodą kobietą. I właśnie to było najbardziej wstrząsające, to, e z kogoś, kto kiedyś śmiał się, płakał i w ogóle, zostały tylko kości i garstka popiołu. Ta myśl wystarczyła, eby przeszły go ciarki.

Masz za bogatą wyobraźnię, pomyślał, na tym polega twój problem. Zawsze na tym polegał. Duncan nie wiedział, czy będzie dzięki temu lepszym czy gorszym policjantem. Nigdy nie wystarczało mu samo odnotowywanie faktów – zawsze musiał się zastanawiać, co by było gdyby. Po prostu tak pracował jego umysł, nie mógł nic na to poradzić. Teraz te dręczyły go pytania. Ot, choćby takie: a co, jeśli tę kobietę spaliło coś, czego nauka jeszcze nie zna? A co, jeśli została zamordowana?

I jeśli morderca wciąż jest na wyspie?

Moe byś tak wreszcie przestał napędzać sobie strachu, co? Duncan westchnął i otworzył podręcznik kryminalistyki, który ze sobą zabrał. Fraser mógł się z niego śmiać, ale on zamierzał zostać detektywem. I jeśli już miał coś w tym kierunku zrobić, chciał zrobić to jak najlepiej. Przede wszystkim jak najwięcej się uczyć, a jeśli wymagało to jakichś

poświęceń, trudno. W przeciwieństwie do kilku znajomych, nie miał nic przeciwko ciężkiej pracy.

Ale tego wieczoru nie potrafił się skupić. Po chwili niecierpliwie odsunął książkę. Lepiej nastaw wodę, pomyślał. Herbatę zrobić chyba umiesz. Doszedł do wniosku, e zanim nastanie świt, będzie miał dość herbaty na całe ycie.

Gdy wstał, eby napełnić wodą czajnik nad maleńkim zlewem, wiatr raptownie ucichł, zbierając siły przed kolejnym szturmem. I w tej ciszy Duncan usłyszał jakiś odgłos. Sekundę później zagłuszyło go wycie wichury, która zaatakowała przyczepę ze zdwojoną mocą, ale to na pewno nie było złudzenie.

To był warkot silnika.

Wyjrzał przez okno, myśląc, e zobaczy oślepiające światła reflektorów zapowiadające przyjazd rangę rovera. Ale na dworze panowała nieprzenikniona ciemność.

Zmarszczył czoło. Nawet jeśli słyszał przejeżdżący drogą samochód, powinien widzieć jego światła. Co oznaczało, e albo miał zwidy, albo...

Albo ktoś zgasił reflektory, eby niepostrzezenie podjechać do chaty.

Trochę świeiego powietrza dobrze mi zrobi, pomyślał. Włożył kurtkę i wyszedł na dwór. Ju miał zapalić latarkę, lecz nagle postanowił, e jednak jej nie zapali. Gdyby ktoś się tam kręcił, światło by go tylko ostrzegło. Ruszył powoli w stronę chaty, korzystając ze skąpej poświaty gwiazd między sunącymi po niebie chmurami. Gdy z ciemności wyłonił się czarny zarys chaty, mocniej ścisnął latarkę. Jej ciężar dodał mu otuchy. Bo rzeczywiście była ciężka: miała ponad trzydzieści centymetrów długości i w razie czego mógł uyc jej jak pałki. Ledwie zdążył pomyśleć, e na pewno nie będzie musiał, gdy znowu dostrzegł rozbłysk światła za chatą.

Zamarł. Serce waliło mu jak młotem. Coś zachrobotalo, ocierając się o kamień, coś zaszurało w trawie. Nie, to na pewno nie złudzenie.

Ktoś tam był.

Spięty Duncan ścisnął latarkę jeszcze mocniej. Uspokój się. Głęboko odetchnął, raz i drugi. Dobrze, przygotuj się i...

Wyskakując zza rogu chaty, pstryknął włącznikiem.

–Stać! Policja!

Usłyszał zduszone przekleństwo i zobaczył, jak ktoś ucieka. Puścił się w pogoń, nie

zwaając na to, e w kadej chwili nogi mogły mu się zaplątać w mokrej trawie. Przebiegł ledwie kilka kroków, gdy uciekinier potknął się i upadł. Duncan chwycił go za rękę, przewrócił na plecy i oświetlił twarz.

Maggie Cassidy łypnęła na niego spode łba, mruąc oczy.

–Złaż ze mnie! O Mo chreach, chyba złamałam nogę!

Duncana zalała fala ulgi i rozczarowania. I wyrzutów sumienia. Pomógł jej wstać i dopiero wtedy zobaczył, e Maggie ledwo sięga mu ramienia.

–Po co ten wrzask? Przestraszyłeś mnie na śmierć! Módl się, eby noga nie była złamana, bo jeśli jest, podam cię do sądu.

–Co ty tu robisz? – spytał Duncan, starając się, eby nie zabrzmiało to tak, jakby się bronił.

Króciutkie wahanie.

–Chciałam zobaczyć, jak sobie radzisz – odparła z urzekającym uśmiechem Maggie.
– Słuba na takim odludziu to pewnie adna frajda.

–To dlaczego zaglądałaś do chaty?

–W przyczepie było ciemno. Myślałam, e jesteś tam.

–Tak, tak, jasne – mruknął Duncan i zauwaył, e Maggie próbuje schować coś ukradkiem do kieszeni. – Co to?

–Nic. Ale Duncan poświecił latarką i zobaczył komórkę w jej zaciśniętej ręce.

–Tu nie ma zasięgu – powiedział. – Chciałaś zrobić zdjęcia, tak?

–Co ty, jakie zdjęcia? Duncan uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

–Posłuchaj – zaprotestowała. – Niczego nie sfotografowałam, dobra?

–W takim razie dlaczego nie chcesz mi jej pokazać? Opadły jej ramiona. Pokazała mu telefon.

–I tak nie wyszły – mruknęła, wprowadzając na ekran dwa zamazane, przeświecone zdjęcia.

Duncan uznał, e są rzeczywiście do bani. Nawet on nie mógł nic na nich zobaczyć. Mimo to kazał je skasować.

–Dalej.

–To ju wszystkie, przecie mówiłam. Wystarczyło, e na nią spojrział. Z westchnieniem irytacji pokazała mu kolejne.

–O tym pewnie zapomniałaś, co? – rzucił wesoło. Skasowała je i burknęła:

–Zadowolony? I co teraz? Aresztujesz mnie?

On te zadawał sobie to pytanie. Nie był nawet pewny, czy złamała prawo. No bo ostatecznie nie weszła za taśmę.

Poza tym musiał przyznać, e miała w sobie coś, co mu się podobało.

–Dasz mi słowo, e ju nigdy więcej tego nie zrobisz? – spytał surowo, a przynajmniej miał nadzieję, e surowo.

–Nie, ju nigdy, jak babcię Kocham. O Chryste... – Przeniosła ciężar ciała na prawą nogę i się skrzywiła.

–Boli? – spytał.

–Nie, jakoś sobie poradzę. Mogę ju iść?

–Gdzie zostawiłaś samochód? Ruchem głowy wskazała drogę.

–Za zakrętem.

–Na pewno dasz radę tam dojść?

–Jakby cię to obchodziło – prychnęła, ale złość szybko jej przeszła. Uśmiechnęła się smutno i dodała: – Przepraszam. Nic mi nie będzie. Dzięki.

On te się uśmiechnął i długo patrzył, jak Maggie kuśtyka ścieką w podskakującej smudze światła latarki. Upewnił się, e odeszła, i wrócił do przyczepy. Wchodząc do środka, zauważył kawałek błota na progu drzwi. Przedtem go chyba nie było. Przeklęty Fraser, pomyślał. Nie chce mu się nawet wytrzeć nóg.

Myśląc o Maggie, poszedł nastawić wodę na herbatę.

Zaparkowała mniej więcej pięćdziesiąt metrów od chaty. Gdy tylko policjant zniknął jej z oczu, natychmiast przestała kuleć, ale na dobre rozpogodziła się dopiero przy samochodzie, mini morrisie, starym rżęchu jej babki. Có, lepsze to ni nic.

Wsiadła i sprawdziła komórkę. Chocia własnoręcznie skasowała wszystkie zdjęcia, wciąż łudziła się nadzieją, e jakieś zostało. Niestety.

–Niech to szlag.

Z niesmakiem wrzuciła telefon do torebki, wyjęła dyktafon i zaczęła nagrywać.

–Czysta strata czasu. Nawet nie przyjrzałam się zwłokom. Następnym razem pobawię

się w komandosów.

Rozchmurzyła się i lekko uśmiechnęła.

–Ale muszę przyznać, e strasznie było. Nie bałam się tak, odkąd posusiałam się w majtki, bawiąc się w chowanego w podstawówce. Boe, ale mnie ten gliniarz zaskoczył! Jak

on ma na imię? Chyba Duncan. Kawał drania, ale przynajmniej ludzkiego. I ładniutki jest.

Ciekawe, czy onaty.

Uśmiechając się, zapisała nagranie i odpaliła silnik. Strzelił gaźnik, ruszyła i ciemność przecięło światło reflektorów. Gdy wjechała na drogę, niezdrowe rzęzenie silnika ustało, a gdy ze zgrzytem wrzuciła czwórkę, znowu zapanowała cisza.

Kiedy samochód odjechał, z ziemi, tu obok miejsca, gdzie przed sekundą stał, podniósł się mroczny cień, który rozmył się powoli w ciemności.

Rozdział 7

Ogoliłem się i wziąłem prysznic bladym świtem, gdy na niebo wpełzło niechętnie pierwsze światło dnia. Wciąż padało i miałem nadzieję, że deszcz nie zalał zwłok. Wiedziałem, że leżą tam od kilku tygodni, i nie było powodów, by zakładać, że nadwątlony dach chaty nie wytrzyma jeszcze kilku dni, nawet w taką pogodę. Ale ulyłoby mi, gdybyśmy mogli przenieść je gdzie indziej.

Przebudziwszy się, długo nie mogłem zasnąć. Dlatego gdy odpalałem komputer, aby sprawdzić, czy przyszły akta zaginionych od Wallace'a, byłem zmęczony i miałem piasek w oczach. Akta przyszły, w sumie pięć plików. Spieszyłem się, więc przegrałem je na twardy dysk i zszedłem na dół na śniadanie.

Bar robił te za jadalnię i prawie już kończyłem, kiedy z góry zwał się Fraser. Miał czerwone oczy, kaca i cuchnął alkoholem nawet przez stół. Wróciwszy od Duncana, zasiadł tu z pełną satysfakcji miną człowieka, który robi wreszcie rzeczy naprawdę wane. Gdy szedłem spać, wciąż tu siedział i sądząc po jego wyglądzie, dotrwał tak pewnie do rana.

Teraz ostro nie popijał herbatę.

–Mam na górze aspirynę – rzuciłem, z trudem powstrzymując uśmiech.

–Nic mi nie jest – mruknął.

Z niewyraźną miną popatrzył na talerz jajek na bekonie z kiełbaskami, który postawiła

przed nim Ellen. Potem wziął sztucce i zaczął jeść z determinacją maratończyka.

–Szybko pan skończy? – Chciałem zacząć jak najwcześniej, bo o tej porze roku dni są

bardzo krótkie.

–Szybko – wymamrotał, nadziejąc na widelec kawał ociekającej tłuszczem i jajkiem kiełbasy.

Ellen zabrała mój talerz.

–Proszę wziąć mój samochód – zaproponowała. – Dzisiaj go nie potrzebuję.

–Dobry pomysł – wymlął szybko Fraser. – Zresztą i tak muszę najpierw wpaść do miasteczka. Trochę popytać, sprawdzić, kim była ta kobieta. Moe ktoś coś wie.

O tym, e znalezione zwłoki są zwłokami kobiety, wiedzieliśmy tylko my, policja i ja. Zerknąłem na Ellen i stwierdziłem, e wpadka Frasera nie uszła jej uwagi. Posłała mi znaczące spojrzenie. Sierant jadł dalej jakby nigdy nic.

–Jeśli pan ju skończył, przyniosę kluczyki. Wyszliśmy z baru.

–Ellen, to, co powiedział sierant...

–Proszę się nie martwić – odparła, wchodząc do kuchni. – Jak się prowadzi hotel, trzeba umieć dochować tajemnicy.

Kuchnia mieściła się w nowej przybudówce. Na gazowej kuchni stały ciężkie osmolone rondle, wysoki sosnowy kredens był wypełniony naczyniami. Obok duego drewnianego stołu, na którym leały dziecięce kolorowanki i pudełko kredek, syczał przenośny grzejnik. Ellen wygrzebała z szuflady kluczyki i wyszliśmy na małe podwórze, gdzie niczym pomarańczowe bomby, w drucianej klatce przy ścianie stały butle z propanem. W zaułku za domem parkował stary garbus.

–Wygląda fatalnie, ale jeździ i się nie psuje – powiedziała, dając mi kluczyki. –

Zrobiłam panu kilka kanapek i zaparzyłam herbatę. Przecie nie wróci pan tu specjalnie na

lunch.

Podziękowałem, wsiałem i ruszyłem. Garbus zawył, zarzęził i z dziarskim turkotem potoczył się przed siebie. Pogoda się nie poprawiła: wciąż wiało, padało, niebo było szare. Ale przynajmniej miasteczko oyoło. Na ulicach byli ludzie, bramą małej, nowej szkoły wchodziły dzieci. Poszukałem wzrokiem Ann, ale nie mogłem jej znaleźć wśród dziesiątków parok i budrysówek. Witał je mężczyzna w spiczastej wełnianej czapce, przeraźliwie chudy nawet w grubej kurtce. Spojrzał na mnie, gdy go mijiałem. Skiniałem mu głową, ale odwrócił się, jakby mnie nie było.

A potem wyjechałem z miasteczka, mijając czuwającego przy drodze Bodach Runa, stary kamień, który pokazał mi Brody. Nigdy nie powiedziałbym, e wyspa jest malownicza, robiła jednak wraenie. Wzgórza, czarne torfowiska, owce – jedyną oznaką ycia był tam wielki dom naleący, jak ju wiedziałem, do Strachanów. Chocia w oknach nie paliło się ju światło, była to niewątpliwie najbardziej okazała posiadłość na Runie. Atlantyckie wiatry nadwątlily jego zwieńczone wieyczkami granitowe ściany i wielodzielne okna, mimo to wciąż miał w sobie coś władczego.

Przed chatą stał ju samochód Brody'ego. Inspektor i Duncan siedzieli w przyczepie przy czajniku syczącym na małej kuchence. Trudno tam było się wyprostować, cuchnęło potem i oparami parafiny.

–Dzień dobry – powitał mnie Brody. Siedział na ławie z wystrzępionym siedziskiem, przystawionej do składanego stołu, a u jego stóp leżała Bess. Nie zdziwiło mnie, e przyjechał. Był na emeryturze, ale nie wyglądał na faceta, który składa meldunek i odpuszcza

sobie całą resztę. – Sieranta nie ma?

–Miał coś do załatwienia w miasteczku.

Widać było, e jest zniesmaczony, ale tego nie skomentował.

–Ma pan coś przeciwko temu, e znowu tu jestem? – spytał, czytając w moich myślach. – Rano rozmawiałem z Wallace'em. Powiedział, e decyzja należy do pana.

–Skoro tak, dobrze, e pan przyjechał.

Wallace wiedział ju, e Brody nie przesadzał, i domyśliłem się, e cieszy się z jego obecności i gotowości do pomocy. W sumie ja te się cieszyłem. Fraser się pewnie nastroszy, ale dobrze było mieć pod ręką kogoś tak doświadczonego jak Brody.

Duncan ziewnął i z entuzjazmem dziecka pod boonarodzeniową choinką zaczął rozwijać kanapkę z bekonem i jajkiem, którą przysłała mu Ellen. Wyglądało na to, e nie spał za dobrze.

–W nocy mieliśmy gościa – powiedział inspektor. – Maggie Cassidy. Znowu.

Próbowała zrobić zdjęcia.

–Ale nie zrobiła – wtrącił Duncan. – Obiecała, e ju tu więcej nie przyjdzie.

Brody sceptycznie uniósł brew, ale nic nie powiedział. Na stoliku leżał gruby podręcznik kryminalistyki z zakładką za kilkoma pierwszymi kartkami.

–Uczy się pan? – spytałem. Duncan poczerwieniał.

–Nie, tak sobie czytam.

–A mnie powiedział, e chce zdawać na kryminalistykę – zdradził go Brody.

–Moe kiedyś – przyznał zakłopotany Duncan. – Za mało się jeszcze uczyłem.

–Dobrze jest wiedzieć, czego się chce, to nigdy nie zaszkodzi – powiedział Brody. –

Opowiedziałem mu o paru sprawach, nad którymi pracowałem z jego ojcem, ale chyba go nie zniechęciłem.

Duncan uśmiechnął się szeroko. Zostawiłem ich i otworzyłem walizeczkę. Woziłem w niej mój zestaw polowy, najniezbędniejsze przybory, które zawsze zabierałem w teren. Jednorazowe kombinezony, buty, maski, lateksowe rękawiczki, łopatki, pędzelki i sitka o różnej wielkości oczek. No i oczywiście plastikowe torebki na dowody rzeczowe. Mnóstwo, mnóstwo torebek.

Została mi tylko jedna, ostatnia ju para rękawiczek i jeden kombinezon; pozostałe zużyłem w Grampian Highlands. Ale jeden powinien wystarczyć. Kombinezon był bardzo duży – XXL – i wiedziałem, że wejdzie na kurtkę. Włożyłem go, zapiąłem rzepy na ochraniaczach butów, naciągnąłem lateksowe rękawiczki. Pracując na dworze, używam zwykle chemicznych wkładek grzewczych, ale ju ich nie miałem. Trudno. Najwyżej zmarzną mi palce.

Duncan uważnie mnie obserwował. Odłożył kanapkę.

–To pana nie rusza? – spytał. – No wie pan, praca z trupami.

–Nie bądź bezczelny, chłopcze – warknął Brody. Zawstydzony Duncan spuścił wzrok.

–Przepraszam, nie chciałem...

–Nie szkodzi – odparłem.– Ktoś musi to robić. A jeśli chodzi o resztę... Mona do tego przywykła.

Ale jego słowa wciąż dźwięczały mi w uszach. „To pana nie rusza?” Niełatwo było na to odpowiedzieć i zdawałem sobie sprawę, że wielu ludzi uważa, że to makabryczne zajęcia. Ale taki miałem zawód. To robiłem. Tym byłem.

Tym, to znaczy kim?

Wciąż się nad tym zastanawiałem, gdy wyszedłem z przyczepy i zobaczyłem srebrzystoszarego saaba, który jechał ku nam drogą. Kiedy zaparkował, z przyczepy wychynęli Brody i Duncan.

–Co on tu, do diabła, robi? – rzucił poirytowany inspektor. Z saaba wysiadł Strachan.

–Dzień dobry. – Zanim zdążył zamknąć drzwiczki, z samochodu wyskoczył pies. Wyskoczył i od razu zaczął węszyć.

–Niech go pan zamknie! – warknął Brody.

Strachan wyciągnął rękę, eby go złapać, ale pies pędził ju w stronę chaty.

–Cholera jasna! – Inspektor rzucił się w bok, eby przeciąć mu drogę. Był zaskakująco

szybki jak na mężczyznę w jego wieku i na jego posturę. Skupiony na zapachu retriever

zauwaył go w ostatniej chwili. Próbował skręcić, lecz Brody chwycił go mięsistą ręką za

obroę i omal nie przewrócił na ziemię.

Podbiegł przejęty Strachan.

–Boe, przepraszam! Pies przebierał w powietrzu przednimi łapami, szarpał się i skowyczał.

–Co pan, do diabła, wyczynia?

–Przecie przeprosiłem. Ju go zabieram. Strachan wyciągnął rękę, lecz Brody nie zwolnił uścisku. Pies był duy, ale inspektor

bez wysiłku trzymał go za obroę tak mocno, e retriever zaczynał się dusić.

–Powiedziałem, e ju go zabieram – powtórzył Strachan bardziej stanowczo.

Przez chwilę myślałem, e Brody mu go nie odda. Nagle pchnął psa w jego stronę.

–Nie powinno tu pana być. Ani pana, ani tego przeklętego psa. Strachan przytrzymał retrievera i czułe go pogłaskał.

–Przepraszam, nie miałem zamiaru go wypuszczać. Chciałem tylko zobaczyć, czy nie mogę jakoś pomóc.

–Niech pan wraca do samochodu. To sprawa policji, nie pańska! Ale teraz Strachan zaczął wpadać w złość.

–To zabawne, myślałem, e jest pan na emeryturze.

–Mam prawo tu być, dostałem pozwolenie. Pan nie.

–Być moe, ale to jeszcze nie znaczy, e ma pan prawo mi rozkazywać. Brody zacisnął zęby i z trudem się pohamował.

–Posterunkowy McKinney, proszę odprowadzić tego pana do samochodu. W otwartej konfrontacji zdenerwowany Duncan nie wiedział, co robić.

–Nie trzeba, ju idę – odparł Strachan. Miał czerwone plamy na policzkach, ale zdążył się opanować. Uśmiechnął się do mnie zawstydzony, zupełnie ignorując Brody’ego. – Dzień dobry – powiedział. – Przepraszam.

–Nie szkodzi – odrzekłem. – Po prostu nie powinno się tu kręcić za duo ludzi.

–Tak, rozumiem. Ale jeśli będę mógł w czymś pomóc, proszę dać mi znać. Chętnie pomogę. W czymkolwiek. – Pieszczotliwie szarpnął obroą retrievera. – Chodź, Oscar, ty niedobry psie.

Brody patrzył za nim z surową, zawziętą twarzą.

–Przepraszam – wyjąkał Duncan. – Nie wiedziałem, co...

–Nie przepraszaj – przerwał mu inspektor. – Wyszedłem z siebie. Niepotrzebnie. – Wciąż poruszony wyjął z kieszeni papierosa i zapalniczkę.

W przyczepie zagotowała się woda. Zaczekałem, a Duncan odejdzie, i spojrzałem na Brody’ego.

–Chyba pan za nim nie przepada.

–To takie oczywiste? – odparł z uśmiechem. Wyjął z paczki papierosa i przyjrzał mu się z niesmakiem. – Paskudny nałóg. Po przejściu na emeryturę przestałem palić. Ale chyba znowu zaczynam.

–Dlaczego go pan nie lubi?

Brody zapalił papierosa, głęboko się zaciągnął i z odrazą wydmuchał dym.

–Nie lubię takich typów. I kropka. Tych uprzywilejowanych, którzy myślą, e jak mają pieniądze, to wszystko mogą. On ich nawet nie zarobił, tylko odziedziczył. Jego rodzina zbiła majątek na kopalniach złota w Afryce Południowej, jeszcze za apartheidu. Myśli pan, e podzieliła się nim z górnikiemami?

–Nie mona winić go za to, co robili jego rodzice.

–Moe i nie. Ale jak na mój gust, facet jest zbyt pewny siebie. Widział pan, jak czarował wczoraj Karen w barze. Ma taką onę, a rozgląda się za innymi.

Przypomniało mi się, co Fraser mówił mi o onie Brody’ego i pomyślałem, e moe jego niechęć jest zabarwiona zazdrością.

–A to, co dla was robi? Z tego, co słyszałem, gdyby nie on, Runa mogłaby skończyć tak jak St. Kilda.

Brody milczał. Jego pies podszedł do drzwi, z trudem poruszając zeszywniałymi od artretyzmu łapami. Inspektor pogłaskał go po głowie.

–Jest taka opowieść – odrzekł wreszcie. – Ilekroć ją sobie przypominam, zastanawiam

się, czy to, co się tam stało, nie wyszło wszystkim na dobre. Przed wyjazdem mieszkańcy St.

Kildy zabili swoje psy. Wszystkie. Ale tylko dwa zostały uśpione. Pozostałym przywiązali

kamienie do szyi i wrzucili je do morza. Swoje własne psy.

Pokręcił głową.

–Nie rozumiem, jak tak mona. Ale pewnie mieli swoje powody. Długo byłem policjantem i wiem, e zawsze jakieś są. Zwykle jest to interesowność.

–Myśli pan, e miejscowym byłoby lepiej, gdyby stąd wyjechali?

–Nie, chyba nie. Przyznaję, dzięki Strachanowi yje im się wygodniej. Mają lepsze domy, lepsze drogi. Nie znajdzie pan tu nikogo, kto powiedziałby o nim złe słowo. – Brody wzruszył ramionami. – Nie wierzę, eby ktoś chciał robić coś za nic. Wszystko kosztuje.

Był chyba zbyt cyniczny. Strachan ich nie wykorzystywał, on im pomagał. A Brody nie był pierwszym policjantem, który mając do czynienia z najciemniejszą stroną ludzkiej natury, zahartował się i uodpornił na wszystko do tego stopnia, e nie dostrzegał ju jej stron jaśniejszych.

Moe jednak znał się na ludziach lepiej ode mnie. Człowiek, którego miałem kiedyś za przyjaciela, powiedział mi, e lepiej rozumiem zmarłych ni ywych, i chyba miał rację. Zmarli przynajmniej nie kłamią ani nie zdradzają.

I zawsze dochowują tajemnicy, chyba e wie się, jak ją z nich wydobyć.

–No, pora zaczynać – powiedziałem.

Za dnia chata robiła niewiele lepsze wraenie. Noc ukryła przynajmniej pełny obraz szpecących ją zniszczeń i zapuszczenia. Dach był zapadnięty i miejscami dziurawy,

szyby w oknach popękane i czarne od brudu. Nad chatą górowała imponująca Beinn Tuiridh, bezładny stos skał upstrzonych łachami brudnego śniegu.

Do pokoju z kominkiem prowadził korytarz z policyjnej taśmy. Narona część dachu w kadej chwili groziła zawaleniem. Sufit jak dotąd nie przeciekał, ale wiedziałem, e to tylko kwestia czasu, e na pewno zacznie i się zawali. W mętym świetle sączącym się przez pękniętą szybę spalone szczątki wyglądały ałośniej ni poprzedniego dnia.

Przyjrzałem się im uwanie, na nowo wstrząśnięty straszliwą absurdalnością widoku ocalałej ręki i stóp pośród szerniałych kości i popiołów. Chocia kończyny wyglądały makabrycznie, były nieoczekiwanym darem ognia; mogły mi pomóc w ustaleniu daty śmierci i – dzięki zawartemu w tkance miękkiej DNA – zidentyfikowaniu ofiary. Co więcej, na palcach zachowały się opuszki, mogłem więc pobrać odciski palców.

Przed rozpoczęciem pracy nie musiałem dzielić pokoju na sektory. Procedurę tę stosowano na miejscu przestępstwa, eby ustalić i zarejestrować położenie wszystkich dowodów rzeczowych. Tymczasem Wallace bez ogródek stwierdził, e chata takim miejscem nie jest. Ale zachowywałem się tak, jakby była. W normalnych okolicznościach powbijałbym w podłogę namiotowe śledzie i rozciągnąłbym między nimi nylonową yłkę. Tu podłoga była kamienna, musiałem skorzystać więc z wydrążonych drewnianych klocków, które ze sobą wozilem.

Ułożyłem je w kwadrat, powkładałem w nie śledzie. Zanim skończyłem rozpinać siatkę, ręce zmarzły mi i zeszywniały. Roztarłem je i naniósłem pozycję zwłok na papier milimetrowy. Potem wziąłem łopatkę i zacząłem zdejmować wierzchnią warstwę drobnego jak talk popiołu.

I stopniowo odsłoniłem to, co zostało ze zwęglonego szkieletu.

Historia naszego ycia, a czasem i śmierci, jest zapisana w kościach. Kości to świadectwo ran, urazów i zaniedbań. Ale eby odczytać historię zapisaną na tych, najpierw musiałem ją zobaczyć. Był to proces mudny i powolny. Sektor po sektorze, ostronie usunąłem i przesiałem cały popiół, naniósłem położenie kadej kości na diagram, kadej kość włożyłem do osobnej torebki. Czas mijał niepostrzeenie. Przestałem myśleć o zimnie, o Jenny i o wszystkim innym. Świat zawęził się do kupki popiołu i wyschniętych na wiór kości, dlatego zaskoczyło mnie czyjeś chrząknięcie.

Podniosłem głowę. Od drzwi obserwował mnie Duncan. W ręku trzymał kubek herbaty.

–Pomyślałem, e dobrze panu robi.

Zerknąłem na zegarek. Dochodziła trzecia. Minęła pora lunchu, a ja nawet tego nie zauważyłem. Wyprostowałem się i skrzywiłem – zaprotestowały wszystkie mięśnie.

–Dzięki. – Zdjąłem rękawiczki i ruszyłem do drzwi.

–Dzwonił sierant. Pytał, jak panu idzie. Fraser wpadł na chwilę kilka godzin wcześniej, ale zaraz odjechał, twierdząc, e musi

dalej przesłuchiwać miejscowych. Po jego wyjeździe Brody zastanawiał się na głos, ile z tych przesłuchań odbywało się w hotelowym barze.

–Powoli – odparłem, z przyjemnością obejmując dłońmi gorący kubek. Duncan stał w drzwiach, patrząc na zwłoki.

–Jak pan myśli, ile jeszcze to panu zajmie?

–Trudno powiedzieć. Zostało jeszcze sporo popiołu do przesiania. Ale do jutra rano pewnie skończę.

–Czy... czy znalazł pan coś?

Robił wraenie szczerze zainteresowanego. Zgodnie z przepisami najpierw powinienem złożyć raport Wallace'owi, ale równie dobrze mogłem zapoznać z sytuacją jego.

–Cóż. To na pewno kobieta przed trzydziestką. Biała, sto sześćdziesiąt pięć, sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu.

Duncan spojrzał na zwęglone szczątki.

–Powanie?

Wskazałem miednicę, teraz ju oczyszczoną z popiołu.

–Kość łonowa jest dość długa i zakrzywiona do przodu. Miednica męczyzny

wygląda zupełnie inaczej, co jest kolejnym dowodem, e są to zwłoki kobiety. U nastolatki

spojenie łonowe jest pofałdowane, potem robi się gładkie. Z biegiem lat zaczynają pojawiać

się na nim chropowate pory, tymczasem tu prawie ich nie ma. Skoro tak, musiała być

przed trzydziestką.

Wskazałem jedną z dłuższych kości. Przetrwiała poar lepiej ni mniejsze, chociaż była osmalona i pokryta liniami drobnych pęknięć.

–Wzrost mona ocenić na podstawie długości kości udowej – ciągnąłem. – Istnieje na to specjalny wzór, ale nie będę zanudzał pana szczegółami. Jeśli chodzi o rasę, mona ją rozpoznać po kości szczękowej. Z tej duo zębów wypadło, duo popękało, ale widać, e te, które pozostały, są osadzone niemal pionowo, e nie sterczą do przodu. To znaczy, e kobieta była biała, nie czarna. Nie mona zupełnie wykluczyć tego, e nie była Azjatką, ale...

–Ale na Hebrydach nie ma zbyt wielu Azjatów – dokończył zadowolony z siebie Duncan.

–Właśnie. Tak więc szukamy grubokościstej białej kobiety średniego wzrostu w wieku około trzydziestu lat. W popiele znalazłem metalowe guziki i haftki od stanika. Widać z tego, e nie była naga.

Duncan, który najwyraźniej zrozumiał, co to znaczy, kiwnął głową. To, e była ubrana, nie stanowiło jednoznacznego i ostatecznego dowodu, ale gdyby była naga, istniałoby due prawdopodobieństwo, e mamy do czynienia z gwałtem. I w konsekwencji z morderstwem.

–A więc wygląda na to, e to był wypadek, tak? śe zasnęła za blisko ognia, coś w tym stylu. – Duncan był chyba rozczarowany.

–Tak, wszystko na to wskazuje.

–Mogła to zrobić sama? To znaczy, celowo?

–Pyta pan, czy mogła popełnić samobójstwo? Wątpię. Po pierwsze, ktoś, kto chciałby się podpalić, uyłby przyspieszacza, jakiegoś paliwa, a ona tego nie zrobiła; wyjaśniłem ju dlaczego. Zresztą nawet gdyby się czymś poląła, w pobliu musiałby leec pojemnik. A tu pojemnika nie ma.

Duncan potarł ręką kark. Chyba czuł się nieswojo.

–A co z tą... No wie pan, z ręką. I stopami. Dlaczego się nie spaliły? – spytał zmieszany.

Na to czekałem. Ale nie mogłem pozwolić sobie na dłuższą przerwę, nie teraz. Wpadające przez okno światło było coraz słabsze i chciałem jeszcze popracować, zanim zapadnie zmrok.

–Podpowiem panu. – Wskazałem tłusty osad na osmalonym suficie nad szczątkami.

–
Pamięta pan, co to jest?

Duncan popatrzył do góry.

–Tłuszcz?

–Tak. Oto pańska podpowiedz. Niech pan spróbuje to rozgryźć. – Dopilem herbatę i oddałem mu kubek. – Dobrze, do roboty.

Ale po jego wyjściu nie od razu zabrałem się do pracy.

Zdjąłem ju prawie całą warstwę popiołu, mogłem więc zacząć usuwać kości i wkładać je do torebek. żeby nie popełnić adnego błędu, usunąłem popiół bardzo starannie, najstaranniej, jak tylko umialem. Ale nie znalazłem niczego podejrzanego. Ani śladów od noa na kości, ani adnych innych urazów szkieletu. Znalazłem nawet kość gnykową, delikatną kosteczkę w kształcie podkowy, która łamie się często podczas duszenia. Prawie zupełnie spopielala, krucha jak proch rozsypalaby się przy najmniejszym dotknięciu, lecz na razie była cała.

Więc dlaczego miałem uczucie, e coś przeoczyłem?

Przez szpary w suficie wpadł kapryśny podmuch wiatru i zadrałem z zimna. Przyłapałem się na tym, e patrzę na czaszkę poprzecinaną siecią drobniutkich pęknięć od gorąca. Czaszka składa się z oddzielnych kości pokrywowych, które stykają się z sobą niczym linie uskoków geologicznych. Eksplozja wyrwała dziurę wielkości pięści w kości ciemieniowej i na podłodze walały się drobne kostne odłamki. Miałem przed sobą kolejny

dowód, e to sprawka ognia – gdyby dziura powstała na skutek uderzenia, odłamki leałyby w środku, w jamie czaszkowej.

Mimo to czaszka nie dawała mi spokoju, dręczyła mnie jak uporczywe swędzenie. Niemal bezwiednie przyjrzałem się jej jeszcze raz.

Jak na złość światło zaczęło przygasać ze zdwojoną szybkością. Poprzedniego wieczoru nie chciałem pracować, eby nie popełnić jakiegoś błędu. Teraz czułem, e popełnię jeszcze większy, jeśli w tej chwili przerwę. Reflektor wciąż świecił, ale potrzebowałem czegoś lepszego. Zapaliłem latarkę i położyłem ją na podłodze, tak e świeciła teraz prosto do jamy czaszkowej, makabrycznie podświetlając puste oczodoły. Potem przyjrzałem się leącym wokoło fragmentom kostnym. Najwięcej było maleńkich, nie większych od paznokcia; wyglądały jak kawałki skorupki jajka. Wybrałem największy i zacząłem porównywać go z innymi, próbując dociec, które się od niego odłamały. Później spróbowałem ułożyć je w całość niczym makabryczną

układankę.

Zwykle robię to w sterylnym laboratorium, gdzie mam odpowiedni sprzęt i narzędzia: klamry, pesety, szkło powiększające. Tutaj nie miałem nawet stołu. Dlatego pracowałem straszliwie wolno, tym wolniej, e z zimna zgrabiałły mi palce. Ale stopniowo kosteczki zaczęły się do siebie dopasowywać i wreszcie otrzymałem spory fragment całości.

I wtedy to zobaczyłem.

Skutkiem ciosu silnego na tyle, eby doprowadzić do głębokiego urazu czaszki są charakterystyczne pęknięcia w kształcie błyskawicy rozchodzące się z miejsca uderzenia. W normalnych okolicznościach trudno ich nie zauwayć. Przedtem ich nie widziałem, ale patrzyłem nie tam, gdzie trzeba. Chocia miałem rację, e czaszka pękła od ognia, pękła w miejscu osłabionym przez sieć drobniotkich rys, wyraźnych zygzakowatych szczelin, które mogły powstać tylko od uderzenia.

Tak, czaszka pękła pod wpływem gorąca, lecz pękła w miejscu osłabionym ju przez cios.

Ostronie położyłem kości na podłodze. Brody miał rację. To nie był wypadek.

Kobieta została zamordowana.

Rozdział 8

Wracając, ledwie zauważyłem, że wieje i pada. Na dworze było zupełnie ciemno i okno przyczepy świeciło niczym latarnia morska. W ustach miałem gorzki posmak. Ktoś zabił tę młodą kobietę i spalił jej ciało. Chciał tego czy nie, Wallace będzie musiał przysłać tu ekipę dochodzeniową i zarządzić śledztwo w sprawie morderstwa.

Ale bardziej zły byłem na siebie niż na niego. Wcale nie pocieszało mnie to, że interpretacja wyników oględzin zwłok ofiar ognia jest niezmiernie trudna; powinienem był polegać na instynkcie. Musieliśmy równie rozwayć coś jeszcze. Błędem byłoby zakładać, że ponieważ ofiara nie pochodziła stąd, zabójca też był obcy. Nie wiedzieliśmy, co ta biedaczka robiła na Runie, ale według Brody'ego o tej porze roku na wyspę przyjeżdżało niewielu gości. Dlatego było całkiem prawdopodobne, że albo przypląnęła z kimś stąd, albo chciała tu kogoś odwiedzić.

Co oznaczało, że zabójca wciąż przebywa na Runie.

Myślałem o tym, wchodząc do przyczepy. Po lodowatym wnętrzu chaty w środku było a za gorąco i duszno od wyziewów parafinowego grzejnika.

–No i? – spytał Duncan, wstając.

–Muszę porozmawiać z Wallace'em. Mogę skorzystać z radiotelefonu?

–Oczywiście – odparł zaskoczony. Podał mi aparat. – Zaczekam... Zaczekam na zewnątrz.

Radiotelefon był nowy, cyfrowy, i łączył zarówno z siecią stacjonarną jak i komórkową. Ale Wallace nie odpowiadał ani pod jednym, ani pod drugim. Bomba. Zostawiłem mu wiadomość, prosząc, aby do mnie zadzwonił, i zacząłem zdejmować kombinezon.

–Wszystko w porządku? – Wrócił Duncan.

–W porządku. – I tak miał się wkrótce wszystkiego dowiedzieć, ale najpierw chciałem pogadać z Wallace'em. – Wracam do miasteczka.

Nie było sensu zostawać dłużej w chacie. Nie zamierzałem dotykać tam niczego więcej, poza tym chciałem się uspokoić i zastanowić nad konsekwencjami tego, co odkryłem. Ale przed wyjściem lekko się zawahałem.

–Niech pan uwaga, dobrze? Jeśli zobaczy pan coś podejrzanego, jeśli ktoś zacznie się tu kręcić, proszę natychmiast zadzwonić do Frasera.

Duncan był zaskoczony i chyba trochę uraony.

–Tak, oczywiście.

Poszedłem do samochodu. Rozpadało się na dobre i szyby starego garbusa Ellen zaszyły parą, gdy tylko wsiadłem. Włączyłem nawiew i po krótkiej walce z nieporęczną dźwignią zmiany biegów samochód potoczył się po wybojach w stronę szosy. Wycieraczki z piskiem rozsmarowywały deszcz po szybie. Pochyliłem się do przodu, eby lepiej widzieć. Ruch był tu prawie aden, ale nie chciałem wpaść na zbląkaną owcę.

Kilka minut później na drogę wyskoczyło nagle coś jasnego. Wyskoczyło tu przed maską, tak e w świetle reflektorów zdałem tylko zauwayć błysk psich ślepiów. Odruchowo wbiłem nogą pedał hamulca i samochód wpadł w poślizg. Gwałtownie zarzucił, zakręcił i poczułem ostre szarpnięcie pasów bezpieczeństwa.

Wstrząs pozbawił mnie tchu. Rzuciło mnie do tyłu i dopiero po kilku chwilach zdałem sobie sprawę, e samochód znieruchomiał. Siedziałem przez moment, rozcierając pierś w miejscach, gdzie wciąż czułem bolesny napór pasów. Ale nie byłem ranny, a silnik wciąż pracował. Samochód zjechał z drogi i utknął bokiem w rowie. Zamiast szosy reflektory oświetlały teraz pagórkowate wzniesienia i kępy traw.

Przynajmniej nie zabiłem tego psa. Gdy straciłem panowanie nad kierownicą, długimi susami popędził w ciemność. To był golden retriever, więc musiał naleeć do Strachana, chyba e na Runie były takie dwa. Bóg wie, co robił tak daleko od domu.

Myśl, e chocia miał do dyspozycji całą wyspę, postanowił przebiec akurat przede mną, bynajmniej nie poprawiła mi humoru. Wrzuciłem wsteczny i spróbowałem wjechać na szosę. Koła zabuksowały, ale samochód ani drgnął. Wrzuciłem jedynkę – z takim samym skutkiem.

Wyłączyłem silnik i wysiadłem, eby ocenić sytuację. Garbus był chyba cały, ale tylne koła zakopały się głęboko w błocie. Naciągnąłem na głowę kaptur i otworzyłem baganik, eby poszukać czegoś, co mógłbym pod nie podłoyć. Ale nic nie znalazłem. Wsiadłem i patrząc na deszcz, który w świetle reflektorów błyszczał jak wiązki białych, stalowych drutów, zastanowiłem się, co robić. Byłem mniej więcej w połowie drogi do miasteczka, nie było więc sensu wracać do przyczepy.

Wniosek? Miałem dwa wyjścia. Mogłem albo zostać w samochodzie i zaczekać, a ktoś będzie tędy przejechał, albo pokonać resztę drogi piechotą. Gdybym został, czekałbym prawdopodobnie wiele godzin, zanim Fraser zadzwoniłby wreszcie do Duncana. A idąc, mógłbym przynajmniej się rozgrzać.

Zakląłem, przypomniawszy sobie, e latarkę zostawiłem w przyczepie. Zapaliłem górne światło i zajrzałem do schowka z nadzieją, e Ellen trzyma tam swoją. Ale

oprócz starych map i karteluszków, w schowku nie było nic.

Zgasilem reflektory i zaczekałem, a oczy przywykną do ciemności. Po chwili stało się oczywiste, e bardziej ju nie przywykną. Nad Runą zapadła noc i z każdą minutą miało być jeszcze ciemniej. Mimo to nie chciałem zostawiać samochodu. Właśnie odkryłem, e na wyspie grasuje morderca i myśl, e utknąłem na opuszczonej drodze, wcale mnie nie pocieszała.

Co za głupota. Nawet jeśli morderca nie uciekł jeszcze z Runy, było mało prawdopodobne, eby przybłąkał się akurat tutaj. No dalej, pomyślałem, ruszaj. Nie ma sensu dłużej czekać.

Wysiadłem. W tej samej chwili zza chmur wychynął księżyc. Zalane jego blaskiem wzgórze i wrzosowiska nabrały surowego, lecz niezmiernie wprost piękna. Zobaczyłem srebrzyste oświetloną szosę i natychmiast poprawił mi się humor. Zacząłem iść. Nie było tak źle. I gdy tylko tak pomyślałem, księżyc znowu przesłoniły chmury i światło zgasło.

Zapadła tak gęsta ciemność, e przeylem wstrząs. Kiedyś mieszkałem na wsi i myślałem, e wiem, jak czarna moe być noc. Ale czegoś takiego nie doświadczyłem nigdy w yciu. Runa była maleńką wyspą. Leżała kilometry od wybrzeży Szkocji, nie było tu większych miast ani stojących nad miastami łun. Zadarłem głowę, myśląc, e zobaczę chocia kawałek jaśniejszego nieba, ale nie zobaczyłem nic. Gruba warstwa chmur przesłaniała je jak gruby pled.

Spojrzałem za siebie z nadzieją, e dostrzegę tam garbusa. Ale ciemność była absolutna, totalna. Jedynie stukot moich butów mówił mi, e wciąż jestem na szosie. To tylko ciemność, pomyślałem. Nic ci nie robi. Jeśli tylko będziesz trzymał się szosy, nie musisz się niczym martwić. Dojdiesz do miasteczka jak po sznurku, prędzej czy później.

Poszedłem dalej, lecz z każdym krokiem traciłem pewność siebie. Padał przeraźliwie zimny deszcz, wiatr wywiał całe ciepło spod kaptura, a jego wycie ogłuszało mnie i oślepiało.

Ale ogłuszało nie na tyle, ebym nie usłyszał chrobotu za plecami.

Odwróciłem się. Serce waliło mi jak młotem. Ale, oprócz ciemności, nic tam nie było. To tylko wiatr, pomyślałem. Albo ten przeklęty pies. Mimo to wciąż czujnie nasłuchiwałem, skupiając się bardziej na tym, ni na drodze, i nagle wdepnąłem w otchłań.

Runąłem w dół, przez sekundę spadałem, grzmotnąłem w ziemię, zacząłem się staczać i momentalnie straciłem orientację. Toczyłem się, turlałem, czując tylko, e twarz harata mi ostra trawa. I nagle się zatrzymałem.

Oszołomiony i zdyszany leałem na plecach w błocie; padał na mnie deszcz. Wiedziałem, co się stało. Zboczyłem z szosy i wpadłem do jakiegoś parowu. Idiota! Spróbowałem wstać i a krzyknąłem z bólu. Lewa ręka. Z lewą ręką było coś nie tak. Gdy ból

przeszedł w tępe pulsowanie, spróbowałem podnieść ją jeszcze raz. Ból natychmiast powrócił, moe nie z taką samą siłą jak przedtem, ale i tak głośno sapnąłem.

Przynajmniej kości mi nie chrobotwały, zawsze to coś. Niczego sobie nie złamałem. Przełknąwszy podchodzącą do gardła ółć, poruszyłem ramieniem i przestałem, gdy znowu przeszył je ból. Niezdarnie pomacałem je zdrową ręką. Chocia byłem w kurtce, wyczułem, e chyba wyskoczyło ze stawu. W miejscu, gdzie powinno być zupełnie gładko, wyrosła stercząca gula i kiedy leciutko przesunąłem po niej palcami, zrobiło mi się niedobrze.

Zwichnąłem rękę. I to porządnie.

Tylko nie panikuj, pomyślałem. Weź głęboki oddech. Spokojnie. Wszystko po kolei, krok po kroku. Wiedziałem, e zanim będę mógł cokolwiek zrobić, muszę nastawić sobie ramię. Wyciągnąłem zdrową rękę najdalej, jak tylko mogłem i wymacałem kość ramieniową. Chwilę odpocząłem, zacisnąłem zęby i mocno szarpnąłem.

Omam nie zemdlałem z bólu. Zabolało mnie tak, e zobaczyłem gwiazdy przed oczami i głośno krzyknąłem. Gdy gwiazdy znikły, okazało się, e znowu leę na ziemi ze spoconą, mokrą od deszczu twarzą. Zrobiło mi się niedobrze. Spazm wkrótce minął, ale byłem osłabiony i rozdygotany.

Ramienia nawet nie sprawdzałem. Wiedziałem, e wciąż jest zwichnięte, e próba się nie udała. Ręka nieustannie pulsowała, a od podstawy czaszki po koniuszki palców rozchodził się tępy ból.

Niepewnie usiadłem. Gdy wstałem, zakręciło mi się w głowie. Nie było ju mowy, ebym dał radę dojść do miasteczka. Postanowiłem wrócić do samo chodu z nadzieją, e prędzej czy później Fraser albo Duncan zaczną mnie szukać.

Wspinaczka po śliskim zboczcu była potwornie ciężka. Nic nie widziałem i mogłem uywać tylko jednej ręki. Musiałem często odpoczywać, a ręka bolała coraz bardziej. Zastanawiałem się, czy nie naderwałem sobie ścięgien, lecz szybko tę myśl odpędziłem. I tak nie mógłbym nic na to poradzić.

Na szczyt zbocza dotarłem wyczerpany i zlany potem. Ostatkiem sił podciągnąłem się i wstałem. Nogi miałem jak z waty, jednak ulga, e jestem ju na górze, przyćmiła zmęczenie i ból. Nagle zdałem sobie sprawę, e coś jest nie tak.

Szosa zniknęła.

Ulga te. Zrobiłem kilka ostronych kroków z nadzieją, e zaraz natrafię na asfalt. Ale natrafiałem jedynie na kępę darni i nierówną bagnistą ziemię. Upadek musiał zdezorientować mnie bardziej, ni myślałem. Zamiast wspiąć się z powrotem na drogę, wpelzłem na jakiś pagórek.

Spróbowałem się uspokoić. Mogłem zrobić tylko jedno. Szosa była na pewno tam, naprzeciwko mnie. Musiałem tylko wrócić po swoich śladach i pokonać kolejne zbocze.

Zszedłem na dół, ostatnie metry pokonując ślizgiem, na plecach. Pomacałem wokoło. Gdzie ten pagórek? Nie mogłem go znaleźć. Przestań, pomyślałem, przecie musi tu być. Sęk w tym, e teren u stóp pagórka nie chciał podporządkować się tej logicznej z pozoru zasadzie. W ciemności był jak labirynt trawiastych zagłębień i wzniesień. Idąc na oślep, nie miałem pojęcia, dokąd mogę zajść.

Nie miałem równie pojęcia, gdzie jestem.

Wiedziałem, e szosa musi być niedaleko, nie wiedziałem jednak gdzie. Spojrzałem w niebo z nadzieją, e zobaczę choć kilka gwiazd. Ale niebo i ziemia zlewały się ze sobą w nieprzeniknioną czerń. Wiatr i deszcz atakowały to z jednej strony, to z drugiej, chyba tylko po to, eby jeszcze bardziej pogorszyć moje położenie.

Dygotałem z zimna i szoku. Byłem w nieprzemakalnej kurtce, ale wiedziałem, e jeśli nie znajdę jakiegoś schronienia, nawet w kurtce grozi mi hipotermia. Myśl, do cholery! Którędy? Wybrałem kierunek i ruszyłem. Nawet jeśli był zły, wysiłek nie pozwoli mi zmarznąć. Bezruch mógł mnie zabić.

To była prawdziwa mordęga. W kadej chwili mogłem złamać sobie nogę, bo roilo się tam od zdradzieckich dołów porośniętych trawą i wrzosami. Wtem coś zaszeleściło. Znieruchomiałem i wytężyłem słuch, słysząc tylko wycie wiatru i mokre uderzenia kropel deszczu w kaptur. Nie widziałem nic oprócz ciemności. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. To nic. To tylko zbłąkana owca.

Próbowałem to sobie wmówić, chocia pamiętałem, e podobny odgłos słyszałem na szosie. Tak, wiedziałem, e to głupie, bo jeśli nawet ktoś tam był, nie mógł widzieć mnie lepiej ni ja jego. Ale trzeźwe myślenie nie pomogło. Zabłądziłem i byłem ranny – ciemność wyzwoliła prymitywny strach, który współczesny świat iienne światło skutecznie tłumiy.

I strach ten wpełził teraz z nory.

Ruszyłem dalej. Teren stał się jeszcze bardziej grząski i wyboisty – z głośnym chlupotem wszedłem na bagna. Zaszczekały mi zęby. Albo zrobiło się zimniej, albo

mimo ciągłego wysiłku spadła mi temperatura. Nie mogłem zapanować nad dręczką, uginały się pode mną nogi.

Palilo mnie ramię, z każdym krokiem przypiekało mnie ywym ogniem. Straciłem poczucie czasu, dopadło mnie zmęczenie i stałem się mniej ostrony. Odgłos powtórzył się, tym razem z boku, i zabrzmiało to tak, jakby coś sunęło po trawie. Wykręciłem głowę, eby

tam spojrzeć i upadłem. Odruchowo wyciągnąłem przed siebie ręce i gdy ciężar ciała spoczął na tej zwichniętej, przeszył mnie upiorny ból.

Chyba zemdlałem. Ocknąłem się z twarzą w błocie i cuchnącym smakiem torfu w ustach. Wciąż półprzytomny pomyślałem o niezliczonych martwych zwierzętach, owadach i roślinach, z których powstał, o trwającym milenia procesie rozkładu, który zmienił je w petrochemiczny szlam. Splunąłem i spróbowałem usiąść, ale nie dałem rady. Pod kurtkę sączyła się woda i przemarzłem do szpiku kości. Drałem jak w febrze, szybko traciłem resztki sił. Osunąłem się w błoto. Głupia śmierć. Śmierć tak absurdałna, e niemal zabawna. Przepraszam, Jenny. Ju i tak była na mnie wściekła, e tu przyjechałem. Dostanie furii, kiedy dowie się, e Runa mnie zabiła.

Próba wisielczego humoru straszliwie zawiodła. Byłem smutny i zły. A więc to tak? – drwiłem. Poddajesz się? Tak szybko?

I kiedy się zawahałem, kiedy mogło się to skończyć tak albo tak, zobaczyłem światełko.

Początkowo pomyślałem, e mam zwidy, bo w ciemności przede mną zatańczył nagle ółtawy ognek. Ale kiedy poruszyłem głowę, ognek nie zmienił położenia. Zamknąłem i otworzyłem oczy. Ognik wciąż tam był. Zalała mnie fala nadziei, bo przypomniałem sobie o domu Strachanów. Do ich domu było bliżej ni do miasteczka. Moe jednak szedłem w dobrym kierunku.

Podświadomie wiedziałem, e światełko jest za wysoko jak na dom, ale było mi wszystko jedno. Miałem teraz jakiś cel. Dlatego nie myśląc, popełzłem w tamtą stronę.

Światełko wisiało na tle nieba, ale nie miałem pojęcia, jak dua dzieli mnie od niego odległość. I wcale mnie to nie obchodziło. Ten ółty ognek był jedyną rzeczą we wszechświecie, przyciągał mnie jak ogień przyciąga ćmę. I powoli rósł. Widziałem ju, e migocze, e tańczy w rytm niesłyszalnej melodii. Teren zaczął się wznosić. Wznosił się i wznosił, był coraz bardziej stromy. Pomagałem sobie jedną ręką, czasem opadałem na czworaki, eby po chwili znowu wstać. Ale światełko było coraz bliżej. Odciałem się od świata i skupiłem na nim wzrok.

I nagle zachybotalo tu przede mną. To nie był ani samochód, ani dom. To było przez

nikogo niepilnowane małe ognisko przed ruinami starej kamiennej chaty. Rozczarowany zacząłem powoli rozpoznawać to, co zobaczyłem w blasku ognia. Wokoło stały dziwne skalne kopce i na ich widok coś sobie skojarzyłem. Zdałem sobie sprawę, że nie są to twory naturalne.

To były kurhany grobowe.

Opowiadali mi o nich Brody i Strachan. Kiedy to sobie przypomniałem, wiedziałem już, że zablądziłem bardziej, niż przypuszczałem.

Zawędrowałem a na zbocze góry.

Zachwiałem się, straciłem resztki sił. Świat zafalował i zobaczyłem jakiś ruch w wejściu do kamiennej chaty. Zbyt odrętwiały i wycieńczony, żeby zareagować, stałem tam i patrzyłem, jak ktoś z niej powoli wychodzi. Jakiś człowiek. Zakapturzony, przystanął w kręgu światła, spoglądając na mnie oczami, w których tańczyły płomienie.

Potem ognisko pociemniało i pochłonęła mnie noc.

Rozdział 9

Nie wieje. To była moja pierwsza myśl. Nie wieje i nie pada. Jest tylko cisza.

Otworzyłem oczy. Leąłem w łoku. Przez jasne zasłony wpadało rozmyte światło dnia i w świetle tym zobaczyłem duży biały pokój. Białe ściany, biały sufit, białe prześcieradło. Szpital, pomyślałem, ale zaraz potem dotarło do mnie, e przecie w większości szpitali nie ma kołder ani podwójnych łóek. Ani przeszklonych kabin prysznicowych. Poza tym stolik z rafii przy łoku wyglądał jak ywcem przeniesiony z czasopisma o wystroju wnętrz.

Ale z drugiej strony fakt ten zupełnie mnie nie obszedł. Ogarnęło mnie senne poczucie, e jest mi dobrze. Śe łoko jest ciepłe i miękkie. Leąłem tak przez chwilę, próbując przypomnieć sobie ostatnie wydarzenia. To zaskakujące, ale przypominałem je sobie bez trudu. Chata. Samochód w rowie. Krok w otchłań, upadek, odległy ognik.

Od tej chwili obraz był ju mniej wyraźny. Wspinaczka na wzgórze, ognisko, kurhany grobowe, człowiek, który wyszedł z kamiennej chaty – wszystko to miało w sobie coś ze snu. A potem rozmazywało się jeszcze bardziej. Jak przez mgłę pamiętałem tylko, e ktoś niósł mnie przez ciemność, e krzyczałem, gdy nastawiano mi rękę. Oderwane od siebie obrazy, nic więcej.

Właśnie, moja ręka.

Odsunąłem kołdrę i zobaczyłem, e jestem nagi, ale o wiele bardziej zainteresował mnie banda, którym przywiązano mi rękę na piersi. Fachowa robota. Ostronie poruszyłem ramieniem. Zaprotestowały nadwerżone ścięgna i skrzywiłem się z bólu. Bolało jak diabli, ale czułem, e ręka nie jest ju zwichnięta. Ktoś mi ją nastawił, ale tego nie pamiętałem. A to dziwne, bo takich zabiegów raczej się nie zapomina.

Nie miałem zegarka. Nie wiedziałem, która godzina, ale na dworze było ju jasno. Ogarnął mnie niepokój. Chryste, jak długo byłem nieprzytomny? Wciąż nie zawiadomiłem Wallace'a – ani nikogo innego – e na Runie popełniono morderstwo. Poza tym obiecałem Jenny, e do niej zadzwonię. Nie wiedziała, co się ze mną dzieje, pewnie szalała z niepokojem.

Musiałem wracać. Usiadłem, odrzuciłem kołdrę i rozglądałem się właśnie w poszukiwaniu ubrania, gdy otworzyły się drzwi i weszła Grace Strachan.

Związane z tyłu włosy, doskonały owal twarzy, obcisłe czarne spodnie, kremowy sweter, szczupła, lecz zmysłowa figura – była jeszcze piękniejsza ni w barze. Uśmiechnęła się na mój widok.

–Dzień dobry, panie doktorze. Przyszłam sprawdzić, czy się pan obudził.

Przynajmniej wiedziałem ju, gdzie trafiłem. Dopiero gdy zerknęła na dół, przypomniałem sobie, e jestem nagi. Szybko się zakryłem.

–Jak się pan czuje? – spytała z rozbawieniem.

–Wszystko mi się miesza. Jak się tu znalazłem?

–Michael pana przyniósł. Wczoraj wieczorem. Znalazł pana na zboczu góry. A raczej to pan znalazł jego.

A więc to Strachan mnie uratował. Przypomniała mi się sylwetka człowieka w kręgu światła.

–To pani męą widziałem przy tych kurhanach? Uśmiechnęła się leciutko.

–Tak, to jedno z jego hobby. Cieszę się, e nie tylko ja uwaam, e jest dziwne. Ale dobrze, e tam był, prawda?

Nie mogłem z tym polemizować, martwiło mnie tylko, e za długo spałem.

–Która jest teraz godzina?

–Za kwadrans trzecia. Pół dnia szlag trafił. Zakląłem w duchu.

–Mógłbym skorzystać z telefonu? Muszę zawiadomić kolegów, co się stało.

–Ju ich zawiadomiliśmy. Michael zadzwonił do hotelu; rozmawiał chyba z

sierantem Fraserem. Powiedział, e miał pan wypadek, ale e jest pan mniej więcej cały.

Zawsze to coś. Ale i tak musiałem skontaktować się z Wallace'em. No i z Jenny, eby powiedzieć jej, e u mnie wszystko w porządku. Pod warunkiem, e jeszcze się do mnie odzywała.

–Mimo to chciałbym skorzystać z telefonu, jeśli mona.

–Oczywiście. Powiem Michaelowi, e ju się pan obudził. – Uniosła brew i

uśmiechnęła się kącikiem ust. – Przyniesie panu ubranie.

Z tymi słowami wyszła. Czekałem niecierpliwie, próbując zebrać myśli. Niedługo potem ktoś zapukał do drzwi. Strachan.

Przyniósł mi ubranie, wyprane, starannie wyprasowane i złoone. Na ubraniu leżał mój portfel, zegarek i bezużyteczny telefon. Pod pachą miał gazetę, ale mi jej nie dał.

–Grace mówi, że może się to panu przydać – powiedział z uśmiechem, kładąc rzeczy na krześle przy łóżku. Wyjął z kieszeni telefon bezprzewodowy. – To ten.

Chciałem od razu zadzwonić, ale się powstrzymałem. Ostatecznie gdyby nie ten facet, ja bym pewnie nie żył.

–Dzięki. I dziękuję panu za wczoraj.

–Nie ma za co. Cieszę się, że mogłem pomóc. Chociaż muszę przyznać, że omal nie umarłem ze strachu, kiedy pojawił się pan tam jak duch.

–I wzajemnie – odparłem oschle. – Jak mnie pan stamtąd ściągnął? Wzruszył ramionami.

–Przez większość drogi udawało mi się utrzymać pana w pionie, ale pod koniec musiałem robić za strażaka.

–Niósł mnie pan?

–Tylko do samochodu. – Strachan powiedział to lekceważąco, jakby codziennie dźwigał takich jak ja. – Ale cieszę się, że wziąłem wóz, proszę mi wierzyć. Nie zawsze biorę.

Jak ręka?

Poruszyłem ją ostrożnie. Bolało, ale nie aż tak, abym miał zemdleć.

–Lepiej.

–Cieszę się. Bruce odwalił kawał dobrej roboty. Gdyby nie on, musielibyśmy chyba przewieźć pana samolotem do szpitala. Albo wsadzić pana na prom Kinrossa, a przejazdka po wzburzonym morzu niezbyt by się panu spodobała, zwłaszcza w tym stanie.

–Kto to jest Bruce?

–Przepraszam. Bruce Cameron. Uczy w szkole, ale jest równie wykwalifikowanym pielęgniarzem. I opiekuje się naszą przychodnią.

–Poyteczna kombinacja.

Przez twarz Strachana przemknęło coś, czego nie potrafiłem zinterpretować.

–Tak, czasem jest naprawdę świetny. Zaraz go pan pozna. Grace zawiadomiła go, e się pan obudził i obiecał wpaść. Aha, przy okazji: pańscy koledzy znaleźli samochód Ellen. Nie jest uszkodzony, na pewno to pana ucieszy. Co się stało? Próbował pan ominąć owcę?

–Nie. Złotego retrievera. Strachan zbladł.

–Oscara? Chryste, artuje pan! Zabrałem go tam, ale gdzieś się wypuścił. Boe, strasznie mi przykro...

–Nie szkodzi, proszę się nie martwić. Dobrze, e go nie potrąciłem. – Ciekawość wzięła górę nad niecierpliwością. – Proszę nie myśleć, e nie jestem panu wdzięczny, ale... co pan tam, do diabła, robił?

Uśmiechnął się, lekko zawstydzony.

–Na cmentarzysku? Czasem tam nocuję. Grace mówi, e ze mnie wariat, ale kiedy byłem mały, ojciec zabierał mnie na safari i po jego śmierci często jeździłem po buszu sam.

Tam, na naszej górze, mam to samo poczucie przestrzeni i odosobnienia, jakie pamiętam z

Afryki. Nie jestem wierzący, ale odnajduję tam coś... Nie wiem, coś niemal duchowego.

Tego się po nim nie spodziewałem.

–Ale samotnie tam. I zimno.

–Kiedy tam jestem, pochłania mnie praca, a samotność jest jej częścią. Poza tym w brochu dobrze się myśli.

–W brochu?

–W tej kamiennej budowli. To stara wiea obserwacyjna. Lubię myśleć, e dwa tysiące lat temu ktoś siedział tam przy ognisku. śe podtrzymuję tradycję. A te kurhany są jeszcze starsze. Grzebano w nich potężnych władców i przywódców rodzinnych klanów, a teraz została po nich tylko kupka kamieni. To nadaje yciu inną perspektywę, nie uwaa pan?

Wyglądał na zaenowanego.

–Ale dość już o moich mrocznych tajemnicach. Coś panu przyniosłem.

Podał mi „Lewis Gazette” z poprzedniego wieczoru, otwartą na drugiej stronie.

Nagłówek artykułu krzyczał: Tajemnicza śmierć w ogniu na Runie. Nie zdziwiłem się, widząc pod nim nazwisko Maggie Cassidy. Zrobiła z tego sensację opartą na domysłach i pozbawioną faktów. Jak było do przewidzenia, nawiązała do teorii samozapłonu, opisała kilka najbardziej znanych przypadków, a nawet wspomniała o „uznanym lekarzu sądowym, doktorze Davidzie Hunterze”.

Mogło być gorzej. Nie zamieściła przynajmniej zdjęć.

–Przywieźli ją promem dziś rano – powiedział Strachan. – Pomyślałem, że zechce pan to przeczytać.

–Dzięki. – Na widok artykułu znowu ogarnęła mnie niecierpliwość. – Muszę wracać do miasteczka. Nie chciałbym nadużywać pańskiej gościnności, ale czy mógłby pan mnie podrzucić?

–Oczywiście. – Zmarszczył brwi. – Wszystko w porządku?

–Tak, po prostu muszę wracać. Kiwnął głową, ale chyba go nie przekonałem.

–Zaczekam na dole. I proszę wziąć prysznic. Zaczekałem, a wyjdzie i chwyciłem telefon. Numer Wallace’a miałem w komórce.

Wystukałem go i zadzwoniłem na stacjonarny. Odbierz, ponaglałem go w duchu. No odbierz! Odebrał.

–Słucham, panie doktorze – powiedział głosem człowieka, który ma waniejsze rzeczy

do zrobienia.

Załatwiłem to szybko i treściwie.

–Tę kobietę zamordowano.

Chwilę trwało, zanim to do niego dotarło. Gdy dotarło, soczyście zaklął.

–Jest pan pewny?

–Uderzono ją tępym narzędziem w tył głowy. Pod wpływem temperatury czaszka pękła w miejscu uderzenia.

–Nie mogła uderzyć się, padając? Moe zajęła się ogniem, spanikowała i...

–Mogła, ale potem nie byłaby w stanie się poruszyć. Taki uraz albo by ją na miejscu zabił, albo pozbawił przytomności. W obydwu przypadkach leżałaby na plecach, a nie na brzuchu.

Westchnął.

–Na pewno nie popełnił pan adnego błędu? Odczekałem parę sekund, eby się uspokoić.

–Chciał pan wiedzieć, co o tym myślę, więc ju pan wie. Ktoś ją zabił i spalił. To nie był wypadek.

Długo milczał. Niemal słyszałem, jak rozpracowuje logistykę całej operacji, jak odrywa od pracy ekipę zajęłą na miejscu katastrofy i przenosi ją w myśli na Runę.

–Dobrze – powiedział, znowu rzeczowy i konkretny. – Jutro z samego rana wyślę do was ludzi.

Spojrzałem w okno. Powoli zapadał zmierzch.

–Nie dałoby się wcześniej?

–Nie. Najpierw muszę przerzucić ich do Stornoway, dopiero potem na Runę. To potrwa. Musi pan poczekać.

Nie podobało mi się to, ale nie mogłem zrobić nic więcej. Kiedy Wallace odłożył słuchawkę, zatelefonowałem do Jenny. Od razu włączyła się poczta głosowa, więc zostawiłem wiadomość. Przeprosiłem ją, e nie zadzwoniłem wcześniej, powiedziałem, e u mnie wszystko w porządku, obiecałem, e zadzwonię później. Słowa były puste, nie zdarne i nieadekwatne do tego, co czułem. Dałbym wszystko, eby ją zobaczyć. Ale nie mogłem.

Dopiero wyłączywszy telefon, uświadomiłem sobie, e najpierw zadzwoniłem do Wallace’a. Zastanawiając się, co to mówi o moich priorytetach, odrzuciłem koldrę i poszedłem się umyć.

Prysznic był boski. Gorąca woda złagodziła nieco ból ręki, zmyła bród i smród nocnych wydarzeń. Temblak był półsztywny – pianka, plastik i rzepy – więc jakoś go zdjąłem. Ale ubieranie się było duo trudniejsze, ni myślałem. Prawie nie mogłem poruszać lewą ręką i kiedy zdołałem wreszcie włożyć gruby sweter, czułem się jak po półgodzinnym treningu na siłowni.

Wyszedłem na korytarz. Dom starannie odnowiono. Na ściany połoono biały tynk, podłogę wyłoono kokosowymi matami.

Due okno widokowe na szczycie schodów wychodziło na małą piaszczystą zatoczkę. Była otoczona wysokimi skałami i miała schodki prowadzące na drewniane molo, przy którym cumował smukły jacht. Nawet osłonięty przez skały kołysał się gwałtownie na wysokich falach. Na molo stało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był w czarnej kurtce narciarskiej i pokazywał coś ręką. Strachan. Domyśliłem się, a ten drugi to Bruce Cameron, pielęgniarz i nauczyciel. Z daleka przypominał mężczyznę, którego widziałem poprzedniego dnia przed szkołą w miasteczku.

Na podłodze w holu na dole leżał wielki turecki dywan. Na ścianie wisiał duży abstrakcyjny obraz olejny, niebiesko-szkarłatny wir barw poprzecinany ukośnymi smugami w kolorze indygo, malunek piękny i trochę niepokojący. Mijając go, zauważyłem podpis w dolnym rogu. „Grace Strachan”.

Z pokoju na końcu holu dochodziły dźwięki hiszpańskiej gitary. Wszedłem tam i znalazłem się w jasnej przestronnej kuchni pachnącej przyprawami. Pod sufitem wisiały miedziane rondle, a w garnkach na czarnej płycie coś bulgotało.

Grace kroїła warzywa. Uśmiechnęła się przez ramię.

–Widzę, a udało się panu ubrać.

–Po wielkich trudach. Odgarnęła niesforny kosmyk włosów z oczu. Nawet w zwykłym czarnym fartuchu

wyglądała absurdalnie zmysłowo. Efekt był tym silniejszy, a chyba nie zdawała sobie z tego sprawy.

–Michael zaraz wróci. Zaciągnął Bruce’a do zatoczki, aby pokazać mu swój nowy projekt. Bruce to ten od pańskiej ręki? – Zabrzmiało to jak pytanie.

–Tak, wiem. Świetnie sobie poradził.

–To prawdziwy skarb. Zaoferował się, a zaraz po szkole przyjdzie pana zbadać. Napije się pan czegoś? A może coś pan zje? Pewnie umiera pan z głodu.

Dopiero teraz to sobie uświadomiłem. Nie jadłem od poprzedniego dnia. Zauważyła moje wahanie.

–Kanapka? Omlet?

–Naprawdę nie...

–A więc omlet. Nalała oliwy na patelnię i wprawdzie wbiła do miseczki trzy jajka.

–Michael mówi, a mieszka pan w Londynie – rzuciła, rozbijając je trzepaczką.

–Tak.

–Nie byłam tam od lat. Ciągłe namawiam Michaela na wyjazd, ale jest uparty jak osioł. Nie znosi wyjechać. Nigdy nie wyjecha dalej ni do Lewis, a nie powiedziałabym, eby Lewis było mekką kulturalną.

Uparty jak osioł? Strachan zupełnie na takiego nie wyglądał, ale jak zdałem się ju przekonać, był człowiekiem pełnym niespodzianek.

–Od dawna tu państwo mieszkają?

–Cztery lata? Nie, pięć. Boe! – Pokręciła głową zdumiona, e czas tak szybko płynie.

–Pewnie trochę trwało, zanim państwo przywykli. Do ycia na wyspie.

–Nie, często przenosiliśmy się z miejsca na miejsce. Mona by pomyśleć, e się tu nudzimy, ale tak nie jest. Michael jest wiecznie zajęty, ja pomagam w szkole. Prowadzę zajęcia plastyczne.

–Widziałem pani obrazy. Są piękne.

Obojętnie wzruszyła ramionami, ale chyba sprawilem jej przyjemność.

–Och, to tylko hobby. Ale dzięki temu zaprzyjaźniliśmy się z Bruce'em; poznałam go w szkole. Kiedyś uczył w Szkocji, prawdziwy z niego skarb. Kocham dzieci, dlatego cieszę

się, e z nimi pracuję.

Na chwilę posmutniała. Odwróciłem wzrok, czując się nieswojo, jakbym zajrzał do jej prywatnego ycia. Domyślałem się, e Strachanowie nie mają dzieci. Teraz wiedziałem ju, jak Grace się z tym czuje.

–Widziałem jacht w zatoczce – powiedziałem, wracając na bezpieczniejszy teren. – Ładna łódź.

–Prawda? – Rozpromieniona Grace położyła na stole bochenek świeiego chleba i masło. – Michael kupił go zaraz po przyjeździe. Ma tylko trzynaście metrów, bo zatoczka jest za płytka na większy. Ale dzięki temu, e jest mały, moe nim sterować jedna osoba. Michael pływa nim do Stornoway, kiedy ma tam coś do załatwienia, ale rzadko się z nim zabieram. Stornoway to nie Londyn.

–Jak się poznaliście?

–Boe, znamy się chyba od zawsze.

–Od dzieciństwa? Szczęnięca miłość? Roześmiała się.

–Wiem, to strasznie banalne, ale tak. Wychowywaliśmy się razem pod

Johannesburgiem. Michael jest trzy lata starszy i kiedy byłam mała, zawsze za nim

chodziłam. Moe właśnie dlatego tak mi się tu podoba. Lubię mieć go tylko dla siebie.

Jej szczęście było zaraźliwe i nagle stwierdziłem, e zazdroszczę Strachanowi. Uzmysłowiłem te sobie, jak bardzo się od siebie ostatnio oddaliliśmy, Jenny i ja.

–Proszę. – Postawiła na stole spory talerz z omletem. – Tu jest chleb i masło.

Usiadłem i zacząłem jeść. Omlet był pyszny i właśnie go skończyłem, gdy otworzyły

się drzwi i do kuchni wpadł podmuch mokrego wiatru. Wraz z wiatrem wpadł retriever, który ociekając wodą, zaczął na mnie skakać. Próbowałem osłonić się jedną ręką.

–Przestań, Oscar! – krzyknęła Grace. – Michael, to twój pies. Wątpię, czy David chce,

eby pobrudził go łapami. Ty te nie jesteś lepszy. Zobacz, ile naniosłeś błota!

Wszedł Strachan, a za nim mężczyzna w spiczastej wojskowej czapce, którego widziałem przed szkołą.

–Przepraszam, kochanie, ale nie mogę znaleźć tych przeklętych kaloszy. Przestań,

Oscar. Jak ty się zachowujesz? Pan doktor to nie szmata do wycierania łap. – Z uśmiechem

odciągnął ode mnie psa. – Cieszę się, e pan wstał. To jest Bruce Cameron.

Mężczyzna zdjął czapkę, demonstrując rude, krótko ostrzyżone, klasycznie łysiejące włosy. Niski i drobny, miał w sobie coś z wątego maratończyka. Jabłko Adama sterczało mu tak, jakby zaraz miało przebić skórę.

Odkąd tylko wszedł, nieustannie obserwował Grace. Teraz spojrzał na mnie najbardziej wyblakłymi oczami, jakie kiedykolwiek widziałem. Były właściwie bezbarwne, z wielkimi białkami i wyglądało to tak, jakby ciągle się na coś gapił.

Przeniósł wzrok na mój pusty talerz. Przez jego twarz przemknęło coś, co mona by wziąć za gniew. Przemknęło i znikło.

Wyciągnąłem do niego rękę.

–Dziękuję za moje ramię.

–Cieszę się, e mogłem pomóc. – Miał zaskakująco głęboki głos, szokująco tubalny jak na męczyznę tak drobnej budowy. I cienką, kościstą rękę miękką w uścisku. – A więc przyjechał pan tu, eby obejrzeć te zwłoki, tak?

–Moesz to sobie darować – rzucił wesoło Strachan. – Ja ju dostałem po łapach za wścibstwo.

Widać było, e rada nie przypadła Cameronowi do gustu.

–Jak ręka? – spytał.

–Lepiej.

Kiwnął głową, jakby był znudzony i jednocześnie niezadowolony.

–Miał pan szczęście. Po powrocie niech pan ją prześwietli, ale nie przypuszczam, eby doszło do pęknięcia ścięgien.

A jeśli doszło, to wyłącznie twoja wina – tak to mniej więcej zabrzmiało. Wyjął z kieszeni buteleczkę i postawił ją na stole.

–Ibuprofen, środek przeciwzapalny i przeciwbólowy. Teraz nic pan nie czuje, ale kiedy środek uspokajający przestanie działać...

–Środek uspokajający?

–Trochę pan majaczył i miał pan skurcze mięśni, więc musiałem go podać.

To wyjaśniałoby, dlaczego nie pamiętałem, jak nastawiał mi rękę. I dlaczego przespałem większość dnia.

–Jaki to był środek?

–Proszę się nie martwić, niezbyt silny – odparł i znowu zerknął na Grace z uśmiechem, który miał być skromny, choć był chełpliwy.

–Chciałbym jednak wiedzieć.

Odkąd omal nie zabiła mnie gigantyczna dawka diamorfiny, nie lubiłem, kiedy podawano mi leki bez mojej wiedzy. Poza tym zaczynał mnie denerwować jego

protekcjonalny ton i zachowanie.

Po raz pierwszy w pełni zarejestrował moją obecność. Spojrzenie, jakie mi posłał, nie było zbyt przyjacielskie.

–Jeśli ju musi pan wiedzieć, podałem panu dziesięć miligramów diazepamu i znieczuliłem pana miejscowo nowokainą A po zabiegu dostał pan zastrzyk kortyzonu, eby

zminimalizować ryzyko zapalenia. – Spojrzał na mnie wyniośle. – Czy to pana satysfakcjonuje?

Strachan przysłuchiwał się nam z rozbawieniem.

–Bruce, chyba ci tego nie mówiłem, ale David był kiedyś lekarzem.

Najwyraźniej nie mówił. Cameron zaczerwienił się, a mnie zrobiło się głupio, e przyparłem go do muru. Nie miałem zamiaru go zawstydząć. Zastanawiałem się jednocześnie, skąd Strachan tyle o mnie wie. Nie, ebym miał jakieś tajemnice, ale nie przepadałem za obcymi, którzy za bardzo się mną interesowali. Strachan uśmiechnął się przepaszająco.

–Zajrzałem do Internetu. Mam nadzieję, e nie ma pan nic przeciwko temu. Jestem chorobliwie wścibski: wtykam nos we wszystkie sprawy, które dotyczą Runy. Poza tym są to dane powszechnie dostępne.

Tak, ale grzebał w mojej przeszłości, a tego nie znoszę. Z drugiej strony przyjął mnie do siebie. Pewnie miał prawo do odrobiny ciekawości.

–Pokazywałem Bruce’owi miejsce, gdzie ju niebawem rozpocznę realizację mojego najnowszego projektu: pierwszej na Runie farmy rybnej. Będziemy hodowali dorsza atlantyckiego. Przedsięwzięcie całkowicie organiczne, przyjazne dla środowiska i da pracę co

najmniej sześciu ludziom. A jeśli wszystko wypali, zatrudnimy ich duo więcej –

dodał z niemal chłopięcym entuzjazmem. – Miejscowa gospodarka dostanie nowy bodziec.

Chcę ruszyć z tym na wiosnę.

Grace zaczęła filetować kurczaka, tnąc mięso z szybkością i wprawą szefa kuchni.

–Nie wiem, czy mam skakać z radości na myśl o farmie rybnej na skraju domowego ogródka – powiedziała.

–Kochanie, ju ci to tłumaczyłem: zatoczka jest najbardziej osłoniętym miejscem na wyspie. A morze na skraju ogródka będzie tak czy inaczej. Tyle, e pełne ryb.

–Tak, ale zaroi się tu od gości. Od gości, którzy będą tu pewnie nocować. Cameron roześmiał się szczekliwie. Nie odrywał od niej oczu. Przez twarz Strachana przemknął cień irytacji i w tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi.

–Widzisz? Znowu goście – powiedziała Grace. Wzięła ścierkę, eby wytrzeć ręce, ale Strachan ju wychodził.

–Otworzę.

Idąc, chwycił kawałek marchewki z deski do krojenia i Grace trzepnęła go ścierką w plecy. Widząc, jak się do niego uśmiecha, pomyślałem o Jenny, o naszych kłótniach, i poczułem lekkie ukłucie zazdrości.

–Moe to pańscy przyjaciele z policji – powiedziała. Z holu niosły się niewyraźne głosy.

Miałem nadzieję, e nie. Ale zamiast z Duncanem czy Fraserem, Strachan wrócił z Maggie.

–Zobaczcie, kto przyszedł – rzucił ironicznie. – Grace, znasz Maggie, wnuczkę Rosę?

–Oczywiście – odrzekła z uśmiechem Grace. – Jak się czuje babcia? Maggie westchnęła.

–Jakoś sobie radzi, dziękuję. Cześć, Bruce. – Cameron niechętnie skinął jej głową.

Uśmiechnęła się do mnie. – Miło znowu pana widzieć, doktorze. Słyszałam, e miał pan w

nocy przygodę. W barze nie mówiło się o niczym innym.

Mogłem to sobie wyobrazić.

–Co panią do nas sprowadza? – spytał Strachan, który dobrze się chyba bawił. – Chce pani przeprowadzić wywiad z panem doktorem?

–Nie, chciałam zobaczyć się z panem. I z panią oczywiście – dodała układnie. Patrzyła

na Strachana szeroko otwartymi oczami, była obrazem niewinności i szczerości. – Chciałabym napisać o was artykuł do „Lewis Gazette”. O Runie zrobiło się głośno, uwaam, e to doskonały moment. Chodzi mi po głowie coś w rodzaju szkicu biograficznego, podsumowanie tego, co państwo dla nas zrobili. Do tego kilka zdjęć, najlepiej w domu. Byłaby świetna rozkładówka.

Strachanowi przeszedł dobry humor.

–Przykro mi, ale nie jestem fotogeniczny.

–Kochanie, przecie to świetna zabawa – namawiała go Grace.

–Moim zdaniem to bardzo dobry pomysł – zadudnił Cameron. – Moe i nie jesteś fotogeniczny, ale Grace na pewno jest. Będziesz miał dobrą reklamę dla swojej farmy.

–Właśnie – wtrąciła Maggie, wykorzystując sytuację i uśmiechając się do Strachana stuwatowym uśmiechem. – Poza tym załóż się, e świetnie wychodzi pan na zdjęciach.

Grace uniosła brew. To był ewidentny flirt, w każdym razie próba flirtu. Chocia Maggie nie należała do piękności, promieniowała zapalem i energią które niewątpliwie dodawały jej urody.

Ale Strachan był odporny.

–Nie. Dziękuję, ale nie.

–Przemyśl to chociaż. A moe...

–Nie. – Chocia Strachan nie podniósł głosu, zabrzmiało to kategorycznie i nieodwołalnie. – Coś jeszcze?

Był grzeczny, lecz stanowczy. Maggie z trudem ukryła rozczarowanie.

–Nie, to wszystko. Có, przepraszam, e zawracałam państwu głowę.

–Nie szkodzi. Mogłaby pani coś dla mnie zrobić? – spytał Strachan. Twarz Maggie momentalnie pojaśniała.

–Tak, oczywiście.

**–Czy zechce pani podwieźć pana doktora do hotelu? Bardzo mu się spieszy.
Pojedzie**

pan z nią Davidzie?

Nie ucieszyłem się na myśl, e będzie mnie wiozła reporterka, która ju raz mnie oszukała, ale skoro wracała do miasta, có... Stracha-nom i tak ju duo zawdzięczałem.

–Jeśli Maggie będzie tak miła...

Spojrzała na mnie tak, jakby czytała w moich myślach.

–Ale oczywiście – odparła. – Z przyjemnością pana podrzucę.

–Proszę nas odwiedzić przed wyjazdem – powiedziała Grace, całując mnie w policzek. Z bliska zapach jej pimowych perfum był odurzający. Krótki dotyk jej ust pozostawił na

mojej skórze ulotne wspomnienie. Gdy się cofnęła, spojrzałem na Camerona, który obserwował mnie z prawie nieukrywaną zazdrością Jego zauroczenie było tak oczywiste, e nie wiedziałem, czy zawstydzić się, czy mu współczuć.

Odprowadzając nas, Strachan odzyskał dobry humor. Gdy otworzył drzwi, wiatr chlusnął w nas deszczem. Tu obok stał przy ścianie zabłocony rower górski; na tylnym kole miał due sakwy i robił wraenie koślawego.

–Boe, Bruce przyjechał tym w taką pogodę? – spytała Maggie.

–Mówi, e pomaga mu to utrzymać kondycję – odrzekł z uśmiechem Strachan.

–Masochista – prychnęła. Wyciągnęła do niego rękę. – Miło było znowu pana widzieć. Gdyby zmienił pan zdanie...

–Nie zmienię. – Uśmiechnął się, eby złagodzić gorycz odmowy, i z błyskiem w oczach dodał: – A moe przeprowadzi pani wywiad z panem doktorem? Jestem pewien, e się zgodzi, wystarczy tylko ładnie poprosić. Czytał artykuł we wczorajszej gazecie, bardzo mu się podobał.

Maggie spiekła raka. Walcząc z wiatrem, bez słowa ruszyliśmy do zardzewiałego mini morrisa, który niczym ubogi krewny stał przy czarnym porsche cayenne Grace. Przypomniał mi się boleśnie dawny samochód Jenny. Jenny. Zastanawiałem się, czy się o mnie martwi i co jej powiem, kiedy wreszcie będę mógł.

Ja wsiadłem, a Maggie szarpała się przez chwilę z kurtką.

–Grzejnik się zaciął, dmucha jak oszalały. Jeśli pan tego nie zdejmie, usmą się pan jak w piecu.

Bezceremonialnie rzuciła kurtkę na tylne siedzenie. Czerwony pikowany materiał wydał się obscenicznie jak torba pełna krwi. Ja mojej nie zdjąłem. Miałem temblak, za długo by to trwało.

Nachmurzona Maggie zmagala się z dźwignią ssania, próbując odpalić silnik.

–No zapal, idioto! – mruzczała. – To wóz babci, ale babcia ju nie jeździ. Kupa złomu, ale czasem się przydaje.

Silnik w końcu oył. Maggie wrzuciła jedynekę i ruszyliśmy przez podjazd w kierunku drogi. Patrzyłem w okno. Chłostane wiatrem wrzosowiska zaczynały ju znikać w gęstniejącym mroku.

–No? – powiedziała nagle Maggie. – Nie powie pan tego?

–Czego? – Myślałem o Jenny i o śledztwie, i nie zauwayłem, e zapadła cisza. Maggie musiała źle ją zinterpretować.

–śe na promie skłamałam. Powiedziałam, e jestem pisarką. Dopiero po chwili

zrozumiałem, o co jej chodzi. Niezamierzona pauza jeszcze bardziej zdopingowała ją do

obrony.

–Jestem reporterką – ciągnęła – robiłam swoje. Nie muszę za nic przeproszać.

–Wcale panią o to nie prosiłem.

–To co? Nie gniewa się pan? – spytała niepewnie. Westchnąłem. Maggie próbowała grać, lecz pod aktorską maską

kryła się wdzięczna bezbronność.

–Nie gniewam się.

Chyba jej ulyło. Na twarzy dziewczyny znowu pojawił się ten podejrzenie niewinny wyraz.

–Mogę teraz spytać, czy domyśla się pan, kto to jest? No wie pan, ten trup. Roześmiałem się, po prostu musiałem. Była naprawdę niesamowita.

–Nigdy się pani nie poddaje, prawda? Uśmiechnęła się wstydliwie.

–Tylko pytałam. Zawsze mona spróbować, nie?

Zniknęły resztki rezerwy i powściągliwości. Nie miałem siły się na nią gniewać. Poza tym wiedziałem, e ju niedługo będzie mogła napisać artykuł, o jakim się jej nawet nie śniło. Miałem wyrzuty sumienia, e sprowadziłem na tę wyspę zamieszanie i chaos. Runa jeszcze o tym nie wiedziała, ale panujący tu spokój miał ju wkrótce prysnąć.

Skutków towarzyszącego temu wstrząsu nie przeczuwałem nawet ja.

Rozdział 10

Gdy podrzuciła mnie do hotelu, poszedłem poszukać Ellen, eby przeprosić ją za samochód. Zbyła mnie machnięciem ręki.

–Proszę się nie przejmować. Najwspanialsze, e jest pan cały. Prawie – dodała z uśmiechem, patrząc na temblak. – Na tych wyspach łatwo się zgubić, nie kady ma tyle szczęścia.

Padając na łoko, bynajmniej nie czułem się jak szczęściarz. Byłem zmęczony, posiniaczony, rękę przeszywał mi pulsujący ból podobny do bólu zęba. Wziąłem dwa ibuprofeny od Camerona i jeszcze raz spróbowałem dodzwonić się do Jenny. Na próżno. Zostawiłem wiadomość z prośbą o telefon na automatycznej sekretarce i na poczcie głosowej. Odkładając słuchawkę, zastanawiałem się, gdzie moe teraz być. Powinna ju wrócić z pracy, a jeśli nawet gdzieś wyszła, miała przecie komórkę.

Przybity i nie w sosie przejrzałem pocztę. Właśnie skończyłem odpowiadać na ostatni e-mail, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Fraser. Był w grubej, przemoczonej kurtce i wniósł do pokoju panujące na dworze zimno. Bez odrobiny współczucia spojrzął na mój temblak.

–Tym razem się panu udało, co? Cóż mogłem mu odpowiedzieć.

–Rozmawiał pan z Wallace'em? – spytałem z nadzieją, e nie będę musiał niczego mu wyjaśniać.

Głośno prychnął.

–Tacy jak ja nie rozmawiają z nadinspektorami, za wysokie progi. Ale tak, powiedzmy, e przekazałem wiadomość dalej. – Spojrzął na mnie kwaśno. – A więc mówi

pan, e to morderstwo?

Zerknąłem na korytarz, ale nie, nikt nas nie podsłuchiwał.

–Na to wygląda. Z odrazą pokręcił głową.

–Teraz dopiero się zacznie. Ju widzę ten burdel.

–Szczątki zabezpieczone? – Martwiłem się, e pilnuje ich tylko Duncan.

**–O tak, znakomicie – mruknął. – Co pięć minut dzwonią do mnie i wrzeszczą ebym odpowiednio zabezpieczył miejsce przestępstwa. Przepraszam: miejsce zbrodni.
Mona by**

pomyśleć, e pilnujemy klejnotów koronnych.

Nie byłem w najlepszym humorze i jego utyskiwanie zaczynało działać mi na nerwy.

–Dość ju popełniono błędów.

–Ja ich nie popełniłem – odparował. – Ja tylko wykonuję rozkazy. A propos. Wallace chce, eby utrzymać to w tajemnicy do przyjazdu ekipy. To znaczy, e pan emerytowany

detektyw Brody nie moe nic wiedzieć, tak jak cała reszta.

Powiedział to ze złośliwą satysfakcją. Nie widziałem nic złego w zapoznaniu Brody’ego ze szczegółami mojego odkrycia, ale to nie ja tu decydowałem. Zresztą i tak wszyscy mieli się o tym wkrótce dowiedzieć.

Fraser się nachmurzył.

–Śledztwo w sprawie morderstwa na takim zadupiu to prawdziwy koszmar. Ale nie sądzę, eby trudno go było złapać.

–Mordercę? Tak pan myśli?

Nie dostrzegając ironii w moim głosie, wyprostował się władczo.

–Pewnie, przecie ta wysepka to maleństwo – ciągnął z coraz większym zapalem. –

Ktoś musi coś wiedzieć. Poza tym ten, kto ją zabił, nie grzeszy rozumem. Dookoła morze,

bagna i wrzosowiska, a on pali zwłoki i zostawia je na widoku? – Roześmiał się chrapliwie. –

Prawdziwy z niego geniusz!

Ale ja nie byłem tak pewny siebie. Mało brakowało i uznalibyśmy to za nieszczęśliwy wypadek. Bez względu na to, czy zabójca był przebiegły, czy miał szczęście, nie

mogliśmy więcej ryzykować.

Odwaliwszy swoje, naburmuszony Fraser poszedł zawieźć kolację Duncanowi. Nie było powodu, ebym z nim jechał, wróciłem więc do komputera z nadzieją, e zajmie mnie praca.

Ale nie zajęła. Nie mogłem się skupić. Komoda była kiepską namiastką biurka, a ściany ciasnego pokoiku napierały na mnie jak ściany mnisiej celi. Gapiąc się tępo na ekran komputera, poczułem delikatny zapach perfum Grace i reszki koncentracji szlag trafił.

Z trzaskiem zamknąłem laptop i zabrałem go na dół. Nie było sensu siedzieć w pokoju i czekać na telefon od Jenny. Wiedziałem, e jeśli zadzwoni, Ellen da mi znać.

Było jeszcze wcześniej i bar świecił pustkami. Przy swoim stoliku siedzieli gracze w domino. Gdy wszedłem, powitali mnie ostronym skinieniem głowy.

–Oidchche mhath – powiedział grzecznie ten po lewej. Pozdrowiłem ich i wrócili do gry, jakbym w ogóle nie istniał. Nielicząc ich, w barze był tylko Guthrie, brzuchaty olbrzym,

miejscowa złota rączka, który od czasu do czasu pomagał Kinrossowi na promie. Siedział

leniwie rozwalony przy ladzie, gapiąc się ponuro w prawie pusty kufel. Sądząc po jego

zaczerwienionych policzkach, na pewno nie pierwszy.

Gdy nalałem sobie whisky i postawiłem kredą kreskę na tablicy, łypnął na mnie spode łba, po czym znowu wbił wzrok w kufel. Usiadłem przy odosobnionym stoliku przy kominku, tym samym, przy którym siedziałem z Brodym i ze Strachanem.

Otworzyłem laptop, ustawiłem go tak, eby nikt nie widział ekranu i otworzyłem katalog z danymi zaginionych od Wallace'a. Jak dotąd nie miałem okazji ich przejrzeć i chocia wątpiłem, ebym na tym etapie śledztwa znalazł coś uytecznego, chwilowo nie miałem nic lepszego do roboty.

Po bryle torfu w palenisku pełzały kręte smuki dymu. Bryła miała ciemną powierzchnię, poprzecinaną kreseczkami ognia, i bił z niej aromatyczny ziemisty zapach. Było gorąco i ogarnęła mnie senność. Przetarłem oczy i spróbowałem się skupić. Ale gdy ju miałem otworzyć pierwszy plik, na stół padł czyjś cień.

Nade mną stał wielki jak góra Guthrie. Miał nisko opuszczone spodnie i brzuch

zwisał mu jak wór z wodą, ale wciąż był mężczyzną mocarnym jak niedźwiedź. Miał podwinięte rękawy i muskularne bezwłose ręce, a półlitrowy kufel niemal ginął w jego ogorzałej od wiatru dłoni.

–I co pan tu robi? – wybełkotał. Twarz miał zwiotczałą i czerwoną od piwa i whisky.

Cuchnął elazem, smarem i zjełczalym potem.

Zamknąłem laptop.

–Pracuję.

Przetrawił to, powoli mrugając. Brody mówił, eby go unikać, gdy jest pijany. Za późno.

–Pracuje pan? – parsknął i na stół spadły krople śliny. Spojrzał z pogardą na komputer.

–To nie praca. Pracuje się tym.

Podsunał mi pod nos zaciśniętą pięść. Była wielkości głowy dziecka i miała zgrubiałe od blizn palce.

–Praca to brudne ręce. Miał pan kiedyś brudne ręce? Pomyślałem o kilogramach przesianych popiołów, o zwłokach, które wykopywałem na zamarzniętych wrzosowiskach.

–Miałem. Wykrzywił usta.

–Gównu prawda. Pan nie wie, co to praca. Tak jak te sukinsyny, co zabrały mi kuter. Siedzą na dupie w tych swoich zasranych bankach i ustanawiają prawo! Nie przepracowali w yciu ani jednego, kurwa, dnia!

–Sean, usiądź ju – powiedział łagodnie jeden z graczy. Nie poskutkowało.

–Ja tylko rozmawiam – wymamrotał ponuro Guthrie. – Wracajcie do gry. – Spojrzał na mnie z góry i zachwiał się lekko. – Przyjechał pan z policją. Po tego trupa.

Zabrzmiało to jak wyrzut.

–Tak. Myślałem, e spyta mnie, kto to był albo jak zginął. Ale Guthrie mnie zaskoczył.

–W takim razie co pan tu ma? – spytał, sięgając po komputer. Położyłem rękę na klapie. Serce waliło mi jak młotem, lecz głos miałem opanowany.

–Przepraszam, ale to moja sprawa. Próbował mnie naciskać, ądał wyjaśnień, lecz nie ustąpiłem. Bez trudu mógłby

zabrać mi laptop, ale jeszcze do tego nie dojrzał. Mimo to widziałem, e rozwaaa taką moliwość.

–Chciałem tylko popatrzeć – rzucił z wyraźną groźbą w głosie.

Nawet ze sprawną ręką nie miałbym z nim szans. Był o głowę wyszy i zaprawiony w barowych bójkach. Ale miałem za sobą koszmarne dzień i było mi wszystko jedno. Poza tym ja te ciężko pracowałem. Wyszarpnąłem komputer.

–Powiedziałem, e nie.

Trzął mi się głos, lecz trzął się z gniewu, nie ze strachu. Zaskoczony Guthrie rozdziawił usta, ale szybko je zamknął. Zacisnął pięści i zrobiło mi się słabo na myśl, e w aden sposób nie zdołam zapobiec temu, co się zaraz stanie.

–Znowu rozrabiasz, małpeczko?

Do baru weszła Maggie Cassidy. Ruszyła prosto w jego stronę i na chwilę struchlałem, widząc, jaka jest przy nim mała. Ale wtedy Guthrie uśmiechnął się szeroko.

–Maggie! Słyszałem, e wróciłaś! Objął ją jak niedźwiedź i zginęła w jego potężnych ramionach.

–Pomyślałam, e wpadnę i zobaczę, jak yjesz. No, postaw mnie ju, ty gorylu! Teraz uśmiechali się ju obydwaje. Guthrie natychmiast o mnie zapomniał i chęć do

bójki ustąpiła miejsca niemal dziecięcej radości. Maggie dźgnęła go w brzuch i z udawanym alem pokręciła głową.

–Jesteś na diecie? Okropnie zmarniałeś! Guthrie ryknął śmiechem.

–Usycham z tęsknoty za tobą. Napijesz się czegoś?

–Myślałam, e ju nigdy o to nie spytasz. Puściła do mnie oko i uśmiechnąwszy się do graczy w domino, zaprowadziła go do

baru. Lekko trzęsącą się ręką podniosłem szklankę do ust. Działanie adrenaliny powoli ustępowało. Tak, tylko tego mi było trzeba na zakończenie dnia.

W barze robiło się coraz tłoczniej. Do Maggie i Guthriego dołączył Kinross ze swoim osiemnastoletnim synem. Posypały się przyjacielskie szyderstwa, buchnął śmiech.

Zauwayłem, e ilekroć Maggie odzywa się do młodego Kinrossa, okrutny trądzik na jego twarzy robi się jeszcze bardziej czerwony. Gdy rozmawiała z jego ojcem, chłopak nie odrywał od niej oczu, lecz gdy tylko na niego spojrzała, natychmiast spuszczał wzrok.

Nie tylko Bruce Cameron jest kimś zauroczony, pomyślałem.

Patrząc, jak ciepło i swobodnie rozmawiają, uświadomiłem sobie z całą mocą, e do nich nie pasuję. Śe to są ludzie, którzy urodzili się tu i wychowali, ludzie, którzy pewnie tu umrą, na tej samej wyspie, w tej samej hermetycznie zamkniętej społeczności. Łączyła ich tosamność i pokrewieństwo waniejsze ni jakiegokolwiek inne więzy. Nawet Maggie, która przed laty opuściła Runę, wciąż przynależała tu tak, jak aden obcy – taki jak choćby ja czy „element napływowy”, Brody czy Strachan – przynaleeć nie będą.

A teraz jeden z nich był mordercą. Moe siedział nawet w tym barze. Patrzyłem na ich twarze i przypomnialy mi się słowa Frasera: „Przecie ta wysepka to maleństwo. Ktoś musi coś wiedzieć”. Śę w tym, e wiedzieć i powiedzieć to dwie róne rzeczy.

Bez względu na to, jakie tajemnice kryła Runa, nie przypuszczałem, eby łatwo je zdradziła.

Nie miałem ochoty dłużej tam siedzieć. Chciałem wstać i wyjść, kiedy Maggie przechwyciła moje spojrzenie, przeprosiła swoich rozmówców i ruszyła w moją stronę. Kevin Kinross obserwował ją ukradkiem. Zobaczył, e na niego patrzę, i szybko uciekł wzrokiem w bok.

Maggie usiadła i posłała mi szeroki uśmiech.

–Widzę, e zdążyście się ju poznać.

–Ja i Guthrie? Powiedzmy.

–Sean jest nieszkodliwy. Musiał pan nastąpić mu na odcisk.

–Ciekawe jak?

–Jak? – Maggie zaczęła wyliczać na palcach. – Jest pan tu obcy, jest pan Anglikiem i siedzi pan przy stole z supernowoczesnym laptopem. Jeśli chce pan zniknąć w tle, robi pan to dość niezdarnie.

Roześmiałem się. Szczerze. Chwilę przedtem doszedłem do identycznego wniosku.

–A ja myślałem, e siedzę tu, pilnuję własnego nosa i nikomu nie wadzę.

Wszyscy wiedzą, e kiedy Sean wypije, robi się trochę nerwowy. Aleja mu się nie

dziwię. Był dobrym rybakim, zanim bank nie zabrał mu kutra. Teraz chwyta się dorywczych zajęć i próbuje naprawić starą krypę, którą skądś wytrzasnął. – Westchnęła. – Chciałam tylko powiedzieć, eby nie myślał pan o nim źle.

Mogłem jej wytknąć, e to nie ja szukałem zwady, ale nie wytknąłem. Zerknęła na zegarek.

–Muszę lecieć. Babcia zastanawia się pewnie, gdzie jestem. Wpadłam się tylko pokazać i lepiej, eby nie było mnie tu, kiedy przyjdzie Fraser.

Wyraźnie czekała, a ją o niego spytam. Zresztą ciekawiło mnie to od chwili ich rozmowy na promie.

–Dlaczego tak się nie lubicie? To pani były chłopak?

–Udam, e tego nie słyszałam – odparła z uśmiechem. – Powiedzmy, e mamy ze sobą na pieńku. Parę lat temu naszego miłego sieranta zawieszono za molestowanie po pijanemu aresztantki. Zarzuty zostały oddalone i miał szczęście, e go nie zdegradowano. Dowiedziała się o tym „Gazette” i wybuchła afera.

Wzruszyła ramionami, chocia nie tak obojętnie, jak by chciała.

–To był mój pierwszy duy artykuł. Teraz ju pan wie, dlaczego Fraser nie przysyła mi kartek na Boe Narodzenie.

Wróciła do swoich kompanów z uśmiechem smutnym, lecz i dumnym. Gdy zaczęła się z nimi egnąć, wyszedłem z baru. Odkąd zjadłem u Grace omleta, nie miałem nic w ustach, ale byłem bardziej zmęczony ni głodny. No i odczuwałem swoistą ulgę, e nie spotkałem Brody’ego. Wallace miał prawo nie dopuszczzać go do śledztwa, jednak Brody bardzo mi pomógł i było mi głupio, e muszę coś przed nim ukrywać.

Wykończony poszedłem na górę. Ta wyprawa od samego początku była pasmem klęsk i niepowodzeń, ale pocieszałem się myślą, e ju niebawem wszystko wróci do normy. Nazajutrz przybędzie ekipa dochodzeniowa. Machina ruszy i śledztwo szybko nabierze rozpędu. Zanim się obejrzę, będę ju w drodze do domu i szybko zapomnę o Runie.

Ale ju wtedy powinienem był wiedzieć, e nie mona niczego zakładać z góry.

Bo tej nocy nad wyspą rozpętał się sztorm.

Rozdział 11

Dotarł do nas tu po północy. Później dowiedziałem się, że nad wybrzeżem Islandii zderzyły się dwa fronty atmosferyczne znaną Arktyki, walczące o dominację nad północnym Atlantykiem. Ich bitwa miała być jedną z największych burz, jakie przetoczyły się nad Hebrydami w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, nawałnicą, która pozostawiwszy po sobie pasmo domów z pozrywanymi dachami i zalanych wodą dróg, ucichła dopiero nad wybrzeżem Szkocji.

Ale zanim ucichła, życie mieszkańców Runy miało ulec nieodwracalnej zmianie.

Znajdowałem się w pokoju, gdy nadeszła. I byłem zmęczony, a zmęczonemu trudno jest zasnąć. Jenny nie zadzwoniła, jej telefon nie odpowiadał, ani komórkowy, ani domowy. To było do niej niepodobne. Zaczął mnie dręczyć niepokój, że coś się stało. Na domiar złego oknem trzęsły gwałtowne podmuchy wiatru. Mimo środków przeciwbólowych bolało mnie ramię, a ilekroć zasypiałem, śniło mi się, że spadam w przepaść, i natychmiast się budziłem.

Zastanawiałem się właśnie, czy nie lepiej byłoby wstać i trochę popracować, gdy zadzwonił telefon. Szybko podniosłem słuchawkę.

–Halo? – rzuciłem.

–To ja. Na dźwięk jej głosu napięcie, z którego istnienia nie zdawałem sobie sprawy, momentalnie minęło.

–Cześć – odrzekłem, zapalając lampkę. – Dzwoniłem do ciebie przez cały dzień.

–Wiem. Odsłuchiwałam wiadomość. – Była przygaszona i markotna. – Wyszłam z Suzy i kilkoma koleżankami z pracy. Wyłączyłam komórkę.

–Dlaczego?

–Nie chciałam z tobą rozmawiać.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Przeraźliwie zawodząc, wiatr owinał się wokół domu.

Zamrugła lampka.

–Martwiłam się, kiedy nie zadzwoniłeś – dodała po chwili. – Nie mogłam dodzwonić się na komórkę, a nie wiedziałam nawet, gdzie się zatrzymałeś. Kiedy odsłuchiwałam twoją wiadomość, poczułam się... Sama nie wiem, chyba byłam zła. Dlatego wyłączyłam telefon i wyszłam. Ale teraz wróciłam i bardzo, ale to bardzo chcę porozmawiać.

–Przepraszam, nie wiedziałem...

–Nie chcę, ebyś mnie przeproszał! Chcę, ebyś był tutaj, a nie na tej przeklętej wyspie! Poza tym za duo wypiałam i to te twoja wina.

Chyba się uśmiechnęła. Niechętnie, ale jednak. Podniosło mnie to na duchu, chociaż ciężar na piersi nie zniknął.

–Cieszę się, e zadzwoniłaś.

–Ja te. Ale wciąż jestem na ciebie wkurzona. Tęsknię, a ciebie nie ma i nie wiem nawet, kiedy wrócisz.

W jej głosie zabrzmiała nutka strachu. Jenny doszła do siebie po przeyciach, które zabiłyby większość ludzi. I chociaż przeycia te ją wzmocniły, pozostawiły po sobie osad, niepokój, który od czasu do czasu wypełzał na wierzch. A za dobrze wiedziała, jak cienka granica dzieli codzienne życie od totalnego chaosu. I jak łatwo tę granicę przekroczyć.

–Ja te za tobą tęsknię.

Zapadła głucha cisza. Cisza, w której słycać było tylko szept linii telefonicznej.

–Nie moesz odpowiadać za wszystkich. Nie rozwiązesz wszystkich problemów. Nie wiedziałem, czy powiedziała to z alem, czy z rezygnacją.

–Nawet nie próbuję.

–Nie? Czasem próbujesz. Myślisz za innych. Moe nie za mnie, ale za innych. –

Westchnęła. – Kiedy wrócisz, musimy porozmawiać.

Coś otarło się o moje serce.

–O czym?

Jej odpowiedź zagłuszyły głośne trzaski. Głos się rozmył, ale niezupełnie.

–...słyszysz?

–Nie. Jenny? Jesteś tam?

Nie odpowiedziała. Zastukałem widełkami, lecz sygnał ju nie powrócił.

Linia padła.

I jakby na umówiony znak zgasła lampka. Po chwili zapaliła się, zamrugała, wreszcie przestała. Ale świeciła teraz słabiej niż przedtem. Sztorm miał najwyraźniej wpływ nie tylko na funkcjonowanie telefonów.

Ocięły i sfrustrowany odłożyłem słuchawkę. Wiatr tryumfalnie zaryczał, siekąc szybę deszczem. Podszedłem do okna. Wichura rozpędziła chmury i ulicę zalewała upiorna poświata bladego księżyca. Dygotała latarnia.

Stała pod nią jakaś dziewczyna, nastolatka.

Stała bez ruchu, jakby migotanie światła zaskoczyło ją i sparaliowało. Gdy wyjrzałem przez okno, podniosła głowę i przez parę sekund patrzyliśmy na siebie. Nie znałem jej. Była w cienkiej kurtce, stanowczo za lekkiej na taką pogodę. Pod kurtką miała coś, co

wyglądało na jasną koszulę nocną. Wiatr targał jej ubraniem, głowę oblepiały mokre włosy. Mrugała, bo deszcz zalewał jej oczy.

Potem czmychnęła w mrok, w stronę portu, i zniknęła.

Nadzieja, że sztorm do rana ucichnie, przysła, gdy tylko się obudziłem. Wiatr wciąż atakował okno, deszcz wciąż siekł szybę jakby sfrustrowany, że nie może jej roztrzaskać.

Wciąż ciążyło mi wspomnienie wieczornej rozmowy z Jenny, lecz telefon był głuchy. Mógłbym poyczyć policyjny i zadzwonić do niej później, ale wiedziałem, że dopóki nie naprawią linii, próby skontaktowania się ze światem zewnętrznym nie mają sensu.

Dobrze, że prąd nie wysiadł, chociaż migające światła ostrzegały, że lada chwila może do tego dojść.

–Jedna z uciech życia na wyspie – powiedziała Ellen, gdy zszedłem na śniadanie. Ann jadła płatki przy stole, a przenośny grzejnik gazowy napełniał kuchnię ostrym, gryzącym ciepłem. – W złą pogodę telefony zawsze wysiadają. A jeśli sztorm jest silny, to i prąd.

–Długo to zwykle trwa?

–Parę dni, czasem dłużej. – Uśmiechnęła się, widząc moją minę. – Proszę się nie martwić, już do tego przywykliśmy. Mamy własny generator, a wszyscy gotują tu na gazie. Nie umrzemy z głodu ani nie zamrzniemy.

–Co ci się stało w rękę? – spytała Ann, patrząc na mój temblak.

–Upadłem.

Zastanawiała się nad tym przez kilka sekund.

–Powinieneś uważać, gdzie chodzisz – dodała z pełnym przekonaniem i znowu zajęła się jedzeniem.

–Ann! – skarciła ją Ellen. Roześmiałem się.

–Ma rację, chyba powinienem.

Poprawił mi się nastrój i wchodziłem do baru z uśmiechem. No i co z tego, e przez

parę dni nie będzie mona korzystać z telefonu? To tylko niedogodność, a nie sprawa życia i śmierci. Fraser był w połowie śniadania i poerał właśnie kielbaski i jajecznicę na bekonie. Znowu miał kaca, ale chyba mniejszego ni poprzednio. Bliski przyjazd ekipy dochodzeniowej musiał zdławić jego entuzjazm.

–Rozmawiał pan ju z Duncanem? – spytałem, siadając. Martwiłem się, jak przyczepa wytrzyma na tym wietrze. Duncanowi musiało być tam niewygodnie – delikatnie mówiąc.

–Tak, nic mu nie jest – mruknął. Podsunął mi radiotelefon. – Nadinspektor chce, eby pan do niego zadzwonił.

Dobry nastrój szlag trafił. Czułem, e ma dla nas złe nowiny. I rzeczywiście miał.

–Sztorm pokrzyował nam plany – zaczął bez wstępu Wallace, połączenie było tak

fatalne, jakby mówił do mnie z drugiego końca świata. – Dopóki się nie uspokoi, nie przyślę

wam ani ekipy, ani nikogo innego. Nie mam jak.

Chocia podświadomie się tego spodziewałem, był to prawdziwy cios.

–A kiedy będzie pan mógł?

Odpowiedź zagłuszyły sykliwe trzaski. Poprosiłem go, eby powtórzył.

–Nie wiem. Samoloty i promy nie kursują nawet do Stornoway, nie mówiąc ju o Runie. Prognozy na najbliższe dni są fatalne.

–A śmigłowiec stray przybrzanej? – Wiedziałem, e kiedy trzeba dotrzeć na jakąś niedostępną wyspę, policja czasem z nich korzysta.

–Bez szans. Sztorm sieje spustoszenie wśród statków. Nie poświęcą maszyny tylko

po to, eby wysłać ją na jakieś zadupie po miesięcznego trupa. A nawet jak by wysłali, na Runie są silne prądy wstępujące od strony skał i wzgórz. Trudno się tam dostać nawet przy słabym wietrze. Przykro mi, ale będziecie musieli poczekać.

Rozboliła mnie głowa; rozmasowałem sobie skronie. Znowu zagłuszyły go trzaski.

–...wciągnąć w to Brody’ego. Wiem, e jest na emeryturze, ale swego czasu kierował dwoma śledztwami w sprawie morderstwa. Do póki nie przyjadą tam nasi, jego doświadczenie moe się wam przydać. Macie wykonywać jego rozkazy. – Przerwał. –

Rozumie pan?

Rozumiałem a za dobrze. Ja te wołałem Brody’ego ni Frasera. Ale Fraser siedział dokładnie naprzeciwko mnie. Oddając telefon, próbowałem na niego nie patrzeć.

Najwyraźniej ju o wszystkim wiedział. Schował telefon do kieszeni, łypiąc na mnie spode łba, jakby to była moja wina.

–Rozmawiał pan z Brodym? – spytałem. Błąd. Sierant wbił widelec w kawałek bekonu.

–Porozmawiam po śniadaniu. I po tym, jak zawiozę śniadanie Duncanowi. –

Przeuwał jedzenie, gniewnie poruszając węsami. – Teraz ju chyba nie ma pośpiechu, nie?

Pośpiechu moe i nie było, ale wołałbym, eby Brody dowiedział się o tym jak najprędzej.

–Ja z nim porozmawiam.

–Jak pan chce. – Sierant przekroił jajko tak energicznie, jakby próbował przekroić talerz.

Skończyłem jeść szybciej od niego, ale nie zrozumiał aluzji. Pozostawiwszy go ponurym myślom, spytałem Ellen o drogę do domu Brody’ego i włożyłem kurtkę.

Gdy wyszedłem z hotelu, omal nie porwał mnie wiatr. W jego przeraźliwym wyciu i zawodzeniu było coś histerycznego i zanim dotarłem na nabrzeże, od ciągłego osłaniania się rozboliła mnie ramię. Stack Ross, czarna skała u wejścia do portu, ginęła we mgle i roztrzaskiwały się o nią białe grzywacze. Nieustannie atakowały równie falochron, zmieniając się w fontanny piany, którą wiatr niósł a na ulicę. Kutry i łodzie rzucały się wściekle na cumach, a burta promu Kinrossa stukotała głucho w

opony na betonowym molo.

Brody mieszkał za przystanią. Szedłem nabrzeżem, trzymając się jak najdalej od rozbryzgów piany. Po drugiej stronie portu wznosiły się wysokie skały, a w małej kamienistej zatoczce u ich podnóży stał duży przerdzewiały metalowy barak. Wokół baraku leżały sterty materiałów budowlanych, a na podwórzu gniły kadłuby starych łodzi. Jedna z nich stała na kozłach. Najwyraźniej ją remontowano, bo miała częściowo zerwane poszycie i przegniłe wręgi wyglądały jak ebra morskiej bestii. Zastanawiałem się, czy to stara krypa Guthriego, o której wspominała Maggie.

Jeśli tak, facet miał pełne ręce roboty.

Dom Brody'ego stał nieco dalej. Porządny bungalow jakimś cudem uniknął tandetnych modyfikacji z PCV, od których roiło się w sąsiednich domach. Ciekawiło mnie, czy to przez niechęć do Strachana inspektor nie chciał, żeby dom zmodernizowano.

Otworzył drzwi z taką miną, jakby mnie oczekiwał.

–Proszę, niech pan wejdzie.

W środku pachniało obiadem i sosnowym środkiem odkażającym. Dom był mały i

zadbany, i jak to u kawalera, brakowało w nim ozdóbek. Pod wyłożonym płytkami kominkiem syczał gazowy płomień. Na centralnym miejscu gzymsu stało zdjęcie kobiety i małej dziewczynki. Musiało zostać zrobione dość dawno temu i domyśliłem się, że to jego ona i córka. Po ekranie dużego monitora na stole w kącie saloniku pływały tropikalne ryby.

Gdy wszedłem, leżąca w koszu Bess podniosła łeb, zamierdała ogonem i znowu zasnęła.

–Herbaty? – spytał Brody.

–Nie, dziękuję. Przepraszam, że przychodzę bez uprzedzenia, ale telefony nie działają.

–Tak, wiem. Był w grubym rozpinanym swetrze. Stał przed kominkiem i schował ręce do

kieszoni. Czekał.

–Miał pan rację. To było morderstwo. Przyjął to spokojnie.

–Na pewno może pan o tym mówić?

–Wallace chce, ebym pana wprowadził. – Opowiedziałem mu o moim odkryciu, streściłem rozmowę z nadinspektorem. Dopiero wtedy się uśmiechnął.

–Fraser na pewno dobrze to przyjął. – Szybko spowaniał i zamyślił się. – Wypadek to

wypadek, ale morderstwo zupełnie zmienia sytuację. Istnieje moliwość, e zabójcą jest ktoś

obcy, chocia to mało prawdopodobne. Ofiara przyłynęła na Runę z jakiegoś powodu i

według mnie tym powodem był on. Niewane, czy przyjechała sama, czy ją przywiózł; tak

jak mówię, pełno tu rónych łodzi. Ale uwaam, e powinniśmy załoyć, e zabił ją ktoś stąd

i e ofiara go znała.

Wyciągnąłem ju identyczny wniosek.

–Wciąż nie rozumiem, dlaczego spalił zwłoki i zostawił je w chacie, zamiast je zakopać albo wrzucić do morza.

Moe z lenistwa. Albo z nerwów. Trzeba sporo odwagi, eby wrócić na miejsce zbrodni. Odwagi albo bezczelności. – Wzruszył ramionami. – Chryste, szkoda, e Wallace nie przysłał tu ekipy, kiedy jeszcze mógł. Wiedzielibyśmy ju, kto to jest. Schwytanie mordercy byłoby duo łatwiejsze.

–A teraz? Moemy coś zrobić? Ciężko westchnął.

–Moemy tylko czekać, a sztorm minie i mieć nadzieję, e uda się to utrzymać w tajemnicy. Gdyby przed przyjazdem dochodzeniówki wydało się, e prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa, byłoby fatalnie. To ostatnia rzecz, jakiej bym chciał.

Byłem kiedyś członkiem społeczności, którą rozdarły podejrzenia i strach, i nie miałem ochoty przywać tego znowu. Mimo to wydawało mi się, e utrzymywanie mieszkańców Runy w nieświadomości nie jest dobrym posunięciem.

–Boi się pan, jak by zareagowali?

–O to te. Morderstwo czy nie, wyspiarskie społeczności nie lubią kiedy ktoś obcy wtrąca się w ich sprawy. Ale bardziej martwi mnie reakcja zabójcy. Teraz myśli, e

policja traktuje to jak zwykły wypadek. Jeśli dowie się, e jest inaczej, wszystkie nasze założenia diabli wezmą.

O tym nie pomyślałem.

–Uwaa pan, e moe być niebezpieczny? Brody sposepniał.

–Ludzie przyparci do muru są nieprzewidywalni. Mając do dyspozycji tylko dwóch policjantów, wolałbym nie ryzykować.

Czekając, a to przetrawię, z roztargnieniem poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów.

–Są na kominku – powiedziałem. Uśmiechnął się zakłopotany i sięgnął po paczkę.

–W domu staram się nie palić. Moja ona nie znosiła dymu i po piętnastu latach małżeństwa w końcu mnie wytresowała. Jestem teraz jak pies Pawłowa.

–To ona i pańska córka? – spytałem, wskazując zdjęcie.

On te na nie spojrzał, machinalnie obracając w palcach papierosa.

–Tak, Ginny i Rebecca. Becky ma tu... z dziesięć lat. Rozwiedliśmy się rok później.

Ginny wyszła za agenta ubezpieczeniowego.

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Cóż mogłem na to poradzić?”

–A córka?

Brody długo milczał. – Nie yje. Poczulem się tak, jakby grzmotnął mnie pięścią w brzuch. Fraser mówił, e uciekła,

nic więcej.

–Przepraszam, nie wiedziałem – powiedziałem niezręcznie.

–Bo i skąd mógł pan wiedzieć? Sam nie mam na to dowodu. Ale wiem, e nie yje. Czuję to. – Spojrzał na mnie z ukosa. – Wallace trochę mi o panu opowiadał. Pan te był ojcem, wie pan, jak to jest. Coś w człowieku umiera.

Nie ucieszyłem się, e Wallace uznał za stosowne opowiadać mu o mojej przeszłości. To, e obcy rozmawiali o śmierci Kary i Alice, nawet teraz wydawało mi się naruszeniem mojej prywatności. Ale wiedziałem, o co Brody’emu chodziło.

–Co się stało? – spytałem. Spojrzał na papierosa.

–Nie układało się między nami. Kiedy Ginny zmarła, straciłem z nią kontakt. Becky zawsze się przeciwko czemuś buntowała. Szukałem jej po przejściu na emeryturę. Wszędzie. Dlatego kupiłem ten samochód przyczepę, eby zaoszczędzić na hotelach. Na niewiele się przydał. Jestem policjantem. – Szybko się poprawił: – Byłem policjantem. Wiem, jak łatwo jest zniknąć. Ale umiem równie szukać tych, którzy zniknęli. Przychodzi taka chwila, kiedy się wie, e przypadli na dobre. Œe się ich nie znajdzie. W kadym razie nie ywych.

–Bardzo mi przykro.

–Czasem tak bywa. – Jeśli targały nim jakieś emocje, niczym tego nie okazywał. Podniósł papierosa. – Mogę?

–Jest pan u siebie. Kiwnął głową i z uśmiechem schował papierosa do paczki.

–Zaczekam, a pan pójdzie. Stare nawyki.

–Jeszcze jedno. Moe zabrzmiało to dziwnie, ale... Wczoraj widziałem przez okno jakąś dziewczynę, nastolatkę. Musiało być ju po północy. Mokła na deszczu w cienkiej kurtce.

–Spokojnie, nie przywidziało się panu – odparł z uśmiechem Brody. – To Mary Tait,

córka Karen. Pamięta pan tę krzykaczkę z baru? Chyba wspominałem panu o Mary... Dawniej powiedzielibyśmy, e jest „niedorozwinięta”, ale teraz to określenie niepolityczne. Karen pozwala jej chodzić, gdzie zechce. Dziewczyna łązi po całej wyspie, w dzień i w nocy.

–I nikt nic nie mówi?

–Jest nieszkodliwa.

–Nie o to chodzi. – Upośledzona umyślowo czy nie, dziewczyna była prawie dorosła. I łatwo mogła paść ofiarą kadego, kto chciałby ją wykorzystać.

–Nie – przyznał Brody. – Myślałem, eby zawiadomić tych z opieki społecznej. Ale nie sądzę, eby ktoś stąd mógł zrobić jej krzywdę. Wiedzą co by się z nimi stało.

Przed oczami stanął mi obraz spalonych zwłok w opuszczonej chacie.

–Jest pan pewien?

–Ma pan rację. Moe lepiej...

Urwał, bo ktoś zapukał do drzwi. Bess postawiła uszy i cicho zawarczała.

–Leeć – rzucił Brody i poszedł otworzyć.

Usłyszałem, jak z kimś rozmawia. Chwilę później wrócił. Z przemoczonym, ponurym Fraserem. Ociekając wodą sierant strząsnął wodę z rękawów.

–Mamy problem – powiedział.

Kiedy przyjechaliśmy, Duncan czekał niecierpliwie przed przyczepą. Przyczepa była bardziej odsłonięta, bo stała z dala od skał i domów. Wiatr, pędzący przez czarne torfowiska w kierunku Beinn Tuiridh, przygniatał trawę do ziemi.

Podwładny Frasera podbiegł do nas, gdy wysiedliśmy. Wichura rozplaszczyła nam kurtki na ciele, groąc wyrwaniem otwartych drzwiczek.

–Od razu zadzwoniłem. – Duncan musiał niemal krzyżeć. – Jakies pół godziny temu usłyszałem trzask.

Wtedy to zobaczyliśmy.

Orkan zerwał kawał dachu. Pozostała część niebezpiecznie zwisała, łopotąła, trzeszczała i dygotała, bo wiatr wciąż próbował dokończyć dzieła. Wiedziałem, e jeśli zwłoki nie uległy zniszczeniu, wkrótce nic z nich nie zostanie.

–Przepraszam! – krzyknął Duncan, jakby nas zawiódł.

–To nie twoja wina, synu. – Brody poklepał go po ramieniu. – Dzwon do

nadinspektora i powiedz mu, jaka jest sytuacja. Powiedz, e musimy usunąć zwłoki, zanim

szlag trafi resztę dachu.

Duncan zerknął z wahaniem na Frasera, ale ten niechętnie skinął głową. Duncan wyjął radiotelefon, a my ruszyliśmy do chaty. Przegradzająca wejście taśma wciąż łopotąła na

wietrze, ale drzwi wyleciały z zawiasów i leały teraz na podłodze tego, co było kiedyś kuchnią. Wszędzie wały się roztrzaskane dachówki, a przez otwarty dach lał się do środka deszcz. Odruchowo pochyliśmy głowę, gdy wiatr porwał kolejną dachówkę. Nadbiegł Duncan.

–Nie odpowiada. Rozmawiałem z posterunkiem w Stornoway, spróbują przekazać mu

wiadomość.

Brody popatrzył na stos gruzu w chacie. Potem spojrzął na mnie z mokrą od deszczu twarzą.

–Chyba nie mamy wyboru, co?

–Nie mamy. Inspektor podszedł bliżej i zaczął zrywać taśmę.

–Co pan, do diabła, robi?! – krzyknął Fraser.

–Zabezpieczam dowody rzeczowe – odparł Brody. – Dach się zaraz zapadnie.

–To miejsce przestępstwa! Bez zezwolenia nie ma pan prawa! Brody zerwał ostatni kawałek taśmy.

–Na zezwolenia nie ma czasu.

–Inspektor ma rację – wtrąciłem. – Musimy ratować, co się da.

–Nie biorę za to odpowiedzialności! – zaprotestował Fraser.

–Nikt pana o to nie prosi. – Brody wszedł do środka.

Ja za nim, omijając roztrzaskane dachówki na podłodze. Pokój z kominkiem był mniej

uszkodzony ni kuchnia, ale dach, a właściwie połowa dachu, zapadł się i tu. Reflektor był roztrzaskany, a z siatki, którą tak starannie rozpinałem nad zwłokami, został tylko sznurek z węzłami. Zalany wodą popiół zmienił się w czarną breję.

Ale najwenniejsza część szczątków ocalała. Torebki z próbkami popiołu i fragmentami kości, które zebrałem z sita, wały się w kałuy, lecz woda do nich nie dotarła.

–Zabierzmy je stąd – powiedziałem. – Muszę mieć walizkę, jest w przyczepie.

–Ja przyniosę – odparł od drzwi Duncan. Nie wiedziałem nawet, e przyszedł. Frasera nie było.

–Niech pan weźmie, ile się da – rzuciłem do Brody'ego. Znowu dmuchnął wiatr i

resztką dachu uniosła się z jękiem. A się wzdrygnąłem. – Szybko.

Gdy Brody i Duncan pobiegli z torebkami do przyczepy, spojrziałem na szczątki. śyćie zredukowane do kilku szerniałych kości i garstki zimnych popiołów na łasce i

niełasce ywiolu – było w tym coś nieskończenie smutnego. Dobrze chociaż, e dzięki zdjęciom i notatkom będę mógł odtworzyć położenie zwłok. Lepsze to ni nic.

Ale nie miałem czasu o tym myśleć. Gdy wrócił Duncan, z trudem naciągnąłem kombinezon na temblak, włożyłem rękawiczkę i podszedłem do zwłok. Pracując najszybciej, jak tylko mogłem, schowałem do torebki czaszkę i szczękę i zacząłem zbierać z podłogi zęby i odłamki kości.

Ledwie skończyłem, gdy dach przeraźliwie jęknął. Kilkadziesiąt centymetrów ode mnie spadła dachówka.

–Lepiej niech pan się pospieszy – rzucił od drzwi Brody.

–Szybciej nie mogę. Raptem wiatr ucichł. Zapadła cisza, w której słyhać było tylko kapanie wody.

–Chyba przestało wiać – powiedział z nadzieją Duncan. Ale Brody tylko przekrzywił głowę, uwanie nasłuchując. Doszedł nas odległy, lecz

szybko narastający łoskot. Przypominał ryk pędzącego pociągu.

–Nie – odparł Brody. – Zmienił kierunek. – I wtedy wiatr zaatakował znowu.

Tym razem wpadł prosto do chaty, unosząc resztki dachu i obryzgując mnie czarnym

szlamem. Dach zaprotestował, stęknęły belki, na podłogę znowu posypały się dachówki.

–Zmiatajmy stąd! – krzyknął Brody, popychając Duncana w stronę drzwi.

–Zaraz! – Nie zdążyłem jeszcze zabrać ocalałej ręki i stóp, a potrzebowaliśmy ich do dalszych analiz. Ale zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, rozległ się głośny trzask i dach zaczął się zapadać.

–Uciekaj! – ryknął Brody. Pociągnął mnie za sobą w chwili, gdy podnosiłem z podłogi rękę.

–Walizka! – wrzasnąłem.

Brody chwycił ją w biegu. Osłaniając głowy, w lawinie roztrzaskanych dachówek i

rozłupanych belek przebiegliśmy przez kuchnię. Coś za nami potężnie huknęło i przez jedną zatrwaającą chwilę myślałem, e runęła cała chata. Nagle znaleźliśmy się na dworze.

Zdyszani spojrzeliśmy za siebie. Dachy nie było. Część zerwał wiatr, część zapadła się wraz z połową ściany. Salonik, z którego przed chwilą uciekliśmy, był zawalony gruzem.

Pod gruzem spoczywała równie reszta szczątków spalonej kobiety.

Fraser i Duncan mieli zaszokowane miny.

–Jezu Chryste – wysapał sierant, gapiąc się na mnie z przerażeniem.

**Spojrzałem w dół. Kombinezon był zachlapany mokrym popiołem. Czułem, że twarz
te, że wyglądam jak skruszony pokutnik na Wielkanoc. Ale nie na to patrzyli.**

**Niczym część manekina z wystawy sklepowej, z zaciśniętej ręki sterczała mi ludzka
dłoń.**

Rozdział 12

Zawieźliśmy szczątki do miasteczka. Mogliśmy je zostawić w przyczepie, ale podczas gdy kości i popiół dałoby się tam przechować, rękę i stopy musieliśmy włożyć do lodówki, eby zapobiec rozkładowi. A lodówki w przyczepie nie było.

Przychodnia – to Duncan wpadł na ten pomysł. Musieliśmy uzgodnić to z Cameronem i pewnie ze Strachanem, bo to on ją ufundował. Ale ponieważ nie mając wyboru, usunęliśmy szczątki z miejsca zbrodni, było to jedyne i oczywiste wyjście.

Fraser wciąż gderał. Wyraźnie dawał nam do zrozumienia, e nie chce mieć nic wspólnego z tym, co zrobiliśmy.

–Zabraliście je bez mojego pozwolenia – warknął, gdy ładowaliśmy torby do range rovera. – To była wasza decyzja, nie moja.

–Wolałby pan, eby tam zostały? – Brody ruchem głowy wskazał pozbawioną dachu chatę. – Wyjaśniłby pan nadinspektorowi, dlaczego staliśmy z założonymi rękami i patrzyliśmy, jak chałupa wali się na zwłoki?

–Chcę tylko powiedzieć, e nie biorę za to odpowiedzialności. Niech pan sam wyjaśni to Wallace’owi.

Wciąż nie mogliśmy się z nim skontaktować. Niemal współczułem sierantowi. Za nic nie chciał przyznać, e sprawa go przerasta, i nadrabiał miną.

–Niech pan się nie martwi, wyjaśnię. – Brody powiedział to łagodnie, acz z nieukrywaną pogardą. – I skoro ju umywa pan ręce, mógłby pan chocia zastąpić Duncana.

Umyłby się u mnie po powrocie z przychodni.

–Zastąpić Duncana? – warknął z niedowierzaniem Fraser. – Mam tu zostać? Po co? Tu

nie ma czego pilnować.

Duncan poczuł się nieswojo.

–Nie, zostanę.

–Siedziałeś tu przez całą noc – odparł Brody, zanim sierant zdążył zareagować. – Jestem przekonany, e pan sierant nie wydałby podwładnemu rozkazu, którego sam nie zdołałby wykonać.

–Dobrze – rzucił jadowicie Fraser. Dźgnął Duncana palcem. – Ale masz wrócić nie później ni o szóstej. Dzisiaj te tu posiedzisz.

I posłał Brody'emu triumfalne spojrzenie.

–Przecie miejsca zbrodni nie mona zostawiać bez nadzoru, prawda?

Inspektor tylko zacisnął zęby. Gdy sierant odszedł dumnym krokiem w stronę przyczepy, uśmiechnął się do wciąż zasępionego Duncana.

–Chodź, synu. Przyda ci się prysznic.

Jechałem z Duncanem, a on za nami, swoim samochodem. Z ulgą skryłem się przed wiatrem i deszczem. Bolała mnie ręka; musiałem nadwerężyć ją, wybiegając z chaty. Oparłem głowę o zagłówek, zamknąłem oczy i następną rzeczą, która do mnie dotarła, było to, e Duncan mnie budzi.

–Panie doktorze? Spytamy, o co chodzi?

Usiadłem prosto i szybko zamrugąłem. Na poboczu stał porsche, którego widziałem w

domu Strachanów. Machając do nas ręką, obok porsche stała Grace w białej parce.

–Lepiej spytajmy – odrzekłem.

Zatrzymaliśmy się. Wiatr rozwiewał jej włosy. Opuściłem szybę.

–David, dzięki Bogu! – wykrzyknęła z promiennym uśmiechem. – To beznadziejne, ale jechałam właśnie do miasta i zabrakło mi benzyny. Przeklęty wóz. Czy moglibyście mnie podzucić?

Zawahałem się, myśląc o torebkach z dowodami rzeczowymi na tylnym siedzeniu. Za nami stanął Brody; szosa była za wąska, eby mógł nas ominąć. Zastanawiałem się, czy nie zaproponować, eby pojechała z nim, lecz zwaywszy jego chłodne stosunki ze Strachanem, pomysł był raczej kiepski.

–Jeśli to jakiś problem, pójdę piechotą – dodała z uśmiechem.

–Nie, nie, aden problem. – Zerknąłem na Duncana. – Prawda?

–Ale skąd, bomba! – odparł policjant z szerokim uśmiechem. Pierwszy raz widział

onę Strachana. – To znaczy, nie, absolutnie, aden problem.

Mimo jej nieśmiałych protestów, przesiadłem się do tyłu. W samochodzie rozszedł się delikatny zapach piwowych perfum i z trudem ukryłem uśmiech, widząc, e Duncan siedzi teraz o wiele prościej ni przedtem.

Gdy ich sobie przedstawiłem, obdarzyła go oszłamiającym uśmiechem.

–To pan jest tym młodzieńcem, który czuwał w przyczepie, tak?

–Tak, to ja.

–Biedactwo. – Ze współczuciem dotknęła jego ramienia. Nawet z tylnego siedzenia widziałem, e Duncan zaczerwienił się jak piwonia. Zabrała rękę, odwróciła się do mnie, a on spróbował skupić się na drodze. – Dziękuję, e się zatrzymaliście. Tak mi głupio. Tu nie ma stacji benzynowej i musimy dolewać paliwo z kanistrów. Zawsze o tym zapominam, ale jestem pewna, e w zeszłym tygodniu Michael zatankował do pełna. A moe to było dwa

tygodnie temu? – Myślała o tym przez chwilę, a potem beztrosko machnęła ręką. – Mam nauczkę na przyszłość. Od tej pory zawsze będę patrzyła na wskaźnik.

–Dokąd panią podrzucić? – spytałem.

–Do szkoły, jeśli to nie kłopot. Mam dziś zajęcia.

–Będzie tam Cameron?

–Chyba tak. Macie do niego jakąś sprawę? Nie wchodząc w szczegóły, powiedziałem jej, co się stało w chacie i po co jedziemy

do przychodni.

–Boe, co za makabra. – Grace a się skrzywiła. – Bruce na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu.

Nie byłem tego taki pewny, ale wątpiłem, eby jej odmówił. Gdy stanęliśmy przed szkołą, Grace od razu wbiegła do środka, a ja zostawiłem Duncana na stray i poszedłem powiedzieć Brody'emu, co się dzieje.

–Będzie ciekawie – odparł. – Mogę pójść z panem?

Weszliśmy na ściekę. Szkoła, mała i z płaskim dachem, była zupełnie nowa. Do

drzwi prowadziły drewniane schodki, a zaraz za drzwiami były klasy. A dokładniej

mówiąc, klasa, jedno pomieszczenie, które zajmowało niemal cały budynek. Przy ścianie stał rząd monitorów komputerowych, a na środku, przodem do tablicy, kilka równiutkich rzędów ławek.

Ale w tej chwili wszyscy uczniowie siedzieli wokół duiego stołu, zajęci pędzlami, farbami i miseczkami z wodą. Było ich dwanaścioro, w wieku od czterech do dziewięciu lat. Rozpoznałem wśród nich Ann, która uśmiechnęła się wstydliwie na mój widok i w skupieniu zaczęła układać kartkę.

Grace zdjęła kurtkę i rozpoczęły się zajęcia.

–Mam nadzieję, e dzisiaj nie dojdzie do bitwy na wodę. Prawda, Adam? Tak, tak, na ciebie patrzę.

–Nie, proszę pani – odrzekł z nieśmiałym uśmiechem chłopiec z rudą czupryną.

–To dobrze, bo jeśli ktoś będzie niegrzeczny, pomalujemy mu całą twarz. Calutką. Nie chcielibyśmy potem tłumaczyć się z tego przed rodzicami, prawda?

–Nie, proszę pani – odpowiedziały chórem dzieci i wesoło zachichotały.

Grace była oywiona i piękniejsza ni zwykle. Z uśmiechem i zaróowionymi policzkami wskazała nam drzwi na końcu klasy.

–Tamtędy. Ju go uprzedziłam.

A potem znowu przeniosła wzrok na dzieci i natychmiast o nas zapomniała. Drzwi do gabinetu były zamknięte. Zapukałem, ale nikt nam nie odpowiedział. Zaczynałem ju myśleć, e Cameron ukradkiem wyszedł, gdy usłyszeliśmy jego nieznoszący sprzeciwu bas:

–Wejść.

Zerknąłem na Brody'ego, otworzyłem drzwi i weszliśmy. Prawie cały pokój zajmowało biurko i szafka na dokumenty. Cameron stał przy oknie tyłem do nas. Zastanawiałem się, czy stoi tak celowo, wiedząc, e będziemy musieli patrzeć pod światło. Odwrócił się i zaszczycił nas zimnym spojrzeniem.

–Tak?

Musiałem sobie przypomnieć, e będzie nam łatwiej, jeśli zechce z nami współpracować.

–Musimy skorzystać z przychodni. Zapadł się dach chaty i nie mamy gdzie przechować szczątków.

Popatrzył na nas bulwiastymi oczami.

–Ludzkich szczątków? Chcecie urządzić tu kostnicę?

–Tylko do przyjazdu policji.

–A co z moimi pacjentami?

–Niech pan da spokój, Bruce – odezwał się Brody. – Przyjmuje pan tylko dwa razy w tygodniu, a następny dyur wypada dopiero za dwa dni. Do tej pory na pewno je zabierzemy.

Ale Cameron nie dał się udobruchać.

–Powiedzmy. A jeśli będę miał nagły przypadek?

–To jest właśnie nagły przypadek – warknął Brody, tracąc cierpliwość. – Nie przyszliśmy tu z wyboru.

Jabłko Adama gwałtownie podskoczyło i opadło.

–Nie moecie pójść z tym gdzie indziej?

–Dobrze, tylko niech pan nam powie gdzie.

–A jeeli odmówię? Inspektor spojrzał na niego z irytacją.

–Dlaczego miałby pan odmówić?

–Bo to jest przychodnia, a nie kostnica. I nie sądzę, ebyście mieli prawo ją zajmować!

–Jakiś problem?

W drzwiach stała Grace z pytająco uniesioną brwią. Cameron zaczerwienił się jak uczeń przyłapany przez dyrektora.

–Właśnie mówiłem panom, e...

–Tak, słyszałam – przerwała mu lodowato Grace. – Dzieci te. Jabłko Adama miało

bardzo pracowity dzień.

–Przepraszam. Ale naprawdę uważam, że przychodnia lekarska nie jest miejscem odpowiednim na tego rodzaju rzeczy.

–Niby dlaczego?

–No có... – Cameron wiał się jak piskorz. Posłał jej przymilny uśmiech. – Ostatecznie jestem pielęgniarzem. Powinienem mieć wpływ na to, co dzieje się w mojej przychodni.

Grace spojrzała na niego chłodno.

–To nie jest twoja przychodnia, Bruce. Przychodnia należy do mieszkańców wyspy. Chyba nie muszę ci tego przypominać.

–Oczywiście, że nie, ale...

–Dlatego nie widzę wyjścia, chyba że znasz jakieś inne miejsce, gdzie panowie mogliby pójść.

Cameron spróbował uratować swoją godność.

–Cóż, w takim razie...

–Świetnie. A więc sprawa załatwiona. – Grace uśmiechnęła się promiennie. – A teraz skocz tam i wszystko panom poka, dobrze? Ja popilnuję dzieci.

Wróciła do klasy. Cameron wbił wzrok w blat biurka. Był blady i miał zaciśnięte usta. Grace tylko tu pomagała, ale właśnie przypomniała mu – w dodatku publicznie – że to jej mąż wypłaca mu pensję. Chwycił kurtkę z wieszaka i wyszedł.

–Zapłaciłbym każde pieniądze, żeby to zobaczyć – szepnął Brody. Przychodnia mieściła się za szkołą. Była małą przybudówką do świetlicy i nie miała osobnych drzwi. Nie

zważając na wiatr, Cameron jak zwykle jechał rowerem i gdy tam dotarliśmy, wszedł już na

przeszklony ganek. Pozostawiwszy Duncana w samochodzie – ktoś musiał pilnować szczątków – poszliśmy za nim.

Świetlica była długim, niskim, drewnianym barakiem z krytym papą dachem i oknami

przypominającymi te z czasów II wojny światowej. Zajmowała prawie cały budynek. Nasze kroki zadudniły głucho na porysowanym parkiecie z wytartymi, prawie ju niewidocznymi liniami boiska do badmintonu. Na ścianach wisiały stare plakaty zapowiadające gwiazdkową potańcówkę i boonarodzeniowe przedstawienie dla dzieci, pod ścianą leżała sterta starych drewnianych krzesel. Strachanowski plan rozwoju wyspy najwyraźniej nie obejmował miejscowej świetlicy.

–Strachan chciał zbudować nową, ale większość wolała starą – powiedział Brody, czytając w moich myślach. – Przyzwyczajenie. Ludzie nie lubią zmian.

Cameron stanął przed nowymi solidnymi drzwiami i pobrzękując pękiem kluczy, z rozdraniem zaczął szukać odpowiedniego. Czekaliśmy. Rozejrzałem się po zapuszczonym wnętrzu i podszedłem do małego zdezelowanego pianina. Pod podniesioną klapą widać było klawisze z kości słoniowej, popękane i poótkłe ze starości. Nacisnąłem jeden. Rozległ się głęboki fałszywy dźwięk, który zakłócił harmonię ciszy.

–Moe pan tego nie robić? – rzucił kąśliwie Cameron, otwierając drzwi i wchodząc do środka.

Nieskazitelnie białe ściany, błyszczące stalowe szafki – przychodnia była mała, lecz dobrze wyposażona. Stał tam autoklaw do sterylizacji narzędzi, obficie zaopatrzona w leki gablotka i lodówka. Ale ja najbardziej ucieszyłem się na widok duego stalowego wózka i mocnej lampy halogenowej. Było tam nawet wielkie szkło powiększające na regulowanym wysięgniku do opatrywania i zszywania ran.

Cameron podszedł do biurka i zaczął demonstracyjnie sprawdzać, czy wszystkie szuflady są zamknięte. Potem sprawdził, czy zamknięta jest szafka z dokumentami. Skończywszy, spojrzał na nas z nieukrywaną niechęcią.

–Oczekuję, e zostawicie tu wszystko dokładnie tak, jak jest – powiedział. – Nie mam zamiaru po was sprzątać.

I nie czekając na odpowiedź, ruszył do drzwi.

–Poprosimy o klucz – odparł Brody. Cameron zacisnął usta, odpiął klucz z kółka i z trzaskiem położył go na biurku.

–A klucz do świetlicy? – spytałem.

–Świetlica jest zawsze otwarta – odparł sztywno. – Ma prawo tu wejść każdy

mieszkaniec Runy. To miejsce publiczne.

–Mimo to wolałbym mieć klucz. Cameron uśmiechnął się z wyższością.

–To fatalnie, bo nie mam pojęcia, gdzie moe być. Cieszył się, e moe odmówić nam chocia tego. Gdy wreszcie wyszedł, Brody długo

patrzył na drzwi.

–Co za upierdliwy dupek – mruknął. Nie zamierzałem z nim polemizować.

–Chodźmy po te torebki. Podczas gdy Brody i Duncan przenosili do przychodni kości, zęby i popioły, odbyłem

nieprzyjemną rozmowę z Wallace'em. Nadinspektor w końcu dowiedział się, e chcemy się z

nim skontaktować. Niestety, zamiast do Duncana, zadzwonił do Frasera, a ten przedstawił mu swoją wersję wydarzeń.

Wallace się wściekł i natychmiast spytał, dlaczego bez pozwolenia usunęliśmy dowody rzeczowe z miejsca zbrodni. Poniewa nie byłem w nastroju na wysłuchiwanie czyichś wrzasków, ze złością zauwayłem, e nie mieliśmy wyboru i e nie doszłoby do tego, gdyby od razu wysłał ekipę.

Pogodził nas Brody; wziął ode mnie radiotelefon i porozmawiał z nim na osobności. Gdy zwrócił mi aparat, Wallace przeprosił, aczkolwiek niechętnie. Dał mi zielone światło i kazał kontynuować badanie szczątków.

–Skoro ju pan zaczął, moe pan chyba próbować dalej – powiedział.

Była to tylko symboliczna gałązka oliwna; obydwaj wiedzieliśmy, e bez dobrze

wyposaonego laboratorium nie zdołam zrobić nic więcej. Obiecałem jednak, e się postaram. Zanim odłożył słuchawkę, spytałem go o sytuację na miejscu katastrofy; od przyjazdu na Runę nie miałem na ten temat adnych wiadomości. Nadinspektor lekko się zawahał.

–To był amator przejazdów kradzionymi samochodami. Utknął na torach, spanikował i uciekł.

A więc jednak nie terroryści. Nawet nie celowe działanie. Zginęli ludzie, na Runę nie przyjechała policja – wszystko dlatego, e znudzony nastolatek ukradł ciężarówkę.

Myślałem o tym w drodze do przychodni. Gdy otworzyłem drzwi, Duncan wkładał

właśnie do lodówki rękę martwej kobiety, trzymając ją jak najdalej od siebie. W plastikowej torebce wyglądała jak porcja mięsa do zamrozenia.

–Wciąż nie mogę zrozumieć, jak to się stało – powiedział, z ulgą zamykając lodówkę.

–To po prostu nienaturalne.

–Och, wprost przeciwnie – odparłem, wciąż rozpamiętując rozmowę z Wallace'em. Spojrzeli na mnie, i on, i Brody.

–A więc wie pan jak? – spytał inspektor. Wiedziałem niemal od samego początku, od momentu, kiedy zobaczyłem zwłoki. Ale

nie chciałem wygłaszać ostatecznej opinii do chwili, a będę mógł potwierdzić moją teorię. Ale teraz, kiedy wyspa była odcięta, a połowa dowodów rzeczowych pogrzebana pod rumowiskiem, nie miałem powodu im tego nie mówić.

–Tak, niemal na pewno – odrzekłem. – Duncan, wczoraj dałem panu pewną podpowiedź. Pamięta pan?

–Ten tłusty osad na suficie? Tak, ale nic nie wymyśliłem. Zrobił zakłopotaną minę.

Brody obserwował mnie wyczekująco.

–Wszystko sprowadza się do dwóch rzeczy – ciągnąłem. – Do jej wagi i tego, co na sobie miała. Słyszeliście o efekcie knota?

Obydwaj mieli niewyraźne miny.

–Ciało ludzkie można spalić na popiół na dwa sposoby. W wysokiej temperaturze -ale wiemy już, że tutaj do tego nie doszło, ponieważ spaliłaby się cała chata – lub w temperaturze niższej, co trwa dłużej. Wszyscy mamy warstwę tłuszczu podskórnego, tu pod skórą i tłuszcz ten jest palny; przed wynalezieniem parafiny robiono świece z łoju, czyli wytopionego tłuszczu zwierzęcego. Krótko mówiąc, w pewnych warunkach nasze ciało może stać się gigantyczną świecą.

–śartuje pan – wykrztusił Brody; chociaż raz był wstrząśnięty.

–Nie. Dlatego tak wany był ten osad na suficie i wokół szczątków. Ludzki tłuszcz topi się pod wpływem gorąca i jego cząsteczki unoszą się wraz z dymem. Oczywiście im więcej tłuszczu, tym więcej paliwa. Sądząc po ilości osadu w chacie, kobieta musiała mieć go więcej niż przeciętny człowiek.

–To znaczy, że była otyła? – spytał Duncan.

–Tak, raczej tak. Brody zmarszczył czoło.

–Ale co ma do tego ubranie?

–Topiąc się, tłuszcz wsiąka w materiał. Ubranie działa jak wielki knot, dzięki czemu ciało pali się o wiele dłużej. Zwłaszcza jeśli materiał, z którego uszyto ubranie, jest łatwopalny.

–Chryste, co za makabra – mruknął wciąż poruszony Brody.

–Wiem, ale tak się właśnie dzieje. Większość przypadków tak zwanego samozapłonu dotyczy ludzi albo starszych, albo pijanych. Nie ma w tym niczego podejrzanego ani paranormalnego. Po prostu upuszczają na siebie papierosa albo siadają za blisko ognia, podpalają się i albo zasypiają, albo nie są w stanie ugasić ognia. – Spojrzałem na Duncana. – Tak jak Mary Reeser. Jest klasycznym przykładem „niewyjaśnionego” przypadku samospalenia się. Tymczasem Mary Reeser była otyłą staruszką i palaczką. Według policyjnego raportu ostatnią osobą, która widziała ją żywą, był jej syn. Mary wzięła właśnie tabletkę na sen. Siedziała w fotelu, miała na sobie szlafrok i paliła papierosa. Zarówno szlafrok, jak i fotel zadziałały jak knot. Proste.

Duncan myślał o tym przez chwilę.

–Tak, ale dlaczego ogień nie zniszczył nic więcej? I dlaczego nie spłonęło całe ciało?

–Dlatego, e chociaż tłuszcz działa jak paliwo, tkanka miękka pali się niezbyt dobrze. Ogień płonie powoli i jest gorący na tyle, eby strawić ciało, nie trawiąc przy tym niczego

innego. Wyobraźcie sobie świecę: knot się pali, parafina się topi, ale poaru nie ma. A jeśli chodzi o te ocalałe kończyny...

Podniosłem rękę i podciągnąłem rękaw.

–To głównie skóra i kości. Nie ma tu prawie tłuszczu. Poza tym w przeciwieństwie do

reszty ciała zwykle nie okrywa ich aden materiał. Nie ma materiału, nie ma knota. Ręce

ulegają czasem nadpaleniu ze względu na bliskość płonącego ciała, chyba e są szeroko

rozłoone. Ale stopy i golenie są zwykle za daleko, eby się spalić. Tak jak w tym

przypadku.

Ofiara leżała na ręce i właśnie ta ręka spaliła się wraz z ciałem. Ale stopy i druga ręka ocalały.

Brody potarł w zamyśleniu podbródek, drapiąc się głośno po widocznym ju zaroście.

–Myśli pan, e ten efekt knota zastosowano tu celowo? śe ktoś zrobił to rozmyślnie?

–Wątpię. To dość trudne. Morderstwo i pozorowany samozapłon? Nigdy o tym nie słyszałem. Słyszałem natomiast o samozapłonie przypadkowym, między innymi dlatego podchodziłem do tego z dużą ostrożnością i nie od razu zacząłem coś podejrzewać. Nie, myślę, e morderca chciał po prostu zatrzeć ślady. Pewnie poleł ofiarę małą ilością benzyny albo innego paliwa, inaczej sufit byłby bardziej osmolony albo nawet nadpalony, rzucił zapałkę i uciekł.

Zmarszczki na czole Brody'ego pogłębiły się jeszcze bardziej.

–Ale dlaczego nie podpalił chaty?

–Nie mam pojęcia. Moe bał się, e zwróci to za dużą uwagę. Albo miał nadzieję, e tak będzie lepiej, e uznamy to za wypadek.

Długo milczeli. Wreszcie odezwał się Duncan.

–Ju nie yła?

Ja te duo o tym myślałem. Nie znalazłem żadnych śladów wskazujących na to, e

płonąc, kobieta poruszała się czy próbowała ugasić ogień. Cios, który roztrzaskał jej czaszkę, musiał co najmniej pozbawić ją przytomności lub spowodować śpiączkę. Ale czy ją zabił?

–Nie wiem.

Ścianami przychodni zatrzęsł podmuch wiatru. Po ich wyjściu wichura przybrała na

sile. Włożyłem ostatnią parę rękawiczek. W szafce stało prawie pełne pudełko, ale postanowiłem, e ujęę ich tylko w ostateczności. Cameron był draliwy i bez tego, więc gdyby odkrył, e naruszyłem jego zapasy...

Bez odpowiedniego sprzętu mogłem niewiele, ale skoro Wallace dał mi pozwolenie, postanowiłem coś sprawdzić.

Brody miał rację, mówiąc, e śledztwo ruszy z miejsca dopiero wtedy, kiedy zidentyfikujemy ofiarę. Jej tożsamość mogła rzucić światło na tożsamość mordercy. Bez tego bylibyśmy jak ślepcy.

Miałem nadzieję temu zaradzić.

Wyjąłem z torebki czaszkę i ostrożnie przeniosłem ją na wózek. Szczerniała i popękana leżała na zimnym, stalowym blacie. Puste oczodoły spoglądały tępo w wieczność. Zastanawiałem się, na kogo patrzyły oczy, które tkwiły w nich jeszcze tak niedawno. Na kochankę? Na męża? Na przyjaciela? Jak często śmiały się nieświadome, e właśnie upływają ostatnie dni, godziny i sekundy ich życia? Co widziały, gdy kobieta zdała sobie sprawę z ostateczności i nieuchronności tego, co ją czekało?

Kimkolwiek była, łączyło mnie z nią dziwne poczucie bliskości. O jej życiu nie wiedziałem prawie nic, przyciągnęła mnie za to jej śmierć. Z nadpalonych kości mogłem wyczytać historię jej życia, oglądając widniejące na nich wyrzuty i blizny, mogłem prześledzić bieg lat. Odsłoniła się przede mną bardziej niż przed tymi, których kiedyś znała.

Próbowałem sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek czułem się tak przed śmiercią Kary i Alice. Chyba nie. Zdawało się, e od tamtej pory upłynęły wieki, e było to w innym życiu. Ście byłem wtedy innym Davidem Hunterem. Gdzieś po drodze – moe dlatego, e straciłem rodzinę – zatraciłem całą obojętność, dystans, z jakim kiedyś pracowałem. Nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle, wiedziałem tylko jedno: kobieta z opuszczonej chaty nie była dla mnie anonimową ofiarą. Dlatego odwiedziła mnie we śnie, siedząc wyczekująco u stóp łóżka. Czułem, e w jakiś sposób za nią odpowiadam. Nie spodziewałem się tego ani nawet nie chciałem.

Ale nie mogłem już się od niej odwrócić.

–Dobrze, a teraz powiedz mi, kim jesteś – szepnąłem.

Rozdział 13

Dla każdego antropologa sądowego zęby są skarbnicą wiedzy. Ich twarda, trwała powierzchnia łączy ukryte w dziąsłach kości ze światem zewnętrznym. Nasza dieta, nawyki, pochodzenie, a nawet poczucie własnej wartości, wszystko to można wyczytać właśnie z zębów, kawałków pokrytego szkliwem wapnia.

Wyjąłem z torebki dolną szczękę i położyłem ją na stole obok czaszki. Była lekka i krucha jak balsa. W świetle lampy halogenowej fragmenty czaszki wyglądały jak martwy anatomiczny pastisz.

W którymś momencie będę musiał dokończyć to, co zacząłem w chacie i kawałek po kawałku poskładać je w całość. Ale teraz musiałem nadać im imię i nazwisko. Musiałem przypisać im twarz.

Przy odrobinie szczęścia mogłem to zrobić dzięki zębom.

Nie ebym tryskał optymizmem. Chociaż większość trzonowców uparcie tkwiła na swoim miejscu, prawie wszystkie pozostałe zęby wypadły, gdy ogień najpierw strawił dziąsła, a potem zniszczył korzenie. Poszarzałe i popękane, te, które zdążyłem wynieść z chaty, zanim zawalił się dach, wyglądały jak prastara skamielina.

Stwierdziłem, że nawet z ręką na temblaku mogę pomagać sobie samą dłonią, podtrzymywać ją i przytrzymywać. Dlatego było mi trochę łatwiej. Położyłem na stole kawałek papieru i zacząłem układać zęby w dwóch równoległych rzędach, górny rząd dla zębów z górnej szczęki, dolny dla tych z dolnej. Jeden po drugim ułożyłem je w odpowiedniej kolejności: pośrodku siekacze główne, potem boczne, kły, przedtrzonowce, wreszcie trzonowce. Nie było to zadanie łatwe. Nie licząc zniszczeń, jakie spowodował ogień, zęby były tak bardzo zniszczone, że z trudem ustaliłem, które pochodzą z górnej, a które z dolnej szczęki; miałem nawet kłopoty z ustaleniem ich rodzaju.

To, co poza przychodnią, przestało istnieć. Sztorm, a nawet pełne niepokoju myśli o Jenny zniknęły, bo świat skurczył się i zmałał do kręgu halogenowego światła z lampy. Porobiłem jeszcze więcej zdjęć i sporządziłem odontogram, nanosząc nań wszystkie pęknięcia i wypełnienia. W normalnych okolicznościach zrobiłbym zdjęcie rentgenowskie szczęk, aby porównać je ze zdjęciami zębów potencjalnych ofiar. Ponieważ nie wchodziło to w rachubę, zrobiłem jedyną rzecz, jaką mogłem.

Zacząłem dopasowywać zęby do pustych zębodołów.

Chociaż pomagałem sobie lewą ręką, szło mi bardzo powoli. Straciłem poczucie czasu, gdy wtem lampa zamigotała i przygasła. Jakby na umówiony znak, w tym samym

momencie ścianami zatrząsał potężny podmuch wiatru i budynek zadygotał niczym struna basowa, której bezdźwięczne drenie przenika ciało na wskroś.

Wyprostowałem się z jękiem. Bolał mnie kark, bolały mnie wszystkie mięśnie. Ramię te rozboleło, jakby tylko czekając, a sobie o nim przypomnę. Zerknąłem na zegar. Dochodziła piąta. Na dworze pociemniało. Masując kark, spojrzałem na czaszkę i dolną szczękę. Po kilku nieudanych próbach udało mi się dopasować prawie wszystkie zęby.

Zostało tylko kilka trzonowców i przedtrzonowców, ale to nie miało większego znaczenia. Rozcierając ramię, wyciągnąłem rękę, eby zgasić lampę, gdy nagle coś usłyszałem.

W świetlicy cicho zatrzeszczały deski.

–Kto tam?! – zawołałem.

Odpowiedziało mi tylko zimne echo. Położyłem rękę na klamce. Klamka ani drgnęła. I nagle wyczułem, e ktoś tam jest. Tam, tu za drzwiami. Zapadła nienaturalna cisza. W drzwiach było okrągłe okienko przypominające

iluminator. Miało aluzje, ale nie przyszło mi do głowy, eby je opuścić.

Teraz tego ałowałem. Świetlica tonęła w ciemności. Widział mnie kady, kto tam wszedł, ja nie widziałem nikogo. Wytężyłem słuch, lecz słyszałem tylko szum wiatru. Cisza była jak twardy kamień, gotowy w kadej chwili zerwać się ze sznura i spaść.

Stanęły mi włosy na karku. Spojrzałem na rękę – na ręce te.

Co za głupota, pomyślałem. Tam nikogo nie ma. Zacisnąłem palce na klamce, ale się nie obróciła. Na biurku stał ciężki szklany przycisk do papieru. Podniosłem go niezdarnie, pochyliłem się i chorą ręką ująłem klamkę. Gotowy? Teraz.

Pchnąłem drzwi i wpadłem do świetlicy, macając po ścianie w poszukiwaniu włącznika. Nie mogłem go znaleźć, wreszcie znalazłem i klik! – zapłonęło światło.

Szydziła ze mnie pusta sala. Czując się jak idiota, opuściłem przycisk. Drzwi do świetlicy i przeszklone drzwi na ganek były zamknięte. Słyszałem pewnie potrzaskiwanie dygoczących od wiatru ścian. Powoli stajesz się kłębkim nerwów, pomyślałem. Ju miałem wrócić do przychodni, gdy spojrzałem na podłogę.

Widniały na niej ślady mokrych butów.

–To na pewno nie pana?

Brody przyglądał się wysychającym kałom na wytartych deskach. Było w nich za

duo wody, eby określić rodzaj czy chocia rozmiar butów. Ślady prowadziły od wejścia a do drzwi przychodni. Pod drzwiami, tam, skąd ktoś mnie obserwował, kałua była największa.

–Na pewno – odparłem. – Nigdzie nie wychodziłem. Telefony wciąż nie działały, nie mogłem więc nikogo zawiadomić, e ktoś tu był. Nie chciałem te zostawiać przychodni bez nadzoru, zwłaszcza w takiej chwili. Ale kiedy zastanawiałem się, co zrobić, przyjechali Brody i Duncan. Sami z siebie, nieproszeni, Duncan ogolony i po kąpieli. Brody doszedł po śladach do drzwi gabinetu. Zajrzał do środka przez okrągłe okienko.

–Widać idealnie – powiedział.

–Moe to był Cameron? Albo znowu ta Maggie?

–Moliwe, ale szczerze wątpię, eby któryś z miejscowych tak się podkradał. Pozostawała tylko jedna moliwość.

–Myśli pan, e to ten... morderca? Brody powoli kiwnął głową.

–Uwaam, e powinniśmy wziąć to pod uwagę. To, e przenieśliśmy tu szczątki, musiało go zdenerwować, nie wspominając ju o tym, e zbadał je ekspert. Nie wiem, co

moe teraz zrobić, i to mnie bardzo martwi.

Wcale mnie tym nie pocieszył. Myślał przez chwilę i dodał:

–Poczuję się lepiej, jeśli zamkniemy świetlicę na klucz. Strzeonego Pan Bóg strzee.

Jest tu sklep wielobranowy. Trzeba kupić kłódkę i łańcuch. Nie warto ryzykować.

Ja te tak uwałem.

Znowu rzeczowy i konkretny, ruchem głowy wskazał czaszkę na stole.

–A poza tym? Jak panu idzie?

–Powoli. Próbowałem ustalić, kim była.

–Da pan radę? – spytał trochę zaskoczony. – Tylko na podstawie tych kości?

–Nie wiem. Ale zobaczymy. Stałem przy wózku i zapaliłem lampę. Brody i Duncan

podeszli bliżej.

–Stan zębów jest interesujący. Popękały z gorąca, ale były w kiepskim stanie już przedtem. Bardzo mało plomb, w dodatku starych. Ta kobieta od lat nie była u dentysty, co sugeruje, że to jakaś prosta dziewczyna. Gdyby należała do klasy średniej, zęby byłyby bardziej zadbane. Tymczasem niektóre z tych tu są starte dosłownie do dziąsła. U kogoś tak młodego może to być tylko skutek nałogowego zywania narkotyków.

–Myśli pan, że była narkomanką? – spytał Brody.

–Tak uważam. Duncan podniósł głowę.

–Narkomani są zwykle chudzi. Mówił pan, że efekt knota oznacza, że była otyła. Celna uwaga.

–Tak, miała zapewne więcej tłuszczu niż przeciętna kobieta. Ale dużo zależy również od metabolizmu i od tego, jak często brała narkotyki. Nie znaczy to, że nie była narkomanką. Ale jest jeszcze coś. Pamiętacie, tłumaczyłem wam, dlaczego ogień nie strawił jej stóp.

–Bo jest na nich za mało tkanki miękkiej? – rzucił Duncan.

–I nie były osłonięte ubraniami, które mogło zadziałać jak knot. Była w sportowych butach, ale bez pończoch czy rajstop. I bez skarpetek. Przypuszczam, że miała na sobie spódnicę i akiet albo krótką kurtkę. Coś z taniego materiału, co wzmocniłoby efekt knota.

Popatrzyłem na czaszkę i nagle ogarnął mnie smutek, że tak dokładnie analizujemy jej życie. Ale tylko w ten sposób mogliśmy schwycić tego, kto to zrobił.

–Tak więc, są to zwłoki młodej kobiety, nałogowej narkomanki z zepsutymi zębami.

Kobieta, która nawet w lutym chodziła skąpo ubrana i z gołymi nogami. Co mówi to o stylu

jej życia?

–She była prostytutką – odparł Duncan, tym razem z większą pewnością siebie. Inspektor w zamyśleniu potarł podbródek.

–Prostytutka z wielkiego miasta mogła tu przyjechać tylko z jednego powodu.

–Do klienta – powiedziałem.

–Trudno o inny. Pasowałoby do tego, e mogła znać zabójcę. I wyjaśniałoby,

dlatego nikt jej tu nie znał. Mężczyźni, którzy płacą za seks, raczej się z tym nie obnoszą.

Coś mi tu nie grało.

–Kawał drogi jak na taką wizytę. Skoro facet bał się, e ludzie zaczną gadać, po co tak

ryzykował? Bezpieczniej by było do niej pojechać, ni sprowadzać ją tutaj.

Brody zmarszczył czoło.

–Jest jeszcze jedna moliwość. Nie byłaby pierwszą prostytutką, która szantaowała klienta. Jeśli była narkomanką, mogła uznać, e warto przyjechać i spróbować.

To z kolei było całkiem prawdopodobne. I pasowało do znanych ju nam faktów. Chocia nie było ich duo.

–Tak, to moliwe – odparłem zbyt zmęczony, eby trzeźwo myśleć. – Ale jak na razie tylko zgadujemy, mamy za mało danych.

–Słusznie. – Brody westchnął ciężko. – Ale założę się, e kiedy dowiemy się, do kogo i po co przyjechała, szybko znajdziemy zabójcę.

Patrzac na mokre ślady stóp na podłodze, zastanawiałem się, czy zabójca nie znalazł ju nas.

Brody zaoferował się, e popilnuje przychodni, tymczasem ja miałem kupić kłódkę, a potem pójść do hotelu i coś zjeść.

–Niech pan odpocznie – powiedział, stawiając krzesło pod drzwiami i siadając. –

Kiepsko pan wygląda.

Nie wiem, czy kiepsko wyglądałem, ale na pewno się tak czułem. Bolało mnie ramię, byłem zmęczony i od śniadania nic nie jadłem. Duncan podrzucił mnie do sklepu; Brody twierdził, e będzie jeszcze otwarty. Przestało padać, ale wiatr nie ustał i gdy jechaliśmy przez miasteczko w stronę portu, rangę roverem huštało jak na morzu. Telefony wciąż nie działały, więc poyczyłem od Duncana radiotelefon i zadzwoniłem do Jenny. Sygnał był słaby i kiedy się wreszcie dodzwoniłem, znowu włączyła się poczta głosowa. A co myślałeś? śe będzie siedziała i czekała, a się odezwiesz?

Rozczarowany oddałem telefon Duncanowi. Bez słowa, zamyślony, schował go do

kieszeni. Od naszej ostatniej rozmowy był dziwnie milczący. I rozkojarzony do tego stopnia, e kiedy mijaliśmy sklep, musiałem mu przypomnieć, eby się zatrzymał.

–Przepraszam – rzucił w zadumie.

Gdy wysiadałem, nawet się nie uśmiechnął, ale có, wcale mu się nie dziwiłem, bo myślał ju pewnie o kolejnej samotnej nocy w przyczepie.

–Niech pan na mnie nie czeka, wrócę piechotą. Świee powietrze dobrze mi robi.

–Panie doktorze? – Nie zdąyłem jeszcze zamknąć drzwiczek.

–Tak? – spytałem, walcząc z wiatrem. Ale Duncan nagle zmienił zdanie.

–Nie, nic. Niewane.

–Na pewno?

–Takie tam... głupoty. – Uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Pojadę zmienić sieranta.

Zabije mnie, jeśli się spóźnię.

Niewiele brakowało i bym go przycisnął. Ale doszedłem do wniosku, e jeśli zechce mi powiedzieć, prędzej czy później i tak powie.

Gdy odjechał, podniosłem rękę, ale nie wiem, czy to widział. Popatrzyłem na sklep. W środku paliło się światło, a na drzwiach wisiała tabliczka z napisem: „Otwarte”. Gdy je otworzyłem, zadźwięczał dzwoneczek. W środku spoczywały stopy ukrytych skarbów, konserw, narzędzi i artykułów spoywczych. Ich zapach przeniósł mnie do dzieciństwa i znowu poczułem odurzający aromat sera, zapach świec i zapalek. Za porysowaną drewnianą ladą nad paczką nierozpakowanych zup w puszce pochylała się jakaś kobieta.

–Chwileczkę. – Wyprostowała się i dopiero wtedy ją rozpoznałem. Karen Tait.

Zapomniałem, e to właśnie ona prowadzi sklep.

Bez alkoholowych rumieńców wyglądała jeszcze gorzej: na jej zniszczonej przez wiatr twarzy pozostał jedynie cień dawnej urody. Uśmiechnęła się niechętnie, a właściwie tylko zaczęła się uśmiechać, bo kiedy zobaczyła, kto przyszedł, natychmiast przestała.

–Ma pani kłódki? – spytałem.

Ruchem głowy wskazała półkę na końcu sklepu, gdzie w na chybił trafił

poustawianych pudłach leały artykuły elastyczne.

–Dziękuję.

Nie odpowiedziała. Gdy grzebałem w pudłach pełnych śrub, nakrętek i gwoździ,

czułem na sobie jej wzrok, niechętny, a nawet wrogi. Ale znalazłem to, czego szukałem: ciężką kłódkę i łańcuch na szpuli.

–Mógłbym prosić metr tego?

–Przecinarki są tam. Nie byłem pewien, czy przetnę łańcuch jedną ręką, ale nie zamierzałem jej o nic

prosić. Poszperałem wokoło i na sąsiedniej półce, tu obok starego drewnianego pręta mierniczego, znalazłem przecinarkę. Wciąż czułem, że Karen na mnie patrzy, mimo to odmierzyłem metr łańcucha i oparłszy uchwyt przecinarki o udo, jakoś go przeciąłem. Potem odłożyłem wszystko na miejsce i podszedłem do lady.

–I jeszcze to – powiedziałem, wskazując dużą czekoladę w gablotce. Bez słowa nabiła cenę, patrząc, jak wyjmuję banknot z portfela.

–Nie mam reszty.

Szuflada kasy była otwarta: leały w niej monety i banknoty o mniejszych nominałach. A ona patrzyła na mnie z wyzywającą miną.

Schowałem portfel i poszperałem po kieszeniach. Gdy odliczyłem pieniądze, pociągnęła za wajchę kasy. Powinna była wydać mi resztę, ale nie chciałem wyklócać się o drobne. Wziąłem zakupy i ruszyłem do drzwi.

–Chce pan urnąć się tabliczką czekolady?

–Słucham? – spytałem, nie wierząc własnym uszom. Ale ona tylko na mnie spojrzała, kwaśno i bez słowa. Wyszedłem spokojnie, chociaż kcorciło mnie, eby trzasnąć drzwiami.

Wciąż kipiąc gniewem, zastanawiałem się, czy nie wrócić od razu do przychodni. Ale Brody nalegał, ebym najpierw coś zjadł. Miał rację, poza tym nie sądziłem, eby ktoś spróbował czegoś, kiedy inspektor stał na stray.

Spacer dobrze mi zrobił. Wciąż mocno wiało, ale przynajmniej przestało padać; było chłodno, świeo i przyjemnie. Zanim dotarłem do hotelu, złość trochę mi przeszła. Z

okien

biło przyjazne światło, a w drzwiach powitał mnie zapach świeżego chleba i palącego się torfu. Minąłem majestatycznie tykający zegar i poszedłem poszukać Ellen. W barze jej nie było, ale z kuchni dochodziły przyciszone głosy.

Głos Ellen i jakiegoś mężczyzny.

Gdy zapukałem, umilkły.

–Chwileczkę! – zawołała Ellen. Po chwili otworzyła drzwi. Otoczył mnie drodowy zapach ciepłego chleba.

–Przepraszam. Wyjmowałam chleb z pieca. Była sama. Ten, z kim rozmawiała, musiał wyjść kuchennymi drzwiami. Szybko

odwróciła się i zaczęła wyjmować chleb z forem, ale zdążyłem zauważyć, że płakała.

–Wszystko w porządku? – spytałem.

–Tak. – Wciąż stała tyłem do mnie. Zawahałem się i podniosłem czekoladę.

–Przyniosłem to dla Ann. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu. Uśmiechnęła się przez łzy i pociągnęła nosem.

–Nie. To bardzo miło z pańskiej strony.

–Czy na pewno...

–Nie, nie, nic mi nie jest, naprawdę. – Uśmiechnęła się, tym razem weselej. Wyszedłem. Nie znałem jej na tyle, żeby cokolwiek zrobić. Ale nie mogłem przestać się zastanawiać, kto ją odwiedził i dlaczego chciała zachować to w tajemnicy. I dlaczego płakała.

Rozdział 14

Wziąłem gorący prysznic, przebrałem się i poczułem się trochę lepiej. Zużyłem ju całe ubranie, które zabrałem ze sobą do Grampian Highlands, i zakonotowałem sobie, eby spytać Ellen o pralnię. Ramię wciąż doskwierało, ale po prysznicu i dwóch ibuprofenach ból nieco zelał. Zszedłem na dół coś zjeść.

Ale przed drzwiami baru się zawahałem. Nie miałem ochoty tam wchodzić. Ju przedtem czułem się jak intruz, a dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem wyobcowany. Chocia wiedziałem, e zabójca kobiety musi przebywać na wyspie, e to ktoś, kogo mogę znać, nie wywierało to na mnie adnego wraenia. Przyjechałem na Runę, eby zrobić swoje i tyle. Ale teraz ktoś zakradł się do świetlicy, eby mnie podejrzeć i nie miałem pojęcia, kto to moe być.

I on, i ja przekroczyliśmy jakąś granicę.

Nie wpadaj w paranoję. I pamiętaj, co powiedział Brody: dopóki nie przyjadą tu ci z dochodzeniówki, najlepszą obroną jest zachować tajemnicę.

Pchnąłem drzwi i wszedłem. Okazało się, e pogoda bardzo przerzedziła szeregi stałych bywalców. Z ulgą stwierdziłem, e Guthriego i Karen Tait jeszcze nie ma, no i e przyszedł tylko jeden z graczy w domino. Siedział łośnie przy stoliku z pudełkiem kości na stole i wyglądał tak, jakby nagle zgubił połowę samego siebie.

Ale Kinross był. Gapił się bez słowa na swój kufel, a obok niego przycupnął nieśmiało jego syn. Fraser te był ju na posterunku i siedział przy kominku pochylony nad kopiastym talerzem kielbasy z warzywami. Nie tracił czasu, odkąd Duncan zastąpił go w przyczepie. Obok talerza stała pusta szklanka, co oznaczało, e uznał, i jest ju po słubie, a sądząc po jego zaczerwienionych policzkach, wątpilem, eby była to jego pierwsza whisky. Dosiadłem się do niego.

–Chryste, zdycham z głodu – powiedział, pakując do ust porcję ziemniaków; na wążach miał resztki warzyw. – Od wczoraj nic nie jadłem. Siedzieć w przyczepie przez cały

dzień w taką pogodę to nie arty.

Kiedy siedział tam Duncan, raczej się tym nie przejmował.

–Duncan powiedział panu, e mieliśmy gościa? – spytałem przyciszonym głosem.

–Tak. – Sierant lekcewaąco machnął widelcem. – Pewnie jakieś szczeniaki.

–Brody uwaa, e nie. Fraser pogardliwie prychnął, pokazując mi na wpół przeutą kiełbasę w ustach.

–Nie zwracałbym na niego większej uwagi. Duncan mówi, e to jakaś dziwka ze Stornoway. To prawda?

Rozejrzałem się, eby sprawdzić, czy nikt nas nie podsłuchuje.

–Nie wiem, skąd jest. Ale tak, prawdopodobnie była prostytutką.

–I pewnie ćpunką – Spłukał jedzenie łykiem whisky. – Ani chybi obsługiwała tu przyjezdnych roboli i któryś za mocno jej przyłożył. Ot, i wielka tajemnica.

–Cztery, pięć tygodni temu, kiedy ją zamordowano, nie było tu adnych robotników.

–Z całym szacunkiem, ale nie wiem, jak mona to poznać po tych szczątkach. Jest zimno, mogła tam leć od kilku miesięcy. – Wycelował we mnie noem. – Niech pan zapamięta moje słowa: ten, kto ją zabił, jest ju pewnie na Lewis albo jeszcze dalej.

Poprawka: musiał wypić więcej, ni myślałem. Nie zamierzałem się z nim sprzeczać. Wbił sobie coś do łba i nie zmieniłby tego aden niewygodny fakt. Nie chciałem wysłuchiwać jego opinii i zastanawiałem się ju, czyby nie poprosić Ellen o kanapki na wynos, gdy wtem do baru wpadł podmuch zimnego wiatru i na bryle torfu zamigotały óltawe płomyki. Chwilę później wszedł Guthrie, wypełniając sobą całe drzwi.

Od razu wyczułem, e coś jest nie tak. Guthrie łypnął na nas spode łba, szepnął coś do ucha Kinrossowi, a temu natychmiast pociemniała twarz. Wstał i zostawiwszy przy ladzie zalęknionego syna, razem z kumplem ruszył w naszą stronę.

Pochłonięty jedzeniem Fraser zauwaył ich dopiero wtedy, gdy stanęli przed stolikiem. Poirytowany podniósł głowę.

–Tak? – mlasnął.

Kinross przyglądał się mu jak niesmacznej, zupełnie bezuzytecznej rybie schwytej w sieć.

–Po co wam kłódka? – spytał.

Powinienem był wiedzieć, e miejscowi się tego domyśla Nawet jeśli Cameron

trzymał język za zębami, ludzie widzieli, jak wchodziliśmy do świetlicy i jak z niej wychodziliśmy, i na pewno dodali dwa do dwóch. Fraser zmarszczył brwi.

–Kłódka? O czym pan, do diabła, mówi?

–To ja – powiedziałem. – To ja kupiłem kłódkę. żeby zamknąć świetlicę. Sierant miał chyba pretensje, e mu o tym nie wspomniałem, lecz zwyciężyło

kuszące jedzenie i whisky.

–No to ju wszystko wiecie. – Machnął ręką i nabił na widelec kawał kiełbasy.

Guthrie założył ręce na wystającym brzuchu. Tym razem nie był pijany, ale nie był równie zadowolony.

–A kto, kurwa, pozwolił panu zamykać naszą świetlicę? Sierant opuścił widelec i przeszył go wzrokiem.

–Ja. Ktoś się tam plątał, więc ją zamykamy. Bo co? Macie coś przeciwko?

–śebyś pan wiedział – zadudnił Guthrie, groźnie opuszczając ręce. Długie, potężnie umięśnione i nisko zwieszono nadawały mu wygląd goryla. – To nasza świetlica.

–To napisz pan zaalenie – odparował Fraser. – Zajęła ją policja, co znaczy, e nie macie tam teraz wstępu.

Kinross gniewnie błysnął oczami. Zafalowała mu broda.

–Moe pan nie słyszał, ale to jest nasza świetlica, nie wasza. Jeśli myślicie, e moecie przyjść tu i wypieprzyć nas na zbity pysk, to się grubo mylicie.

–Nikt nie chce was stamtąd wyrzucać – wtrąciłem, czując, e sytuacja wymyka się spod kontroli. – Zajmiemy ją na krótko. Rozmawialiśmy ju z panią Strachan.

Przeprosiłem ją w duchu, e się na nią powołałem, ale osiągnąłem zamierzony efekt. Kinross i Guthrie popatrzyli po sobie, tracąc całą wojowniczość. Kinross potarł kark.

–Jeśli pani Strachan wam pozwoliła...

Dzięki ci za to, Boe. Ale ulyło mi przedwcześnie; zapomniałem, e Fraser jest

uraony tym, e podkopano jego autorytet, no i e wlał w siebie kilka szklanek whisky. Najwyraźniej czuł się w obowiązku przypomnieć im, kto tu tak naprawdę rządzi.

–Potraktujcie to jak ostrzeenie – warknął, celując palcem w Kinrossa. – To jest teraz

śledztwo w sprawie morderstwa i jeśli znowu wejdziecie mi w drogę, poałujesz pan, e

zszedłeś pan z promu na suchy ląd!

W barze zapadła głucha cisza. Wszyscy się na nas gapili. Na próżno próbowałem ukryć konsternację. Ty pieprzony idioto! Kinross był zaskoczony.

–Śledztwo w sprawie morderstwa? – powtórzył. – Od kiedy? Sierant zorientował się dopiero teraz. Poniewczasie.

–Nie wasza sprawa – mruknął. – A teraz pozwólcie, e dokończę jeść. Koniec rozmowy.

Znowu pochylił się nad talerzem i poczerwieniał mu kark. Kinross zagryzł wargę. Dał znak kumplowi.

–Chodź, Sean.

Odeszli. Fraser długo unikał mojego wzroku. Miał spuszczoną głowę i wciąż jadł. Poniewa nie przestawałem na niego patrzeć, w końcu zerknął na mnie uraony.

–No co? I tak by się dowiedzieli. Nic się nie stało.

Byłem zbyt wkurzony, eby cokolwiek powiedzieć. Chcieliśmy utrzymać to w tajemnicy, a ten kretyn wszystko wypaplał. Nie miałem ochoty dłużej z nim siedzieć. Wstałem.

–Idę zmienić Brody’ego – powiedziałem i poszedłem poprosić Ellen, eby zrobiła mi parę kanapek.

Brody wciąż siedział na korytarzu, pilnując drzwi. Gdy wszedłem, zeszywniał na brzegu krzesła, ale odprężył się, widząc, e to tylko ja.

–Jest pan duo szybciej, ni myślałem. – Wstał i przeciągnął się leniwie.

–Pomyślałem, e zjem tutaj. Zabrałem z hotelu laptop. Postawiłem go i wyjąłem z kieszeni kłódkę i łańcuch.

Podąłem mu klucz.

–Proszę. Zapasowy. Posłał mi badawcze spojrzenie.

–Fraser się wścieknie.

–Moliwe. Ale po tym, co przed chwilą zrobił, mam to gdzieś. Powiedziałem mu, co się stało w barze. Brody zacisnął zęby.

–Co za kretyn. Tylko tego nam brakowało. – Myślał przez chwilę. – Chce pan, ebym tu trochę posiedział? Nie mam nic do roboty, muszę tylko wyprowadzić Bess na spacer.

Chyba nie zdawał sobie sprawy, jak wielka samotność biła z tych słów.

–Nie, nic mi nie będzie. Musi pan coś zjeść.

–Na pewno? Zapewniłem go, e tak. Doceniałem jego propozycję, ale chciałem popracować. A

pracowało mi się lepiej, kiedy nic mnie nie rozpraszało.

Gdy wyszedł, owinąłem łańcuchem klamki podwójnych drzwi, spiąłem go i zatrzasnąłem kłódkę.

Zadowolony, e zabezpieczyłem świetlicę najlepiej, jak umiałem, usiadłem na krześle Brody’ego i zjadłem kanapki od Ellen. Nie chciałem jeść w przychodni, nie dlatego, e byłem taki delikatny, tylko dlatego, e wolałem tam nie nakruszyć. Ellen dała mi równie termos, więc sączyłem gorącą kawę, wsłuchując się w ryk wiatru.

Stary budynek trzeszczał jak drewniany okręt na pełnym morzu. Ten odgłos był dziwnie kojący i po kanapkach zachciało mi się spać. Opadły mi powieki, lecz gdy wichura

zatrzęsa oknami, gwałtownie poderwałem głowę. Lampy przygasły i zamigotały niepewnie, zanim znowu oły. Pora zaczynać.

Czaszka i szczęka leały tam, gdzie je zostawiłem. Znalazłem gniazdko i włączyłem komputer. Akumulatorki były naładowane, ale gdyby wysiadł prąd, długo by nie wytrzymały. Dlatego wolałem skorzystać z miejscowej sieci elektrycznej, ufając, e wbudowany w komputer stabilizator uchroni mnie przed nagłymi zmianami napięcia.

Gdy wgrał się system, otworzyłem pliki od Wal lace’a. Mogłem przejrzeć je dopiero teraz. Było ich w sumie pięć, pięć młodych kobiet między osiemnastym i trzydziestym rokiem ycia, które zaginęły na Western Isles i na zachodnim wybrzeżu Szkocji w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Było całkiem prawdopodobne, e po prostu uciekły z domu i e skuszone złudnymi obietnicami wielkiego miasta prędzej czy później pojawią się w Glasgow, Edynburgu czy w Londynie.

Ale nie wszystkie.

Kady plik zawierał szczegółowy rysopis i zdjęcie zaginionej. Dwa zdjęcia były bezużyteczne; jedna kobieta miała zaciśnięte usta, a zdjęcie drugiej zrobiono w zbyt niskiej rozdzielczości. Ale wystarczyło szybkie spojrzenie na ich rysopisy i

wiedziałem ju, e to nie one. Jedna była Murzynką a druga była za niska i nie mogła być tą, której szkielet zmierzyłem w chacie.

Ale trzy pozostałe mogły pasować do profilu fizycznego zamordowanej. Sądząc po zdjęciach, były niewiele starsze od nastolatek i sfotografowano je tu przed czymś, co spowodowało, e porzuciły swoje dotychczasowe ycie lub co je zakończyło. Uruchomiłem program cyfrowego powiększania, kliknąłem na zdjęcie pierwszej kobiety i powiększałem je stopniowo, a cały ekran wypełniły wielkie, anonimowe, rozchylone w uśmiechu usta. Wyostrzyłem obraz i zacząłem porównywać go z uśmiechem czaszki na stole.

W przeciwieństwie do odcisków palców, gdzie do pozytywnej identyfikacji wymagana jest określona liczba cech wspólnych, tu wystarczy nawet pojedynczy ząb. Charakterystyczny kształt, jedno charakterystyczne pęknięcie i ju – ofiara jest zidentyfikowana.

I właśnie na to liczyłem. Zęby, które znalazłem, były popękane i wyszczerbione. Gdyby adna inna kobieta ze zdjęć Wallace'a nie miała podobnych wad, mógłbym przynajmniej je wykluczyć. Ale gdyby mi się poszczęściło, mógłbym przypisać ofierze nazwisko.

Od początku wiedziałem, e nie będzie to łatwe. Zdjęcia były zwykłymi fotkami i nie zrobiono ich, mając na względzie ponure zadanie, jakie mnie teraz czekało. Nawet

powiększone i oczyszczone z niepotrzebnych pikseli, były bardzo ziarniste, a zęby, te widoczne, zamazane i ukryte w cieniu. Nie pomagał równie fatalny stan zębów, które tak pracowicie wtykałem do pustych zębodołów. Jeśli naleały do jednej z młodych kobiet na zdjęciach, sfotografowano ją na długo przed tym, gdy zniszczyły je narkotyki.

Po dwóch godzinach ślęczenia przy komputerze poczułem się tak, jakby ktoś sypnął mi w oczy piaskiem. Rozmasowałem sobie kark i dolałem kawy do kubka. Byłem zmęczony i zniechęcony. Wiedziałem, e szanse są nikłe, mimo to miałem nadzieję, e coś znajdę.

Jeszcze raz otworzyłem plik ze zdjęciami trzech kobiet. Moją uwagę przykuła ta trzecia, ostatnia. Nie wiedziałem dlaczego. Zdjęcie zrobiono na ulicy, przed jakimś sklepem. Kobieta nie była zbyt atrakcyjna. Miała okrągłą twarz, ani zwyczajną ani ładną. Mimo uśmiechu w jej oczach i na jej ustach malował się wyraz nie tyle surowości czy zawziętości, ile zmęczenia. Ale była w nich równie hardość. Nie naleała do kobiet, które cierpią w milczeniu. Jeśli była ofiarą, na pewno nie była ofiarą bierną.

Przyjrzałem się jej uwaniej. Widać było tylko siekacze i górne kły, bo pozostałe zęby

kryły się za wargami. Chocia były równie krzywe, jak te na stole, za nic nie mogłem ich do siebie dopasować. Wśród tych na stole najbardziej rzucał się w oczy lewy górny siekacz, bo miał charakterystyczne wyszczerbienie w kształcie litery V. Ale ten na zdjęciu takiego wyszczerbienia nie miał. Odpuść sobie, pomyślałem. Tracisz tylko czas.

I nagle zobaczyłem coś, co od samego początku miałem przed sobą jak na widelcu.

–No, nie – powiedziałem na głos. – To jakiś art.

Kliknąłem myszką. Kobieta zniknęła z ekranu i ukazała się znowu, lecz trochę zmieniona. Na oknie wystawowym sklepu, przed którym stała, widniał napis: „Stornoway Storę Newsa...” Wany był nie tyle sam napis, ile to, e mogłem go teraz odczytać. Przedtem był odwrócony, teraz ju nie.

Zdjęcie od początku kłamało.

Moe zeskanowano je z negatywu albo zrobił to niechcący ktoś z archiwum, przenosząc je do bazy danych osób zaginionych. Nie miałem pojęcia, jak to się stało i nic mnie to nie obchodziło. Najwanijsze było jedno: zdjęcie było odwrócone. Lewa to prawa, prawa to lewa.

Jak w lustrze.

Z narastającym podnieceniem znów powiększyłem zęby kobiety ze zdjęcia. Prawy dolny kieł był krzywy i zachodził na sąsiedni ząb. Dokładnie tak jak kieł zamordowanej. Co wanijsze, lewy górny siekacz ofiary i lewy górny siekacz kobiety na zdjęciu miały identyczne wyszczerbienie w kształcie V.

Znalazłem ją. Nareszcie.

Dopiero teraz pozwoliłem sobie przeczytać jej dane osobowe. Nazywała się Janice Donaldson. Miała dwadzieścia sześć lat; była prostytutką, alkoholiczką i narkomanką, i przed pięcioma tygodniami zaginęła w Stomoway. Nie było zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań, nie było komunikatów. Ot, kolejne akta, kolejna duszyczka, na którą nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi.

Jeszcze raz przyjrzałem się zdjęciu, jej elektronicznie uwiecznionemu uśmiechowi. Miała pełną twarz, zaokrąglone policzki i początek drugiego podbródka. Musiała być młodą, pulchną kobietą z tendencją do tycia. Miała nadwagę. Nadwaga! Mnóstwo tłuszczu do spalenia! Dowody nie były niezbite – jeszcze nie, bo trzeba je było potwierdzić odciskami palców i zdjęciami rentgenowskimi zębów – ale wyzbyłem się ju wątpliwości. Znalazłem zamordowaną.

–Witaj, Janice – powiedziałem.

Podczas gdy ja wpatrywałem się w ekran komputera, skulony w przyczepie Duncan próbował skupić się na podręczniku kryminalistyki. Nie było to łatwe. Wiało coraz mocniej. Przyczepa stała za chatą, osłonięta przed głównym uderzeniem nawałnicy, mimo to wichura bezlitośnie ją smagała.

Niekończąca się seria gwałtownych wstrząsów denerwowała go i przysparzała mu niewygód. Chciał zgasić grzejnik, na wypadek gdyby przyczepa się przewróciła, ale w końcu postanowił tego nie robić. Wolał zaryzykować i zginąć w ogniu, niż zamarznąć na śmierć.

Dlatego próbował nie myśleć o wstrząsanej przez wiatr przyczepie i o bębniącym w dach deszczu, i ze wszystkich sił koncentrował się na lekturze. Ale kiedy stwierdził, że po raz trzeci czyta ten sam akapit, w końcu zrozumiał, że nic z tego nie będzie.

Z westchnieniem zamknął książkę. Rzecz w tym, że nie tylko wichura go niepokoiła. Wciąż dręczyła go ta myśl. Wiedział, że to głupie, że to zupełnie absurdalne. Ale gdy już zaczął się nad tym zastanawiać, po prostu nie mógł przestać. Wszystko przez tą jego wybujałą wyobraźnię. A co jeśli, a jeśli, a może, a gdyby – za duży gdybał, na tym polegał jego problem.

Pytanie brzmiało: co z tym zrobić? Powiedzieć komuś? Ale komu? Chciał powiedzieć doktorowi Hunterowi, ale zmienił zdanie. Pozostawał jeszcze Brody. No i Fraser. Tak, na pewno Fraser. Jako policjant sierant miał za duży wad. Zapach whisky bijący od rana z jego ust był czymś enującym. Odraajającym. Jakby myślał, że ludzie tego nie zauważą albo jakby było mu wszystko jedno. Ojciec opowiadał mu o policjantach, którzy się kompletnie wypalili

i których jedyną ambicją było w nic się nie mieszać i doczekać emerytury. Jakby mówił o Fraserze.

Zastanawiał się, czy z nim będzie tak samo, czy stopniowo pograży się w coś, co można by nazwać stanem permanentnego rozczarowania. Oczywiście słyszał krąjące o sierancie plotki; w jedne wierzył, do innych podchodził sceptycznie. Ale zawsze wolał myśleć, że pod jego zaczerwienionymi od alkoholu policzkami drzemie na wpół porządny policjant.

Teraz nie był już tego taki pewny. Oto prowadzili niezmiernie wane śledztwo w sprawie morderstwa, oto znaleźli się na pierwszej linii ognia, a Fraser wciąż zachowywał się tak, jakby mu to przeszkadzało. On podchodził do tego zupełnie inaczej. Dla niego była to najbardziej ekscytująca rzecz, jaka kiedykolwiek mu się przydarzyła.

Ta świadomość wywoływała jednak wyrzuty sumienia. Przecież ktoś zginął. Czy to dobrze, że był taki podniecony?

Z drugiej strony na tym właśnie polegała jego praca. Po to wstąpił do policji. Nie po to, eby wypisywać mandaty za parkowanie w niedozwolonym miejscu czy uspokajając kłótnie pijanych sąsiadów. Wiedział, e gdzieś tam czai się zło – moe nie w sensie biblijnym, mimo to zło. Chciał spojrzeć mu w oczy, chciał, eby wzdrygnęło się pod jego wzrokiem. Chciał coś zmienić. Tak, tak, pomyślał, ju słyszę, co powiedziałyby na to Fraser.

Powoli przestał się uśmiechać. Co miał teraz zrobić?

Kątem oka dostrzegł jakiś błysk na dworze. Wyjrzał przez okno, czekając, a się powtórzy. Ale niebo było zupełnie czarne. Błyskawica? A gdzie grzmot? Zgasił światło i w przyczepie zapanowała ciemność, którą rozjaśniał tylko niski błękitny płomień parafinowego grzejnika. Widział mroczny zarys chaty, nic więcej.

Zawahał się. Moe to błyskawica płaska. Błyskawicy płaskiej nie towarzyszy grzmot, prawda? A moe mu się tylko przywidziało.

Ale mógł to być równie ktoś z latarką.

Znowu ta reporterka? Ta Maggie? Miał nadzieję, e nie. Chocia miałby ochotę ją zobaczyć, uwierzył jej, gdy obiecała, e ju nigdy tu nie przyjdzie. Moe to naiwne, ale czułby się zawiedziony, gdyby złamała obietnicę. Ale skoro to nie ona, to kto? W chacie nie pozostało nic, czym warto by było zawracać sobie głowę, chyba e ktoś przyjechałby tu ze spychaczem.

Tak, ale prowadzili teraz śledztwo w sprawie morderstwa. Nie zamierzał ryzykować. Moe zadzwonić do Frasera? Nie, szybko zrezygnował z tego pomysłu. Sierant zrugwałby go i

zbluzgał, a on nie miał na to ochoty. Najpierw trzeba to sprawdzić. Włożył kurtkę, wziął latarkę i wyszedł na dwór.

Potęny podmuch wiatru omal nie zwałił go z nóg. Cichutko zamknął drzwi, znieruchomiał i wytężył słuch. Wichura wyła tak głośno, e nic nie słyszał. Poza tym było tak ciemno, e bez latarki nic nie widział. Zapalił ją i poświecił wokoło. Smagana wiatrem trawa, ruiny chaty i nic więcej. Na drodze te nic nie było, przynajmniej do miejsca, gdzie sięgało światło. Dostrzegł co prawda koleiny, które mógł zostawić samochód, ale nie zamierzał schodzić z posterunku, eby to sprawdzić.

Wiatr szybko zdarł z niego całe ciepło. No i zapomniał włożyć rękawiczki. Dygocząc z zimna, podszedł do chaty i poświecił na drzwi. Zabezpieczył je taśmą – o czym Fraser nie raczył oczywiście pomyśleć – a taśma była nietknięta. Poświecił do środka, stwierdził, e nikogo tam nie ma i ruszył w lewo, eby obejść ruiny.

Nic. Nikogo. Powoli się uspokajał. To musiała być jednak błyskawica płaska, Tak

albo twoja wyobraźnia, pomyślał. Brodząc w szumiącej trawie, zatoczył pełne koło i wrócił do punktu wyjścia. Teraz jego głównym zmartwieniem było to, e straszliwie zmarzł. Zdrętwiały mu obejmujące latarkę palce.

Mimo to przed powrotem do przyczepy poświęcił wokoło jeszcze raz. Stanąwszy przed drzwiami, zawahał się, bo nagle przyszło mu do głowy, e ktoś moe tam na niego czekać.

Jeśli czeka, pomyślał, mam nadzieję, e nastawił wodę na herbatę. Mocniej ścisnął stalową latarkę i otworzył drzwi.

W przyczepie nie było nikogo. Z syczącej niebieskawo poświaty grzejnika biło ostre, przyjazne ciepło. Spiesznie wszedł do środka, z ulgą zamknął drzwi. Rozcierając zlodowaciałe ręce, zapalił światło i potrząsnął czajnikiem, eby sprawdzić, ile zostało w nim wody. Trochę zostało, ale musiał pamiętać, eby z samego rana napełnić plastikowy zbiornik. Fraser musiał chlać herbatę przez cały dzień, pomyślał ponuro.

Postawił czajnik na małym, okrągłym palniku i wziął zapalniczki. Wyjął jedną i potarł o traskę. Buchnął płomień, zapachniało siarką.

Nagle ktoś załomotał do drzwi.

Duncan drgnął. Bolesne pieczenie uświadomiło mu, e wciąż trzyma zapalniczkę. Zgasił ją i dopiero teraz otrząsnął się z zaskoczenia.

Niewiele brakowało i spytałby, kto tam. Nie, pomyślał. Obcy nie przyszedłby tu i nie zapukał. Mimo to sięgnął po latarkę. Na wszelki wypadek.

A potem, podniesiony na duchu jej ciężarem, poszedł otworzyć drzwi.

Rozdział 15

Siedziałem przy biurku. Było ciemno, ale nie a tak, ebym nic nie widział. Wszystko tonęło w mglistym półmroku. śaluzje w oknie i na drzwiach były zaciągnięte. Czaszka i szczęka leały na stalowym stole. Tu prze de mną stał laptop z ciemnym, martwym ekranem. Halogenowa lampa wciąż celowała w stół, lecz nie świeciła.

Panowała absolutna cisza. Rozejrzałem się wokoło. I bez adnego zaskoczenia, które często towarzyszy takim chwilom, od razu domyśliłem się, e śpię.

Wyczułem jej obecność, zanim ją zobaczyłem. Tam, w kącie. Siedziała w cieniu, mimo to dobrze ją widziałem. Kobieta grubokoścista i otyła. Z nadwagą. Miała ładną okrągłą twarz naznaczoną uporem i zawziętością.

Patrzyła na mnie bez słowa.

Czego chcesz?

Nie odpowiedziała.

Zrobiłem wszystko, co mogłem. Teraz to sprawa policji.

Nie odrywając ode mnie oczu, wskazała czaszkę na stole.

Nie rozumiem. Co mam zrobić?

Otworzyła usta. Myślałem, e coś powie, ale zamiast słów, z ust zaczął wydobywać się dym. Chciałem uciec wzrokiem w bok, ale nie mogłem. Dym był coraz gęstszy, szedł z jej oczu, nosa i ust, szedł z czubków palców. Paliła się, ale nie widziałem płomieni. Tylko sam dym. Wypełniał gabinet, coraz bardziej ją przesłaniał. Wiedziałem, e muszę coś zrobić, e muszę jakoś jej pomóc.

Nie moesz. Ona ju nie yje.

Dym gęstniał, zaczynałem się dusić. Wciąż nie mogłem wykonać najmniejszego ruchu, lecz targała mną coraz silniejsza potrzeba działania. Zrób coś! Teraz! Natychmiast! Rzuciłem się w jej stronę...

I się obudziłem. Wciąż byłem w gabinecie, przy biurku, gdzie zasnąłem. Ale teraz panowała tu ciemność. Z jarzącego się ekranu komputera, na którym zapadały się w otchłań miriady gwiazd, biła blada poświata. Włączył się wygaszacz, co oznaczało, e spałem co najmniej kwadrans.

Na dworze szalała wichura. Spróbowałem odpędzić resztki snu. Brakowało mi powietrza, widziałem niewyraźnie, jak przez zasłonę z gazy. I czułem gryzący zapach

dymu.

Wziąłem oddech i od razu zacząłem kaszleć. Teraz czułem już nie tylko zapach, ale i smak dymu. Pstryknąłem włącznikiem lampy. Nie zapaliła się. Sztorm odciął w końcu wyspę

od dostaw elektryczności. Laptop pracował na akumulatorku. Wcisnąłem klawisz, aby wyjść z trybu oszczędzania prądu i gabinet zaalało niebieskawe światło ekranu.

Wisząca w powietrzu mgiełka była teraz wyraźniejsza i gdy się na dobre ocknąłem, zdałem sobie sprawę, że nie był to tylko sen.

W gabinecie kłębił się dym.

Kaszląc, rzuciłem się do drzwi. Chwyciłem za klamkę i natychmiast zabrałem rękę.

Klamka parzyła.

Po wizycie intruza opuściłem aluzje w okienku, ale teraz szybko je podniosłem. Świetlica była skąpana w ółtopomarańczowym blasku.

W blasku ognia.

Cofnąłem się i rozejrzałem. Jedyna droga ucieczki wiodła przez małe okno wysoko w ścianie. Gdybym stanął na krześle, mógłbym się przez nie przecisnąć, choć z trudem. Spróbowałem je otworzyć, nie ustąpiło. Dopiero po chwili zobaczyłem zamek i zakląłem. Nie miałem pojęcia, gdzie szukać klucza, poza tym nie było czasu. Chwyciłem lampę, aby stłuc szybę, lecz w ostatniej chwili zmieniłem zdanie. Z trudem zmieściłbym się nawet w otwartym oknie, a gdybym zbił szybę, musiałbym przeciskać się przez otwór jeszcze mniejszy, w dodatku najeony ostrymi kawałkami szkła. I dobrze wiedziałem, jak wybicie szyby wpływa na trawiący budynek ogień: gwałtowny napływ bogatego w tlen powietrza wywołuje eksplozję, doprowadzając do błyskawicznego rozszerzenia się poaru. Nie chciałem ryzykować.

Dym zgęstniał jeszcze bardziej, coraz trudniej mi było oddychać. Uspokój się! Pomyśl! Chwyciłem kurtkę z wieszaka i podbiegłem do umywalki. Odkręciłem kran, włożyłem głowę pod wodę, namoczyłem rękawiczki i szalik. Potem, ociekając wodą i przeklinając moją nieporadność, wcisnąłem się w kurtkę. Owinąłem szalikiem nos i usta, podciągnąłem go pod same oczy, włożyłem kaptur i na zdrową rękę naciągnąłem rękawiczkę.

Chwyciłem komputer z biurka i spojrzałem na czaszkę i uchwę na wózku. Przepraszam, Janice.

I wtedy eksplodowało okienko w drzwiach.

Patrzyłem w bok, dlatego kaptur i szalik uchroniły mnie przed gradem odłamków szkła. Czulem, jak sieką odsłonięte fragmenty twarzy, lecz piekący ból był niczym w porównaniu z falą gorąca, która buchnęła przez otwór. Zachwiałem się, cofnąłem – do gabinetu wpadła chmura dymu i ognia. Szanse na ucieczkę przez okienko w drzwiach spadły do zera. Nawet gdyby nie zabiła mnie ognista kula, wywołana z biciem szyby, spłonąłbym, zanim zdążyłbym się przez nie przecisnąć.

Dym przedostał się ju przez szalik, zaczynał mnie dusić. Kaszląc i charcząc, stanąłem tyłem do buchającego przez okienko gorąca i chwyciłem za klamkę. Mokra rękawiczka zasyczała i ar momentalnie przeniknął przez gruby materiał. Szarpnąłem klamką, otworzyłem drzwi i wpadłem do świetlicy.

Poczułem się tak, jakbym uderzył w ścianę aru i huku. Pianino płonęło jak pochodnia przyświecająca jazgotliwemu koncertowi szaleńca, który zrywał i wrywał wszystkie struny. Omal nie zawróciłem do gabinetu, ale gdybym to zrobił, byłoby po mnie. Po chwili zobaczyłem, e zajęła się tylko część sali, e najwięcej płomieni bucha po jej drugiej stronie. Sólte jężory ognia pełzały po podłodze i suficie, ale do drzwi jeszcze nie dotarły.

Uciekaj! Uciekaj! Z łzawiącymi oczami wszedłem w dym. Niemal natychmiast oślepiłem i straciłem orientację. Czulem smród tłącej się kurtki, czulem zapach spalonej wełny mokrego szalika na twarzy. Z sercem walącym ze strachu i braku tlenu wpadłem na stertę dymiących krzesel.

Ramię przeszył mi ból, laptop wypadł mi z ręki. Ale to właśnie ten upadek ocalił mi ycie. Tu przy podłodze utrzymywała się warstwa względnie czystego powietrza i poczułem się tak, jakbym wpłynął w termoklinę. Kretyn! Powinieneś być pamiętać. Wpadłem w panikę, przestałem trzeźwo myśleć. Z twarzą tu przy podłodze zachłannie wpompowałem do płuc kilka haustów powietrza i pomacałem wokoło w poszukiwaniu laptopa. Ale nie mogłem go znaleźć. Zostaw! Idź dalej! Popelzłem w kierunku wyjścia. Dym zawirował i nagle krok dalej zobaczyłem drzwi. Po raz ostatni nabrałem powietrza, wstałem i chwyciłem za obydwa uchwyty.

Zabrzęczał łańcuch, zagrzechotała kłódka.

Znowu sparaliowały mnie szok i strach. Zapomniałem o kłódce. Klucz. Gdzie jest klucz? Nie pamiętałem. Pomyśl! Zapasowy dałem Brody'emu, ale gdzie był mój? Czy w ogóle go wzięłem? Zdarłem zębami rękawiczkę z ręki i rozpaczliwie przeszukałem kieszenie. Były puste. O Chryste, został w gabinecie.

I nagle wyczułem coś małego i cienkiego w tylnej kieszeni. Jest. Dzięki ci, Boe! Wyjąłem go ostronie, bojąc się, e moe mi wypaść. Gdyby wypadł, byłbym trupem. Szalejący poar przypiekał mi plecy. Spróbowałem włożyć klucz do kłódki. Bolały mnie płuca, lecz nie śmiałem odetchnąć. Gdybym to zrobił, wciągnąłbym haust gorącego

dymu, który spaliłby mnie od środka. Miałem niezdarne ręce, kłódka nie chciała ustąpić.

Nagle rozległ się cichy trzask i ustąpiła.

Wyszarpnąłem łańcuch z uchwytów i otworzyłem drzwi z nadzieją, e ganek zadziała jak śluza, e pozwoli mi uciec, zanim świee powietrze podsyci poar. Zadziałał, ale

częściowo. Poczułem zimno na twarzy i w tym samym momencie pochłonęła mnie fala gorąca i dymu. Wydostałem się z niej z zaciśniętymi oczami i bolącymi płucami, bo wciąż nie miałem odwagi nabrać powietrza.

Metr? Trzy metry? Nie wiem, jak daleko zaszedłem, zanim znowu upadłem. Ale tym razem powitała mnie mokra, rozkosznie zimna trawa. Wreszcie odetchnąłem. Wypuściłem powietrze i natychmiast wciągnąłem haust świeego, lekko pachnącego dymem, lecz zimnego i cudownie orzeźwiającego.

Dotknęły mnie czyjeś ręce, poczułem, e ktoś ciągnie mnie po ziemi. Miałem załzawione oczy, nic nie widziałem, usłyszałem jednak głos Brody'ego:

–Ju dobrze, trzymamy cię.

Kaszłąc i wycierając oczy, podniosłem głowę. Szedł z lewej strony. Z prawej

zobaczyłem jeszcze wyszego Guthriego. Zdałem sobie sprawę, e wokół jest pełno ludzi, e ich oszołomione twarz toną w czerwonym blasku ognia. Wciąż ich przybywało – biegli ku nam w powiewających na wietrze paltach, pospiesznie narzuconych na piamy i koszule nocne. Ktoś krzyknął, eby dać mi wody i chwilę później wetknięto mi kubek do ręki. Wypiłem łapczywie, czując, jak po gardle rozlewa mi się cudownie kojące zimno.

–Jest pan cały? – spytał Brody.

Kiwnąłem głową i spojrzałem za siebie. Świetlica stała w ogniu. Buchały z niej

płomienie i snopy iskier, które momentalnie porywał wiatr. Przychodnia w dobudówce, gdzie byłem jeszcze przed kilkoma minutami, te się paliła i z roztrzaskanych okien szedł dym.

–Co się stało? Chciałem coś powiedzieć, ale chwycił mnie atak gwałtownego kaszlu.

–Powoli, spokojnie. – Brody przytknął mi kubek do ust. Ktoś przebił się przez tłum. Cameron. Patrzył na poar z rozdziawionymi ustami.

Nagle spojrzał na mnie i z oblędem w oczach spytał:

–Co pan zrobił? – Głos drał mu z wściekłości.

–Na miłość boską, dajcie mu odpocząć! – warknął inspektor. Cameron gotował się z wściekłości. Wystające jabłko Adama podskakiwało mu na szyi jak mysz w pułapce.

–Odpocząć? Tam się pali moja przychodnia! Spróbowałem opanować kaszel.

–Przykro mi... – wychrypiałem.

–Przykro? Niech pan spojrzy! Wszystko poszło z dymem! Wszystko! Co pan, do diabła, zrobił?

śły na jego skroniach pulsowały niczym wskaźnik gniewu. Z trudem wstałem i wytarłem łzawiące oczy.

–Nic. – Czuję się tak, jakby ktoś wsypał mi do gardła garść wiru. – Kiedy się obudziłem, świetlica stała ju w ogniu. Poar wybuchł tam, a nie w przychodni.

Ale Cameron nie zamierzał ustępować.

–Aha, więc sama się zapaliła, tak?

–Nie wiem... – Urwałem. Znowu wstrząsnął mną silny kaszel.

–Zostawcie go, ledwo uszedł z yciem – powiedział Brody. Ktoś się roześmiał, głośno i chrapliwie. Kinross. Stał przed tłumem

gapiów. Z czarną brodą i w kombinezonie wyglądał jak ktoś z czasów bardziej dzikich i krwioerczych.

–Jasne, bo wiedział jak i którądy, co?

–Wolelibyście, eby tam został? – warknął Brody.

–A mamy teraz jakiś wybór? Uwaga gapiów przenosiła się powoli z poaru na nas. Rozejrzałem się i stwierdziłem,

e jesteśmy otoczeni. Ludzie stali wokół nas ciasnym kręgiem, kuląc się na wietrze. Mieli złe, surowe twarze.

–Sama się nie zapaliła – wymamrotał jakiś mężczyzna. Odezwali się inni, ądając wyjaśnień, pytając, kto zapłaci za nową przychodnię. Nastrój się zmieniał, szok

ustępował

miejsca gniewowi.

Nagle tłum rozstał się, robiąc komuś przejście. Z ulgą zobaczyłem, że idzie ku nam Strachan. Napięcie natychmiast opadło.

Przystanął i z rozwianymi włosami popatrzył na płonącą świetlicę.

–Chryste! Ktoś tam był? Pokręciłem głową, walcząc z kaszlem. – Tylko ja.

I Janice Donaldson, pomyślałem. Płomienie splatały się ze sobą w połowie budynku.

Nie było szans, aby jej szczątki przetrwały drugi poar.

–Wody poproszę. – Strachan zabrał mi kubek i wyciągnął w bok rękę, nie interesując

się nawet, kto go odbierze. Kubek natychmiast wrócił i zachłannie wypłem kilka lodowatych

łyków. Strachan zaczekał, a go opuszczę.

–Domyśla się pan, co się stało? Cameron obserwował nas z prawie nieukrywaną złością.

–Gdy to nie oczywiste? Tylko on tam był!

–Nie pleć bzdur – odparł niecierpliwie Strachan. – Wszyscy wiedzą, że to była śmiertelna pułapka. Przewody elektryczne miały ze sto lat. Kiedy budowaliśmy przychodnię,

powinienem być się uprzeć, aby to wszystko zburzono.,

~ I co? I ja? – Cameron zacisnął zęby. – Mamy to sobie odpuścić? Tak po prostu?

Strachan uśmiechnął się, chyba pod publiczkę.

–Cóż, zawsze moście go zlinczować. Tam jest latarnia, a sznur na pewno znajdziecie. Ale może zanim zaczniemy kogoś obwiniać, zaczekamy na jakieś wyjaśnienia,

co?

Powiódł wokoło wzrokiem i podniósł głos.

–Obiecuję, e dowiemy się, co się tu stało. Obiecuję, e zbudujemy nową, lepszą

przychodnię i świetlicę, macie moje słowo. Ale teraz nic tu po nas. Wracajcie do domu.

Nikt nie drgnął z miejsca. Jakby na umówiony znak, to, co pozostało ze świetlicy, zapadło się nagle w fontannie iskier i płomieni. Powoli, stopniowo ludzie zaczęli się rozchodzić, mężczyźni z ponurymi twarzami, kobiety ocierając łzy.

Strachan spojrział na Kinrossa.

–Iain, Sean, skrzyknijcie kilku chłopaków i zostańcie tu trochę, dobrze? Poar pewnie

się nie rozprzestrzeni, ale byłbym wdzięczny, gdybyście tu wszystkiego popilnowali.

Sprytny sposób rozładowania resztek napięcia. Kinross i Guthrie byli zaskoczeni, ale i mile połechtani, e ich o to poprosił.

Gdy odeszli, Strachan położył Cameronowi rękę na ramieniu.

–Bruce, opatrzysz Davida?

–Nie, nie trzeba – wtrąciłem, zanim Cameron zdążył odpowiedzieć. Mógł być sobie pielęgniarzem, ale miałem go dość. – Jakoś sobie poradzę.

Cameron odchrząknął.

–Nadal uwaam, e powinniśmy...

–W takim razie, có – przerwał mu Strachan. – Za kilka godzin masz lekcje. Moesz wracać do domu.

Jego ton nie zachęcał do polemik i nachmurzony Cameron odszedł. Strachan zniżył głos.

–Dobrze, co się tam stało? Dopilem wodę.

–Musiałem przysnąć. Kiedy się obudziłem, nie było światła, a w gabinecie kłębił się dym.

–Godzinę temu na całej wyspie wysiadł prąd. Pewnie doszło do jakiegoś zwarcia.

Dopiero teraz zauważyłem, e widoczne za płonąca wielic miasteczko tonie w ciemnoci. Nie paliy si latarnie, nie palio si wiato w oknach. Sztorm pozbawi Run i telefonw, i elektrycznoci.

–Koszmarna noc. Ale mogo by jeszcze gorzej...- Strachan umilk i w jego zachowaniu nastpia ledwo zauwaalna zmiana. – Doszy mnie plotki o tych zwokach z

chaty. Podobno to morderstwo. Wie pan co o tym?

Uprowadzi mnie Brody.

–Plotki nie powinny pana interesowa.

–A wiec to nieprawda?

Brody milcza, patrzc na niego z kamienn twarz. Strachan umiechn si kwano.

–Tak mylaem. Co, w takim razie yce dobrej nocy. Ciesz si, e nic si panu nie stao, Davidzie.

Ruszy do samochodu.

–Tak z ciekawoci – rzuci Brody. – Z domu nie widzi pan miasteczka. Jak dowiedzia

si pan o poarze?

Strachan si odwroci. Miał spokojn twarz, cho pod mask opanowania wida byo tumiony gniew.

–Zobaczyem un. le sypiam.

Mierzy si wzrokiem, adnemu nie drgna nawet powieka. Wreszcie Strachan skin mi gow i odszed.

Brody odwizi mnie do hotelu. Mieszka za portem. Zobaczy poar z okna w sypialni, wsiad do samochodu i przyjecha.

–Ja te kiepsko sypiam – wyjani drwico.

Wyczerpanie oderwao mnie od rzeczywistoci. Z trudem oparem si pokusie, eby

oprzeć głowę o zagłówek i zamknąć oczy. Moje rany były tylko powierzchowne, ale zaczynały ju poboлеwać. Nos i gardło wciąż zatykał mi smród dymu. Uchyliłem okno, ale zaraz je zamknąłem. Za bardzo wiało.

–Jak pan myśli, co tam się zapaliło? – spytał po chwili Brody.

–Strachan moe mieć rację. – Wciąż straszliwie chrypiałem. – Wysiadł prąd, doszło do zwarcia albo do gwałtownego skoku napięcia. Świetlica nie posiadała odpowiedniego zabezpieczenia na wypadek poaru.

–A więc to zbieg okoliczności, e spaliła się kilka godzin po tym, jak ktoś tam był? Po tym, jak Fraser wychlapał, e to morderstwo?

Byłem zbyt wstrząśnięty, eby trzeźwo myśleć.

–Nie wiem.

Inspektor nie drął tematu.

–Wszystko przepadło?

Przepadło najwanniejsze, pomyślałem. Moja walizka, sprzęt i szczątki Janice Donaldson były w gabinecie. Aparat fotograficzny, karta pamięci ze zdjęciami, laptop z notatkami i cennymi plikami – wszystko poszło z dymem.

Ale mówiąc to, odruchowo włożyłem rękę do kieszeni z nadzieją e moe tam jest.

–Nie – odparłem, pokazując mu pendrive. – Skopiowałem cały dysk. Siła nawyku. Mamy przynajmniej zdjęcia.

–Lepsze to ni nic – mruknął Brody.

–I jeszcze coś – dodałem. – Wiem, kim była. Opowiedziałem mu, jak odkryłem, e zęby z chaty pasują do zębów

Janice Donaldson, zaginionej prostytutki ze Stornoway. Brody grzmotnął ręką w kierownicę.

–Dobra robota! – Uśmiechnął się, ulegając na chwilę entuzjazmowi, który przyćmił jego wrodzoną powściągliwość.

–Mamy tylko zdjęcia czaszki, więc dobrze by było, eby ci z dochodzeniówki to potwierdzili. Moe uda im się wydobyć z pogorzeliska fragmenty tkanki miękkiej i zrobić testy DNA.

–Mnie w zupełności wystarczy pańskie słowo – odparł Brody. Pochlebiał mi swoją

wiarą. Miałem tylko nadzieję, e równie łatwo przekonam Wallace'a.

Dojedaliśmy do hotelu. W holu paliło się światło, Ellen jeszcze nie spała. Obudziła się, gdy brak prądu uciszył rytmiczne pulsowanie centralnego ogrzewania i lodówek. Teraz jednak w holu było jasno, a dochodząca z dołu lekka wibracja mówiła, e w piwnicy pracuje generator,

Zobaczyła mnie i się przeraziła.

–Boe, nic się panu nie stało?

–Nie, ale bywało lepiej.– Ruchem głowy wskazałem arówkę, która świeciła słabiej ni zwykle, ale świeciła. – Miły widok.

–Tak. Jeśli będziemy oszczędzać, paliwa starczy na trzy, moe cztery dni. Mam nadzieję, e do tej pory prąd ju będzie. Z Boą pomocą – dodała cierpko.

Brody poszedł obudzić Frasera, tymczasem ona zaprowadziła mnie do kuchni i pomogła mi zdjąć kurtkę. Kurtka była mocno nadpalona i cuchnęła dymem tak bardzo, e Ellen zmarszczyła nos.

–Szkoda, e nie jest i wodoodporna, i ognioodporna.

Wyłóone teflonem ramiona i kaptur były czarne i przepalone niemal na wylot. Piekła mnie twarz, ale wiedziałem, e to nie jest nic powanego.

–Trudno, ale i tak nie narzekam.

Kilka minut później wrócił Brody z rozespanym Fraserem, który nie zdążył jeszcze zapiąć koszuli.

–Nie spodoba mu się to – mruknął sierant, gdy poprosiłem, eby połączył mnie z Wallace'em.

I miał rację. Nadinspektor był wściekły i dlatego, e straciliśmy dowody rzeczowe, i dlatego, e w ogóle zadzwoniłem. Udobruchałem go trochę wiadomością, e zidentyfikowałem ofiarę, ale połączenie było tak fatalne, e jego głos to ginął w fali trzasków, to zupełnie zanikał.

–...ozmawiamy...utro – zakończył.

–Nowoczesna technologia – prychnął Brody. – Zastąpili radiotelefony analogowe

cyfrowymi, ale sygnał wciąż idzie z sieci komórkowej. Wysiada sieć, szlag trafia telefon.

Fraser przebąkiwał coś o oględzinach świetlicy, ale nie było sensu tam jechać, dopóki poar się nie wypali. Spisał moje oświadczenie, wymamrotał coś pod nosem i poszedł spać. Kiedy rozmawiałem z Wallace'em, Ellen dyskretnie wyszła. Teraz wróciła i od razu zaczęła wypychać Brody'ego z kuchni.

–Ty te idź spać – gderwała artobliwie. – Wyglądasz niewiele lepiej od Davida.

Fakt. Inspektor miał zapadnięte policzki i podkrążone oczy. Mimo to zdołał się słabo uśmiechnąć.

–Nie wiem, który z nas powinien czuć się bardziej uraony. Ale tak, chyba się zdrzemnę. To był ciężki dzień.

–Moe jutro będzie lepszy – powiedziałem.

–Oby – odparł ciężko.

Nie miałem wątpliwości, e bez względu na to, co czekało nas nazajutrz, inspektor na pewno będzie w samym środku wydarzeń.

Kiedy wyszedł, Ellen naląła do miski gorącej wody. Potem przyniosła środek odkaający i watę.

–Dobrze, teraz pana opatrzę.

–Nie trzeba, poradzę sobie...

–Na pewno, ale nie tym razem. – I zaczęła przemywać moją pokiereszowaną twarz. –

Niech się pan nie martwi, przed przyjazdem Camerona byłam tu nieoficjalną pielęgniarką.

Na dworze zawodził wiatr. Milczeliśmy, lecz nie była to cisza krępująca. Zastanawiałem się, co ta młoda kobieta, samotna matka, robi na takim odludziu jak Runa. Na pewno trudno jej było związać koniec z końcem. Brody mówił, e ojca Ann poznała w

Szkocji, więc musiała stąd kiedyś wyjechać. Ale wróciła. Lubiała samotność czy przed czymś uciekła?

Znowu pomyślałem o gościu, który odwiedził ją tu i doprowadził do łez. Na Runie nie

mogło mieszkać zbyt wielu samotnych mężczyzn, dlatego trudno było nie wyciągnąć wniosków z tej tajemniczej wizyty.

Ale z drugiej strony, cóż mogłem o tym wiedzieć? Gdybym był rozsądny, siedziałbym teraz w domu z Jenny. ślałem, a nie mogłem z nią porozmawiać, ałowałem, a nie poprosiłem Frasera o radiotelefon i nie porozmawiałem z nią, kiedy mogłem. Zastanawiałem się, czy się o mnie martwi. Pewnie się martwiła. Nie powinieneś być się na to godzić, wyrzucałem sobie w duchu. Omal nie umarłeś z zimna, omal nie zginąłeś w poarze – co ty tu, do diabła, robisz, zamiast żyć dalej własnym życiem?

Ale to właśnie jest moje życie – uświadomiłem sobie nagle niezwykle wyraźnie. Tak wygląda moje życie. Jestem tym, kim jestem. I skoro Jenny widziała w tym problem, dokąd mogło nas to zaprowadzić?

Ellen przywołała mnie do rzeczywistości.

–To prawda, co ludzie mówią? O tych zwłokach.

Dzięki Fraserowi mogłem już śmiało potwierdzić to, o czym pewnie wszyscy już wiedzieli, ale nie chciałem o tym rozmawiać nawet z Ellen.

–Rozumiem, nie powinnam była pytać – dodała szybko. – To nie do wiary, a coś takiego mogło się tu stać. W barze nie mówiło się o niczym innym. Nikt nie wie, kto to jest, a tym bardziej, kto to mógł zrobić.

Mruknąłem coś wymijająco. Właśnie tego chcieliśmy uniknąć. Plotki i pomówienia wypełnią teraz próżnię powstałą z braku twardych faktów, mącąc wodę i wzniecając szlam nieufności. A jedyną osobą, którą na tym skorzysta, będzie zabójca.

–Rozumiem, a przyjedzie pan do nas na wakacje – powiedziała Ellen, eby poprawić mi nastrój.

Parsknąłem śmiechem. Zapiękło.

–Proszę, nie teraz – wychrypiałem, krzywiąc się z bólu.

–Przepraszam – odrzekła wesoło. – Często ulega pan wypadkom?

–Nie. To pewnie przez tę wyspę. Przestała się uśmiechać.

–Pewnie tak. Nie mogłem przegapić takiej okazji. –

–A pani? Podoba się tu pani? Natychmiast zajęła się kolejnym skaleczeniem.

–Nie jest tak źle. Powinien pan przyjechać tu latem. Noce są wspaniałe.

Rekompensują dni takie jak ten.

–Ale?

–Ale... Runa jest bardzo mała. Ciągłe te same twarze. Przyjezdni? Kilku inżynierów,

kilku turystów, to wszystko. No i trudno tu wyć. Czasem ałuję, e... Zresztą niewane.

–Proszę mówić dalej.

Opuściła gardę i na jej twarzy odmalował się smutek, który zazwyczaj ukrywała.

–Czasem mam ochotę wyjechać. Zostawić to wszystko, hotel, wyspę, zabrać Ann i po prostu wyjechać. Dokądkolwiek. Gdzieś, gdzie są porządne szkoły, sklepy, restauracje i ludzie, których się nie zna i którzy nie znają ciebie.

–Więc dlaczego pani nie wyjedzie? Z rezygnacją pokręciła głową.

–To nie takie proste. Wychowałam się tu, jest tu wszystko, co mam. Poza tym, co bym tam robiła?

–Inspektor mówił, e ukończyła pani college. Nie warto tego wykorzystać?

–Stary plotkarz. – Zabrzmiało to tak, jakby nie wiedziała, pogniewać się czy

roześmiać. – Tak, ukończyłam dwuletni college gastronomiczny w Dundee. Tam nauczyłam się udzielania pierwszej pomocy, poznałam zasady higieny i bezpieczeństwa pracy i masę innych bzdur. Chciałam zostać szefową kuchni. Ale potem zachorował mój ojciec i wróciłam. Tylko na jakiś czas, tak wtedy myślałam. Ale przyszła na świat Ann i musiałam ją utrzymywać, a trudno tu o pracę. Dlatego kiedy umarł, przejęłam rodzinny interes. Uniosła brew.

–I co? Nie spyta pan?

–O co?

–O ojca Ann.

–Dla własnego bezpieczeństwa zaczekam, a skończy mnie pani opatrywać.

–To dobrze. Powiedzmy, e nasz związek nie miał przyszłości. – Zabrzmiało to tak, jakby sprawa była ostatecznie zamknięta. Sięgnęła po kawałek waty. – Mówił coś jeszcze?

–Brody? Niewiele. Nie chciałbym, eby stracił prawo wstępu do baru.

–To mu nie grozi – odrzekła ze śmiechem. – Ann za bardzo go lubi. Ja te, chocia mu tego nie mówię. Jest nadopiekuńczy, więc tak jest lepiej.

Przerwała. Wiedziałem, o co zaraz spyta.

–Słyszał pan o jego córce?

–Tak, mówił mi.

–Musi pana lubić. Rzadko kiedy o tym wspomina. Z tego, co wiem, dziewczyna była

trochę zwariowana. Mimo to nie wyobraam sobie, jak musiał się czuć, nie wiedząc, co się z nią stało. Po przejściu na emeryturę próbował ją odnaleźć, ale có... Wtedy przyjechał tutaj. Jej twarz złagodniała.

–Niech pan mnie źle nie zrozumie, ale wyszło mu to na dobre. Rozpoczął tu nowe ycie. Niektórzy źle się czują na emeryturze, on te. Musiał być dobrym policjantem.

Fakt, na pewno był. Cieszyłem się, e tu jest. Bardziej ni kiedykolwiek przedtem. Ellen wrzuciła do miski zakrwawiony wacik.

–Ju. Teraz powinien pan wziąć gorący prysznic i pójść spać. Dam panu maść na oparzenia.

Hotelem wstrząsnął gwałtowny podmuch wiatru. Ellen przechyliła głowę i przez chwilę nasłuchiwała. – Sztorm przybiera na sile.

Rozdział 16

Nad ranem znowu lunęło i z pogorzeliśka pozostał jedynie bezkształtny kopiec szaro-czarnego popiołu. Unosiły się nad nim smuki dymu, które rozwiewał wiatr. Jeden róg świetlicy, kilkudziesięciocentymetrowy czarny kikut, był nietknięty. Tu i ówdzie wśród zgliszcz widać było rozpoznawalne kształty, fragment wygiętej przez ogień stalowej szafki i nogi krzesła, które sterczały z popiołu jak martwe gałęzie drzewa z brudnego śniegu.

Widok był ponury, tym bardziej przygnębiający, e wierzchołki niskich wzgórz tonęły w grubych, ciężkich chmurach. Deszcz padał niemal poziomą ścianą. Wichura przybrała na sile, smagając wszystko z celową, jak się zdawało, złośliwością.

Poszliśmy tam, kiedy tylko pojaśniało. Byłem wyczerpany. Spałem niecałe cztery godziny i wszystko mnie bolało, zwłaszcza ręka; musiałam ją nadwerężyć podczas poaru. Goląc się, ledwo poznałem siebie w lustrze. Twarz miałem spieczoną i upstrzoną drobnymi skaleczeniami szkłem. Ogień spalił mi rzęsy i brwi, nadając jej dziwny, zaskoczony wyraz.

Mimo to – tak jak powiedział Strachan – mogło być o wiele gorzej.

Patrzyłem na dymiące zgliszcz. Brody i Fraser stali za mną. Zgodnie z przepisami powinienem był zaczekać, a inspektor przeciwpoarowy zbada, czy pogorzeliśko jest bezpieczne. Sęk w tym, e nie mieliśmy pojęcia, kiedy będzie mógł przyjechać. Nie miałem złudzeń, e szczątki Janice Donaldson przetrwały drugi poar.

Ale musiałem to sprawdzić. Osobiście.

Lało tak, jakby niebo było zrobione z wody. Deszcz siekł popiół, zmieniając wierzchnią warstwę w czarną papkę. Ale nie wygrał z ogniem, a przynajmniej nie do końca. Pogorzeliśko wciąż dymiło. I wciąż było gorące. Miałem ciepłą twarz i zimne plecy.

–Myśli pan, e coś tam ocalało? – spytał Brody.

–Wątpię. – Głos miałem wciąż chrapliwy od dymu. Poirytowany Fraser ciężko westchnął. Był przemoczony i nieszczęśliwy.

–To po co zawracać sobie głowę?

–Dla pewności. Dostrzegłem szerniały róg mojej walizeczki sterczący z popiołów przychodni. Była

otwarta i zupełnie wypalona w środku. Tu za nią zobaczyłem stalowy stół, na którym tak niedawno oglądałem zęby i czaszkę Janice Donaldson. Na wpół zagrzebany w zgliszcach i poza zasięgiem ręki, leał na boku; pewnie przewrócił go walący się dach. Wiedziałem, czego oczekiwać, mimo to widok ten był dla mnie ciosem. Krucha czaszka i szczęka rozpadły się w proch. Prawdopodobnie ocalało kilka zębów, nic więcej. Ale znalezienie ich wymagało

zaangaowania ludzi i sprzętu, którym teraz nie dysponowałem. Musieliśmy poczekać, a ci z dochodzeniówki dokładnie przesieją popiół.

Przepraszam, Janice.

Strzepnąłem z twarzy płatek nawianego przez wiatr popiołu. Coś przykuło moją uwagę, kwadratowy kształt pod stertą na wpół spalonych desek.

Brody podszedł bliżej.

–Co to?

–Lodówka. Ostronie, krok po kroku, brnąłem przez wciąż gorący popiół. Wiedziałem, e mimo

deszczu ostygnie dopiero za jakiś czas, poza tym mogła zawalić się pode mną podłoga. Głęboko bym nie spadł, bo fundamenty były niskie, ale do listy moich obrażeń nie chciałem dodawać złamanej nogi.

W lodówce była ręka Janice i istniała szansa, e ochroniła ją izolacja. Cała nadzieja zgasła, kiedy odrzuciłem zgliszcza przykrywające lodówkę. Biała emalia zupełnie szczerniała, gumowa uszczelka stopiła się, drzwiczki się otworzyły i płomień zyskał pełny dostęp do wnętrza. Z ręki pozostały jedynie kości, którym ogień nadał barwę karmelu.

Spaliła się tkanka łączna w stawach i poodpadały wszystkie palce. Leały na dnie i były jeszcze gorące. Pozbierałem je, poczekałem, a trochę ostygną i włożyłem do plastikowej torebki. Torebki na dowody rzeczowe trzymałem w walizeczce. Poszły z dymem, tak jak cała reszta, ale zabrałem z hotelu pudełko torebek do zamrażania produktów sypowczych. Skończywszy, wróciłem do Brody'ego i Frasera.

–To wszystko? – spytał sierant, przyglądając się torebce.

–Tak.

–Warto było po to iść? Nie odpowiedziałem i ruszyłem w stronę czarnego kikuta sterczącego ze zgliszczy

światlicy. Był niemal zupełnie zwęglony. Wisiało na nim kilka miedzianych drutów, wszystko to, co zostało z kabli elektrycznych. Plastikowa izolacja spłonęła, lecz przewody ocalały i wciąż tkwiły w mocujących je do drewna metalowych klamerkach.

Sądząc po ich położeniu, musiały prowadzić do włącznika przy głównych drzwiach. Na ich widok załęgła mi się w głowie pewna myśl, myśl zbyt mglista, eby przybrać formę konkretnych podejrzeń. Udało mi się uciec tylko dlatego, e ogień nie dotarł do drzwi światlicy. Poar musiał więc wybuchnąć na drugim końcu sali. Poszedłem w przeciwną stronę.

–Co znowu? – spytał gniewnie Fraser. Brody milczał i obserwował mnie w zamyśleniu.

–Chcę coś sprawdzić.

Obszedłem pogorzeliśko, powtarzając sobie, e pewnie tracę tylko czas, i przyglądając

się zgliszczom w miejscach, gdzie jeszcze poprzedniego dnia stały ściany. To, czego szukałem, znalazłem pod tylną. Pochyliłem się i odgarnąłem popiół. Tak, tego się obawiałem.

Na zwęglonym drewnie błyszcząło kilka małych bezkształtnych blaszek.

Na ich widok przeszedł mnie zimny dreszcz. Widziałem zbyt wiele poarów, eby nie wiedzieć, co to znaczy.

To nie był wypadek.

I nagle przyszło mi do głowy coś znacznie gorszego. Coś, o czym przedtem nie pomyślałem. Chryste, tylko nie to.

Zdenerwowany szybko wróciłem do Brody'ego i Frasera. Ale zanim do nich dotarłem, usłyszałem warkot samochodowego silnika. Podskakując na wybojach, jechał ku nam zdezelowany mini morris Maggie Cassidy.

Nie mogła wybrać gorszego momentu. Wysiadła, jak zwykle drobna w przyduej czerwonej kurtce.

–Dzień dobry panom – powitała nas wesoło. – Słyszałam, e ktoś wydawał tu wczoraj przyjęcie z grillem.

Fraser ju ku niej szedł.

–Tu jest zakaz wstępu. Do samochodu. Ale ju!

Nie zwaając na wiatr, który trzepotał jej kurtką niczym wielkim kokonem,

wyciągnęła w jego stronę dyktafon. Była zdenerwowana, lecz robiła wszystko, eby to ukryć.

–Tak? Dlaczego?

–Bo tak mówię. Pokręciła głową z udawanym alem.

–Przykro mi, ale to za mało. Wczoraj przespałam całą imprezę i nie zamierzam teraz niczego przegapić. Moe powie pan chocia kilka słów? Na przykład o przyczynach tego

poaru albo o tym, e nagle zrobiło się z tego śledztwo w sprawie morderstwa. Powie pan i

natychmiast dam wam spokój.

Fraser zacisnął pięści i spojrzał na nią z taką nienawiścią, e bałem się, e zaraz zrobi coś głupiego. Maggie uśmiechnęła się do mnie.

–A pan, doktorze? Moe...

–Musimy porozmawiać. Nie wiem, kto był bardziej zaskoczony, ona czy Fraser.

–Nie będziesz pan z nią gadał! Spojrzałem na Brody’ego.

–Niech porozmawia – rzucił inspektor.

–śe co? – zaprotestował Fraser. – Pan artuje! Przecie to...

–Niech z nią porozmawia. Jasne? Brody włożył w te słowa całą stanowczość nabytą podczas wielu lat dowodzenia.

Fraserowi się to nie podobało, lecz ustąpił.

–Dobrze, proszę bardzo! – prychnął, wracając do rangę rovera. – Róbcie, co chcecie.

–Andrew, niech pan nie pozwoli mu odjechać. Potrzebujemy samochodu. On ruszył za Fraserem, ja odwróciłem się do Maggie. Obserwowała mnie

podejrzliwie, jakbym chował w zanadrzu jakąś nową sztuczkę.

–Musi mi pani pomóc – powiedziałem, biorąc ją pod rękę i prowadząc w stronę

morrisa. – Zaraz stąd odjedziemy. Wsiądzie pani do samochodu i te odjedzie. I nie będzie nas

pani śledziła.

Spojrzała na mnie jak na wariata.

–Czy to jakiś...

–Niech mnie pani posłucha. Proszę – dodałem, świadom, ile zmarnowaliśmy czasu.

– Chce pani mieć materiał na artykuł na pierwszą stronę, obiecuję, e będzie go pani miała. Ale teraz proszę dać nam spokój.

Uśmiechała się z niedowierzaniem, lecz powoli przestała.

–Jest a tak źle?

–Mam nadzieję, e nie. Ale tak, moe być bardzo źle. Wiatr przesłonił jej twarz kosmykiem włosów. Odgarnęła go i kiwnęła głową.

–Dobrze. Ale dostanę materiał. Obiecał pan. Gdy wsiadła do samochodu, podszedłem do rangę rovera. Fraser patrzył za

odjedającą Maggie.

–Co pan, do diabła, jej powiedział?

–Niewane. Rozmawiał pan dzisiaj z Duncanem?

–Z Duncanem? Jeszcze nie. Jeszcze nie dzwonił, ale chciałem zawieźć mu śniadanie...

–Niech pan zadzwoni.

–Teraz? Po co? Przecie...

–Niech pan zadzwoni! Posłał mi wredne spojrzenie, sięgnął po radiotelefon i wybrał numer.

–Nie odpowiada... – Zmarszczył brwi.

–Dobrze, wsiadajmy. Jedziemy do przyczepy.

Brody obserwował mnie z niepokojem, lecz odezwał się dopiero wtedy, gdy

wsiedliśmy i ruszyliśmy.

–Co się stało? Co pan tam znalazł?

Wyjedaliśmy z miasteczka. Z lękiem spoglądałem w okno. Patrzyłem na niebo.

–Sprawdziłem kable w świetlicy. Zwykły poar, wywołany na przykład krótkim spięciem, nie stopiłby miedzianych przewodów. Na tylnej ścianie znalazłem miejsce, gdzie były stopione.

–I co z tego? – spytał niecierpliwie Fraser.

–To, e ogień był tam duo gorętszy – odparł powoli Brody. – O Chryste. Fraser grzmotnął pięścią w kierownicę.

–Kurwa, powiecie mi wreszcie, o co tu chodzi?

–Był gorętszy, ponieważ rozlano tam jakieś paliwo. To nie było zwarcie. Świetlicę podpalono. Celowo.

Sierant gorączkowo myślał.

–Ale co to ma wspólnego z Duncanem? Odpowiedział Brody:

–To, e jeśli ktoś chciał zatrzeć za sobą ślady, mógł podpalić nie tylko świetlicę.

Spojrzałem na Frasera. Wreszcie zrozumiał. Ale nawet gdyby miał jeszcze jakieś wątpliwości, nie musiałem ju nic wyjaśniać. W oddali biła w niebo smuga czarnego dymu.

Teren był pagórkowaty, dlatego jego źródło zobaczyliśmy dopiero wtedy, gdy niemal dotarliśmy na miejsce. Miałem wraenie, e wszystkie wzgórza i zakręty zmówiły się ze sobą, eby jak najdłuej zasłaniać widok. Fraser wdepnął pedał gazu i popędziliśmy wąską drogą o wiele za szybko jak na taką pogodę. Nikt nie protestował.

Wreszcie pokonaliśmy ostatni zakręt i zobaczyliśmy chatę. Chatę i przyczepę.

A raczej to, co z niej zostało.

–Boe, nie... – szepnął sierant.

Najwięcej dymu biło z chaty. Podpalono ją, tak jak świetlicę i przychodnię. Nie

zostało wiele do spalenia, lecz grube deski i belki stropowe, które runęły poprzedniego dnia, wciąż się tliły. Jeeli przed poarem były tam jeszcze jakieś dowody rzeczowe, teraz na pewno uległy zniszczeniu.

Ale to nie chata, tylko przyczepa przykuła naszą uwagę. Została z niej wypalona skorupa i zdeformowane bryły stopionych opon. Pomieszczenia wewnętrzne były niemal całkowicie spalone, ściany strawione przez ogień, dach częściowo wysadzony wybuchem albo gazu, albo paliwa w zbiorniku. Unosiły się nad nim widmowe smuki dymu, które natychmiast rozwiewał wiatr.

Nie było ani śladu Duncana.

Sierant nie zwolnił. Gwałtownie skręcił, a gdy zjechaliśmy z drogi, ostro zahamował i ciężki samochód wpadł w poślizg. Fraser wyskoczył i pozostawiając otwarte drzwiczki na łasce wiatru, pognął w tamtą stronę.

–Duncan? Duncan! – Biegł przez krzaki i krzyczał. Brody i ja biegliśmy za nim, nie zważając na siekący twarz deszcz. Fraser zatrzymał się przed przyczepą.

–Jezu Chryste! Gdzie on jest? Gdzie on, kurwa, jest? Rozejrzał się rozpaczliwie, jakby miał nadzieję, że posterunkowy

nagle się pojawi. Czuję na sobie wzrok Brody'ego. Po jego twarzy poznałem, że już wie. Śe zobaczył to samo co ja.

–Tutaj – szepnąłem.

Fraser popatrzył tam gdzie ja. Spod kawałka wygiętego arem dachu wystawał but. Spalony but, zwęglone ciało i kość. Sierant zrobił krok do przodu.

–O Chryste...

Zanim zdążyłem go powstrzymać, chwycił kawał blachy i zaczął ją ciągnąć.

–Nie, nie wolno. – Chciałem do niego podejść, lecz Brody położył mi rękę na ramieniu. Pokręcił głową.

^ Niech go pan zostawi.

–To miejsce przestępstwa, nie powinien niczego dotykać.

–Wiem – odparł ponuro inspektor. – Ale teraz to już chyba nieważne. Prawda? Fraser wyszarpnął blachę i momentalnie porwał ją wiatr. Podskoczyła, potoczyła się

po trawie jak zepsuty latawiec i zatrzymała się na ścianie chaty. Sierant rozkopywał

rumowisko jak szalenie. Nawet w miejscu, gdzie stałem, smród spalenizny był obezwładniający.

Nagle Fraser znieruchomiał. Na coś patrzył. Po chwili cofnął się i zatoczył jak marionetka na pękniętych sznurkach.

–O Chryste. O Jezu. Nie, to nie on. Kurwa, powiedźcie, e to nie on!

Zwłoki leały w przyczepie. Nie były tak zwęglone jak zwłoki Ja-nice Donaldson, jednak widok człowieka, któremu ogień odebrał całe człowieczeństwo, jest chyba jeszcze gorszy. Podkurczone nogi, zgięte ręce – zwinięte w kłębek ciało było ałóżnie bezbronne. Wtopił się w nie zupełnie spalony pas. Wciąż wisiały na nim osmalona policyjna pałka i kajdanki.

Fraser się rozszlochał.

–Dlaczego nie uciekł? Dlaczego, kurwa, nie uciekł? Wziąłem go pod rękę.

–Chodźmy.

–Puść mnie! – Wyszarpnął się z wściekłością.

–Weź się w garść, chłopie – rzucił szorstko Brody.

–Spierdalaj! Nie będziesz mi mówił, co mam robić, ty emerycie pieprzony! Nie masz tu nic do gadania!

Brody nie ustąpił.

–W takim razie zacznij zachowywać się jak prawdziwy policjant. I nagle Fraser oklapł.

–Miał dwadzieścia jeden lat – wymamrotał. – Dwadzieścia jeden lat! Co ja powiem ludziom?

–śe go zamordowano – odparł brutalnie inspektor. – śe na wyspie grasuje morderca. śe gdyby Wallace od razu przysłał tu ekipę, ten dwudziestojednoletni chłopak mógłby jeszcze yć!

Nigdy dotąd nie słyszałem, eby był tak poruszony. Poza tym wszyscy wiedzieliśmy, czego nie dopowiedział: gdyby nie Fraser, zabójca nie domyśliłby się, e podejrzewamy, e kobietę z chaty zamordowano, być moe nie wpadłby w panikę i nie zabił nikogo więcej. Ale nie było sensu się wzajemnie obwiniać. Nie teraz, po fakcie. Sierant cierpiał i bez tego.

–Spokojnie – powiedziałem.

Brody wziął głęboki oddech i kiwnął głową.

–Musimy go zawiadomić. Wallace’a. Teraz nie jest to ju zwykle śledztwo w sprawie morderstwa.

Fraser wytarł zaczerwienione oczy, wyjął radiotelefon, stanął tyłem do wiatru i wybrał numer. Przez chwilę nasłuchiwał i spróbował jeszcze raz.

–No, szybciej! Szybciej!

–Co się dzieje? – spytał Brody.

–Nie działa.

–Co znaczy nie działa? Wczoraj pan do niego dzwonił... – Ale teraz nie działa! Przedtem myślałem, e nie mogę dodzwonić się tylko do

Duncana, ale nie mogę nigdzie! Sam pan zobacz. Nie ma sygnału!

Podał mu telefon. Inspektor wybrał numer. Przyłożył aparat do ucha i zwrócił go sierantowi.

–Spróbujmy z samochodu.

Radio w rangę roverze pracowało w oparciu o ten sam system cyfrowy. Nie pytając

Fraserą o zgodę, Brody pomajstrował przy nim i pokręcił głową.

–Nie działa. Wichura musiała zerwać maszt. Jeśli tak, padła cała sieć.

Popatrzyłem na smagany wiatrem jałowy krajobraz. Niskie ciemne chmury, które przysiadły na wyspie, jeszcze bardziej nas osaczały i przygniatały.

–Co teraz? – spytałem.

Brody nie wiedział. Pierwszy raz nie wiedział, co robić, nawet on.

–Będziemy próbować. Prędzej czy później naprawią którąś sieć, komórkową albo naziemną.

–A do tego czasu? Z twarzą zalaną deszczem inspektor popatrzył na przyczepę. Zacisnął usta.

-Do tego czasu jesteśmy zdani tylko na siebie.

Rozdział 17

Ja zostałem, a on i Fraser pojechali do miasteczka po młotek i paliki. Musieliśmy ogrodzić przyczepę, a zużyliśmy prawie wszystkie. Przeniesienie zwłok Duncana nie wchodziło w rachubę, nawet gdybyśmy znaleźli jakieś miejsce, eby je przechować. Ze szczątkami Janice Donaldson nie mieliśmy wyboru, ale teraz sytuacja była zupełnie inna. Co prawda, oznaczało to, e zwłoki będą wystawione na działanie ywiołów. Ale – pomijając skutki szaleńczej grzebaniny Frasera – tym razem chciałem, eby inspektor przeciwpoarowy i członkowie ekipy dochodzeniowej mogli zbadać nienaruszone miejsce przestępstwa.

Bo nikt z nas nie miał wątpliwości, co to jest. Chatę i przyczepę ktoś podpalił, tak samo jak podpalił przychodnię i świetlicę. Z tym e w przeciwieństwie do mnie Duncan nie zdążył uciec.

Przed wyjazdem Brody i ja przystanęliśmy na chwilę na ściece i zmagając się z wiatrem, patrzyliśmy, jak Fraser próbuje połączyć się z Wallace'em. Pogoda jeszcze bardziej się pogorszyła. Krople deszczu siekły niczym śrut i błyszczącymi strugami splywały z mojego nadpalonego kaptura. Pędzące po niebie chmury marszczyły się i falowały jak przygnieciona do ziemi trawa.

Ale nawet wiatr nie potrafił zmienić faktu, e Duncan nie ył ani zabić wszechogarniającego smrodu spalenizny. Smród ten otulał wszystko niczym cuchnący kir i wysysał resztki ciepła z ju i tak zimnego powietrza.

–Myśli pan, e zrobił to przed świetlicą czy po? – spytałem. Brody popatrzył na wypaloną skorupę przyczepy.

–Raczej przed – odparł. – Z jego punktu widzenia logiczniej było najpierw podpalić to, a potem przychodnię. Dzięki temu trochę zyskał na czasie. Gdyby najpierw podpalił przychodnię, zaalarmowałby całe miasteczko.

Byłem zły i wstrząśnięty bezsensownością tej śmierci.

–Po co? Przecie zwłok ju tu nie było. Zostawia je na kilka tygodni w chacie, nagle wraca i wszystko podpala? Po co? To bez sensu.

Brody westchnął, wycierając twarz z deszczu.

–To nie musi mieć sensu. Wpadł w panikę. Wie, e zostawiając zwłoki w chacie, popełnił błąd i próbuje go naprawić. Chce zniszczyć wszystkie ślady, które mogłyby

powiązać go z morderstwem. Nawet kosztem kolejnego morderstwa.

Spojrzał na mnie spokojnie.

–Na pewno pan sobie poradzi? Moe pojedzie pan z Fraserem, a ja zostanę?

Ju o tym rozmawialiśmy. Nie było sensu, ebyśmy wracali do miasteczka we trzech, a zwaywszy stan Frasera, nie chcieliśmy, eby jechał tam sam. Zresztą tylko Brody wiedział, gdzie mona zdobyć rzeczy, których potrzebowaliśmy.

–Nie, nic mi nie będzie.

–Tylko niech pan niepotrzebnie nie ryzykuje. Jeśli ktoś się tu pojawi, niech pan będzie cholernie ostrony.

Nie musiał mi tego mówić. Ale nie martwiłem się tym za bardzo. Nie było powodu, eby morderca tu wracał. Ju nie.

Poza tym chciałem coś zrobić.

Przez chwilę patrzyłem, jak rangę rover podskakuje na wybojach, potem spojrzałem na spaloną przyczepę. Deszcz wystukiwał na kurtce alfabet Morse'a. Zdał ju zmoczyć popiół i wiatr porywał teraz tylko nieliczne płatki sadzy. Na tle kamienistych zboczy Beinn Tuiridh wypalona czarno-szara skorupa przyczepy zdawała się częścią jałowego krajobrazu.

Od ognia zajęła się roślinność i otaczał ją krąg wypalonej trawy. Drąc na lodowatym wietrze, próbowałem wyobrazić sobie, jak wyglądała przed poarem, odtworzyć wydarzenia, które doprowadziły ją do obecnego stanu.

A potem przyjrzałem się zwłokom Duncana.

Nie przyszło mi to łatwo. Zwykle mam do czynienia ze szczątkami ludzi, których nie znam. Poznają ich poprzez śmierć, ich ycie jest dla mnie enigmą. W tym przypadku było inaczej i długo nie docierało do mnie, e to zwęglone coś było do niedawna miłym młodym policjantem.

Leał w wypalonej przyczepie. Ogień zmienił go w szerniałą marionetkę, zupełnie nieprzypominającą człowieka. Kiedy wiózł mnie z przychodni do miasteczka, był dziwnie rozkojarzony i zatroskany. śalowałem, e nie pociągnąłem go wtedy za język. Szkoda. Wielka szkoda. Pozwoliłem mu odjechać i ostatnie godziny ycia spędził tu sam.

Nie, nie mogłem się rozpraszać. Musiałem skupić się na tym, co widziałem. Z kaptura spływał deszcz. Patrzyłem na zwłoki, próbując oczyścić umysł. I powoli,

stopniowo przestałem patrzeć na nie przez filtr emocji. Chcesz złapać zabójcę? Nie myśl o Duncanie. Nie myśl o nim jak o człowieku.

Rozwiąż zagadkę.

Giało leało na brzuchu ze zgiętymi w łokciach rękami. Ubranie, prawie cała skóra i podskórna tkanka miękka uległy zwęgleniu, odsłaniając organy wewnętrzne. Nogi te były podkurczone, a biodra i dolna część korpusu lekko przekrzywiona. Spod ciała wystawała

część kuchennego blatu. Nogi były skierowane w stronę drzwi, głowa przekrzywiona w prawo, w stronę, gdzie kiedyś stała mała sofa.

Z sofy została tylko wypaczona rama i kilka osmalonych sprężyn. Coś między nimi leało. Pochyliłem się i zobaczyłem, e jest to metalowa latarka Duncana, spurchlona i zmatowiała od ognia.

Mój aparat poszedł z dymem wraz z resztą sprzętu w przychodni, naszkicowałem więc położenie ciała w notesie z rangę rovera. Szkic był kiepski, bo w temblaku ciężko mi się rysowało, poza tym musiałem osłaniać notes od deszczu. Ale zrobiłem, co mogłem.

Potem, starając się nie trutować zgliszcz, przeprowadziłem oględziny samych ramion i głowy. Przykucnąłem i pochyliłem się jak najmniej. Tym razem wiedziałem, czego szukać.

I natychmiast to znalazłem.

Dziurę wielkości pięści w czaszce.

Zamyślony, usłyszałem warkot samochodu. Brody i Fraser? Ju? Ale nie, zamiast policyjnego rangę rovera, na drodze zobaczyłem szary wóz Strachana.

W uszach wciąż pobrzmiwało mi ostrzeenie inspektora. „Jeśli ktoś się tu pojawi, niech pan będzie cholernie ostrony”. Wstałem, schowałem notes i wyszedłem Stachanowi na spotkanie. Zaparkował, wysiadł i wstrząśnięty spojrzął na przyczepę.

–Chryste! To te się spaliło?

–Nie powinien pan tu przyjechać. Jakby mnie nie słyszał. Zobaczył, co ley w przyczepie, i wytrzeszczył oczy.

–O Boe! Zbladł, twarz miał białą jak kreda. Odwrócił się, zgiął wpół, oparł o samochód i

zwymiotował. Powoli wyprostował się i poszperał w kieszeni w poszukiwaniu chustki do nosa.

–Ju lepiej? – spytałem. Kiwnął głową.

–Przepraszam – wymamrotał. – Kto... kto to jest? Ten młody policjant?

–Zaraz wrócą Brody i Fraser. Lepiej, eby tu pana nie widzieli.

–Do diabła z nimi! To jest mój dom! Poświęciłem pięć lat, eby postawić tę wyspę na nogi, a teraz... – Urwał i przeczesał ręką mokre włosy. – To niemoliwe, niemoliwe. Kto to,

do diabła, robi?

Milczałem. Strachan szybko wracał do siebie. Nie zważając na deszcz, zadarł głowę i popatrzył na zachmurzone niebo.

–W taką pogodę policja tu nie przyjedzie. Zostało was tylko dwóch; trzech, jeśli

liczyć Brody'ego. Nie utrzymacie tego w tajemnicy. Prędzej czy później ktoś coś zwierzy i

zaroi się tu od przeraonych, rozwścieczonych wyspiarzy. Jeśli wprowadzi mnie pan w sytuację, kaę im trzymać język za zębami. Moe zabrzmie to arogancko, ale posłuchają mnie chętniej ni tego sieranta. Albo nawet Brody'ego. Patrzył na mnie z determinacją.

–Nie pozwolę, eby ktoś zniszczył wszystko to, co tu zrobiliśmy.

Bardzo mnie to kusilo. Lecz z gorzkiego doświadczenia wiedziałem, jak paskudnie

moe zmienić się atmosfera w społeczności takiej jak ta. Raz ju się na tym sparzyłem, a byłem wtedy jej członkiem. Nie chciałem nawet myśleć, jak mogłoby się to skończyć tutaj, na wyspie odciętej od świata.

Pytanie brzmiało: czy i na ile moemy teraz komukolwiek zaufać? Czy moemy zaufać nawet komuś takiemu jak Strachan? Było jednak coś, w czym mógł nam pomóc.

–Czy na pańskim jachcie jest nadajnik?

–Na jachcie? – Zapytał zaskoczony. – Tak, oczywiście. Zwykły i satelitarny.

Dlaczego? Wasz nie działa?

Nie powiedziałem mu, e nie mamy absolutnie adnej łączności, ale musiałem się jakoś wytłumaczyć.

–Przepadł w poarze. Sierant ma radiotelefon, ale dobrze jest wiedzieć, e jest drugi.

Tak na wszelki wypadek.

Chyba to kupił. Przygnębiony popatrzył na przyczepę.

–Jak on się nazywał?

–Duncan. Duncan McKinney.

–Biedny chłopak. – Przeniósł wzrok na mnie. – Proszę pamiętać, co powiedziałem. Jeśli będziecie czegoś potrzebowali...

Wsiadł i odjechał. Gdy dotarł do skrzyżowania, zobaczyłem tam nieomylny kształt białego rangę rovera. Droga była wąska, więc obydwie wozy zwolniły i minęły się niczym psy, które krążą wokół siebie, szykując się do walki. Potem głośno zachrząścił wir i saab gwałtownie przyspieszył.

Stanąłem tyłem do wiatru. Fraser i Brody zaparkowali i wysiedli. Sierant poszedł otworzyć baganik, a Brody ruszył ku mnie, patrząc za szybko oddalającym się samochodem Strachana.

–Co on tu robił?

–Chciał nam pomóc. Brody wojowniczo wysunął podbródek.

–Poradzimy sobie sami.

–Moe się nam przydać.

Powiedziałem mu, e moglibyśmy połączyć się z Wallace'em przez radio na jachcie.

Brody westchnął.

–Sam powinienem był na to wpaść. Ale nie musimy iść na jacht. Moemy spróbować z promu.

–Do jachtu jest bliej.

Brody gwałtownie poruszył szczęką. Perspektywa chodzenia po proście do Strachana

nie przypadła mu do gustu, jednak wiedział, e to rozsądne rozwiązanie. Krótko skinął głową.

–Tak. Ma pan rację. Nadszedł Fraser z pękiem zardzewiałych prętów do zbrojenia fundamentów.

–Przy szkole ley cała sterta – powiedział. – Powinny się doskonale nadać. Rzucił pręty na ziemię. Wciąż miał zaczerwienione oczy.

–Tak nie mona. Zostawiać go tu...

–Jeśli ma pan lepszy pomysł, proszę nam powiedzieć – odparł łagodnie Brody... Sierant ponuro pokręcił głową. Poszedł do samochodu i wrócił z ciężkim młotkiem i

rolką taśmy. Przystanął, wyprostował się sztywno i zdecydowanym krokiem ruszył do przyczepy. Ale na widok Duncana który leał tam niczym złoona ywiołom ofiara, znowu opadły mu ramiona.

–O Chryste...

–Jeśli to pana w jakiś sposób pocieszy, on nic nie czuł. Łypnął na mnie spode łba.

–Tak? Skąd pan wie? Wziąłem głęboki oddech.

–Bo kiedy wybuchł poar, ju nie ył. Złagodniały mu oczy. Podszedł do nas Brody.

–Na pewno? – spytał. Zerknąłem na Frasera. Przeywaliśmy to wszyscy, ale on najbardziej.

–Niech pan mówi – wychrypiał. Ostronie podszedłem do zwłok i wskazałem czaszkę. Do kości wciąż przywierały

kawałki skóry i ciała. Pod spalonymi policzkami widać było zęby wyszczerzone w makabrycznej parodii czarującego uśmiechu.

Poczułem, e zaraz nie wytrzymam. Zagadka, nie człowiek.

–Widzi pan? Tu, po lewej stronie.

Fraser spojrział i odwrócił wzrok. Głowa Duncana spoczywała na lewym policzku. W

tej pozycji trudno to było dostrzec, jednak aden z nas nie miał wątpliwości. Niczym wejście

do mrocznej jaskini, po lewej stronie czaszki, na kościach ciemieniowej i skroniowej, ziała wystrzępiona dziura.

Brody odchrząknął.

–Nie mógł zrobić tego ogień, tak jak myślał pan zaraz po tym, kiedy znaleźliśmy zwłoki tej Donaldson?

–Nie, nie w tym przypadku. Duncana uderzono znacznie silniej ni ją. Nawet stąd widać, e czaszka jest zmiadona, e kawałki kości zostały wepchnięte do środka. To znaczy, e rana powstała nie na skutek eksplozji, tylko uderzenia. Z ułoenia rąk wynika, e nie zdążył nawet zamortyzować upadku. Dosłownie nie wiedział, czym i kiedy oberwał.

Zapadła cisza.

–Właśnie, czym go uderzono? – spytał Brody. – Młotkiem?

–Nie, na pewno nie młotkiem. Rana od młotka byłaby względnie okrągła, a ta ma nierówne brzegi. Powiedziałbym raczej, e czymś w rodzaju pałki.

Na przykład... latarki. Cięka, metalowa latarka Duncana wciąż leała wśród szczątków sofy. Pasowała wielkością i była wystarczająco cięka, eby spowodować takie obraenia. Ale w tej chwili była to tylko czysta spekulacja. Musieli to zbadać ci z dochodzeniówki.

Fraser stał przed przyczepą z zaciśniętymi pięściami i wbrew sobie patrzył na zwłoki.

–Był wysportowany. Nie poddałby się bez walki.

–Moe i nie... – odparłem, starannie dobierając słowa. – Ale z tego, co widzę, stał tyłem do wejścia. Ciało ley na brzuchu, nogi są skierowane w stronę drzwi. Był odwrócony i gdy zadano cios, runął na twarz.

–Tamten nie mógł go zabić na dworze i przenieść? – spytał inspektor.

–Nie sądzę. Po pierwsze, ley na stole, co sugerowałoby, e upadł. Wątpię, eby zabójca zadał sobie a tyle trudu, eby dźwignąć go i upuścić. Po drugie, uderzono go tutaj. – Poklepałem się po głowie tu nad uchem. – Źeby tu trafić, morderca musiał zadać cios z boku, niemal równolegle do podłogi.

Fraser wciąż nic z tego nie rozumiał.

–I z tego, e oberwał w skroń, ma wynikać, e zabito go w przyczepie? Niby dlaczego?

–Dlatego, e sufit był za niski na zamach z góry – wyręczył mnie Brody.

–Na razie to tylko domysły – dodałem – ale wszystko pasuje. Zabójca stał za

Duncanem, między nim i drzwiami. Jest leworęczny, bo w przeciwnym wypadku uderzyłby w

prawą skroń.

Znowu popatrzyli na zwłoki, odtwarzając w myśli ciąg hipotetycznych wydarzeń. Wciąż lało. Czekaliśmy, zastanawiając się, który z nich powie to pierwszy. Ku mojemu zaskoczeniu tym razem był to Fraser.

–Więc wpuścił go tam? I się odwrócił?

–Na to wygląda.

–Co mu odbiło? Chryste, mówiłem mu, eby był ostrony! Jakoś w to wątpiłem. Ale jeśli lekarstwem na wyrzuty sumienia miała być drobna

korekta pamięci, nie zamierzałem wyprowadzać go z błędu. Nie wspomnieliśmy jak dotąd o czymś o wiele waniejszym. Po minie Brody’ego poznałem, e w przeciwieństwie do sieranta, on tego nie przeoczył.

Wpuszczając mordercę do przyczepy, Duncan nie podejrzewał, e moe mu coś grozić.

Inspektor wziął od Frasera rolkę taśmy.

–Chodźmy, do roboty.

Rozdział 18

Policyjna taśma wybrzuszała się i furkotała między stalowymi prętami, które Fraser wbił w ziemię. Z jedną sprawną ręką nie bardzo mogłem im pomóc. Brody przytrzymał pręty, a sierant walił w nie młotkiem. Wbijali je co kilka metrów, tworząc kwadratową strefę bezpieczeństwa wokół spalonej przyczepy.

–Zmienimy się? – spytał w połowie roboty zdyszany Fraser.

–Przykro mi, ale nie mogę – odparł Brody, masując sobie krzyż. – Artretyzm.

–Tak, jasne – mruknął sierant i ze wszystkich sił grzmotnął młotkiem, jakby chciał dać upust gniewowi i smutkowi.

I pewnie o to Brody'emu chodziło.

Stałem w pobliżu, pochylając się na mokrym wietrze, a oni rozwieszali taśmę i przywiązywali ją do prętów. Śalowałem, e nie mogę im pomóc.

Wreszcie skończyli i stanęliśmy we trzech, eby jeszcze raz spojrzeć na wypaloną przyczepę za wątlą, roztrzepotaną przegrodą. Potem bez słowa ruszyliśmy do samochodu.

Naszym głównym zadaniem było teraz zawiadomić o wszystkim Wallace'a. Nie spodziewałem się, eby ci z dochodzeniówki przyjechali na Runę w taką pogodę, ale zabójstwo policjanta przenosiło śledztwo na zupełnie inny poziom. Do ich przyjazdu tym waniejsze było nawiązanie i utrzymanie łączności ze światem zewnętrznym. Zwłaszcza dla Frasera, pomyślałem, patrząc, jak powłóczy nogami i jak nisko pochyla ramiona. Był uosobieniem klęski.

Idący obok mnie Brody nagle przystanął.

–Została panu jeszcze jakaś torebka? – spytał.

Patrzył na kępę sztywnej trawy gnącej się na wietrze. Uwięzło w niej coś czarnego.

Wyjąłem z kieszeni plastikowy woreczek.

–Co się stało? – spytał Fraser.

Brody milczał. Włożył rękę do woreczka i jak przez rękawiczkę podniósł to coś z ziemi. Potem wyrócił woreczek na drugą stronę i podał go mnie.

Była to dua, czarna, plastikowa n4akrętka. Z boku sterczał cienki, urwany paseczek

plastiku długości dwóch, trzech centymetrów. Musiał mocować ją kiedyś do kanistra.

Brody przysunął nos do torebki.

–Benzyna. Podał nakrętkę Fraserowi, który te ją powąchał.

–Myśli pan, e to ten sukinsyn ją zgubił?

–Całkiem moliwe. Wczoraj jej tu nie było, bo byśmy ją zauwayli.

Sierant z wściekłością schował torebkę do kieszeni.

–A więc na tej zawszonej wyspie jest gdzieś kanister z urwanym paskiem od nakrętki...

–Chyba e ktoś zrzucił go ju ze skały do morza – zauwaył spokojnie Brody.

Do Strachanów jechaliśmy w posępnej ciszy. Skręciwszy na długi podjazd, zobaczyliśmy na parkingu saaba. Porsche Grace nie było.

Nie wyobraałem sobie, eby w domu takim jak ten nie było generatora, jednak mimo szarówki, w oknach nie paliło się światło. Mokrą od deszczu ręką Fraser chwycił ciężką elazną kołatkę i załomotał w drzwi. W środku zaszczekał pies, ale poza tym nie dochodziły stamtąd adne oznaki ycia. Sierant huknął w drzwi tak mocno, e omal nie wyskoczyły z zawiasów.

–Do kurwy nędzy, gdzieś ty znowu polazł?

–Pewnie na spacer. – Brody cofnął się, zadarł głowę i popatrzył na górne okna. – Zawsze moemy wejść na jacht sami. To nagły wypadek.

–Tak, a jeśli będzie zamknięty? – spytał sierant. – Nie moemy się włamać.

–Tu ludzie niczego nie zamykają. Nie ma powodu.

Teraz ju jest, pomyślałem. Ale nie dlatego nie chciałem iść na przystań.

–Jeśli tam pójdziemy i okae się, e kabina jest zamknięta, stracimy jeszcze więcej czasu. Poza tym umiecie obsługiwać nadajnik satelitarny? Czy nawet zwykły?

Milczenie, które mi odpowiedziało, było a nadto wymowne. Fraser grzmotnął pięścią w drzwi.

–Niech to szlag!

–Poszukajmy Kinrossa – rzucił Brody. – Spróbujemy z promu. Kapitan mieszkał niedaleko portu. Na skraju miasteczka Brody kazał Fraserowi

pojechać na skróty i skręcić w wąską brukowaną uliczkę, która omijała główną drogę. Tak jak większość domów na Runie, bungalow Kinrossa był zbudowany z prefabrykatów i miał nowe okna i drzwi z PCV.

Podwórze było jednak bardzo zaniedbane i zapuszczone. Brakowało bramy wjazdowej, a mały ogród był porośnięty zielskiem i usłany zardzewiałymi częściami łodzi. Leżał tam równie mały bączek z włókna szklanego; miał rozłupane, upstrzone dziurami dno. Brody mówił, że Kinross jest wdowcem i mieszka samotnie z synem. I to było widać.

Zostawiliśmy naburmuszonego Frasera w samochodzie i podeszliśmy do drzwi. Brody nacisnął guzik dzwonka i w korytarzu zagrała elektroniczna melodyjka. Nikt nam nie otworzył. Inspektor zadzwonił jeszcze raz i na dokładkę załomotał w drzwi.

Usłyszeliśmy przytłumione szuranie, drzwi się otworzyły i w progu stanął Kevin, syn Kinrossa. Spojrzał na nas i natychmiast spuścił wzrok. Zaognione krosty trądziku pokrywały mu twarz niczym okrutne rzeźby.

–Ojciec w domu? – spytał Brody. Wciąż patrząc na czubki swoich butów, nastolatek pokręcił głową.

–Wiesz, gdzie jest? Kevin niepewnie zaszurał nogami i przymknął drzwi, tak że teraz widać było tylko

wąski fragment jego twarzy.

–W stoczni – wymamrotał. – W warsztacie. Drzwi się zamknęły.

Wróciliśmy do samochodu. W porcie panował wrogi chaos. O nabrzeżu

roztrzaskiwały się fale, w basenie podskakiwały uwięzione łodzie. Przy molo cumował rozkołysany prom. Ogarnięte furją morze kipiało, tryskając pianą tak gęstą i obfitą, że można ją było wziąć za deszcz.

Fraser podjechał pod zardzewiałe, przypominające szopę metalowy barak, który mijaliśmy w drodze do domu inspektora. Stał u podnóża wysokich skał, frontem do morza, dzięki czemu wiało tu trochę mniej.

–Stocznia jest wspólna – powiedział Brody, gdy Fraser zaparkował. – Każdy, kto ma łódź, zrzuca się na koszty utrzymania. Dzielą się równie kosztami naprawy.

–To kuter Guthriego? – spytałem, patrząc na zdezelowany kadłub na kozłach, który zauważyłem ju wcześniej. Z bliska łódź wyglądała jeszcze gorzej ni z daleka. W burcie ziały wielkie dziury, bo usunięto z niej fragmenty starego poszycia i nie zastąpiono nowymi. Sterczące wręgi wyglądały jak ebra prehistorycznego zwierzęcia.

–Tak. Chce ją wyszykować, ale chyba mu się nie spieszy. – Brody z dezaprobatą pokręcił głową. – Woli wydawać pieniądze w barze.

Omijając przykryte papą sterty materiałów budowlanych, spiesznie podeszliśmy do drzwi. Chocia były podwójne i ciężkie, gdy je otworzyliśmy, wiatr omal nie wyrwał ich z zawiasów. W środku panowała nieznośna duchota przesycona zapachem oliwy do maszyn i trocin. Na podłodze walały się listwy, palniki spawalnicze i noyce do cięcia metalu, a ściany były zastawione lepiącymi się od czarnego smaru półkami pełnymi narzędzi. Z radia niosła się przerywana trzaskami cicha melodyjka, z trudem przebijając się przez dudnienie generatora.

Było ich sześciu. Guthrie i niszy od niego mężczyzna siedzieli w kucki nad częściami rozmontowanego silnika na betonowej podłodze. Kinross i pozostali grali w karty przy starym stole z laminatu, na którym stały na wpół puste kubki z herbatą i przepelniona popielniczka z puszki po konserwie.

Znieruchomieli i popatrzyli na nas. Nie patrzyli wrogo, ale i nie przyjacielsko. Po prostu patrzyli. Czekali.

Brody spojrzał na Kinrossa.

–Iain, moemy pogadać? Kinross wzruszył ramionami.

–Czemu nie.

–Ale na osobności. – Mnie oni nie przeszkadzają. – żeby podkreślić wymowę tych słów, Kinross otworzył

kapciuch i brudnymi od smaru palcami zaczął zwijać skręta. Brody nie nalegał.

–Musimy skorzystać z radiostacji na promie.

Kinross poślinił bibułkę czubkiem języka i wygładził ją kciukiem. Zerknął na Frasera.

–A on to co? Policja nie ma ju nadajników? Sierant łypnął na niego spode łba, ale nie odpowiedział. Kinross wyjął z ust źdźbło tytoniu.

–Szlag je trafił, co? Fraser zrobił krok do przodu, sapiąc przez nos jak rozwścieczony byk.

–Ciebie te zaraz trafi, bo jak... Brody położył mu rękę na ramieniu.

–Przyszliśmy prosić o pomoc. To bardzo wane, inaczej byśmy nie prosili. Kinross niespiesznie przypalił skręta. Potrząsnął zapalką, wrzucił ją do przepelnionej puszkii i spojrzał na inspektora przez kłęb niebieskiego dymu.

–Jak chcecie, to próbujcie, ale szkoda zachodu.

–Bo? – spytał Fraser.

–Bo z portu z nikim się nie połączycie. To VHF Musi widzieć przekaźnik, a skały blokują sygnał.

–A jeśli musicie nadać SOS? – spytał z niedowierzaniem Fraser. Kinross cicho prychnął.

–W porcie nic nikomu nie grozi, nie? Fraser zacisnął pięści.

–No to wypłyńcie tym pieprzonym promem w morze!

–Chcecie spróbować w taką pogodę, to śmiało, ale nie moim promem. Brody potarł grzbiet nosa.

–A inne łodzie?

–Wszystkie mają VHF.

–Jest jeszcze jacht Strachana – wtrącił jeden z karciarzy. Guthrie parsknął śmiechem.

–Strachan to dupą nadaje! Brody'emu stęła twarz.

–Moglibyśmy spróbować mimo to?

–Z promu? – Kinross obojętnie zaciągnął się dymem. – Chcecie tracić czas, wasza sprawa. – Zgasił skręta, schował niedopałek do kap-ciucha i wstał. – Przykro mi, chłopaki.

–I tak ju miałem wyjść – odparł jeden z graczy, rzucając karty na stół. – Pora wracać do domu.

Guthrie wytarł ręce w brudne spodnie.

–Ano pora – mruknął. – Idę coś przegryźć.

Gracze odłożyli karty i sięgnęli po kurtki. Kinross te się ubrał i wychodząc, puścił

drzwi, tak e omal nas nie uderzyły. Przesycone deszczem i morską pianą powietrze smakowało jodem. Kinross skręcił na molo. Był bez czapki. Szedł przed siebie, nie zważając na roztrzaskujące się z hukiem fale i bez wahania wskoczył na trap, chociaż prom szarpał się na cumach jak dzikie zwierzę.

My zachowaliśmy większą ostrożność i przytrzymaliśmy się relingu. Potem było niewiele lepiej, bo pokład był śliski i niebezpiecznie rozkołysany. Antena radiowa na mostku drała i kiwała się na wszystkie strony. Dopiero teraz zrozumiałem, o czym mówił Kinross: z trzech stron port otaczały skały, ciągnąc się daleko w morze.

Gdy wcisnęliśmy się do ciasnej sterówki, Kinross ju majstrował przy radiostacji. Pokład gwałtownie zachybotał i musiałem zaprzeć się o ścianę. Kapitan powiedział coś do mikrofonu. W głośniku zahuczało, zatrzeszczało i zaszumiło. Czekaliśmy na odpowiedź. Na próno.

–Kogo pan wywołuje? – spytał Brody. Kinross nawet się nie odwrócił.

–Stra przybrzeną. Mają najwyższy maszt na Lewis. Jeśli oni nas nie usłyszą, nie usłyszycie nas nikt.

Wywołał ich znowu, ale i tym razem z głośnika popłynął tylko głuchy szum. Fraser obserwował go z ponurą niechęcią. I nagle spytał:

–Przywoził pan na wyspę jakichś obcych? Cztery, pięć tygodni temu. Pamięta pan? Brody posłał mu gniewne spojrzenie, ale on nawet tego nie zauważył.

–Nie – odparł Kinross.

–Nie pamięta pan czy nie przewoził pan nikogo obcego? Kinross spojrział na niego dopiero teraz.

–To ma coś wspólnego z tym trupem?

–Niech pan odpowie. Kinross uśmiechnął się groźnie.

–A jeśli nie?

–Spokojnie, lain – przerwał im Brody. – Nikt pana o nic nie oskara. Chcieliśmy tylko skorzystać z radia.

Kinross opuścił mikrofon. Oparł się o rozchwianą grodzie i założył ręce na piersi.

–Powiecie mi, co jest grane czy nie?

–To tajemnica słubowa – warknął Fraser.

–A to jest mój prom i moja radiostacja. Chcecie z niej skorzystać, powiedzcie, dlaczego to takie wane.

–Nie możemy – odparł łagodnie Brody, eby uprzedzić sieranta. – Ale to naprawdę wane. Niech mi pan zaufa.

–To nasza wyspa. Mamy prawo wiedzieć, o co chodzi.

–Wiem, i się dowiecie, obiecuję.

–Kiedy? Brody westchnął.

–Dziś wieczorem. Ale teraz musimy połączyć się z centralą.

–Dziś wieczorem? – powtórzył sierant. – Nie może pan...

–Ma pan moje słowo, łain – przerwał mu inspektor.

Kinross patrzył na niego z nieprzeniknioną twarzą. Potem oderwał się od ściany i ruszył do drzwi.

–Dokąd pan idzie?

–Chcieliście spróbować, to spróbowaliście. Nic z tego nie będzie, tak jak mówiłem.

–Nie może pan spróbować jeszcze raz?

–Gdyby ktoś miał nas usłyszeć, ju by usłyszał.

–A inne łodzie? Może udałoby się z nimi połączyć? Przekazałyby naszą wiadomość dalej, skały ich nie blokują.

–Może i nie, ale przekaźnik ma mały zasięg, najwyżej trzydzieści mil. Chcecie sikać pod wiatr, proszę bardzo, ale sikajcie sami. – Wskazał mikrofon. – Przycisk wciśnięty: nadawanie, przycisk zwolniony: odbiór. I wyłączcie nadajnik, kiedy skończycie.

Z tymi słowami wyszedł. Gdy trzasnęły drzwi, Fraser spojrzął ze złością na Brody'ego.

–Co pan, do diabła, robi? Nie ma pan prawa niczego im mówić!

–Nie mamy wyboru. Potrzebujemy ich pomocy. Krzykiem nic pan nie wskóra.

Sierant spurpurowiał.

–Jeden z tych skurwysynów zabił Duncana!

–Tak, ale mając ich przeciwko sobie, nie dowie się pan, który. – Inspektor z trudem powściągnął gniew. Wziął głęboki oddech. – Kin-ross ma rację. Nie ma sensu tracić czasu, skoro na jachcie Strachana jest nadajnik satelitarny. Po drodze wpadniemy do szkoły. Moe Grace tam jest.

–A jeśli jej nie ma? – spytał zaczepnie Fraser.

–Wtedy zaczekamy, a któreś z nich wróci do domu – mruknął Brody niezadowolony, e musi ich o coś prosić. – Chyba e ma pan lepszy pomysł.

Sierant nie miał adnego. Przejechaliśmy przez miasteczko i zaparkowaliśmy przed szkołą. Ale czarnego porsche tam nie było. Ciemny budynek robił wraenie opuszczonego.

–Prądu nie ma, pewnie wcześniej skończyli – rzucił poirytowany Brody. – Musieliśmy

się z nią minąć, jadąc do Kinrossa.

Nie pozostało nam nic innego, jak wrócić do Strachanów z nadzieją, e Grace ju tam jest. Fraser prowadził w ponurym milczeniu. Nie mogłem mu nie współczuć. Nie był człowiekiem łatwym, ale śmierć Duncana mocno nim wstrząsnęła.

Dojedaliśmy ju na miejsce, gdy nagle sierant zeszywniał.

–Co on, do diabła, robi?

Podjazdem pędził ku nam szary saab. Sierant kopnął pedał hamulca i saab przemknął

tu przed nami. Przemknął, gwałtownie zarzucił tyłem i omal nas nie potrącając, wyhamował na mokrym asfalcie.

–Pieprzony idiota! – wysyczał Fraser.

Strachan wyskoczył z samochodu i nawet nie zamknąwszy drzwiczek, puścił się

biegiem w naszą stronę. Sierant ze złością opuścił trochę szybę.

–Co pan, do cholery, wyprawia? Strachan jakby go nie słyszał. Miał bladą twarz i wytrzeszczone z przeraenia oczy.

–Nie ma Grace!

–Jak to nie ma? – spytał Fraser.

–Zniknęła, nie ma jej! Brody wysiadł z samochodu.

–Powoli, spokojnie. Proszę powiedzieć, co się stało.

–Przecie mówię! Chryste, ogłuchliście czy co? Musimy ją znaleźć!

–Znajdziemy, ale niech pan coś wreszcie powie. I proszę się uspokoić. Strachan z trudem wziął się w garść.

–Wróciłem kilka minut temu. Jej samochód stał na parkingu. W oknach paliło się światło, grała muzyka, więc myślałem, e jest w domu. W kuchni stała nietknięta filianka

kawy, ju zimna, i kiedy zawołałem, Grace nie odpowiedziała. Zajrzałem do wszystkich pokoiów: jak kamień w wodę.

–Nie mogła pójść na spacer? – spytał Fraser.

–Grace? W taką pogodę? Dlaczego my tu stoimy? Trzeba coś zrobić! Brody spojrzał na Frasera. Dowodzenie miał we krwi.

–Trzeba zorganizować grupę poszukiwawczą. Niech pan wraca do miasteczka i sprowadzi tu tylu ludzi, ilu się da.

–A pan? – Fraser nie lubił, kiedy mu rozkazywano.

–Pójdę się rozejrzeć.

–Przecie mówię, e jej tu nie ma! – Strachan prawie krzyczał.

–Nie szkodzi. Doktorze, pójdzie pan ze mną? I tak miałem to zaproponować. Jeśli Grace była ranna, bardziej przydałbym się tutaj ni w miasteczku.

My ruszyliśmy do samochodu Strachana, a Fraser wszedł do rangę rovera. Zawrócił i pojechał do miasteczka.

–Co pan o tym myśli? – spytałem, zniając głos. Brody tylko pokręcił głową. Miał

ponurą minę.

Strachan nie wyłączył silnika. Ledwo wsiedliśmy, wrzucił wsteczny, zawrócił, wpadł na podjazd i z piskiem opon zahamował obok czarnej terenówki Grace. Nie patrząc, czy za nim idziemy, wbiegł do domu, wołając onę. Odpowiedziało mu tylko wściekłe ujadanie zamkniętego w kuchni psa.

–Widzicie? Nie ma jej! – Z roztargnieniem przeczesał ręką włosy. – Kiedy wróciłem,

Oscar biegał po podjeździe. Gdyby gdzieś wyszła, nie zostawiłaby go na dworze!

Łamał mu się głos i w ołładku wyrosła mi gula. Wiedziałem, co Strachan przeżywa. Kiedyś przyszedłem do Jenny i nie zastawszy jej, odczułem tę samą potworną pustkę. Wtedy te grasował tam morderca i widząc strach w oczach Strachana, miałem poczucie straszliwego déjà vu.

Ale gdy przeszukiwaliśmy dom, Brody zachował kamienny spokój. Grace przepadła bez śladu.

–Tylko tracimy czas! – wykrzyknął Strachan, kiedy skończyliśmy. W jego głosie słyhać było narastającą panikę.

–Sprawdzał pan w budynkach gospodarczych? – spytał Brody.

–Tak! Jest tu tylko stodoła, ale tam jej nie ma!

–A w zatoczce? Był pan? Strachan znieruchomiał.

–Ja... Nie, ale Grace nigdy nie chodzi tam beze mnie.

–Chodźmy sprawdzić. Weszliśmy do kuchni. Na stole stała niedopita kawa. Obok filiarki, okładką do góry,

leżała otwarta książka, jakby Grace wyszła gdzieś na chwilę i miała zaraz wrócić. Niecierpliwie odpychając psa, Strachan otworzył tylne drzwi i ruszył w stronę schodków prowadzących do przystani.

Podświadomie bałem się, e Grace będzie leżała na play. Ale nie, oprócz cumującego przy molo jachtu nie było tam nic ani nikogo. Jacht był piękny. Burta z piskiem ocierała się o gumowe odbojniki, wysoki maszt kiwał się w lewo i w prawo jak ramię zepsutego metronomu.

Strachan wbiegł na molo, potem na trap i popędził do sterówki. Ja byłem wolniejszy, bo z ręką na temblaku z trudem utrzymywałem równowagę na rozhuśtanym trapie. Gdy tylko wszedłem na pokład, Strachan otworzył luk, zajrzał do sterówki i zamarł.

Podszedłem bliżej i zrozumiałem dlaczego.

Tak jak cała reszta jachtu, sterówka była pięknie urządzona: boazeria z drewna tekowego, okucia z nierdzewnej stali, skomplikowana konsoleta sterownicza – a raczej to, co z niej zostało. Radiostacja i radionadajnik satelitarny były roztrzaskane, podłoga zasłana porwanymi przewodami i połamanymi płytkami obwodów scalonych.

Strachan popatrzył na to, przebiegł przez sterówkę i wpadł do kabiny.

–Grace? Boe, nie! Grace!

Leżała na podłodze. Na głowie i ramionach miała worek, ale niej widać było jej białą parkę. Zwinięta w kłębek, miała związane z tyłu ręce.

Od pasa w dół była naga.

Prawie naga. Nie miała związanych nóg, lecz zsunięte do kostek dżinsy krępowały ją równie skutecznie, jak sznur. Majtki były opuszczone do kolan, jakby gwałciciel nie zdążył ich zdjąć.

Z długimi, gołymi, sinymi z zimna nogami miała w sobie coś bezwstydnie bezbronnego. Nie ruszała się. Myślałem, że przyszedliśmy za późno, ale Strachan dotknął jej i nagle zaczęła rzucać się na wszystkie strony.

–Przytrzymajcie ją! – ostrzegłem, próbując chwycić ją za nogi. – Zrobi sobie krzywdę!

–Ju dobrze, Grace, to ja! To ja! – powiedział Strachan, zrywając jej z głowy worek. Potargane włosy przesłaniały jej twarz. Do ust wepchnięto jej kawałek brudnej

szmaty. Miała wytrzeszczone z przerażenia oczy, lecz gdy tylko spojrzała na męża, natychmiast przestała się szarpać.

–Ju dobrze, jestem tu, ju dobrze – powtarzał monotonię Strachan, wyjmując knebel. Gwałtownie wciągnęła powietrze i cicho załkała.

–Michael, dzięki Bogu!

Na jej zaczerwienionej, lekko obrzmiałej twarzy odcisnął się splot jutowego worka.

Na lewym policzku widniał siniak, na spuchniętych ustach miała krew. Innych obrażeń nie dostrzegłem.

–Nic ci nie jest? Jesteś ranna?– pytał ją Strachan łamiącym się głosem.

–Nie, chyba... nie.

–Czy ktoś panią zgwałcił? – spytał bez ogródek Brody.

–Na miłość boską! – nie wytrzymał Strachan. Inspektor zaszokował tym nawet mnie. Ale Grace pokręciła głową.

–Nie, nie... Nie zgwałcił mnie. Dzięki Bogu, pomyślałem. Przynajmniej tego jej oszczędzono. Poza tym lepiej było

ustalić to od razu i mieć sprawę z głowy. Moe Brody nie był wcale taki niewraliwy. Zapłakany Strachan czule odgarniał włosy z twarzy ony.

–Kto to zrobił? Widziałaś go?

–Nie wiem, ja... Objął ją i przytulił.

–Ciii... Ju dobrze, ju po wszystkim. Gdy podciągał jej majtki i spodnie, odwróciliśmy głowę. Potem spróbowałem

rozwiązać sznur na jej rękach, lecz nie dałem rady. Miała otartą skórę na nadgarstkach i dłonie blade z niedokrwienia. Brody musiał poszukać noa i gdy przeciął sznur, Strachan pomógł jej wstać.

–Poniesiemy ją, niech mi pan pomoże ~ poprosił Brody'ego, zapominając chwilowo o spięciach.

–Pójdę sama – odparła Grace.

–Nie dasz...

–Nic mi nie jest, pójdę!

Wciąż płakała, lecz na szczęście nie wpadła w histerię, czego najbardziej się obawiałem.

Oni szli przodem, my dyskretnie z tyłu. Strachan ją podtrzymywał. Tulili się do siebie i obejmowali, nie zwracając na nikogo uwagi. Poczujęm się jak intruz.

Nad molo krążyło kilka samotnych mew. Ich krzyk brzmiał jak szyderczy śmiech na wietrze.

Rozdział 19

Ja ją opatrywałem, a Fraser odbierał zeznania. Wraz z konwojem samochodów przyjechał z miasteczka zaraz po tym, gdy zaprowadziliśmy ją do domu. Strachan nie chciał, eby natychmiast ją przesłuchano, lecz doradziłem mu, eby się zgodził. Czekają ją jeszcze przesłuchanie po przyjeździe policji ze Stornoway, tymczasem jednak dla niej samej byłoby lepiej, gdyby opowiedziała wszystko na świeo. Natychmiastowe przesłuchanie ofiary gwałtu pozwala uniknąć głębszych urazów psychicznych, poza tym mógłbym przypilnować Frasera, eby za bardzo jej nie dręczył.

–Nie wyglądał mi na człowieka zbyt wraliwego.

Roztargniony Strachan podziękował wszystkim za przybycie, zapewnił ich, e onie nic nie jest i odesłał ich do domu. Na twarzach mieszkańców miasteczka malowały się gniew i szok. Chocia wiadomość o śmierci Duncana jeszcze się nie rozeszła, wiedzieli ju, e w chacie kogoś zamordowano. To nimi wstrząsnęło, jednak napaść na Grace poruszyła ich jeszcze bardziej. Ofiary zabójstwa nie znali, tymczasem Grace była oną ich dobroczyńcy, człowieka szanowanego i lubianego. To, co się jej przydarzyło, było ciosem dla całej społeczności. Wśród członków grupy poszukiwawczej byli między innymi Kinross i Guthrie. Na twarzy Kinrossa malowała się ądza mordy. Zbierając się do odjazdu, powiedział:

–Ten, kto to zrobił, jest ju trupem.

Wiedziałem, e nie są to czcze pogróki. Emocje sięgały zenitu. Na pomoc przybył równie Cameron; zwaywszy, e podkochał się w Grace, nie

było w tym nic dziwnego. Wychodził jako ostatni, natarczywie powtarzając, e musi ją zobaczyć. Jego podniesiony głos docierał z korytarza a do kuchni, gdzie Brody i Fraser czekali, a skończę ją opatrywać.

–Jeśli jest ranna, muszę ją zbadać – dudnił z oburzeniem.

–Nie trzeba, David to zrobi – odparł spokojnie Strachan.

–Hunter? – Zabrzmiało to jak splunięcie. – Z całym szacunkiem, Michael, ale to ja powinienem ją opatryć, a nie jakiś... były lekarz!

–Wybacz, ale to ja o tym decyduję.

–Michael...

–Nie! – Zapadła pełna zdumienia cisza. Strachan odezwał się dopiero po chwili i był

ju bardziej opanowany. – Wracaj do domu, Bruce. W razie czego dam ci znać.

–Chyba sprawiam wszystkim kłopoty – powiedziała ze smutkiem Grace, gdy trzasnęły drzwi. Właśnie dezynfekowałem jej rany-jedną ręką – i wytrzymała to ze stoickim

spokojem.

–Chce tylko pomóc. – Odłożyłem wacik. – Przepraszam. Zostawiłem ją z Brodym i Fraserem, wyszedłem z kuchni i złapałem Strachana w holu.

–Słyszałem, co mówił Cameron. Ma rację. Opatrzy Grace lepiej ni ja, ma więcej doświadczenia.

Wydarzenia ostatniej godziny odcisnęły na nim wyraźne piętno. Wyglądał ju duo lepiej, lecz wciąż miał ściągniętą twarz i był trochę oklapły.

–Na pewno pan sobie poradzi – odparł zmęczonym głosem.

–Tak, ale on jest wykwalifikowanym pielęgniarzem... Zmarszczył brwi.

–Proszę. Nie odpowiedziałem. Strachan zerknął na drzwi i zniył głos.

–Musiał pan widzieć, jak on na nią patrzy. Godziłem się z tym, bo myślałem, e jest nieszkodliwy. Ale po tym wszystkim...

Kiedyś ciekawiło mnie, jak to znosi. Teraz ju wiedziałem.

–Nie sądzi pan chyba, e to on? – spytałem z powątpiewaniem.

–Ktoś to jednak zrobił! – wybuchnął. Gniew szybko minął. – Nie, nie twierdzą, e to Bruce. Po prostu... Po prostu wolałbym, eby się do niej nie zbliął.

Uśmiechnął się z zaenowaniem.

–Wracajmy. Pomyślą, e coś knujemy.

Weszliśmy do kuchni. Fraser czekał z notesem w ręku, nachmurzony Brody siedział przy stole, patrząc w kubek stygnącej herbaty. Odkąd wróciliśmy z przystani, był niezwykle małomówny; najwyraźniej wolał, eby to Fraser zadawał pytania.

Strachan usiadł obok ony i wziął ją za rękę, a ja zabrałem się do pracy. Obraenia, głównie otarcia i drobne skaleczenia, nie były powane. Najgorzej wyglądał szybko ciemniejący siniak. Nidoszły gwałciciel uderzył ją w prawy policzek, co oznaczało, e

był prawdopodobnie leworęczny.

Tak jak zabójca Duncana.

Ja ją opatrywałem, a ona opowiadała.

–Wróciłam ze szkoły i właśnie zrobiłam sobie kawę. – Podniosła do ust kieliszek brandy z wodą, którą podałem jej zamiast środków uspokajających, i zadrała jej ręką. Od czasu do czasu łamał jej się głos, ale poza tym radziła sobie całkiem dobrze.

–O której to było? – spytał Fraser, notując coś niezdarne.

–Nie wiem... Chyba około drugiej, wpół do trzeciej. Bruce skrócił lekcje, bo wysiadł prąd. Kaloryfery grzały, ale nie było światła. – Spojrzała na męża. – Michael, musimy kupić

generator dla szkoły, koniecznie.

–Tak, wiem, kupimy.

Strachan uśmiechnął się, lecz wciąż wyglądał strasznie. Obwinił siebie za to, co się stało, miał wyrzuty sumienia, a nie było go przy niej, gdy go potrzebowała. Grace wypła łyk brandy i się wzdrygnęła.

–W kuchni czekał Oscar. Szczekał i szczekał, więc otworzyłam drzwi, a on od razu popędził na przystań. Nie chciałam, eby biegał po molo w taką pogodę, więc poszłam go

zawołać. Obszczekiwał jacht, ujadał jak oszalały, i zobaczyłam, e luk jest otwarty. Ale nie

zwróciłam na to większej uwagi. Nigdy nie zamykamy go na klucz i pomyślałam, e jest tam Michael, e zapomniał go zatrzasnąć. Zawołałam i weszłam do sterówki, ale nie

było światła i nic nie widziałam. A potem... Potem ktoś mnie uderzył.

Znowu załamał jej się głos i dotknęła ręką prawego policzka.

–Jeśli nie chcesz, nie musisz o tym mówić – powiedział Strachan.

–Nie, nic mi nie jest, naprawdę. – Uśmiechnęła się słabo. Widać było, e jest w szoku, mimo to z determinacją mówiła dalej: – Od tej chwili wszystko pamiętam jak

przez mgłę. Zdałam sobie sprawę, e leę na podłodze ze związanymi rękami. I e mam coś na głowie, jakiś worek. Myślałam, e się uduszę. Worek cuchnął rybami i oliwą, do ust wepchnięto mi tę ohydłą szmatę. Czułam zimno na nogach i zrozumiałam, e jestem bez spodni. Próbowałam wierzgać, ale nie mogłam. Potem poczułam, e... e ktoś zdejmuję mi majtki...

Urwała, przestając nad sobą panować.

–Nie mogę uwierzyć, e to musiał być ktoś, kogo znam! Dlaczego mi to zrobił?

Dlaczego?

Strachan spojrział na Frasera.

–Na miłość boską, nie widzi pan, e to ją denerwuje?

–Nie, nie, wolałabym dokończyć. – Grace wytarła oczy. – Zresztą niewiele ju mam do powiedzenia. Potem chyba zemdlalam. Bo następną rzeczą, jaką pamiętam, to wasze głosy.

–Ale nie zgwałcono pani, tak? – spytał brutalnie Fraser. Spojrzała na niego spokojnie.

–Nie. To bym pamiętała.

–Dzięki Bogu – wyszeptał arliwie Strachan. – Ten sukinsyn musiał usłyszeć, jak cię wołamy, i uciekł.

Fraser pilnie notował.

–Pamięta pani coś jeszcze? Moe coś o tym napastniku? Grace myślała przez chwilę i pokręciła głową.

–Nie, chyba nie.

–Był niski? Wysoki? Moe jakoś pachniał? Płynem po goleniu albo czymś innym.

–Nie, czułam tylko smród gnijących ryb i oliwy. Skończyłam opatrywać otarcie na jej policzku.

–Czy z tej zatoczki mona się jakoś wydostać? – spytałem^

–Tylko morzem. – Strachan wzruszył ramionami. – No i tą ścieką. Za skałą u podnówa klifu jest kamienista plaa; kończy się w połowie drogi do miasteczka. Jest tam wąska ścieka, którą mona wejść na szczyt klifu. W taką pogodę to piekielnie ryzykowne, ale moliwe.

To wyjaśniałoby, jak napastnik uciekł z przystani. Mógł się tam po prostu ukryć i zaczekać, a wrócimy do domu. Bardziej zaleało nam wtedy na Grace ni na ściganiu gwałciciela.

Fraser nie miał więcej pytań. Myślałem, e Brody o coś spyta, ale on wciąż milczał. Grace wstała. Strachan chciał przygotować jej kąpiel, lecz kategorycznie odmówiła.

–Nie jestem kaleką. – Uśmiechnęła się, lekko poirytowana. – Zostań z gośćmi.

Pocałowała mnie w policzek. Zapachu jej perfum nie zabił nawet smród środka dezynfekcyjnego.

–Dziękuję – szepnęła.

–Cieszę się, e mogłem pomóc. Odprowadziliśmy ją wzrokiem. Strachan miał wystraszone, mocno podkrążone oczy.

–Nic jej nie będzie – powiedziałem. Bez przekonania kiwnął głową.

–Chryste, co za dzień... – wymamrotał, przecierając ręką twarz. Brody odezwał się dopiero teraz:

–Niech pan opowie wszystko jeszcze raz. Co się stało?

–Przecie ju mówiłem – odparł zaskoczony Strachan. – Wróciłem do domu i jej nie było.

–Skąd pan wrócił?

Nie zabrzmiało to oskarycielsko, lecz nie było równie wątpliwości, dlaczego Brody o to pyta. Strachan patrzył na niego z narastającym gniewem.

–Poszedłem na spacer. Do kurhanów, jeśli ju musi pan wiedzieć. Po spotkaniu z

Davidem przed chatą wróciłem do domu, ale byłem zdenerwowany tym, co się tam stało,

śmiercią tego młodego policjanta.

Grace nie wróciła jeszcze ze szkoły, więc zostawiłem samochód i poszedłem...

–Obejrzeć kurhany.

–Tak, eby pan wiedział! – Strachan przestawał nad sobą panować. – I niech mi pan

wierzy, e bardzo tego ałuję! Jeśli to wszystko, dziękuję za pomoc, ale myślę, e powinien pan ju iść.

Atmosfera robiła się coraz gorętsza. Brody mnie zaskoczył. Chocia nie pałali do siebie sympatią, nie miał powodu sugerować, e Strachan napadł na własną onę.

Wstałem.

–My te ju chyba pójdziemy.

Strachan miał czerwone plamy na policzkach.

–Tak, dobrze... – Zawahał się. – David, byłbym wdzięczny, gdyby pan jeszcze trochę został. Tak na wszelki wypadek.

Myślałem, e woli zostać sam na sam z oną. Zerknąłem na Brody'ego. Niemal niedostrzegalnie skinął głową

–W miasteczku nie ma pan nic do roboty. Spotkamy się u mnie i wszystko omówimy.

Ja zczekałem w kuchni, a Strachan ich odprowadził. Trzasnęły frontowe drzwi.

Wrócił zakłopotany. Niemal zaenowany. Ale zdałem sobie sprawę, e on te przeżył dzisiaj swoje. Moe szukał pocieszenia, moe chciał, eby go zapewnić, e Grace z tego wyjdzie, e w tym, co się stało, nie było jego winy. A moe po prostu pragnął towarzystwa.

–Dziękuję, e pan został. Zczekamy godzinę, a Grace się połoy, i odwiozę pana do hotelu.

–Nie boi się pan zostawić jej samej? O tym najwyraźniej nie pomyślał.

–Có... Mógłby pan tu przenocować. Albo wziąć mój samochód. Ma automatyczną skrzynię biegów, więc poradzi pan sobie nawet jedną ręką.

Miałem ju jeden wypadek na Runie, a perspektywa prowadzenia w temblaku nie przypadła mi do gustu. Postanowiłem nie martwić się na zapas.

–Boe, zapominam o manierach – ciągnął Strachan. – Napije się pan czegoś? Mam butelkę dwudziestoletniej whisky słodowej, najwyższa porażą otworzyć.

Proszę nie robić tego ze względu na mnie.

–Chocia tak się panu odwdzięczę – odparł z uśmiechem. – Chodźmy. Zapraszam do salonu.

Przecieliśmy hol i weszliśmy do duego pokoju. Dwa czarne skórzane fotele przy stoliku do kawy z przyciemnionego szkła, grube dywany na podłodze, kolejny obraz Grace nad kominkiem, przy którym stały wysokie do sufitu półki z książkami, szklana gablota pełna krzemienych narzędzi i grotów strzał – salon urządzone z taką samą powściągliwością i takim samym smakiem, jak resztę domu. Były tam równie inne znaleziska archeologiczne,

starożytne skorupy i kamienne rzeźby, strategicznie rozmieszczone i delikatnie podświetlone ukrytymi reflektorkami.

Strachan otworzył barek z laki i zajął się whisky, a ja stanąłem przed półką. Czytał głównie literaturę faktu. Zauważyłem kilka biografii badaczy, takich jak Livingstone i Burton, ale przeważały podręczniki akademickie archeologii i antropologii; było wśród nich kilka pozycji na temat wczesnych ceremonii pogrzebowych. Zdjąłem z półki tom opatrzony tytułem *Minione głosy, minione życia* i zacząłem go przeglądać.

–Najciekawszy jest rozdział o tybetańskich pochówkach – powiedział Strachan. –

Tybetańczycy zabierali zmarłych w góry i zostawiali ich ptakom na poarcie. Uważali,

ptaki zanoszą ich duszę do nieba.

Postawił na stoliku butelkę i dwie szklanki, i usiadł na skórzanej sofie.

–Myślałem, że pan nie pije. – Odłożyłem książkę i usiadłem na sofie naprzeciwko.

–Bo nie piję. Ale teraz mam ochotę złamać tę zasadę. – Rozlał whisky i podał mi szklankę. – *Slainte*.

Whisky pachniała torfem, lecz była łagodna. Strachan pociągnął łyk i gwałtownie zakaszał.

–Chryste! Smakuje panu? – wychrypiął z załzawionymi oczami.

–Bardzo.

–To dobrze. Wypił jeszcze trochę.

–Pan te powinien odpocząć – powiedziałem. – To był ciężki dzień.

–Jakoś wytrzymam.

Lecz słowa nie ukryły zmęczenia. Strachan oparł głowę o sofę i postawił sobie szklankę na piersi.

–Ojciec mawiał, e zawsze trzeba uwaaać na to, czego nie widać. – Uśmiechnął się smutno. – Teraz ju wiem, o co mu chodziło. Myślisz, e wreszcie panujesz nad swoim yciem i nagle bach! Zaskakuje cię coś, czego nigdy byś się nie spodziewał.

–Tak to ju jest. Nie da się ustrzec przed wszystkim.

–Nie, chyba nie. – Zamyślony spojrzął na szklankę. Czujęm, e zaraz powie mi, dlaczego chciał, ebym został, e zdradzi mi prawdziwy powód. – Ta napaść... Myśli pan, e nic jej nie będzie? śe nie ucierpi na tym... nie wiem, psychicznie?

–Nie jestem psychologiem – odparłem, ostronie dobierając słowa. – Ale powiedziałbym, e jak dotąd dobrze to znosi. Jest bardzo odporna.

To go nie uspokoiło.

–Oby miał pan rację. Widzi pan... Kilka lat temu przeszła załamanie nerwowe. Była w ciąży i poroniła. Wystąpiły komplikacje. Lekarze powiedzieli, e nie będzie mogła mieć dzieci. Bardzo to przeżyła.

–Przykro mi. – Przypomniało mi się, z jakim rozrzewnieniem mówiła o dzieciach. I

jak bardzo lubiła pracować w szkole. Biedaczka. I biedny Strachan. Zazdroszcząc im udanego

związku, zapomniałem, e tragedia moe przydarzyć się wszystkim i kademu, nawet yjącym w splendorze bogaczom. – Myśleliście państwo o adopcji?

Strachan pokręcił głową i pociągnął ze szklanki.

–Nie. Nie, nie, nie mam nic przeciwko adopcji, ale właśnie dlatego wyjechaliśmy z Afryki, dlatego tak duo podróowaliśmy. Chcieliśmy rozpocząć nowe ycie. I dlatego tu się osiedliliśmy. Runa była dla nas jak... jak azyl. Mogliśmy podnieść zwodzony most i czuć się bezpiecznie. A teraz to.

–To mała wyspa. Ten człowiek nie ucieknie.

–Moe i nie. Ale wszystko się teraz zmieni. I boję się, jak to wpłynie na Grace.

Mówił niewyraźnie, bełkotliwie; wstrząs i zmęczenie wzmogły skutek działania

alkoholu. Dopił whisky i sięgnął po butelkę.

–Jeszcze jedną?

–Nie, dziękuję. Uznałem, e na mnie pora. Powinien być z oną, a nie upijać się tu i rozklejać.

Prowadzenie samochodu jedną ręką jest trudne i bez dwóch drinków w ołądku.

Ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, ktoś zaczął dobijać się do drzwi. Strachan zmarszczył brwi i odstawił butelkę.

–Kto to, do diabła, jest? Jeśli to znowu ten przeklęty Cameron, to... – Wstał i zachwiał się lekko. – No właśnie. Przypomniało mi się, dlaczego nie piję.

–Moe ja otworzę? – zaproponowałem.

–Nie, nie, proszę zostać.

Mimo to nie zaprotestował, kiedy dotrzymałem mu towarzystwa. Wydarzenia

ostatnich godzin wstrząsnęły wszystkimi, mną te. Trzymałem się nieco z tyłu, gdy otwierał drzwi i dopiero widok czerwonej kurtki Maggie Cassidy, ulga, e to tylko ona, uzmysłowiła mi, jak bardzo byłem spięty.

Ale Strachan nie ucieszył się z jej wizyty.

–Czego pani chce? – spytał, nie zapraszając jej do środka. Wciąż lało i do holu wpadł podmuch wiatru z deszczem. Drobną

twarz Maggie, tonąca w wielkim kapturze, była jeszcze bardziej filigranowa niż zwykle.

–Przepraszam, e przeszkadzam, ale właśnie dowiedziałam się o pańskiej onie... –

Zerknęła na mnie płochliwie i przeniosła wzrok z powrotem na niego. – Chciałam tylko

spytać, jak się czuje.

–Jeśli liczy pani na jakąś sensację, to nie mamy nic do powiedzenia.

Maggie pokręciła głową.

–Nie, nie, przyniosłam jej... to. – Wyjęła spod kurtki miseczkę przykrytą bielutką

ściereczką. – Rosół. Specjalność mojej babci.

Było widać, e Strachan jest zaskoczony.

–Cóż, dziękuję...

Maggie uśmiechnęła się z zakłopotaniem i podała mu miseczkę. Z identycznym

uśmiechem upuściła torbę, nabierając Duncana, i wiedziałem ju, co się zaraz stanie. Otworzyłem usta, eby go ostrzec, lecz było za późno: w chwili gdy Strachan wyciągnął rękę, Maggie rozluźniła palce, miseczka wyślizgnęła jej się z rąk i w rozbryzgach zupy roztrzaskała na podłodze.

–O Boe, przepraszam...- Unikając mojego wzroku, zaczęła szperać w kieszeni w poszukiwaniu chustki. Jej jaskrawoczerwona kurtka i ubranie Strachana były upstrzone

kremowymi cętkami.

–Nie szkodzi, niech pani zostawi – warknął poirytowany Strachan.

–Nie, proszę, zaraz to wyczyszczę...

Jej twarz przybrała kolor kurtki, chocia nie wiedziałem, czy z powodu tego, co się stało, czy dlatego, e czuła na sobie mój wzrok. Gdy zaczęła ścierać zupę z koszuli Strachana, ze złością chwycił ją za rękę.

–Michael? Coś się stłukło?

W dół schodziła Grace w białym szlafroku kąpielowym. Końce jej włosów, luźno zebranych na czubku głowy, były jeszcze wilgotne. Strachan odepchnął rękę Maggie i zrobił krok do tyłu.

–Wszystko w porządku, kochanie. – Ironicznym gestem wskazał podłogę. – Pani Cassidy przyniosła ci zupę.

Grace uśmiechnęła się kwaśno.

–Właśnie widzę. Dlaczego jej nie zaprosisz?

–Bo ju wychodzi.

–Nie bądź niemądry. Przejechała taki kawał drogi, i to w taką pogodę. Strachan niechętnie cofnął się od drzwi, robiąc przejście. Maggie weszła i dopiero

teraz na mnie spojrzała.

–Dobry wieczór, panie doktorze – rzuciła niewinnie i szybko odwróciła się do Grace.

Naprawdę bardzo paniąprzepraszam. Nie chciałam państwu przeszkadzać...

–Zupełnie pani nie przeszkadza. Proszę, niech pani wejdzie do kuchni, zaraz przyniosę szmatę. Michael, kochanie, zajmij się pani kurtką. W pakamerze jest gąbka.

–Moe przynajmniej zmyję podłogę...- Trzeba przyznać, e Maggie grała całkiem przekonująco.

–Wykluczone, Michael zajmie się i tym. Prawda, skarbie?

–Oczywiście – odparł z kamienną twarzą Strachan.

Maggie zdjęła i podała mu kurtkę. Choć bardzo drobna, wypełniała korytarz energią, która zaprzeczała jej wymiarom.

Weszliśmy do kuchni. Wciąż unikała mojego wzroku. Grace naląła wody do czajnika.

–Tak mi przykro – powiedziała Maggie. – Zwłaszcza teraz, w takiej chwili. Ta napaść, i w ogóle. To musiało być straszne.

Uznałem, e najwyższa pora zainterweniować.

–Grace, naprawdę powinna pani odpocząć. Poczekamy tu sami. Prawda, Maggie? Maggie przeszła mnie spojrzeniem.

–Cóż...

–Fakt, nie za dobrze się czuję – odrzekła Grace. Rzeczywiście, była bardzo blada.

Uśmiechnęła się słabo. – Gdyby zechciał pan dotrzymać Maggie towarzystwa, poszłabym

zobaczyć, jak radzi sobie Michael, a potem bym się położyła.

Odparłem, e chętnie z nią posiedzę. Grace wyszła. Maggie opadły ramiona.

–No i gówno – burknęła. – Co pan narobił? Podszedłem do zlewu i wziąłem trochę papieru z rolki.

–Ma pani zupę na spodniach. – Podałem jej papier. Wzięła go i zaczęła z wściekłością wycierać nogawkę. – Czy pani babcia nie nazywa się przypadkiem Campbell?

–Campbell? Nie, Cassidy, tak jak... Rozdziawiła usta. Dopiero teraz to do niej dotarło.

–Jako student jadłem te zupy dzień w dzień – ciągnąłem. – Najczęściej rosół. Tego zapachu się nie zapomina.

–No dobrze, to nie jest zupa babci. I co z tego? Liczą się dobre chęci.

Miało to zabrzmieć przekornie, ale nie zabrzmiało. Zanim którekolwiek z nas zdążyło powiedzieć coś jeszcze, usłyszeliśmy przeraźliwy krzyk Grace. Wybiegłem na korytarz i zobaczyłem Strachana, który wyglądał na dwór. Przerażona Grace stała pod ścianą, obejmując się w pól.

–Wszystko w porządku – rzucił Strachan. – Fałszywy alarm. – Zamknął drzwi.

Grace wytarła oczy i posłała mi niepewny uśmiech.

–Przepraszam – szepnęła. – Boję się ju własnego cienia.

–Mogę w czymś pomóc? – spytałem. Strachan podszedł do ony i przytulił ją.

–Nie, nie, zaraz do was przyjdę.

–Właśnie wychodziliśmy. Maggie zaproponowała, e podrzuci mnie do hotelu.

Prawda, Maggie?

Maggie uśmiechnęła się z przymusem.

–Tak. Ostatnio robię za autobus.

Bez słowa patrzyliśmy, jak Strachan wchodzi z oną na schody. Zaraz potem wrócił i zdjął kurtkę z wieszaka. W miejscach, gdzie wytarł ją gąbką, widniały ciemne plamy.

–Dziękuję – powiedziała cicho Maggie. Popatrzyła na podłogę, na rozlaną zupę i roztrzaskaną miseczkę. – Jeszcze raz przepraszam. I cieszę się, e ona czuje się

lepiej.

Strachan zimno skinął głową. Powiedziałem, e nazajutrz zadzwonię, i wypchnąłem Maggie za drzwi. Zapadł ju wieczór i wciąż lało jak z cebra, więc zmagając się z wiatrem, pobiegliśmy do samochodu. W samochodzie wciąż było ciepło i za późno przypomniałem sobie o zepsutym nawiewie. Ale teraz miałem na głowie waniejsze sprawy i gdy tylko zatrzasnąłem drzwiczki, spojrzałem na nią gniewnie i spytałem:

–Co pani wyczynia? Po co pani tu przyjechała? Maggie długo szarpała się z kurtką, wreszcie rzuciła ją na tylne siedzenie.

–Po nic! Mówiłam ju, przyjechałam, eby...

–Chryste, przecie ktoś ją napadł! Mógł ją zgwałcić, zabić, a pani próbuje tych głupich sztuczek! A tak bardzo chce pani trafić na pierwszą stronę swojej gazety?

Ze łzami w oczach wrzuciła jedynkę i wyjechaliśmy na szosę.

–Dobrze, jestem świnią! Ale nie mogę siedzieć u babci i udawać, e nic się nie dzieje. Nie wiem, co tu jest grane, ale mogę na tym wypłynąć! Chcę tylko wywiadu, chocia kilku słów!

–I tylko dlatego pani to robi? Dla kariery?

–Oczywiście, e nie. Urodziłam się tu, wszystkich tu znam. – Zadarła podbródek. – Rano dałam panu spokój, prawda? Obiecałam i dałam. Mogłam za wami jechać, ale nie pojechałam. I co? Nie dotrzymałam słowa?

Była bardzo spięta, miała ściągniętą twarz. Nie podobało mi się to, co zrobiła, ale tak bardzo jej zaleało, ebym jej uwierzył. Zastanawiałem się, co zrobić. Wiatr zatrzęsł samochodem. Zaufać jej? Co podpowiada ci instynkt?

Miałem nadzieję, e chocia instynkt mnie nie zawiedzie.

–Maggie, to tajemnica. Mówię to nieoficjalnie, jasne? Na razie nie moe pani tego wykorzystać. Stawką jest ludzkie ycie.

Z powagą kiwnęła głową.

–Oczywiście. Wiem, e nie powinnam przyjechać do Grace, ale...

Tu nie chodzi o Grace. – Zamilkłem. Wciąż nie miałem całkowitej pewności. Ale dowiedziałyby się prędzej czy później. Lepiej po wiedzieć jej teraz. Moe przestanie

węszyc i nie napyta sobie kłopotów. Sobie ani nikomu innemu. – Duncan, ten młody policjant... Nie yje. Ktoś go zabił.

Zasłoniła ręką usta.

–Boe! – Patrzyła na drogę i widać było, e nie moe w to uwierzyć. – Jak to? Przecie on... Co się tu, do diabła, dzieje? Chryste, to jest Runa, tu się takie rzeczy nie zdarzają!

–Jak widać, zdarzają się. Dlatego musi pani skończyć z tymi sztuczkami.

Zamordowano ju dwoje ludzi. Grace mogła być trzecia. Ten, kto to robi, nie artuje.

Ze skruchą kiwnęła głową.

–Wie o tym ktoś jeszcze? To znaczy, o Duncanie.

–Nie. Kinross coś podejrzewa, kilku innych te. Prędzej czy później, Brody i Fraser będą musieli powiedzieć ludziom prawdę. Ale byłbym wdzięczny, gdyby do tej pory zachowała to pani dla siebie.

–Nie pisnę ani słowa, obiecuję.

Uwierzyłem jej. Po pierwsze, dlatego e w aden sposób nie mogła skontaktować się z redakcją, po drugie, dlatego e naprawdę osłupiała. Nie otrząsnęła się z szoku nawet wtedy, gdy zobaczyliśmy coś na poboczu. Piszczące wycieraczki zamazywały obraz, lecz ju po chwili stwierdziłem, e to ktoś w óltej pelerynie odblaskowej.

–Bruce – powiedziała Maggie. – Chyba ma jakiś kłopot. Zwolniła i w świetle reflektorów ukazała się biała twarz Camerona pochylonego nad łańcuchem roweru. Pelerynę

miał uwalaną smarem.

–Przyjechał a tutaj w taką pogodę? – Dopiero teraz dotarło do mnie, e musi wracać od Strachanów.

–Tak, minęłam go po drodze. Szczyci się tym, e niestraszna mu adna burza. Cholerny amadan.

Nie musiałem znać gaelickiego, eby zrozumieć. Cameron przesłonił ręką oczy; ścisnął w niej klucz. Maggie opuściła szybę i krzywiąc się, wystawiła głowę na ulewny deszcz.

–Podwieźć cię?! – zawołała.

Peleryna furkotała na wietrze, przywierała do niego jak ywe stworzenie. Był szczupły i drobny, wiatr mógł w kadej chwili powalić go na ziemię. Nic dziwnego, e zsiadł z roweru, pomyślałem. Był przemarznięty i przemoczony, ale gdy mnie zobaczył, natychmiast zhardziała mu twarz.

–Poradzę sobie.

–Jak chcesz – mruknęła Maggie. Zamknęła okno i ruszyliśmy. – Boe, mam go po dziurki w nosie. Chciałam napisać o nim artykuł, a on nadał się jak kretyn. To miała być historia z ycia wzięta, bo jest nauczycielem i pielęgniarzem, a on zareagował tak, jakbym była ostatnią mendą i zaproponowała mu coś obrzydliwego. Dobra, w porządku, jego wola, tylko dlaczego przez cały czas gapi się na mój biust? Napalony sukinsyn.

Uczucie, jakim Cameron darzył Grace Strachan, najwyraźniej nie powstrzymywało go od poerania wzrokiem innych kobiet. I nagle coś sobie uzmysłowiłem. Uderzyło mnie to z taką siłą e dosłownie zabrakło mi tchu.

Klucz rowerowy – Cameron trzymał go lewą ręką.

Odwróciłem się i spojrzałem w tylne okno. Ale pochłonęły go ju ciemność i deszcz.

Rozdział 20

Cameron to głupi palant, ale chyba nie morderca – powiedział Brody, stawiając czajnik na kuchence i zapalając gaz.

Siedzieliśmy w jego małej kuchni, przy nienagannie czystym stole. Maggie podrzuciła mnie do hotelu, ale zostałem tam tylko kilka minut, bo od razu poszedłem po Frasera. Na ulicy stał rangę rover, więc myślałem, e znajdę go w barze, ale był u siebie. Kiedy zapukałem, głośno wydmuchał nos, zanim mi otworzył – w pokoju było ciemno, a on miał czerwoną pokrytą plamami twarz – ale kiedy powiedziałem, e musimy pogadać z Brodym, od razu zaczął gderać i burczeć, jak to on.

–Nie twierdzą, e jest mordercą – odparłem, gdy Brody zgasił zapałkę. – Ale trzymał klucz w lewej ręce. Wiemy, e zabójca Duncana jest leworęczny. A Grace ma siniaka na

prawym policzku, co sugeruje, e ten, kto ją napadł, te jest mańkutem.

Fraser skrzywił się z pogardą.

–Skąd pan wie, e nie dostała na odlew?

Nie wiem – przyznałem. – Całkiem moliwe, e mamy do czynienia z dwoma napastnikami. Ale cios, który zabił Duncana, był tak silny, e zrobił mu dziurę w czaszce i doprowadził do licznych pęknięć kości. Takiego ciosu nie zada się na odlew.

Kąciki ust Frasera powędrowały w dół i koniuszki wąsów dotknęły podbródka.

–Cameron to kutas, przyznaję. Ale to cherlak, nie dałby rady Duncanowi.

–Uderzono go od tyłu, nie zdał nic zrobić. Wiemy, e Cameron czuje miętę do

Grace, pasuje równie do teorii o szantau. Jest nauczycielem, więc na pewno nie chciałby,

eby ludzie dowiedzieli się, e sprowadza tu prostytutki. Jeśli Janice Donaldson czymś mu

zagroziła, mógł ją zabić, eby nic się nie wydało.

Brody wrzucił do imbryka kilka torebek herbaty.

–Moe. Ale zakładając, e ma pan rację, jakim cudem zdał ze szkoły pa jacht, eby napaść Grace?

–Mógł wyjść przed nią. Mógł przeprowadzić rower ścieką, o której mówił Strachan. W taką pogodę to niebezpieczne, ale desperat by zaryzykował.

Czajnik posępnie zapiszczał, spod pokrywki buchnęła para. Brody zakręcił gaz i przelał wrzątek do imbryka. Prawą ręką. Zaczynałem dostawać obsesji. Podszedł do stołu.

–Moliwe – powiedział. – Ale zapomnijmy na chwilę o Cameronie i przyjrzyjmy się faktom. – Postawił imbryk na podstawce i położył przed nami korkowe podkładki. –

Zupełnym przypadkiem natrafiamy na spalone zwłoki prostytutki. Ten, kto ją zabił, miał to

gdzieś, czy znajdzie ją ktoś, czy nie, dopóki nie rozeszła się wiadomość, e według policji to morderstwo.

Nie spojrział na Frasera, ale nie musiał.

–Zabójca wpada w panikę i postanawia pozbyć się zwłok, tym razem skutecznie, i przy okazji zatrzeć za sobą ewentualne ślady. Robiąc to, zabija policjanta i omal nie zabija pana. – Zamieszał herbatę, przykrył imbryk pokrywką i spojrział na nas pytająco. – Jakież uwagi?

–Tego sukinsyna kręci ogień – powiedział Fraser. – To piroman czy jak się to tam nazywa.

Nie byłem tego taki pewny.

–Czy były tu przypadki podpaleń? – spytałem Brody’ego.

–Nie, nie słyszałem. W kadym razie odkąd tu mieszkam.

–Więc dlaczego akurat teraz? Nie jestem psychologiem, ale wątpię, czy mona nagle zmienić się w piromana.

–Moe chciał lepiej zatrzeć ślady? – podsunął Fraser...

–W takim razie znowu wracamy do pytania, dlaczego zwłoki Ja-nice Donaldson zostawił w chacie, zamiast zrzucić je ze skał do morza – odparłem. – Wtedy nigdy by ich nie znaleziono. Nie, coś tu ciągle przeoczamy.

–Albo niepotrzebnie komplikujemy – odparował kłótliwie Fraser. Brody w zamyśleniu

nalął herbatę.

–Wróćmy do napaści na Grace. Moim zdaniem to był przypadek. Weszła na jacht, kiedy napastnik niszczył nadajniki. Wynika z tego, e wiedział, e policyjny sprzęt nie działa.

–To wyklucza Camerona. – Fraser posłodził herbatę. – Nikt z nas mu o tym nie powiedział. Musiał dostać cynk od któregoś z nich, tych ze stoczni. Od Kinrossa albo od jakiegoś innego sukinsyna. Oni wiedzieli, e nie mamy łączności. Kiedy byliśmy na promie, mogli podskoczyć na jacht, zniszczyć nadajniki i napaść na onę Strachana.

Odłożył łyeczkę. Brody podniósł ją bez słowa, zaniósł do zlewu, wrócił ze ścierką i starł ze stołu moką plamę.

–Moliwe – powiedział, siadając. – Ale nie możemy zakładać, e to jeden z nich.

Mogli komuś o tym powiedzieć. I nie zapominajmy, e o naszych planach wiedział ktoś

jeszcze.

Domyśliłem się, do czego zmierza.

–Strachan? Kiwnął głową.

–Spytał go pan o to, kiedy przyjechał do chaty. Facet nie jest głupi, od razu dodał dwa

do dwóch.

Wierzyłem w jego instynkt, ale tym razem uznałem, e ocenia Strachana poprzez pryzmat dzielącej ich niechęci. Widziałem, jak Strachan zareagował na widok zwłok Duncana. Nawet jeśli udawał zaszokowanego, trudno jest zwymiotować na zawołanie bez względu na to, jak dobrym jest się aktorem.

Fraser podzielał moje wątpliwości.

–A gdzie tam. Przecie widzieliśmy, w jakim był stanie. Trząśł się jak galareta.

Zresztą po jakiego diabła miałby napadać na własną onę, a potem biec po pomoc? Bez sensu.

Jeśli chciał odwrócić od siebie podejrzenia, sens w tym jest – zauwaył łagodnie Brody. Wzruszył ramionami. – Ale moe ma pan ra cję. Moe to zupełnie ktoś inny. Moe zniszczył nadajniki na jachcie na wszelki wypadek, eby się dodatkowo zabezpieczyć.

Po prostu myślę, e w tej chwili nie możemy nikogo wykluczyć.

Fakt. Duncan zginął, bo za duo rzeczy przyjęliśmy za pewnik.

–Wciąż nie rozumiem, co chciał osiągnąć, niszcząc nadajniki na jachcie –

powiedziałem. – Przecie nawet gdyśmy mogli nawiązać łączność z Wallace'em, w taką

pogodę nikt by tu nie przyjechał. No więc po co?

Brody wypił łyk herbaty i ostro nie postawił kubek na podkładce.

–Moe chodziło mu o czas. Dla Wallace'a to morderstwo sprzed miesiąca. Wane, ale nie najwspanialsze. Nie martwi ich zbyt to, e do nich nie dzwoniemy, bo wiedzą, e łączność wysiadła. Gdyby wiedzieli, e zamordowano tu policjanta, śmigłowiec wystartowałby, kiedy tylko pozwoliłaby na to pogoda. A tak spokojnie zaczekają. Dlatego dopóki my nie mamy łączności, zabójca ma czas, eby stąd zwać, zanim zaczniemy go szukać.

–Zwać dokąd? Nawet jeśli zorganizuje jakąś łódź, to pustkowie.

–Tylko pozornie, panie doktorze – odparł z uśmiechem Brody. – Jest tu ponad

dwieście czterdzieści kilometrów linii brzegowej, gdzie można łatwo się zgubić. W zasięgu

jest równie Szkocja, Islandia i Norwegia.

–I myśli pan, e zabójca zaryzykuje? Pies połoył mu łeb na kolanach. Inspektor pogłaskał go czule.

–Mówię tylko, e to moliwe. On dobrze wie, e nie moe tu zostać.

–No i co teraz? – spytał Fraser. Brody wzruszył ramionami.

–Nic. Będziemy się pilnowali. I modlili o lepszą pogodę. Pilnować się i modlić.

Bardzo mnie to pocieszyło.

Zaraz potem pojechaliśmy rangę roverem do hotelu. Od rana nic nie jedliśmy i chocia aden z nas nie miał apetytu, musieliśmy się pokrzepić. Deszcz ustał, ale wichura ustawać nie zamierzała. Wciąż nie było prądu, nie paliły się latarnie i w świetle reflektorów strome opustoszałe uliczki nabierały widmowego wyglądu.

Wysiedliśmy i od razu usłyszeliśmy dochodzący z hotelu gwar. Brody zmarszczył

brwi i zadarł podbródek, jakby coś zwietrzył.

–Niedobrze – powiedział.

Bar był przepełniony, ludzie tłoczyli się w drzwiach i na korytarzu. Gdy nas zobaczyli

i gdy po sali rozniosła się wiadomość, e przyjechaliśmy, zaczęły odwracać się ku nam wszystkie głowy. Rozmowy ustały, zapadła cisza.

–Co teraz? – mruknął Fraser.

Nagle tłum zafalował i stojący w drzwiach zrobili komuś przejście. Szedł ku nam

Kinross, a tu za nim zwalisty Guthrie.

Lodowate spojrzenie kapitana musnęło Frasera i spoczęło na Brodym.

–Coś pan nam obiecał.

Brody miał zapoznać ich z sytuacją – działo się tyle, e zupełnie o tym zapomniałem.

Fraser natychmiast się spiął, agresywnie pochylił ramiona, lecz Brody go uprzedził.

–Tak, pamiętam. Ale dajcie nam chwilę, dobra?

Kinross zawahał się, jakby miał ochotę na awanturę. Ale zmienił zamiar i krótko

skinął głową.

–Damy wam nawet dwie. Wrócili do baru. Fraser spojrział na Brody’ego i gniewnie dźgnął palcem powietrze.

–Pan ju nie jest inspektorem! Uprzedzałem, oni nie mogą nic wiedzieć!

–Mają do tego prawo – odparł spokojnie Brody. Sierantowi pociemniała twarz. Szok po śmierci Duncana – a moe i wyrzuty sumienia

–narastał przez cały dzień. Fraser szukał teraz okazji, eby się wyładować.

–Zamordowano policjanta! Oni nie mają adnych praw!

–Zamordowano dwoje ludzi. Chce pan, eby zabito kogoś jeszcze, tylko dlatego e ich nie ostrześliśmy?

–Inspektor ma rację – wtrąciłem. Byłem kiedyś w takiej sytuacji. Policja milczała i

zginęli ludzie. – Trzeba im powiedzieć. Jeśli tego nie zrobimy, mogą zginąć kolejni.

Fraser miał minę człowieka przypartego do muru, ale nie zamierzał ustępować.

–Nie będzie adnego głosowania! Bez rozkazu z góry nic nikomu nie powiem! Ani ja, ani nikt inny!

–Nie? – Brody’emu lekko zadrała szczęka, lecz był to jedyny objaw zdenerwowania.

–śycie na emeryturze ma swoje plusy. Nie muszę ju przejmować się biurokracją.

Ruszył do baru. Fraser chwycił go za rękę.

–Nie wejdzie pan tam! Inspektor spojrzał na niego z pogardą.

–I co mi pan zrobi? Aresztuje mnie pan?

–Nie chcę mieć z tym nic wspólnego – wymamrotał sierant.

–No to niech pan nie ma. – Brody wszedł do sali. Poszedłem za nim, zostawiając Frasera na korytarzu. Musieliśmy się przepychać.

Ludzie rozstępowali się niechętnie, cichły rozmowy. Bar był mały, za mały na tylu gości. Za ladą uwijała się podenerwowana Ellen. W kącie stał samotnie Cameron. Najwyraźniej dojechał do miasteczka po awarii roweru, lecz spojrzenie, którym mnie obrzucił, nie było bynajmniej cieplejsze od tego, jakie posłał mi na drodze.

Była tam i Maggie. Stała wyczekująco z Kinrossem, Guthriem i kilkoma innymi.

Ale większości ludzi nie znałem. Nie było Strachana, chocia wcale się temu nie dziwiłem. Nawet jeśli wiedział o spotkaniu, na pewno nie chciał zostawiać Grace samej.

Miałem nadzieję, e nie dojdzie do adnej awantury i tym razem nie będzie nam potrzebny.

Brody stanął przed kominkiem i spokojnie rozejrzał się po sali.

–Wszyscy zastanawiacie się na pewno, co się tu dzieje – zaczął donośnym głosem. – I

na pewno wiecie ju, e dziś po południu ktoś napadł na Grace Strachan. Większość z was

słyszała te, e według policji w chacie pod Beinn Tuiridh dokonano morderstwa.

Przerwał i powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. Zauważyłem, że do baru wszedł Fraser. Z ponurą miną stał w drzwiach i słuchał.

–Ale czegoś nie wiecie – ciągnął Brody. – W nocy zamordowano policjanta na ślubie.

Ten, kto go zabił, podpalił równie świetlicę, gdzie zginąć mógł doktor Hunter.

Wybuchła ogłuszająca wrzawa. Brody podniósł ręce, aby ich uspokoić, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Salę wypełniły gniewne głosy, okrzyki zdziwienia i protestu. Spojrzałem na zdenerwowaną Ellen i zacząłem się zastanawiać, czy nie popełniliśmy błędu. Nagle ktoś ryknął:

–Cisza! Cisza, powiedziałem!

Krzyczał Kinross. Ludzie natychmiast umilkli. Kapitan spojrzał na Brody'ego.

–Chce pan powiedzieć, że to ktoś stąd? Ktoś z nas? Inspektorowi nie drgnęła nawet powieka.

–Tak.

Pomruk niezadowolenia przybrał na sile. Lecz momentalnie ucichł, gdy znów odezwał

się Kinross.

–Nie. – Energicznie pokręcił głową. – Wykluczone.

–Mnie te się to nie podoba. Ale fakt pozostaje faktem: ktoś zabił dwoje ludzi i napadł na Grace Strachan.

Kinross założył ręce.

–Ale to nikt z nas. Gdyby grasował tu morderca, myśli pan, ebyśmy o tym nie wiedzieli?

Poparł go chór przytłumionych głosów. Maggie przepchnęła się pod kominek i gdy Brody zaczął coś mówić, podsunęła mu pod nos dyktafon, jakby była to konferencja prasowa.

–Ten trup w chacie. Wiecie ju, kto to jest?

Brody zamilkł. Zastanawiał się, co może im powiedzieć.

–Oficjalnej identyfikacji jeszcze nie dokonano. Ale uważamy, że może to być

zaginiona prostytutka ze Stornoway.

Obserwowałem Camerona. Jeśli słowa te coś dla niego znaczyły, niczym tego nie okazał. Posypały się pytania.

–Co, do diabła, robiła tu dziwka z Lewis? – wybełkotała Karen Tait.

–Zgadnij – odparł z szerokim uśmiechem Guthrie. Nikt się nie roześmiał. Guthrie powoli przestał się uśmiechać. Ale mnie zaciekawiła

reakcja kogoś innego. Gdy Brody wspomniał o prostytutce, Kevin, syn Kinrossa, wyraźnie drgnął. Był wstrząśnięty, jego usta ułożyły się w kształt litery O.

Zorientował się, że go obserwuję, i szybko spuścił wzrok.

Wszyscy wciąż patrzyli na Brody'ego.

–Kiedy tylko pogoda się poprawi, policja przyśle tu ekipę dochodzeniową – mówił. –

Współpracujcie z nimi, bardzo was o to proszę. Ale ponieważ jeszcze ich nie ma, potrzebujemy waszej pomocy. Chata jest teraz miejscem przestępstwa, więc nie chodźcie tam.

Dzięki temu ci z dochodzeniówki nie będą musieli analizować fałszywych tropów. Wiem, że

jesteście ciekawi, ale proszę, trzymajcie się z daleka od tego miejsca. I jeśli wiecie coś, co

mogłoby pomóc w śledztwie, powiedzcie to obecnemu tu sierantowi Fraserowi.

Wszyscy odruchowo spojrzeli w stronę drzwi. Lekko zaskoczony Fraser wyprostował się niedostrzegalnie i naprężył ramiona. Brody pograł bardzo sprytnie: pomógł mu odzyskać chociaż część szacunku i przypomniał ludziom, że na wyspie jest już policja.

Myślałem, że na tym się to skończy, ale wtedy odezwał się Cameron. Do tej pory milczał i dopiero teraz w barze rozległ się jego donośny, oratorski głos.

–A tymczasem my mamy spokojnie siedzieć i grzecznie się zachowywać, tak? – Założył ręce, szeroko rozstawił nogi. Gdy Maggie podeszła do niego z dyktafonem, posłał jej zniesmaczone spojrzenie.

–Niestety – odparł Brody. – Do przyjazdu dochodzeniówki nic więcej nie możemy zrobić.

–Mówi pan, e na wyspie grasuje morderca, oskara pan nas, twierdząc, e to ktoś stąd, a potem kae nam pan nic nie robić? – Cameron prychnął, pogardliwie i z niedowierzaniem. – Wybaczy pan, ale ja...

–Zamknij się, Bruce – przerwał mu Kinross, nie racząc nawet na niego spojrzeć. Na policzkach Camerona wykwitły czerwone plamy.

–Przepraszam, Iain, ale myślę...

–Nikogo nie obchodzi, co myślisz.

–Wybacz, ale kim ty właściwie jesteś, eby... Urwał i skurczył się pod jego lodowatym spojrzeniem. Jabłko Adama podskoczyło mu

kilka razy, gdy zamknąwszy usta, przełknął ślinę i słowa, które zamierzał wypowiedzieć. Jego nauczycielska duma brała ostatnio niezłe cięgi.

Ale nikt ju nie zwracał na niego uwagi. Ludzie znowu zaczęli rozmawiać, salę znowu wypełnił przyciszony gwar. Maggie opuściła dyktafon, zerknęła na mnie z niepokojem i wyszła z baru.

Spojrzałem tam, gdzie stał Kevin Kinross. Ale on te musiał w którymś momencie wyjść.

Gdy zrobiło się trochę luźniej, znaleźliśmy wolny stolik. Stawiał Fraser. Ja i on wzięliśmy szkocką Brody sok pomidorowy. Sierant podniósł szklankę.

–Za Duncana. I za sukinsyna, który go zabił. Gonnadh ort

–O tak, na pewno będzie cierpiał – powiedział cicho Brody. Wypiliśmy powanie i uroczyście. Potem opowiedziałem im o reakcji Kevina na

wiadomość, e zamordowana była prostytutką ze Stornoway. Fraser to zlekceważył, być moe dlatego, e wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po śmierci Duncana.

–Podniecił się chłopak, i tyle. Nic dziwnego, z taką gębą. Pewnie jest jeszcze prawiczkim.

–Moe i tak, ale warto się temu przyjrzeć – myślał na głos Brody. – Jeśli ci z dochodzeniówki nie przyjadą, jutro z nim pogadamy.

Fraser zajrzał posępnie do szklanki.

–Chryste, mam nadzieję, e przyjadą. Ja te, pomyślałem. Ja te.

Zaraz potem się z nimi poegnałem. Nic nie jadłem, leciałem z nóg i wypita na pusty

ołądek whisky zakręciła mi w głowie. Dopadły mnie nagle wszystkie wydarzenia ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Zamykały mi się oczy.

Gdy wychodziłem, Ellen wciąż uwijała się za ladą, nie mogąc nadać z zaspokajaniem nieoczekiwanego popytu na alkohol. Myślałem, e mnie nie widziała, ale kiedy wszedłem na schody, usłyszałem jej głos.

–David? – Wyjrzała na korytarz. – Przepraszam, nie zdążyłam przygotować panu nic do jedzenia.

–Nie szkodzi. Pójdę się przespać.

–Moe przynieść coś na górę? Zupę albo kanapkę? Baru pilnuje Andrew.

–Nie, nie, nie trzeba, dziękuję.

Zaskrzypiały deski podestu. Spojrzeliśmy do góry i zobaczyliśmy Ann. W koszuli nocnej i rozspaną. Zeszła na dół.

–Co ci mówiłam o chodzeniu po schodach? – skarciła ją Ellen.

–Miałam zły sen. Wiatr zabrał panią.

–Jaką panią, skarbie?

–Nie wiem – odparła płaczliwie dziewczynka. Ellen objęła ją i przytuliła.

–To był tylko sen. Ju nie wróci. Podziękowałaś panu doktorowi za czekoladę? Ann pomyślała chwilę i pokręciła głową.

–No to podziękuj.

–Ale ja ju ją zjadłam. Ellen spojrzała na mnie ponad jej głową, z trudem powstrzymując śmiech.

–Mimo to moesz podziękować.

–Dziękuję.

–No właśnie. A teraz, moja panno, marsz do łóka. Ann ju prawie spała. Oparła się bezwładnie o nogę matki.

–Nie mogę chodzić.

–A ja nie mogę cię nosić. Jesteś za ciężka. Dziewczynka popatrzyła na mnie rozespanymi oczami.

–Ale on moe.

–Nie, madame, nie moe. Ma zwichniętą rękę.

–Nie, nie, poradzę sobie. – Ellen zerknęła niepewnie na mój temblak. – Bardzo chętnie

ją zaniosę. Naprawdę.

Podniosłem ją. Jedną ręką, ale wayła tyle co nic. Jej włosy pachniały szamponem. Wtuliła się we mnie, tak jak kiedyś moja córka. Jej lekkość i fizyczna namacalność były niepokojące, a zarazem podnosiły na duchu.

Weszliśmy a na strych, gdzie były dwa małe prywatne pokoje. Ellen odchyliła kołdrę i położyłem Ann do łóżka. Dziewczynka prawie się nie poruszyła. Matka przykryła ją, pogładziła po włosach i po cichu wyszliśmy na korytarz.

Ellen przystanęła na moim piętrze z ręką na drewnianej poręczy schodów. Spojrzała na mnie przenikliwie i z zafascynowaniem.

–Wszystko w porządku? – spytała. Nie musiała dodawać nic więcej. Uśmiechnąłem się.

–Tak. Rozumiała, wiedziała, e lepiej nie naciskać. Poegnaliśmy się i zeszła do baru.

Poszedłem do siebie i nie rozbierając się, usiadłem na łóżku. Ubranie śmierdziało dymem, ale nie miałem siły wstać. Wciąż czułem na ramieniu ciężar Ann. Wyobraziłem sobie, e to ciężar Alice, wystarczyło, e zamknąłem oczy. Wsłuchując się w wycie wiatru, siedziałem i myślałem o mojej nieyjającej rodzinie. I bardziej ni kiedykolwiek przedtem pragnąłem zadzwonić do Jenny.

Ale tego te nie mogłem zrobić.

Ktoś zapukał do drzwi. Gwałtownie podniosłem głowę. Zdałem sobie sprawę, e zacząłem przysypiać. Spojrzałem na zegarek. Było po dziewiątej.

–Chwileczkę.

Trąc oczy, podszedłem do drzwi. Myślałem, e to Ellen, e jednak postanowiła mnie nakarmić. Ale nie, na korytarzu stała Maggie.

Trzymała tacę z miseczką zupy i dwiema grubymi kromkami domowego chleba.

–Szłam na górę i Ellen powiedziała, ebym to panu przyniosła. Źe musi pan coś zjeść. Wziąłem tacę i wpuściłem ją do środka.

–Dzięki. Uśmiechnęła się niepewnie.

–Znowu zupa. Ma dzisiaj wzięcie, co?

–Ale tym razem jej pani nie upuściła, to ju coś. Postawiłem tacę na komodzie. Czuliśmy się trochę niezręcznie. Śadnie z nas nie

patrzyło na dominujące w pokoju łóko, jednak obydwójce czuliśmy jego obecność. Ja oparłem się o parapet, ona usiadła na krześle.

–Koszmarnie pan wygląda.

–Dziękuję, od razu mi lepiej.

–Wie pan, o czym mówię. – Wskazała tacę. – No? Niech pan je.

–Nie, zaczekam.

–Ellen mnie zabije, jeśli zupa wystygnie. Nie miałem siły na sprzeczki. Wciąż byłem zbyt zmęczony, eby odczuwać głód, lecz

odmieniła to ju pierwsza łyka. Nagle zrobiłem się głodny jak wilk.

–Fajne spotkanie, co? – powiedziała, gdy wyrwałem z kromki kawał mięszu. – Ju myślałam, e Kinross przyłoy Cameronowi. Ale có. Nie mona mieć wszystkiego, prawda?

–I o tym chciała pani porozmawiać?

–Nie. – Zabębniła palcami w krawędź krzesła. – Chciałam pana o coś spytać.

–Przecie pani wie, e nie mogę nic powiedzieć.

–Tylko jedno pytanie, to wszystko.

–Maggie... Podniosła rękę.

–Tylko jedno. Zupełnie nieoficjalnie.

–Gdzie pani magnetofon?

–Boe, co za podejrzliwy człowiek... – Otworzyła torebkę i wyjęła dyktafon. –

Wyłączony. Widzi pan?

Wrzuciła go z powrotem do torebki. Westchnąłem.

–Dobrze, tylko jedno pytanie. Ale niczego nie obiecuję.

–O nic więcej nie proszę. – Była trochę zdenerwowana. – Brody powiedział, e ta kobieta była prostytutką ze Stornoway. Wie pan, jak się nazywała?

–Maggie, tego nie mogę...

–Nie pytam o jej nazwisko. Pytam tylko, czyje znacie? Podstęp. Gdzie tkwił podstęp? Zawsze mogłem odpowiedzieć ogólnikowo, nie widziałem w tym nic złego.

–Musimy to jeszcze potwierdzić.

–Ale znacie jej nazwisko, tak? Milczałem. Maggie zagryzła wargę.

–Czy miała na imię... Janice? Musiała zdradzić mnie twarz. Odstawiłem tacę. Nagle straciłem apetyt.

–Skąd pani wie?

–Przykro mi, ale to tajemnica dziennikarska.

–Maggie, to nie jest zabawa! Jeśli coś pani wie, musi pani iść na policję.

–To znaczy, do sieranta Frasera? Ju lecę.

–W takim razie do Brody’ego! Tu chodzi o coś więcej ni o artykuł, igra pani z ludzkim yciem!

–Robię swoje! – odparowała.

–A jeśli znowu kogoś zabiją? Co wtedy? Zapisze pani na swoim koncie kolejny reporta?

To do niej trafiło. Uciekła wzrokiem w bok.

–To pani rodzinne strony – naciskałem. – Nie obchodzi panią, co się tu dzieje?

:- Oczywiście, e obchodzi!

–W takim razie proszę mi powiedzieć, skąd wzięła pani to imię. Widziałem, e miotają nią sprzeczne uczucia.

–Nie, to nie tak, to tylko tak wygląda. Ten ktoś, kto mi to powiedział... Powiedział mi to w zaufaniu. Nie chcę, eby miał kłopoty. On nie ma z tym nic wspólnego.

–Skąd pani wie?

–Bo wiem! – Spojrzała na zegarek i wstała. – Muszę iść. To był błąd. Nie powinnam była tu przychodzić.

–Ale pani przyszła. Nie moe pani tak po prostu wyjść.

Wciąż się wahała. W końcu pokręciła głową.

–Zaczekajmy do jutra. Nawet jeśli nie przyjedzie tu policja, obiecuję, e powiem albo panu, albo Brody’emu. Muszę to najpierw przemyśleć.

–Niech pani tego nie robi... Ale Maggie ju szła do drzwi.

–Jutro. Obiecuję. – Uśmiechnęła się z zaenowaniem. – Dobranoc. Kiedy wyszła, usiadłem na łóku, zastanawiając się, skąd, u diabła, wiedziała, e Janice to Janice. O swoim odkryciu powiedziałem tylko Brody’emu, Fraserowi i Duncanowi. Duncan ju nie ył, a nie przypuszczałem, eby sierant czy wiecznie ponury inspektor weszli w komitywę z Maggie.

Próbowałem to rozgryźć, ale byłem zbyt zmęczony, eby trzeźwo myśleć. Poza tym i tak nie mogłem nic na to poradzić, przynajmniej tego wieczoru. Zupa wystygła, ale nie byłem ju głodny. Rozebrałem się i zmyłem z siebie smród spalenizny, przynajmniej częściowo. Postanowiłem, e nazajutrz sprawdzę, czy hotelowy generator nie da rady podgrzać wody na gorący prysznic. Teraz chciałem tylko spać.

Tym razem zasnąłem błyskawicznie, jakbym zgasił światło.

Tu przed północą gwałtownie się obudziłem. Miałem sen i w tym śnie kogoś ścigałem, a ktoś ścigał mnie. Ale nie pamiętałem, przed kim uciekałem ani dokąd. Pozostało tylko niejasne wraenie, e bez względu na to, jak szybko biegłem, nie mogłem tego kogoś dopędzić.

Leałem w ciemnym pokoju, wsłuchując się w coraz wolniejsze bicie mojego serca. Wiatr chyba osłabł, więc pozwoliłem sobie na odrobinę optymizmu. Bo moe sztorm wreszcie się przewalił i jutro przyjedzie policja?

Byłem głupi. Pogoda, tak jak sama Runa, najgorsze pozostawiła na koniec.

Rozdział 21

Trzecia nad ranem to martwa godzina. To godzina, kiedy śpiący jest w najgorszej formie psychicznej i fizycznej. Godzina, kiedy system obronny organizmu właściwie nie działa, kiedy obietnica poranka wydaje się nieskończenie odległa. O tej godzinie na wierzch wylaą najmroczniejsze urojenia i najgorsze strachy. Ale jest to tylko stan umysłu, biorytmiczna rozpadlina, z której wypelzamy wraz z pierwszym blaskiem dnia.

Prawie zawsze.

Ocknąłem się niechętnie, wiedząc, e kiedy się obudzę, trudno mi będzie znowu zasnąć. Ale gdy tylko o tym pomyślałem, było ju za późno. Zatrzeszczało łoko i spojrzałem na zegarek. Kilka minut po trzeciej. Czulem otaczającą mnie ciszę. Słyszałem złowieszcze poskrzypywanie i pojękiwanie ścian, które przesuwaly się i osiadały niczym starzec chory na artretyzm. Na dworze wciąż był wiatr. Patrzyłem na sufit świadom, e sen umyka coraz dalej i dalej. Nie wiedziałem dlaczego. I nagle dotarło do mnie, co jest nie tak.

Sufit. Widziałem sufit.

W pokoju nie było ciemno, w kadym razie niezupełnie. Przez zasłony sączyła się słaba poświata. W pierwszej chwili pomyślałem, e z latarni przed hotelem, e naprawili prąd. Ogarnęła mnie fala ulgi, bo jeśli naprawili prąd, moe działały i telefony.

Ale nie, poświata nie była jednolita. Była gorączkowo rozedrgana, migotliwa, i gdy to zobaczyłem, cała ulga natychmiast prysła.

Podbiegłem do okna i rozchyliłem zasłony. Deszcz ustał, ale latarnia była ciemna i drała na wietrze jak ogołoczone z gałęzi drzewo. Światło, słaba ółta poświata, która odbijała się od mokrych dachów i z kadą sekundą przybierała na sile, dochodziła od strony portu.

Coś się tam paliło.

Szybko się ubrałem, nie zwaając na bolesny protest zwichniętego ramienia. Wybiegłem na korytarz i załomotałem do drzwi Frasera.

–Fraser! Wstawaj!

Sierant nie odpowiedział. Jeśli przesiedział w barze całą noc, próbując utopić w kieliszku wyrzuty sumienia po śmierci Duncana, mogłem sobie stukać i pukać do znużenia.

Zbiegłem na dół. Myślałem, e mój tupot obudził Ellen, ale nigdzie jej nie było. Wypadłem na dwór i wiatr omal nie zerwał ze mnie kurtki, którą właśnie próbowałem zapiąć. Z domów wybiegali ludzie. Łomotali do drzwi sąsiadów i nawoływali się nerwowo, biegnąc w kierunku portu.

Na ściece za hotelem nie było garbusa. Ellen pewnie ju pojechała, ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać. Łuna była coraz jaśniejsza, coraz jaśniej oświetlała mokre od deszczu ulice. Myślałem, e pali się prom, ale nie, gdy dobiegłem do przystani, zobaczyłem, e skąpany w blasku poaru, cumuje bezpiecznie przy molo.

Palilo się coś w stoczni.

Łódź Guthriego. Płonęła ju cała rufa, płonęła sterówka. Z rozfalowanym wdziękiem płomienie ogarniały cały kadłub, skrywając go za zasłoną czarnego dymu. Wokół łodzi uwijały się sylwetki rozkrzyczanych ludzi z wiadrami. W ryku płomieni słyszałem głos wydającego rozkazy Guthriego, zobaczyłem Kinrossa, który wybiegł z warsztatu z ciężką gaśnicą i osłaniając się przed arem, próbował podejść jak najbliżej łodzi.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu. Odwróciłem się i zobaczyłem ółtą od ognia twarz Brody'ego.

–Co się stało? – spytałem.

–Nie mam pojęcia. Gdzie Fraser?

–Niech pan zgadnie. Wiatr zmienił kierunek i rozkaszeleliśmy się od dymu. Mocno wiało i rozczapierzone

płomienie furkotały jak prześcieradło na sznurze. Było tam chyba całe miasteczko: jedni stali, przyglądając się bezradnie, inni próbowali walczyć z poarem. Podawano sobie wiadra, rozwinięto wąż, lecz cienki strumień wody ginął w płomieniach, niczego nie gasząc. Było oczywiste, e łódź jest nie do uratowania – chodziło tylko o to, eby nie dopuścić do rozprzestrzenienia się poaru.

W grupie ludzi po drugiej stronie stoczni mignęła mi czerwona kurtka Maggie. Nieco dalej, na uboczu, stał Cameron, patrząc w ogień z ocienioną zapadniętą twarzą. Poszukałem wzrokiem Ellen, ale trudno ją było dostrzec w tym tłumie. Myślałem, e przyjechała, ale z drugiej strony, dziwne było, e nie obudziła przedtem mnie czy Frasera.

Brody widział, e się rozglądam.

–Coś nie tak?

–Widział pan Ellen?

–Nie, dlaczego?

–Pod hotelem nie ma jej samochodu. Myślałem, e przyjechała.

–Nie zostawiłaby Ann. – Brody powiódł wzrokiem po tłumie. W jego głosie usłyszałem nutkę zdenerwowania.

Nawet dzisiaj nie mogę sobie przypomnieć, kiedy wyczułem to nagłe napięcie. Przetoczyło się po nas niczym fala zbiorowego niepokoju, rozprzestrzeniając się tak szybko,

jak płomień. Spojrzałem na łódź i nie wiedzieć czemu opanowały mnie złe przeczucia. Łódź stała ju w ogniu i z dziury w kadłubie buchały płomienie. I raptem powiał wiatr. Powiał, zdjął z burty welon dymu i zobaczyłem, e coś się tam rusza.

Otoczona ognistym kokonem powoli podnosiła się ludzka ręka. Jakby nas pozdrawiała.

–Jezu Chryste – szepnął Brody.

I wtedy pokład zapadł się, grzebiąc ten potworny widok w chmurze iskier. Rozpętało się piekło. Ludzie krzyczeli, wrzeszczeli, wydawali polecenia, błagali, eby

ktoś coś zrobił. Ale ja lepiej ni ktokolwiek inny wiedziałem, e nic zrobić się nie da.

Ręka zacisnęła mi się na ramieniu tak mocno, e zabolalo, chocia byłem w grubej kurtce. Brody patrzył na mnie z miną, która na długo wryła mi się w pamięć. Wypowiedział tylko jedno słowo, ale to wystarczyło.

–Ellen. I rozpychając ludzi na bok, popędził w stronę płonącej łodzi.

–Brody! – Pobiegłem za nim. Wątpię, czy mnie słyszał. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy odepchnęły go płomienie.

Chwyciłem go za ramię, wzdrygając się z gorąca. Zaczynały nam dymić kurtki. Gdyby łódź się teraz zawaliła, byłoby po nas.

–Wracaj!

–Ona się ruszała!

–To tylko skurcz! To tylko ogień! Wyszarpnął się. Patrzył na płomień, jakby szukał w nich przejścia. Chwyciłem go

znowu.

–Nie wiem, kto to jest, ale on ju nie yje! Nie pomoesz mu! To, co widzieliśmy, nie

było oznaką ycia. Wprost przeciwnie, był to czysto mechaniczny odruch wywołany przez

kurczące się z gorąca ścięгна. Nie było najmniejszych szans, eby ktoś przeżył tak długo w

ogniu.

Moje słowa przebiły się wreszcie przez ogarniające go szaleństwo i pozwolił mi się odciągnąć. Szedł jak człowiek w szponach koszmarne go snu. Wyglądało na to, e wypalony szkielet łodzi zaraz się zawali. Nie myśląc, kogo tam mogliśmy widzieć, podbiegłem do Kinrossa, który wciąż polewał wrak pianą z gaśnicy. Stał bardzo blisko ognia i miał dzikie, rozwścieczone oczy. Mięsista twarz towarzyszącego mu Guthrie go była mokra od łez. Olbrzym płakał albo od dymu, albo na widok ulatujących z dymem marzeń.

–Musimy wyciągnąć ciało!

–Spierdalaj! Chwyciłem go za rękę.

–Nie ugasisz tego! Przynieście kilka drągów! Szybko! Kinross wyszarpnął się i przez chwilę myślałem, e mnie uderzy.

Ale nie, spojrział na kolegów i kazał im skoczyć po drągi i długie deski do rusztowania, które leały na stercie materiałów budowlanych pod ścianą warsztatu.

A potem mogłem tylko stać obok Brody’ego i bezradnie patrzeć, jak on i kilku innych próbują wyciągnąć ciało z płomieni. W pewnej chwili część kadłuba zapadła się w obłąkanej fontannie iskier i Guthrie w ostatniej chwili odskoczył do tyłu. Nie było adnych szans, eby zwłoki przetrwały w tak wysokiej temperaturze, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Gdybyśmy zrezygnowali, ogień strawiłby je do kości i zniszczył wszystkie dowody rzeczowe.

Poza tym było nie do pomyslenia, ebyśmy mogli po prostu stać i czekać, a poar się wypali.

Brody miał błędny wzrok. To nie moe być Ellen, wmawiałem sobie, czując w sercu straszliwą pustkę. Zastanawiałem się, dokąd mogła pojechać, czy moe istnieć inny powód, dla którego z podwórza zniknęła jej samochód. Ale to rodziło jeszcze gorsze pytania. Boe, a co z Ann? Gdzie jest Ann?

Wiedziałem, e powinienem wrócić do hotelu, ale bałem się tego, co mogłem tam zastać. Po drugiej stronie kręgu gapiów znowu mignęła mi jaskrawoczerwona kurtka

Maggie. Poczulem, e narasta we mnie gniew. Moliwe, e to, czego nie chciała mi powiedzieć, nie zapobiegłoby tragedii, ale na wszelki wypadek postanowiłem ją przycisnąć.

Obszedłem płonąca łódź, skręciłem i wpadłem na kogoś, kto siedł z przeciwnej strony.

Ellen. Z Ann na rękach. Rozespana dziewczynka patrzyła na ogień.

–Co się dzieje? – spytała Ellen, omijając mnie wzrokiem i patrząc na łódź. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, nadbiegł Brody.

–Dzięki Bogu, nic ci się nie stało! Chciał ją objąć, lecz powstrzymał się zawstydzony.

–Dlaczego miałoby się stać? – Ellen spojrzała na niego zdezorientowana. – Byłam u Rosę, u Rosę Cassidy. Dlaczego tak na mnie patrzycie? Co się tu dzieje?

–Była pani u babki Maggie? – spytałem, rozpoznając to nazwisko. W zakamarkach mojej podświadomości drgnęło coś mrocznego i niepokojącego.

–Tak, upadła i przyjechał po mnie jej sąsiad. Rosę nie przepada za Cameronem - dodała drwiąco. Zmarszczyła brwi. – Biedna starowinka bardzo się martwi. Maggie jeszcze nie wróciła.

Złowróbne przeczucie stało się jeszcze silniejsze.

–Przed chwilą ją widziałem, jest tam. – Obejrzałem się.

Cameron gdzieś przepadł, ale Maggie wciąż przyglądała się parowi z Karen Tait i

grupą wyspiarzy. Stała tyłem do nas, charakterystyczna, drobna postać w za duej kurtce. Podeszedłem do niej, kierowany niezrozumiałym lękiem.

–Maggie? W tej samej chwili od strony łodzi buchnął krzyk.

–Chodźcie, mamy to! Spojrzałem przez ramię. Ci z drągami zdołali wywlec z ognia wciąż płonący

przedmiot i próbowali odciągnąć go od łodzi. Kształtem przypominał kłodę drewna, a po jego czerniałej powierzchni pełzały języki ognia.

Z tym, e nie była to kłoda.

Chciałem podejść bliżej, ale w tym momencie Maggie odwróciła się i szok osadził mnie w miejscu.

To nie jej twarz ujrzałem pod czerwonym kapturem. To była pusta, otępiała twarz nastolatki.

Twarz Mary Tait. Dziewczyny, którą widziałem z okna.

Rozdział 22

Gdy ludzie zobaczyli, co to jest, zapadła upiorna cisza, grobowe milczenie, jakby ktoś rzucił na nich czar. I nagle czar prysł. Wybuchło zamieszanie, zgiełk i wrzawa, bo jedni chcieli podejść bliżej, inni uciec.

Alja wciąż nie mogłem otrząsnąć się z szoku, a córka Karen Tait ma na sobie kurtkę Maggie. Bo nie ulegało wątpliwości, a to jej kurtka. Drobniutka Maggie w niej ginęła, lecz Mary była tęsza, rosiej sza, tak a kurtka zdawała się dla niej za mała.

Karen, jej matka, łypnęła na mnie wrogo, lecz stał ju przy mnie Brody.

–Co się dzieje? – spytał. Z trudem odzyskałem głos.

–To kurtka Maggie.

–On kłamie! – obruszyła się pijana Karen Tait. W jej piskliwym oskareniu zabrzmiało coś fałszywego.

Od grupy przy łodzi oderwał się Kinross i zaczął przepychać się w naszą stronę. Tu za nim szedł jego syn; blask ognia okrutnie podkreślał czerwone krosty i ciemne dzioby na jego twarzy. Mary uśmiechnęła się promiennie, lecz Kevin nie zareagował i widząc, dokąd idzie ojciec, został z tyłu. Po chwili zniknął w tłumie i Mary przestała się uśmiechać.

Kinross był czarny od sadzy, cuchnął spalenizną i wciąż trzymał drąg, którym wyciągnął zwłoki z ognia. Odkaszlnął i splunął na ziemię czarną flegmą.

–Wyciągnęliśmy, tak jak pan kazał. – Spojrzał na Karen. – Co jest?

–Oni mówią, a Mary jest złodziejką! Brody ani drgnął.

–Ona ma na sobie kurtkę Maggie. Twarz Karen się wykrzywiła.

–To kłamstwo! Nie wierz mu! Ale Kinross ju rozpoznał czerwoną kurtkę. Przypomniało mi się, jak przekomarzał

się z Maggie na promie. Było w tym duo prawdziwej czułości. Spojrzał przez ramię na ludzi patrzących na dymiące ciało i skojarzył sobie to, co ja skojarzyłem chwilę wcześniej.

–Gdzie Maggie? – warknął.

Nikt mu nie odpowiedział. I nagle jakby coś umarło w jego twarzy. Przeniósł wzrok

na Karen Tait.

–Nie ma na to czasu – powiedziałem szybko, próbując zdławić strach. – Trzeba zabezpieczyć teren i przenieść ciało.

Brody kiwnął głową.

–On ma rację, lain. Z tym nie mona czekać. Gapie muszą stąd odejść. Pomoesz nam?

Kinross milczał. Wciąż patrzył na Karen, ale ona miała spuszczone oczy. Wycelował w nią palcem.

–Jeszcze nie skończyliśmy – ostrzegł. Odwrócił się i krzyknął, eby wszyscy opuścili teren stoczni.

Brody pilnował Karen i jej córki, tymczasem ja przepchnąłem się bliżej zwłok. Zwęglone i poskręcane, ałosne i jednocześnie przeraające leżały na brudnym betonie. Tu obok była kałuża i niczym martwa tęcza, w blasku ognia błyszcząca na niej ropa z płonącej łodzi. Nad spalonym ciałem unosiły się struki pary i czułem gorąco, które biło z niego jak z pieczeni pozostawionej za długo w piekarniku. Usta były otwarte w potwornym grymasie agonii. Wiedziałem, e to tylko nieuchronny skutek skurczu ścięgien, mimo to nie mogłem odpędzić od siebie tego obrazu.

Proszę, błagam, obym się mylił.

Tu obok przechodził Guthrie, wypychając ze stoczni grupę gapiów.

–Dałoby się załatwić jakąś folię albo brezent?

Myślałem, e mnie nie słyszał albo zignorował, lecz chwilę później wrócił ze zwiniętym w kłębek brudnym prześcieradłem.

–Mam to.

Walcząc z wiatrem, zacząłem rozkładać je jedną ręką. Ku memu zaskoczeniu Guthrie

przyszedł mi z pomocą. Gdy zmagaliśmy się z turkoczącą płachtą, ktoś wychynął z cienia i w migotliwym blasku ognia zobaczyłem Camerona. Patrzył na zwłoki.

–Boe święty – wyszeptał. Przełknął ślinę i podskoczyło mu jabłko Adama. – Mogę w

czymś pomóc?

Nie był ju pompatyczny i napuszony, i pomyślałem, e dopiero teraz zdał sobie sprawę, co jest stawką w tej grze. Pewnie dałbym mu coś do roboty, ale Guthrie zbyt go szyderczym mruknięciem.

–Jasne, pierdol to wszystko, tak jak zwykle.

Cameron zachwiał się jak po ciosie. Bez słowa odwrócił się i wyszedł ze stoczni wraz z innymi. W normalnych okolicznościach moe i bym mu współczuł, ale teraz miałem na głowie waniejsze rzeczy.

Musieliśmy podjąć decyzję, co zrobić ze zwłokami, ale najpierw trzeba je było przykryć. Gdy ju rozłożyliśmy prześcieradło, Guthrie bez pytania pomógł mi narzucić je na zwęglone ciało.

–Kto to jest?

Moe tylko to sobie wyobraziłem, ale w jego głosie zabrzmiała nuta strachu. Nie odpowiedziałem. Pokręciłem głową i mocniej naciągnąłem prześcieradło.

Ale ciężki ucisk, który czułem w sercu, mówił mi, e Maggie trafiła w końcu na pierwsze strony gazet.

Poar prawie się dopalił. Z łodzi pozostał tylko stos rozarzonego popiołu i spowitych rozedrganymi płomykami węgielków. Podsycane wiatrem, przez jakiś czas niespokojnie migotały, lecz ogień szybko gasł pobity własną furią i wysiłkami wyspiarzy. Wejście do stoczni było teraz przegrodzone ałosnym kawałkiem policyjnej taśmy, ju ostatnim. Przywiązany do dwóch słupków trzepotał się jak ptak i był tylko symboliczną przeszkodą.

Większość mieszkańców miasteczka wróciła do domów. Brody poprosił Ellen, eby obudziła Frasera, i niedługo potem sierant pojawił się na pogorzeliu wymięty, potargany i zaenowany. Burczał, e powinienem był ściągnąć go z łoka, ale nikt nie miał nastroju wysłuchiwać jego wymówek.

Postanowiliśmy przenieść zwłoki do warsztatu. Wciąż nie wiedzieliśmy, kiedy przyjedzie dochodzeniówka, a przepis mówiący, e miejsce przestępstwa powinno pozostać nienaruszone, nie miał tu raczej zastosowania. Po stoczni kręciły się dziesiątki ludzi, ciało wywleczono drągami z ognia i nie musiałem się ju martwić, e zniszczę jakieś dowody rzeczowe. Chciałem przyjrzeć mu się później, tymczasem jednak musieliśmy je gdzieś złożyć.

Było spalone nie do rozpoznania, ale chyba nikt nie miał ju wątpliwości, do kogo naleało. Maggie wciąż się nie pokazywała i mimo jej wad na pewno nie zostawiłaby

babki samej. Guthrie i Kinross przenieśli zwłoki na brezencie i położyli je pod tylną ścianą. Guthrie, przybity i powany, od razu poszedł do domu. Ale Kinross iść nie chciał.

–Najpierw posłucham, co ma nam do powiedzenia. – Ruchem głowy wskazał ponurą Karen Tait i jej córkę.

Brody nie zaprotestował i chyba domyślałem się dlaczego. Gdyby spróbował ją przesłuchać on czy Fraser, Karen mogłaby się sprzeciwić, ale Kinross to zupełnie inna sprawa. Był stąd, był wyspiarzem tak jak ona, i wątpiłem, eby Karen próbowała coś przed nim ukryć.

Siedziały obie przy stoliku, przy którym po południu kumple Kinrossa grali w karty, i nie widziały stamtąd zwłok. Mary miała tępą bezmyślną minę i natychmiast przypomniało mi się, jak stała pod moim oknem. Kazano jej zdjąć kurtkę. Włożono ją do worka i leżała teraz zamknięta w baganiku policyjnego rangę rovera. W kieszeniach nic nie było, nie znaleźliśmy równie plam krwi czy rozdarć, mimo to Fraser musiał zatrzymać ją do badań

mikroskopowych. Kiedy patrzyłem, jak Mary ją zdejmuje, wydawało mi się, e materiał nieco wyblakł, e jaskrawa czerwień jest ju tylko czerwienią wypłowiałą i znoszoną.

Kinross dał jej swój sztormiak. Nie zwaając na zimno, pomógł jej się ubrać i zrobił to niemal z czułością. Ale cała czułość zniknęła, gdy spojrzał na jej matkę.

Nie chcąc na nas patrzeć, Karen Tait wbiła wzrok w po przypalany papierosami blat stołu. Brody usiadł naprzeciwko, odruchowo przejmując śledztwo. Fraser nie zaprotestował. Inspektor był zmęczony, lecz głos miał świeży i donośny.

–Dobrze, Karen – zaczął. – Skąd Mary wzięła tę kurtkę? Karen milczała.

–Wszyscy wiemy, e to kurtka Maggie Cassidy Więc dlaczego Mary ją nosi?

–Przecie mówię, e to jej – odparła głucho Karen i drgnęła, gdy Kinross grzmotnął pięścią w stół.

–Nie łyż! Wszyscy widzieli, jak Maggie ją nosiła!

–Spokojnie – warknął Fraser, lecz zamilkł, gdy Brody leciutko pokręcił głową.

–Widziałaś, co się tam paliło – ciągnął Kinross ni to ostrzegawczo, ni prosząco. – Na litość boską powiedz, skąd Mary jama!

–To jej kurtka, naprawdę!

–Do kurwy nędzy, przestaniesz wreszcie kłamać czy nie? I nagle Karen pękła.

–Nie wiem! Dopiero dzisiaj ją zobaczyłam! Przysięgam, Bóg mi świadkiem! Musiała ją gdzieś znaleźć.

–Gdzie?

–Skąd mam wiedzieć? Przecie wiesz, jaka ona jest. Łazi po całej wyspie. Wszędzie mogła ją znaleźć.

–Chryste, Karen... – szepnął z odrazą Kinross.

–To dobra kurtka! Nie stać mnie na taką! Myślisz, e ją wyrzucę? I nie patrz tak na mnie! Jak chciałeś do mnie przyjść, nie obchodziło cię, e Mary gdzieś się włóczy!

Niewiele brakowało i Kinross by się na nią rzucił, ale Brody położył mu rękę na ramieniu.

–Spokojnie. Musimy się dowiedzieć, skąd ją ma. – Spojrzał na Karen. – O której Mary wyszła?

–Nie wiem – mruknęła. – Jak wróciłam z hotelu, ju jej nie było.

–O której pani wróciła?

–O wpół do dwunastej... Moe o dwunastej.

–A o której wróciła Mary?

–Skąd mam wiedzieć? Ju spałam.

–Więc kiedy ją pani zobaczyła? – pytał cierpliwie Brody. Poirytowana Karen westchnęła.

–Kiedy wybuchło to zamieszanie z poarem.

–I Mary była wtedy w kurtce?

–Tak, ju mówiłam! Jeśli Brody nią pogardzał, niczym tego nie okazał. Spojrzał na jej córkę.

–Jak się masz, Mary. Wiesz, kim jestem, prawda? Popatrzyła na niego tępo i znowu zaczęła bawić się latarką. Latarka była mała,

dziecięca, z kolorowego plastiku. Na twarz opadły jej kosmyki włosów, lecz ona

chyba tego nie zauwayła, bo świeciła sobie w oczy, to zapalając latarkę, to ją gasząc.

–Szkoda czasu. – O dziwo, Kinross powiedział to cicho i łagodnie. – Pewnie sama nie

wie, skąd jama.

–Nie szkodzi spróbować – odparł Brody. – Mary? Spójrz na mnie. Zdawało się, e w końcu go dostrzegła. Posłał jej uśmiech.

–Masz ładną kurtkę. Nic. I nagle wstydlivy uśmiech.

–Jest śliczna. – Cichutki głosik małej dziewczynki.

–Tak, naprawdę śliczna. Skąd ją masz?

–Jest moja.

–Wiem, ale moesz mi powiedzieć, skąd ją masz?

–Od starca. Wyczułem, e Brody zesztyniał.

–Od jakiego starca? On tu jest? Roześmiała się.

–Nie!

–Powiesz nam, co to za starzec?

–No, starzec! Powiedziała to tak, jakby było to zupełnie oczywiste.

–A... pokaesz mi, gdzie dał ci kurtkę?

–On mi jej nie dał.

–To znaczy, e ją znalazłaś? Z roztargnieniem kiwnęła głową.

–Kiedy uciekli. Po tym, jak było tak głośno.

–Kto uciekł? Dlaczego było głośno?

Ale Mary ju go nie słyszała. Próbował jeszcze przez chwilę, ale było oczywiste, e tracimy tylko czas. Mary powiedziała mu to, co chciała i nie zamierzała mówić nic więcej.

Brody kazał Fraserowi odwieźć je do domu i od razu wracać. Kinross te ruszył do wyjścia, ale przedtem spojrział na leące pod ścianą zwłoki.

–Zawsze pakowała się w kłopoty – mruknął ze smutkiem. I wyszedł, trzaskając drzwiami.

Obłąkane wycie wiatru przybrało na sile. Znowu lunęło i blaszany dach baraku zabębnił tak głośno, e niemal zagłuszył warkot generatora. Podeszliśmy do zwłok. Przykryte prześcieradłem wyglądały jak toporny sarkofag.

–Myśli pan, e to ona? – spytał inspektor.

Powiedziałem mu ju o nocnej wizycie Maggie. Powiedziałem, e znała imię Janice

Donaldson i e nie chciała zdradzić skąd. Przypomniał mi się jej zamyślony uśmiech, kiedy wychodziła z pokoju. „Jutro. Obiecuję”. Tylko e jutro ju nigdy nie miało dla niej nadejść. Kiwnąłem głową.

–Pan nie? Westchnął.

–Ja te. Ale lepiej się upewnić. – Zerknął na mnie z ukosa. – Gotowy? Miałem ochotę powiedzieć: „Nie”. Nigdy nie jest się gotowym, kiedy trzeba

zidentyfikować kogoś, kogo się znało. Kogo się lubiło. Ale on ju zdjął prześcieradło. Uderzyła mnie fala ciepła i woń gotowanego mięsa. Sposób reakcji na zapach zaley w duej mierze od sytuacji. Zwaywszy źródło tego, był to po prostu odraajaco mdlący fetor.

Przykucnąłem. Ciało było skurczone i ałośnie drobne. Ubranie i większość tkanki miękkiej uległy spaleni. Ogień wypaczył ją i spur-chlił, odstaniając zbrązowiałe kości i ścięгна, wyginając kończyny i nadając im charakterystyczną postawę bokserką.

Znajomy widok. Coraz bardziej powszechny.

–No i co? – spytał Brody.

Stanął mi przed oczami jej szelmowski uśmiech. Gniewnie pokręciłem głową. Do roboty. To tylko praca. Resztę zostaw na później.

–To kobieta. Mózgoczaszka jest o wiele za mała jak na męczyznę. – Wziąłem głęboki

oddech, patrząc na gładką kość widoczną pod resztkami szerniałego ciała. – Poza tym

podbródek jest szpiczasty, a czoło i grzbiet łuku brwiowego gładkie. U męczyzny łuk byłby

grubszy i bardziej wypukły. No i wzrost.

Świadom straszliwej intymności tego gestu wskazałem miejsce, gdzie kość udowa przebiła się przez spaloną tkankę mięśniową.

–Trudno go określić, kiedy ciało jest skurczone, ale sądząc po długości kości udowej,

musiała być niska, nawet jak na kobietę.

–Moe to dziecko? – spytał Brody.

–Nie, absolutnie. – Zajrzałem do ust, które zastygły w niemym krzyku. – Są ju zęby mądrości. Miała co najmniej osiemnaście, dziewiętnaście lat. Pewnie więcej.

–Ile lat mogła mieć Maggie? Dwadzieścia trzy? Dwadzieścia cztery?

–Coś koło tego. Brody westchnął.

–Pasuje wzrost, pasuje wiek, pasuje płeć. Chyba nie ma ju wątpliwości, co? Trudno mi było mówić.

–Nie, nie ma. Nie wiedzieć czemu, przyznając mu rację, poczułem się jeszcze gorzej, jakbym w

jakiś sposób zawiódł Maggie. Ale nie było sensu udawać. Wziąłem się w garść i ciągnąłem: -Kiedy ją podpalono, była przynajmniej częściowo ubrana. – Wskazałem zmatowiały

metalowy krąk w zwęglonym ciele między kośćmi biodrowymi. Był wielkości małej monety. – Guzik od spodni. Materiał się spalił, a guzik wtopił się w ciało. Sądząc po wyglądzie, pochodzi z dinsów.

Maggie te była w dinsach, kiedy widziałem ją ostatni raz. Brody ściągnął usta.

–A więc prawdopodobnie jej nie zgwałcono. Dobre i to. Sensowne założenie.

Niewielu gwałcicieli najpierw ubiera ofiarę, a potem ją zabija. Jeszcze mniej robi to po jej

śmierci.

–Moe pan stwierdzić, jak zginęła?

–Z tego, co widzę, na czaszce nie ma adnych obrażeń. Wydostaliśmy ciało z ognia, zanim wzrost ciśnienia ją rozsadził, co trochę ułatwia sprawę. Nie ma śladów urazu zewnętrznego, tak jak u Janice Donaldson czy u Duncana. Moliwe, e uderzono ją lej, ale...

Pochyliłem się. Ogień spalił skórę i mięśnie gardła, odsłaniając chrząstkę i ścięgna. Przyjrzałem się im, potem obejrzałem ręce, nogi, w końcu korpus. Zwęglona tkanka miękka zamaskowała ślady, lecz nie zdołała ich całkowicie zatrzeć.

–Ale? – ponaglił mnie Brody. Wskazałem gardło.

–Widzi pan? Lewe ścięgno jest przecięte. Końce skurczyły się i oddaliły od siebie.

–Przecięte? – Brody te się pochylił.

–Na sto procent. Pod wpływem temperatury ścięgna mogą pęknąć, ale końce tych są zbyt gładkie.

Fraser stał z tyłu. Nie patrzył.

–To znaczy, e ktoś podernął jej gardło?

–Bez dokładnych badań nie stwierdzę tego na sto procent, ale na to wygląda. Na ciele

są równie rany klute. Tu, na ramieniu. Włókna mięśniowe są nadpalone, ale tutaj widać ranę ciętą. Tak jak tu, na piersiach i brzuchu. Jestem pewien, e prześwietlenie wykae ślady na ebrach i innych kościach.

–A więc ktoś ją zadźgał? – spytał Brody.

–W tej chwili trudno powiedzieć, czy zasztyletował, czy pociął, ale na pewno zaatakowano ją ostrym narzędziem. Jakim? Mona to stwierdzić tylko w laboratorium,

badając bruzdy na kościach. Ale to nie wszystko. Sprawa jest bardziej skomplikowana.

–To znaczy?

–Ona ma skręcony kark. Zalała mnie fala zmęczenia i przetarłem oczy. Ale nawet zmęczony, nie miałem co do

tego wątpliwości.

–Niech pan spojrzysz na kąt odchylenia głowy. Nie chcę tu niczego ruszać, ale nawet teraz widać trzeci i czwarty kręg. Są pęknięte. A lewa ręka i prawa noga złamane. Kości przebiły ciało.

–Nie mogło do tego dojść, kiedy pokład łodzi się zawalił albo kiedy wyciągano ją z ognia?

–Miałaby wtedy kilka złamań, ale nie a tyle. Na kościach widać równie liczne pęknięcia uciskowe, które powstają...

Urwałem.

–Kiedy? – spytał Brody.

Podszedłem do brudnego okna. Było ju ciemno, ale w blasku dogasającego pogorzelniska dostrzegłem mroczny zarys skalnego klifu dziesięć, dwadzieścia metrów dalej.

–Ju wiem, jak przeniósł ciało. Zrzucił je ze skał.

–Jest pan pewien?

–To wyjaśniałoby pochodzenie tych pęknięć. Zaatakował ją noem i albo spadła, albo ją zrzucił. Potem zszedł na dół i zawlókł ciało do łodzi.

Brody pokiwał głową.

–Na końcu przystani są schody. Prowadzana sam szczyt. Z latarką da się nimi zejść.

Tak jest szybciej ni przez miasteczko. No i mniejsze prawdopodobieństwo, e kogoś się

spotka.

Nie wyjaśniało to, jak Maggie znalazła się na górze. Ale mieliśmy przynajmniej ogólny obraz sytuacji, wiedzieliśmy, co się stało. Nie wiedzieliśmy tylko dlaczego.

Brody znuonym gestem potarł twarz i porośnięte srebrzystą szczeciną policzki.

–Myśli pan, e spadając... yła?

–Wątpię. Ofiary upadku z wysokości niemal zawsze mają tak zwane kompresyjne złamanie nadgarstków, bo odruchowo wyciągają przed siebie ręce. Tu go nie ma.

Jedna ręka

jest złamana, ale nad łokciem, tu pod ramieniem. Nie, spadając, była nieprzytomna albo

martwa.

Brody spojrział w okno. Na dworze było jeszcze ciemno.

–Teraz niczego tam nie zobaczymy, pójdziemy na górę o świcie. Tymczasem...

Za oknem wybuchło jakieś zamieszanie. Ktoś przeraźliwie krzyknął, coś spadło z trzaskiem na beton, usłyszeliśmy odgłosy szarpaniny. Brody ruszył do drzwi, lecz zanim zdążył je otworzyć, otworzyły się same i do warsztatu wpadł z rykiem podmuch lodowatego wiatru. Wszedł Fraser. Kogoś za sobą ciągnął.

–Zobaczcie tylko, kto tu myszkował! – wysapał, wypychając intruza na środek warsztatu.

Ten zatoczył się chwiejnie i omal nie upadł. Błada, zaszokowana, pokryta krostami twarz – patrzył na nas przeraony Kevin Kinross.

Rozdział 23

Stał, drąc i ociekając wodą. Ze spuszczonej oczami i pochylonymi ramionami wyglądał jak siedem nieszczęść.

–Spytam cię tylko raz – ostrzegł go Fraser. – Co tam robiłeś? Kevin milczał.

Przykryłem zwłoki brezentem, ale kiedy sierant

wepchnął go do środka, zdążył je zobaczyć. Jak oparzony, natychmiast odwrócił głowę.

Fraser patrzył na niego spode łba. Czuł się w swoim ywiole i miał okazję zaznaczyć swój autorytet.

–Posłuchaj, chłopcze. Jeśli nie będziesz z nami współpracował, wpadniesz w prawdziwe bagno. To twoja ostatnia szansa. Stocznia jest ogrodzona, to miejsce przestępstwa.

Co tu robiłeś? Podśluchiwałeś, tak?

Kevin przełknął ślinę, jakby chciał coś powiedzieć, lecz z jego ust nie wydobył się aden dźwięk.

–Mogę zamienić z nim kilka słów? – wtrącił się Brody.

Do tej pory milczał, dając wolną rękę sierantowi. Ale zastraszanie nie skutkowało.

Nastolatek był coraz bardziej przeraony.

Fraser spojrział na niego z irytacją, lecz kiwnął głową. Brody podszedł do stolika, gdzie jeszcze niedawno siedziały Karen Tait i Mary. Wziął stółek i postawił go przed Kevinem.

–Usiądź.

Sam przysiadł na brzegu stołu warsztatowego. W przeciwieństwie do agresywnego

Frasera był spokojny i odprężony.

–Jeśli wolisz, moesz stać – powiedział. Kevin zawahał się i powoli usiadł. – No więc, co masz nam do powiedzenia?

Nastolatek bardzo pobladł; zaognione krosty wyglądały teraz jeszcze gorzej.

–Ja... Nic.

Brody założył nogę na nogę, jakby to była przyjacielska pogawędka.

–Obydwaj wiemy, e kłamiesz. Jestem pewien, e nie zrobiłeś nic złego, e tylko tu

myszkowałeś. I jestem pewien, e gdybyśmy poprosili, sierant Fraser przymknąłby na to

oko. Pod warunkiem e powiesz nam, co tam robiłeś.

Fraser tylko zacisnął usta.

–No więc? – naciskał Brody.

Było widać, e Kevin toczy ze sobą walkę: mówić czy milczeć? Nagle zerknął na przykryte brezentem zwłoki. Poruszył ustami, jakby chciał coś z siebie wyrzucić.

–Czy to prawda? – wychrypiał boleśnie. – To, co wszyscy mówią?

–A co mówią?

–śe... – Znowu zerknął na brezent. – śe to Maggie. Brody zastanowił się, lecz odpowiedział.

–Tak, uwaamy, e to moliwe.

Kevin się rozplakał. Pamiętałem, jak zachowywał się przy Maggie, jak się czerwienił, ilekroć na niego spojrziała. Jego zauroczenie było tak oczywiste, e współczułem mu bardziej ni kiedykolwiek.

Brody wyjął z kieszeni chustkę. Bez słowa podał mu ją i wrócił na miejsce.

–Więc co nam moesz o tym powiedzieć? Chłopak wciąż szlochał.

–To jaja zabiłem! Słowa te przeszyły powietrze jak prąd. Zapadła cisza i w tej ciszy odór spalonego ciała

przybrał na sile, wypierając zapach nafty i trocin. Ściany warsztatu dygotały pod naporem wiatru, w dach bębnił deszcz.

–Co to znaczy? – spytał łagodnie Brody. Kevin wytarł oczy.

–Bo gdyby nie ja, Maggie by była.

–Mów dalej, słuchamy. Ale Kevin znowu się zaciął. Przez cały czas myślałem o jego reakcji, kiedy Brody

oznajmił, e ciało znalezione w opuszczonej chacie naley do prostytutki ze Stornoway. Był nie tylko wstrząśnięty. Był zaszokowany. Jakby coś sobie skojarzył. Co powiedziała Maggie? „Nie, to nie tak, to tylko tak wygląda. Ten ktoś, kto mi to powiedział... Powiedział mi to w zaufaniu. Nie chcę, eby miał kłopoty. On nie ma z tym nic wspólnego”.

–Powiedziałeś Maggie, jak miała na imię ta kobieta z chaty, prawda?

Brody i Fraser spojrzeli na mnie zaskoczeni, ale Kevin przebił ich po trzykroć, bo a rozdziawił usta. W pierwszej chwili chciał zaprzeczyć, lecz szybko zrezygnował. Kiwnął głową.

–Skąd wiedziałeś, jak jej na imię? – ciągnął Brody.

–Nie wiedziałem, nie byłem pewien...

–Byłeś, bo powiedziałeś Maggie. Skąd wiedziałeś?

–Nie mogę... Nie mogę powiedzieć.

–Chcesz skończyć w pudle, chłopcze? – wtrącił się Fraser, nie zwaając na gniewne spojrzenie Brody’ego. – Bo obiecuję ci, e jeśli nie zaczniesz mówić, to...

–Kevin na pewno o tym wie – przerwał mu inspektor. – 1 nie przypuszczam, eby chciał chronić kogoś, kto zrobił to Maggie. Prawda, Kevin?

Nastolatek odruchowo zerknął na przykryte brezentem zwłoki. Na jego twarzy malował się bezgraniczny ból.

–Mów, Kevin – zachęcał go Brody. – Skąd znałeś jej imię? Ktoś ci powiedział? A moe znasz kogoś, kto ją znał? Znasz?

Kevin zwiesił głowę. Coś wymamrotał.

–Głośniej! – warknął Fraser. Chłopak ze złością podniósł wzrok.

–Znam, to mój ojciec! Jego krzyk rozbrzmiał echem w całym warsztacie. Brody’emu

stęła twarz, maskując

wszelkie emocje.

–Moe lepiej zacznij od samego początku, synu. Kevin objął się wpół.

–To było latem, w zeszłym roku. Popłynęliśmy promem do Stornoway. Ojciec powiedział, e ma coś do załatwienia, więc poszedłem do miasta. Pomyślałem, e obejrzę jakiś film albo...

–Nie obchodzi nas, co chciałeś obejrzeć – przerwał mu sierant. – Do rzeczy. Spojrzenie, jakim przeszył go Kevin, mówiło, e być moe jest jednak synem swego ojca.

–Łaziłem uliczkami koło dworca autobusowego. W pobliu były te domy i kiedy podszedłem bliżej, przed jednym z nich zobaczyłem ojca. Ju miałem do niego podejść, ale

wtedy... wtedy ona otworzyła drzwi. Była tylko w krótkim szlafroku. Wszystko było widać.

Zaczerwienił się.

–Zobaczyła ojca i uśmiechnęła się tak... tak bezwstydnie. A potem weszli razem do środka.

Brody cierpliwie słuchał.

–Jak wyglądała?

–No, jak... No, wie pan.

–Jak prostytutka? Kevin wstydliwie kiwnął głową. Inspektor miał taką minę, jakby ten nowy fakt był

zarówno niepoądany, jak i zaskakujący.

–Moesz ją opisać?

Nastolatek bezwiednie potarł palcami zaognione krosty na twarzy.

–Nie wiem... Miała ciemne włosy. Była starsza ode mnie, ale nie stara. Ładna, ale... ale jakby o siebie nie dbała.

–Była niska? Wysoka?

–Chyba wysoka. Nie gruba, ale i nie chuda. Potem mogliśmy pokazać mu zdjęcie i spytać, czy rozpoznaje na nim Janice

Donaldson. Ale jak na razie rysopis pasował.

–Więc skąd wiesz, jak miała na imię? – spytał Brody. Kevin zaczerwienił się jeszcze bardziej.

–Jak weszli do środka, to ja... podszedłem do drzwi. żeby zobaczyć. Było tam kilka dzwonek, ale widziałem, e tato nacisnął najwyższy. A tam pisało: „Janice”.

–Tato wie, e go wtedy widziałeś? Przeraony Kevin tylko pokręcił głową.

–A potem? Odwiedzał ją jeszcze?

–Nie wiem, chyba tak. Co kilka tygodni mówił, e jedzie załatwić jakiś interes, więc pewnie tam chodził.

–Ładny interes – mruknął Fraser. Brody go zignorował.

–A ona? Czy kiedykolwiek przyjechała do niego na wyspę? Kevin szybko pokręcił głową. Ale mnie przypomniało się, w jaki

sposób Kinross uciszył Camerona na zebraniu w barze. Myślałem wtedy, e napuszony Cameron po prostu go zirytował, ale teraz stawiało go to w zupełnie innym, bardziej złowieszczym świetle. Brody ze znueniem potarł grzbiet nosa.

–Co powiedziałaś Maggie?

–Tylko jej imię. Nie chciałem, eby wiedziała, e tato chodzi do... No, wie pan. Była reporterką i myślałem, e napisze, kim ta kobieta była. Chciałem zrobić jej przysługę, nie wiedziałem, e to się tak skończy!

Chłopak znowu się rozplakał i Brody poklepał go po ramieniu.

–Wiemy, e nie wiedziałeś, synu. Kevin wytarł oczy.

–Mogę ju iść?

–Jeszcze tylko parę pytań. Wiesz, skąd Mary Tait ma kurtkę Maggie? Kevin spuścił głowę, unikając jego wzroku.

–Nie. Za szybko zaprzeczył. Inspektor przyglądał mu się obojętnie.

–Mary to ładna dziewczyna, prawda?

–Nie wiem. Chyba tak. Brody milczał. Kevin zaczął wiercić się nerwowo na stołku.

–Od dawna się z nią widzisz? – spytał wreszcie inspektor.

–Ja się z nią nie widuję!

Brody tylko na niego spojrział. Chłopak, momentalnie speszony, spuścił wzrok.

–My... My się tylko spotykamy. Nic nie robimy! Naprawdę. My nie... No, wie pan. Inspektor westchnął.

–Więc gdzie „się tylko spotykacie”?

–Czasem na promie – odparł zawstydzony Kevin. – Albo w ruinach kościoła, jak jest ciemno. Albo...

–Albo?

–Na górze. W tej opuszczonej chacie. Brody uniósł brew.

–Tam, gdzie znaleziono zwłoki?

–Tak, aleja nic o tym nie wiedziałem. Naprawdę! Zresztą, dawno tam nie byliśmy! Od lata!

–Czy chodzi tam ktoś jeszcze?

–Nie wiem, chyba nie. Dlatego się tam spotykaliśmy. To ustronne miejsce.

Ju nie. Pomyślałem o pustych puszkach, butelkach i śladach po ognisku, które tam znaleźliśmy. Nie miały nic wspólnego z zamordowaną prostytutką – były dowodem potajemnych spotkań upośledzonej dziewczyny i sfrustrowanego, oszpeconego trądzikiem chłopaka.

Fraser nie ukrywał pogardy, ale przynajmniej milczał. Brody miał kamienną twarz. Twarz zawodowo nieprzeniknioną.

–To tam chodzi Mary? Tam się spotykacie? Kevin przyglądał się swoim rękom.

–Czasami. Brody przeczesał ręką włosy.

–Była u ciebie, kiedy przyszliśmy do taty? Gdy przyszliśmy do Kinrossa, chłopak ledwie uchylił drzwi, ebyśmy nie mogli

zajrzeć do środka – do tej chwili zupełnie o tym nie myślałem. Teraz jeszcze nie spuścił głowy. Jego milczenie było a nadto wymowne.

–A dzisiaj wieczorem? Te się spotkaliście?

–Nie! Nie wiem, gdzie poszła! Zaraz po tym, jak powiedziałem Maggie, poszedłem do domu! Naprawdę!

Znowu miał w oczach łzy. Brody myślał przez chwilę, wreszcie krótko kiwnął głową.

–Lepiej ju idź.

–Zaraz, chwileczkę! – zaprotestował Fraser. Ale Brody się tego spodziewał.

–Spokojnie. Kevin nic nikomu nie powie. Prawda, Kevin? Chłopak energicznie pokręcił głową.

–Nie, obiecuję. – Szybko podszedł do drzwi, lecz nagle przystanął. – Tato nie zrobiłby

Maggie krzywdy. Ani jej, ani innej kobiecie. Nie chcę, eby miał kłopoty.

Inspektor milczał. Ale z drugiej strony, có miał powiedzieć. Mignęły nam strugi zacinającego deszczu, Kevin wyszedł i drzwi się zamknęły. Brody podszedł do stolika, przystawił sobie krzesło i usiadł. Był wykończony.

–Chryste, co za wieczór.

–Myśli pan, e mona mu zaufać? – spytał niepewnie Fraser. – Nic nie powie? Inspektor przeciągnął dłonią po twarzy.

–Wątpię, eby pobiegł do ojca i wszystko mu wygadał. Pan nie? Sierant chyba się z nim zgodził, lecz nagle zrobił przeraoną minę.

–Chryste, a co z tą dziewczyną? Kinross wie, e Mary moe być świadkiem! Nic dziwnego, e tak bardzo chciał zostać, kiedy ją przesłuchiwaaliśmy!

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Ale Brody się tym nie przejął.

–Nic jej nie grozi. Nawet zakładając, e to Kinross zabił, a wciąż nie wiemy na

pewno, czy tak jest, zadowolili się tym, e nie widziała nic, co mogłoby go obciążyć. Wie, e

mu nie zagraa.

Fraserowi ułyło.

–I co teraz? Aresztujemy go? Z przyjemnością załóę sukinsynowi obrączki.

Brody długo milczał.

–Jeszcze nie – odparł w końcu. – Mamy na niego tylko to, e znał Janice Donaldson. To nie wystarczy, eby go aresztować. Zdradzilibyśmy się i do przyjazdu ludzi Wallace’a zdążyłby wymyślić jakąś historyjkę.

–No, nie! – wykrzyknął Fraser. – Słyszał pan, co powiedział jego syn! Ten skurwysyn zabił pewnie i Duncana! Chce pan, ebyśmy siedzieli na dupie i nic nie robili?

–Tego nie powiedziałem! – wybuchnął nagle Brody. Z trudem się opanował. – Niech pan posłucha, prowadziłem ju parę śledztw w sprawie zabójstw. Zrobimy coś nieprzemyślanego i ujdzie mu to płazem. Tego pan chce?

–Ale musimy coś zrobić – upierał się Fraser.

–I zrobimy. – Brody spojrzał w zamyśleniu na przykryte brezentem zwłoki. – David, dalej uwaa pan, e ciało zrzucano ze skał?

–Jestem tego pewien – odparłem. – Inaczej nie da się wyjaśnić tych obraeń.

Inspektor zerknął na zegarek.

–Za parę godzin świt. Proponuję tam pójść. Sprawdzić, czy nie zostały jakieś ślady. Tymczasem wracajcie do hotelu i spróbujcie się przespać. Czeka nas ciężki dzień.

–A pan? – spytałem.

–Mało sypiam. Dotrzymam towarzystwa Maggie. – Uśmiechnął się, lecz oczy miał udręczone. – Nie zdołałem jej obronić. Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić.

–Moe z panem zostać?

–Spokojnie, nie martwcie się o mnie. – Brody podszedł do stołu warsztatowego, wziął łom i zwał go w rękę. – Nic mi nie będzie.

Rozdział 24

Świt wstał jakby po namyśle. Nie było brzasku. Była tylko ledwo dostrzegalna poświata, blada luna, która nagle ustąpiła miejsca szaremu półmrokowi. Ten półmrok nazywano tu porankiem.

Zamiast wrócić do hotelu i pójść spać, poprosiłem Frasera, eby podrzucił mnie do Rosę Cassidy. Ellen wspomniała, e była u niej, bo staruszka upadła. Wątpiłem, ebym mógł jej w czymś pomóc, lecz czułem, e powinienem ją odwiedzić.

Przynajmniej tyle byłem winny jej wnuczce.

Mieszkała w rozpadającym się kamiennym bliźniaku, który stał wśród bungalowów z prefabrykatów. Zapuszczony, z siatkowanymi zasłonami w oknach, miał w sobie coś staroświeckiego, coś, co mówiło, e na pewno nie mieszkają w nim młodzi ludzie. W oknie na parterze i w oknie na piętrze migotało światło świec. Świec za dusze zmarłych.

W domu było pełno kobiet, które przyszły na nocne czuwanie z Rosę. Gdy wszedłem, uderzył mnie zapach starości, mieszanina stęchłego zapachu kulek na mole i gotowanego mleka. Babka Maggie była krucha jak pisklę i miała siateczkę błękitnych yłek pod cienką jak pergamin skórą. Ju wiedziała, e jej wnuczka nie yje. Ciała oficjalnie jeszcze nie zidentyfikowano, ale nikt nie chciał robić jej fałszywych nadziei.

Ku mojemu zaskoczeniu Fraser postanowił wejść ze mną i wypytać staruszkę o Maggie, o to, co robiła przed śmiercią. Drącym głosem starowinka powiedziała mu, e wnuczka była bardzo podeksycytowana. Nie wiadomo dlaczego. Ugotowała coś na kolację – na gazie, tak jak większość mieszkańców Runy – i poszła na spotkanie w barze.

–Wróciła o wpół do dziesiątej. – Trzęsącą się ręką Rosę wskazała kominek, gdzie stał zegar z duymi cyframi. Oczy miała przekrwione i zmętniałe od katarakty. – Była jakaś taka... inna. Jakby coś nie dawało jej spokoju.

Pasowało to do tego, co ju wiedzieliśmy. Było to zaraz po naszej rozmowie w hotelu, kiedy wydało się, e Maggie zna imię zamordowanej prostytutki.

Walczyła ze sobą wahała się, czy naduyc zaufania Kevina, ale musiało ją dręczyć coś jeszcze. Tylko co? Tego babce nie zdradziła. O wpół do dwunastej staruszka usłyszała, e wnuczka wychodzi, i spytała ją dokąd idzie. Maggie odkrzyknęła, e bierze samochód, e ma spotkanie i e niedługo wróci.

Ale ju nie wróciła.

Rosę czekała i o drugiej nad ranem domyśliła się, e coś jest nie tak. Zaczęła walić w ścianę, eby obudzić sąsiadkę i spadła z łoka. Na pomoc wezwano Ellen, co świadczyło,

jakim zaufaniem cieszył się wśród wyspiarzy Cameron, wykwalifikowany pielęgniarz. Nie, eby mona było coś dla niej zrobić. Nie odniosła powaniejszych obraeń, ale tak jak w przypadku większości starych ludzi, jakich widziałem, jej ciało powoli odmawiało posłuszeństwa, kaąc jej yć, chocia yć ju nie chciała. I tak przeżyła własną wnuczkę.

Długowieczność bywa okrutna.

Do hotelu wróciłem po szóstej. Wciąż było ciemno, ale uznałem, e nie warto się kłaść. Usiadłem na krześle, wsłuchując się w wycie wiatru, i siedziałem tak, dopóki z dołu nie doszły odgłosy krzątaniny. Obudziła się Ellen. Zmęczony jak nigdy dotąd, wsadziłem głowę pod zimną wodę, zastukałem do drzwi Frasera i zszedłem do kuchni.

Ellen uparła się, eby przygotować mi pełne śniadanie: gorącą jajecznicę na bekonie, grzanki i słodką gorącą herbatę. Nie byłem głodny, ale kiedy postawiła przede mną talerz, zacząłem łapczywie jeść, czując, jak powoli krew zaczyna mi znów krążyć w yłach. Kilka minut później przyszedł Fraser i usiadł naprzeciwko mnie z twarzą napuchniętą od snu. Ale przynajmniej był trzeźwy.

–Radiotelefon wciąż nie działa – mruknął niepytany.

Tego się spodziewałem. Zapomniałem ju, co znaczy optymizm czy rozczarowanie.

Pragnąłem tylko jednego: doprowadzić to do końca.

Gdy jechaliśmy do stoczni, ju świtało i z nieba sączyło się blade światło. Wstał kolejny ohydny dzień. Fale atakowały z łoskotem kamienistą plaę i skały, ciskając pianą daleko na nabrzee. Prom Kinrossa, wciąż cumujący przy molo, szarpał się gwałtownie na rozszerzonym morzu. Tego ranka jego właściciel przynajmniej nigdzie nim nie wypłynie, bez względu na to, jak bardzo by chciał. Nieco dalej białe grzywacze roztrzaskiwały się o Stack Ross, wzbijając fontanny piany, jakby rozwścieczone, e czarna skała nie chce ustąpić.

A nad tym wszystkim królował wiatr. Nie dość, e nie ucichł; jeszcze przybrał na sile. Dziki jak najdzikszy z ywiółów, smagał deszczem przednią szybę tak mocno, e wycieraczki nie nadały zbierać wody. Gdy wysiedliśmy, przepchnął nas przez całą stocznię. Niczym resztki stosu pogrzebowego wikingów, przed warsztatem leał popiół i wypalony szkielet łodzi rybackiej Guthriego.

Brody siedział w starym fotelu samochodowym, twarzą do drzwi. éby ochronić się

przed zimnem, postawił sobie kołnierz, a na kolanach miał łom. Przykryte brezentem ciało Maggie było ałośnie drobne i wyglądało jak zwłoki dziecka.

Inspektor uśmiechnął się słabo na nasz widok.

–Dzień dobry.

Postarzał się przez noc. Miał zapadnięte policzki, jeszcze bardziej napiętą skórę, nowe zmarszczki wokół oczu i ust, i podbródek obsypany srebrzystą szczecina.

–Działo się coś? – spytałem.

–Nie. Było cicho i spokojnie. Wstał i przeciągnął się tak, e zatrzeszczały mu stawy. Potem z pełnym lubości

westchnieniem odgryzł kawałek kanapki z bekonem, którą przysłała mu Ellen. Nalałem mu kubek herbaty z termosu, te od niej, i powiedziałem, czego dowiedzieliśmy się od Rosę Cassidy.

–Jeśli wzięła samochód, łatwiej będzie sprawdzić, dokąd pojechała – odrzekł, gdy skończyłem. – Zakładając, e go nikt nie przestawił. – Strzepnął okruszki z palców, wytarł usta, wypił herbatę i wstał. – Dobra. Chodźmy na te skały.

–A co z... Co z tym?– spytał Fraser, ruchem głowy wskazując zwłoki. – Nie trzeba tego przypilnować? Kinross nic nie robi?

–Zgłasza się pan na ochotnika? – spytał inspektor. I uśmiechnął się lekko na widok jego niechętnej miny. – Niech się pan nie martwi. Znalazłem kłódkę. Po prostu zamkniemy drzwi. Nie przypuszczam, eby Kinross czy ktokolwiek inny spróbowali czegoś za dnia.

–Mogę zostać – rzuciłem.

Brody pokręcił głową.

–Jest pan naszym jedynym ekspertem. Jeśli są tam jakieś dowody rzeczowe, musi je pan obejrzeć.

–W sumie to nie moja działka.

–Bardziej pańska ni moja czy sieranta – odparł. Fakt, nie było co do tego wątpliwości.

Brody poszedł wyprowadzić psa, a my zamknęliśmy drzwi na dobrze naoliwioną kłódkę. Jej metaliczny trzask przypomniał mi chwilę, kiedy utknąłem w płonącej

światlicy. Ucieszyłem się, kiedy Brody wrócił i mogliśmy wreszcie wyruszyć.

Do najbliższych skał było trzydzieści, czterdzieści metrów, ale na otwartej przestrzeni wiało tak potężnie, że z trudem poruszaliśmy nogami.

–Jezu Chryste! – wykrzyknął zgięty wpół Fraser.

U podnóża klifu było trochę ciszej. Ciągnęła się tam kamienista plaża, wąska, poprzecinana skalnymi występami i rozszerzająca się ku morzu. Walcząc z wiatrem, weszliśmy ostrożnie na mokre otoczaki.

Po kilku metrach Brody przystanął.

–Zobaczcie.

Wskazał sterczący wśród kamieni głaz. Deszcz zdążył go już wymyć, lecz nie do końca. Przywarło do niego coś czarnego. Przykucnąłem. Fragment zakrwawionej tkanki, wystrzępiony i poprzecinany drobnymi włókami. Kamyki wokół głazu były lekko poruszone, tworzyły płytkie wgłębienie od upadku czegoś ciężkiego. W stronę stoczni biegły ślady wleczenia, znikające w miejscu, gdzie zaczynał się twardszy grunt.

Zabrałem z hotelu kolejną porcję torebek do zamrażania jedzenia. Wyjąłem jedną z kieszeni i zeszkrobałem szczyty trochę zakrwawionej tkanki. Zanim przyjechaliby ludzie Wallace'a, deszcz zmyłby całą krew, a resztę poarłyby mewy.

Brody patrzył na szczyt klifu trzydzieści metrów nad nami.

–Schody są trochę dalej, ale nie ma sensu, ebyśmy szli tam we trzech. – Spojrzał na Fräsera. – Rozsądniej by było, gdyby wsiał pan do samochodu i zaczekał na nas na górze.

–Tak, ma pan rację – zgodził się szybko sierant.

Wziął ode mnie torebkę z próbką i zawrócił, tymczasem my poszliśmy z chrzęstem dalej. Wycięte w skale schody były strome i kręte. Stara poręcz nie wzbudzała dużego zaufania.

Brody wytarł twarz, popatrzył na schody, potem na mój temblak.

–Na pewno da pan radę?

Kiwnąłem głową. Nie zamierzałem teraz rezygnować. Ruszyliśmy. Brody szedł pierwszy, ja za nim, swoim tempem. Stopnie były śliskie od

deszczu. Do skały tuliły się mewy, strosząc drące na wietrze pióra. Wiatr wciąż szalał. Im wyżej, tym był silniejszy. Przerażliwie wyjąc, atakował nas zaciekle i jakby z rozmysłem.

Byliśmy kilka metrów od szczytu, gdy Brody potknął się na wyłamanym stopniu, ześlizgnął i przyparł mnie do poręczy. Zardzewiała barierka wygięła się niebezpiecznie i przez krótką chwilę patrzyłem prosto w otwartą przepaść. Brody chwycił mnie za kołnierz i szybko odciągnął.

–Przepraszam – wysapał. – Nic się panu nie stało? Kiwnąłem głową nie ufając własnemu głosowi. Gdy ruszaliśmy,

serce waliło mi jak młotem. Kilka kroków dalej coś zauważyłem.

–Brody!

Gdy się odwrócił, wskazałem czarną plamę na sterczącym ze skały występie. Była za

daleko i nie mogłem tam dosięgnąć, ale wiedziałem, co to jest. Plama krwi i kolejny fragment tkanki.

Spadając, ciało Maggie uderzyło w tym miejscu o skałę.

Kilka minut później dotarliśmy na szczyt. I natychmiast zaatakowała nas wichura. Zaatakowała z całą mocą niemal zrywając z nas kurtki i próbując zepchnąć w otchłań.

–Cholera jasna! – zaklął Brody.

Pod nami był port, płytka podkova zalana wzburzonymi falami i z trzech stron

otoczona strzelistymi klifami. Smagane wiatrem szare morze zlewało się na horyzoncie z niebem – widok przyprawiał o zawrót głowy. Kilka łośnie krzyczących mew rzuciło wichurze wyzwanie, na próno usiłując wzlecieć wyżej i obrać jakiś kurs; wiatr uparcie zwiewał je z powrotem na skały. W oddali piętrzyły się groźne zbocza Beinn Tuiridh, a sto metrów za nami, niczym zakrzywiony paluch sterczał z ziemi samotny Bodach Runa. Poza tym widać było tylko bez-drzewne wrzosowiska i smaganą wiatrem trawę. Nic nie wskazywało na to, e kiedykolwiek była tu Maggie czy ktokolwiek inny.

Ruszyliśmy w stronę miejsca, skąd musiała spaść. Deszcz chłostał nas jak pejczem. Zaczynałem już myśleć, e tylko tracimy czas, gdy wtem Brody wyciągnął rękę.

–Tam.

Kilka metrów dalej ziemia była poruszona, darń wgnieciona i rozerwana, a gdy

przyjrzałem się uważnie, zobaczyłem na trawie złowróbne czarne plamy. Mimo ulewnego deszczu zostało ich mnóstwo.

–Tu ją zabił – powiedział Brody, wycierając twarz. – Sądząc po ilości i wielkości plam, musiała się właściwie wykrwawić.

Rozejrzał się wokoło.

–Tam jest jeszcze więcej. I tam.

Im dalej, tym plamy były mniejsze i mniej wyraźne. Tworzyły długi ślad prowadzący od, a raczej do krawędzi urwiska.

–Uciekała – powiedziałem. – Była ranna.

–Chciała zejść schodami. Albo biegła na oślep. Myśli pan o tym samym co ja?

–O tym, co powiedziała Mary Tait? – Kiwnąłem głową. „Kiedy uciekli. Po tym, jak było tak głośno”. Moe ci, których widziała, wcale nie uciekali. Moe jeden ścigał drugiego.

Tylko skąd się tu wzięli?

Dalej plam było coraz mniej. Na podstawie tych, które znaleźliśmy, nie mogliśmy ustalić, z której strony Maggie nadbiegła. W ulewnym deszczu krew zdążyła się rozmyć i wsiąknąć w błotnistą ziemię.

Brody rozejrzał się jeszcze raz i sfrustrowany pokręcił głową.

–Gdzie, do diabła, jest jej samochód? Przecie musi tu być. Ale ja patrzyłem w drugą stronę.

–Pamięta pan, co powiedziała Mary, kiedy spytał ją pan, skąd ma tę kurtkę? Inspektor spojrzał na mnie zaskoczony.

–Śe mają od jakiegoś starca. Bo?

–Nie, powiedziała: „No, od starca”. Jakby chciała powiedzieć: „Od naszego starca”.

–Od jakiego „naszego”? Wskazałem stojący pięćdziesiąt metrów dalej kamień.

–Bodach Runa, Starzec z Runy. Moe o to jej chodziło. Miała latarkę. Mogła wejść schodami, tak jak my.

Brody zmruył oczy.

–Chodźmy. Trzeba to sprawdzić.

W oddali dostrzegliśmy policyjnego rovera, który krętą drogą jechał powoli w naszym

kierunku. Droga to opadała, znikając nam z oczu, to się wznosiła, lecz Starca trudno było nie zauważyć.

Brody szedł coraz szybciej. Dygotałem z zimna, bolała mnie ręka i z trudem za nim nadąłem. Między nami i Starcem teren się wznosił, dlatego widzieliśmy tylko jego górną połowę. Ale gdy podeszliśmy bliżej, zobaczyliśmy coś w płytkiej niecce tu za nim. Stopniowo wyłonił się z niej dach samochodu.

Starego mini morrisa Maggie.

Parkował parę metrów za kamieniem. Kuliło się za nim kilka owiec i samochód robił wrażenie jeszcze bardziej osamotnionego i porzuconego. Pierzchły, gdy trawiastym zboczem zsunęliśmy się na dół. Usłyszeliśmy warkot silnika i chwilę później nadjechał rangę rover.

Fraser zaparkował na końcu ścieki i wysiadł.

–To jej?

–Tak – odparł Brody. – Samochód Maggie. Drzwiczki były otwarte i kiwały się na wietrze. Przednie siedzenia zalał deszcz, lecz

pociemniały nie tylko od wody. Na desce rozdzielczej i na przedniej szybie widniały czarne plamy i smugi krwi, jakby naniósł je tam obłąkany malarz.

–Jezu Chryste – wymamrotał Fraser.

Podeszliśmy trochę bliżej, lecz nie za blisko, eby nie zatrzeć ewentualnych śladów.

Brody ostronie zajrzał do środka.

–Wygląda na to, e zaatakowano ją z boku, od strony kierowcy, i e zdążyła uciec drugimi drzwiczkami. Jak pan myśli, noem czy siekierą?

Nie dalej jak poprzedniego wieczoru siedziałem z nią w tym samochodzie, dlatego rozmowa o broni, którą ją zamordowano, była dla mnie czymś zupełnie nierzeczywistym. Wiedziałem jednak, że nie pomoże nam schwytać zabójcy.

–Noem. Siekierą nie wzięłoby zamachu, za mało tam miejsca. Zawadziłby o coś, zostałyby ślady.

Rozejrzałem się po niecce. W nocy, poza strefą oświetloną przez samochodowe reflektory, musiała panować tu nieprzenikniona ciemność. Mary mogła się dobrze ukryć. Mogła wszystko widzieć. I słyszeć.

A na pewno było co.

Fraser stanął za samochodem.

–Tu są ślady opon. Chyba innego wozu.

Brody zacmokał. Był zirytowany i wiedziałem, o czym myśli. Do przyjazdu ekipy dochodzeniowej deszcz i owce zmieniają ślady w błoto. A my nie mogliśmy temu zaradzić.

–Powiedziała babce, że się z kimś umówiła. Wygląda na to, że tutaj. Mary musiała być na tyle blisko, że coś usłyszała... – Inspektor spojrzał na samochód i zmarszczył brwi. – Wciąż nie wiem, jak dorwała tę kurtkę. Nie była ani zakrwawiona, ani podarta. Czy to możliwe, że Maggie miała na sobie coś innego? W taką pogodę?

–Moe zdjęła ją dla Kinrossa – zasugerował Fraser. – Razem z kilkoma innymi rzeczami. Nie ma innego powodu, żeby tu przychodzili. Posprzeczali się, jak to kochankowie, i Kinross dostał szału.

–Jacy kochankowie? – warknął Brody. – Maggie była młodą, ambitną kobietą i mierzyła znacznie wyżej niż kapitan, poał się Boe, promu. Dopóki nie udowodnimy, że to z nim się tu spotkała, nie wyciągałbym zbyt pochopnych wniosków.

Zbesztany Fraser poczerwieniał. Ale jego słowa podsunęły mi pewną myśl.

–Sierant ma rację. Maggie mogła zdjąć kurtkę. – Opowiedziałem im o zepsutym grzejniku. – Jechałem z nią dwa razy i za każdym razem ją zdejmowała. Dlatego nie ma na niej śladów krwi.

Brody pochylił się i jeszcze raz zajrzał do wnętrza samochodu.

–Moliwe. Na tylnym siedzeniu jest czysto. Uciekając, zostawiła otwarte drzwiczki.

Mary podeszła i zobaczyła kurtkę. Nawet jeśli zauwayła krew na przednim siedzeniu, pewnie nie zdawała sobie sprawy, co to jest.

Powoli obszedł samochód. Nagle przystanął.

–Zobaczcie. Tutaj.

Podeszliśmy. Pod drzwiczkami od strony pasaera leała torebka Maggie. Rozmokłe na papkę chusteczki higieniczne, jakieś karteczki – jej zawartość wałała się po zabłoconej trawie.

Wśród kosmetyków i innych drobiazgów osobistych leał koło notatnika z porwanymi, uwalanymi błotem kartkami.

–Poproszę o torebkę – powiedział Brody.

–Na pewno dobrze robimy? – spytał niepewnie Fraser. Podałem Brody’emu torebkę.

–Maggie była reporterką – odparł. – Tak, to miejsce zbrodni, ale jeśli zapisała tam, z kim się umówiła, zaraz zaleje to deszcz.

Podszedł do samochodu, ukucnął, wyjął z kieszeni długopis, wsunął go między druty na grzbiecie kołonotatnika, ostronie podniósł i włożył do torebki. Nawet z miejsca, gdzie stałem, widać było, e namoknięte kartki ju się rozłaą i e widniejące na nich zapiski są pełne ciemnych zacieków.

Brody z rozczarowaniem zacisnął usta.

–Na niewiele się przyda. Ju wstawał, gdy nagle znieruchomiał.

–Pod samochodem coś ley – dodał podekscytowany. – Chyba jej dyktafon. Ile razy go u niej widziałem. Tak jak większość współczesnych dziennikarzy,

korzystała z niego częściej ni z notesu i długopisu. Jeśli prowadziła jakieś notatki, wcale nie musiała ich zapisywać.

Brody z trudem poskromił niecierpliwość, patrząc, jak wyjmuję kolejną torebkę. Chytrze zerknął na Frasera.

–Niech się pan nie martwi. Powiem Wałace’owi, e to był mój pomysł.

Sierant choć raz nie zaprotestował. Tak wany dowód rzeczowy – dowód rzeczowy,

który mógł w kadej chwili ulec zniszczeniu – nie mógł tu leć do przyjazdu ekipy dochodzeniowej. Posługując się torebką jak rękawiczką, inspektor sięgnął pod samochód i wziął dyktafon. Potem cofnął się do miejsca, gdzie staliśmy i wywrócił torebkę na drugą stronę.

Podniósł rękę, ebyśmy mogli się przyjrzeć. Dyktafon był cyfrowy, podobny do tego, który straciłem w poarze świetlicy.

–Ciekawe, jak długo trzymają baterie – rzucił.

–Długo – odparłem. – Wciąż nagrywa.

–Co? – Brody wytrzeszczył oczy. – Pan artuje.

–Ruszył, kiedy zaczął pan mówić. Reaguje na głos. Inspektor zmruzył oczy i spojrzał na wyświetlacz.

–A więc mógł nagrywać i w trakcie... zabójstwa?

–Tak, chyba e wyłączył się, spadając na ziemię. Przetrawialiśmy to przez chwilę, zapominając o wyjąym wietrze.

Brody w zadumie potarł podbródek. Nie odrywał oczu od srebrzystego dyktafonu. Wiedziałem, co zaraz powie.

–Jak się to włącza?

Rozdział 25

Dyktafon umilkł, cicho zasyczał i zapadła cisza. Milczeliśmy. W uszach wciąż rozbrzmiewały nam słowa Maggie. Czuliśmy się jak po wybuchu pocisku. Brody pstryknął wyłącznikiem i nieruchomy jak posąg zapatrzył się w dal.

Chciałem mu coś powiedzieć, ale nie wiedziałem co.

Rangę rover chwiał się na wietrze, w dach nieustannie bębnił deszcz. Schroniliśmy się w samochodzie, eby odsłuchać nagranie. Każda notatka głosowa miała formę oddzielnego pliku dźwiękowego, a pliki były umieszczone w katalogach. Katalogów znaleźliśmy cztery. Jeden miał tytuł: Praca, dwa były puste. Czwarty Maggie zatytułowała po prostu: Pamiętnik.

Notatki były poukładane według dat. Od przyjazdu na Runę nagrała ich kilkanaście.

Brody zaczął od ostatniej. Według widniejącej obok daty i godziny powstała tu przed północą.

–No to zaczynamy – powiedział i wcisnął przycisk z napisem: „Play”.

Z głośniczka popłynął martwy głos Maggie. Wraenie było niezwykle upiorne.

No i tak. Jeszcze go nie ma, ale przyjechałam kilka minut za wcześnie. Mam tylko nadzieję, e się po tym wszystkim pojawi...

–Kto? – mruknął Fraser. – Powiedz nam kto. Ale Maggie myślała o czym innym.

Boe, co ja tu robię? Przedtem strasznie mnie to kręciło, ale teraz wydaje mi się trochę

bezsensowne. Po jakiego diabła Kevin zdradził mi imię tej kobiety? Jestem zwykłą pismaczką, a nie dziennikarką śledczą! I skąd je znał? No i ta moja idiotyczna zagrywka z Hunterem. „Czy miała na imię Janice?” Bardzo sprytne, moje gratulacje, Mags. Hunter myśli teraz, e chcę coś zataić. A ja po prostu nie mogę wmieszać w to Kevina. I co ja biedna mam począć? Rozległ się jakiś odgłos i chwilę trwało, zanim go rozpoznałem: Maggie zabębniła palcami w kierownicę. Potem westchnęła.

Wszystko po kolei. Muszę to sobie poukładać. Skoro ju tak nalegałam, nie chcę niczego sknocić. Chryste, gorąco tu jak w piecu... – Szelest: zdjęła kurtkę. – Muszę przyznać, e trochę się boję. Pewnie przez te wszystkie sprawy, ale chyba jestem głupia. Chryste, przecie grasuje tu morderca! Gdyby zrobił to ktoś inny, powiedziałabym, e... Co to było? Nastąpiła długa przerwa. Słyszeliśmy tylko jej

oddech, krótki i urwany.

Robię się nerwowa. Nic tam nie widać. Ale coś błysnęło, jakby latarka. Pewnie spadająca gwiazda. Tak tu ciemno, e nie wiadomo, gdzie kończy się ziemia i zaczyna niebo. Mimo to... Głośny trzask.

Tak, bardzo przytomnie. Jedziesz na głuche pustkowie i dopiero teraz zamykasz drzwiczki. Bomba. Ale nie, nie, spokojnie. Przecie on chce tylko pogadać na osobności, to wszystko. Tylu tu plotkarzy, e wcale mu się nie dziwię. Mimo to wciąż nie jestem pewna, czy dobrze robię. Oby się opłaciło. Dam mu jeszcze pięć minut i jeśli nie przyjedzie... Cholera! Jej oddech stał się jeszcze szybszy i bardziej nerwowy.

Znowu ten błysk. To nie spadająca gwiazda, ktoś tam jest! Tak, na pewno. Chyba jednak... Jęknął rozrusznik. Silnik zakaszłał, lecz nie zapalił. W tle słyszeliśmy jej głos, teraz lekko przytłumiony, jakby rzuciła dyktafon na fotel, eby przekręcić kluczyk w stacyjce.

No, zapal! Boe, nie rób mi tego! Nie do wiary. No, zapal, kretynie, nie bądź taki durny! Ty rzęchu pieprzony, ty debilu jeden! Uspokój się, zalejesz świece, pomyślałem bezsensownie. I nagle się roześmiała, radośnie i z ulgą.

Dzięki ci, Panie! Są światła. Przyjechał. Spóźnił się, ale mu wybaczę. – Znowu się roześmiała, wydmuchała nos. – Ładna ze mnie reporterka. Co on sobie pomyśli? Przestań, Mags, weź się w garść. Podobno jesteś profesjonalistką. Cholera, nic nie widzę przez te światła. Moe byś je tak wyłączył? Dobra, ju idzie. Lepiej to schowajmy...

Szelest: przesunęła dyktafon. Trzasnął zamek, otworzyły się drzwiczki. I znowu jej głos, tym razem wesoły i zadziorny:

Witam. Myślałam, e umówiliśmy się o północy. To jest północ? I moe zgasiłby pan te światła? Nic nie widzę... Przepraszam, nie chciałam... Hej, co ty... Jezu! O Chryste! Z głośnika buchnął przeraźliwy krzyk i błagania. Pochyliłem głowę. Dyktafon pracowicie nagrywał wszystko. Potrącany podczas szamotaniny, nagrał równie głuchy stukot i trzaski, lecz odgłosy te nie zagłuszyły potwornej ścieki dźwiękowej morderstwa na ywo.

Szarpanina i rozpaczliwe krzyki przeszły w crescendo i nagle zapadła cisza. Zakłócał ją tylko cichutki szum, jak szum płynącej wody. Zdałem sobie sprawę, e to wiatr. Maggie uciekła, dyktafon wypadł z samochodu i wyłączył się, nie wychwytyując głośniejszych dźwięków. Nastąpiła krótka przerwa i usłyszeliśmy głos Brody'ego: Ciekawe, jak długo trzymają baterie. A potem mój:

Długo. Wciąż nagrywa. Brody wcisnął przycisk.

Nie patrzyliśmy na siebie. Jakbyśmy słuchając nagrania, zawiązali wstydlivy spisek.

–Dlaczego nie mogła powiedzieć, jak ten skurwysyn się nazywa? – wychrypiął Fraser.

Nawet on był wstrząśnięty.

Poruszyłem się. Dopiero teraz.

–Nie miała powodu. Nagrywała dla siebie. Nie wiedziała, e coś jej grozi.

Denerwowała się, czekając, potem ju nie.

–Źle to wszystko odczytała – dodał sierant. – Te światła, te reflektory. Załoę się, e specjalnie ich nie zgasił, eby ją oślepić. Őeby nie widziała noa.

Brody słuchał nas bez słowa.

–A te błyski, zanim przyjechał?

–Mary Tait – odparłem.

Inspektor przeciągnął ręką po zmęczonej twarzy.

–Mary Tait z dziecinną latarką... Gdyby nie było to takie tragiczne, mona by się uśmiać. Maggie boi się nieszkodliwej nastolatki i wpuszcza do samochodu mordercę.

–Tak, ale kto to, do diabła, jest? – spytał zdenerwowany Fraser. Brody spojrział na dyktafon.

–Moe znajdziemy tu coś jeszcze? – Uśmiechnął się ponuro. – Jak mam wisieć, to niech przynajmniej wiem za co.

Wiatr zakołysał samochodem i cisnął weń deszczem, jakby chciał dostać się do środka. Odegrawszy ostatnią notatkę głosową, Brody puścił teraz pierwszą. Z głośniczka znowu popłynął głos Maggie.

Jest lepiej, ni się spodziewałam. Szkoda, e babcia, niech ją Bóg błogosławi, nie ma Internetu. Có, wiek informacji ją ominął. Ktoś z redakcji musi dla mnie sprawdzić, co znaczy „spontaniczne... spontaniczny coś tam”. I przy okazji przeświecić tego Davida Huntera. Załoę się, e to ciekawy facet. – Zachichotała. – Chciałam tylko powiedzieć, e musi mieć ciekawą przeszłość. No bo co tu robi ekspert z Londynu, w dodatku z tym cholernym Fraserem? Jezu, e te musiałam natknąć się akurat na Frasera. Dobrze chocia, e bar Ellen będzie miał większe obroty... Zerknąłem na sieranta. Miał pochmurną minę.

W tej chwili ścisnął mnie za rękę tak mocno, że mam teraz siniaka. Powinnam złożyć na niego zażalenie, a co? Za mało się wtedy stawiałam, ale byłam zbyt poruszona. Boe, te zwłoki! Chciałabym lepiej im się przyjrzeć. Moe wybiorę się tam wieczorem. Fraser będzie na pewno w barze... Sierantowi poczerwieniał kark. Nieporuszony Brody odegrał kolejną notatkę.

Maggie była zła i zdyszana.

Czysta strata czasu. Nawet nie widziałam zwłok. Od tej chwili przestaję bawić się w komandoskę. Ale muszę przyznać, że miałam niezłą frajdę – dodała z uśmiechem w głosie. – Nie bałam się tak, odkąd posusiałam się w majtki, bawiąc się w chowanego w podstawówce. Boe, wyskoczył z ciemności jak duch! Jak on ma na imię? Chyba Duncan. Bystry jest, sukinkot, i przynajmniej ludzki. No i ładniutki. Ciekawe, czy kogoś ma... Dwie kolejne

notatki dotyczyły jej rozmyślań na temat rodziny i pracy. Brody przewinął nagranie do chwili, gdy usłyszeliśmy znajome nazwisko.

Pojechałam do Strachanów. Chciałam zrobić ten wywiad. Akurat. Był tam Hunter z ręką na temblaku. Wyszedł nocą bez latarki, no i dostał nauczkę. – Prychnęła. – Był i Cameron. Jak zwykle węszył wokół oneczki Strachana. Odraający typ. Nie wiem, dlaczego Strachanowie go tolerują. Grace jest nawet miła, ale tak ładna, że powinnam ją znienawidzić. Ciągle nie mogę rozgryźć jej męża. Dziwny facet. To uprzejmy i czarujący, to zimny jak lód. Co wcale nie znaczy, że powiedziałabym nie... Nagranie kończył figlarny śmiech.

Kolejne było osobiste i dotyczyło jej niepokojów o przyszłość zawodową. Brody pominął je i puścił następne. Ucieszyłam się, słysząc początek.

Coś niesamowitego! Dziś po południu wracałam do babci i poszłam na skróty tą alejką za hotelem. I kogo tam widzę? Michaela Strachana! Wychodził kuchennymi drzwiami i kiedy powiedziałam: „Dzień dobry”, zrobił taką minę, że Jezus. Nie wiem, kto był bardziej zaskoczony, ja czy on. Do głowy by mi nie przyszło, że coś między nimi jest. Owszem, Ellen jest ładna, ale jak rany, ten facet ma w domu prawdziwą boginię! Ale tak, tych dwoje na pewno coś łączy. Podpytam babcię. Babcia zna wszystkie plotki... A więc to Strachan był tym tajemniczym gościem, którego niechcący wypłoszyłam z kuchni, kiedy Ellen piekła chleb i płakała. Potwierdzały to data i godzina nagrania. Po tym wszystkim nie byłam nawet zaskoczona i nie odczuwałam adnej satysfakcji. Zerknąłem na Brody'ego. Zmarszczył brwi, lecz bez słowa puścił kolejną notatkę. Człowiek uczy się przez całe życie. Myślisz, że jesteś doświadczoną reporterką i odkrywasz wielką tajemnicę, tymczasem okazuje się, że to adna tajemnica. Babcia kazała mi oczywiście przysiąc, że nic nikomu nie powiem, ale wygląda na to, że wszyscy o tym wiedzą, tylko nic nie mówią. Ciekawe, czy milczeliby, gdyby chodziło o kogoś innego. Miejscowi wiedzą, kiedy trzymać język za zębami. –

Roześmiała się cynicznie. – A przecie to oczywiste, wystarczy tylko przyjrzeć się Ann. Ma włosy i karnację matki, ale jeśli to pominąć, od razu widać, e jej ojcem jest Strachan... O cholera, pomyślałem. Fraser cicho zagwizdał.

–A więc pan Strachan lubi się zabawić? Niektórzy nigdy nie mają dosyć.

Brody był zaskoczony, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Ale dla mnie wszystko trzymało się kupy. Co powiedziała Ellen o ojcu Ann, kiedy mnie opatrywała? „Powiedzmy, e nasz związek nie miał przyszłości”.

Teraz ju wiedziałem dlaczego.

Brody’emu stęła twarz. Ellen nie była jego córką, ale równie dobrze mogła nią być.

Zacisnął usta i kołkowatym palcem wcisnął przycisk odgrywania. W tej notatce Maggie miała dziwny głos. Było słyhać, e coś jest nie tak.

Boe, co za parszywy dzień. Ktoś napadł na onę Strachana i pomyślałam, e dobrze by było zrobić z nimi wywiad. Straszna sprawa, ale to nasza złota para, najbardziej znane małństwo na wyspach, byłby świetny artykuł. Tylko e przegięłam, cholera. Rozlałam tę przeklętą zupę i trzepotałam rżęsami do Strachana. No a potem ten, niech go diabli wezmą, Hunter wyskoczył z tym rosołem Campbella. Boe, marzyłam, eby ziemia się pode mną rozstała.

Jakby tego było mało, mówi mi, e zamordowano policjanta. Tego Duncana. Jak on się nazywał? Nie pamiętam, to straszne. Ładna ze mnie dziennikarka. Był bardzo miły, pomógł mi z bagaami na promie. I przyłapał mnie w nocy przed chatą. To chyba niemoliwe, eby zabił go ktoś stąd. Chryste, ktoś, kogo znam! Co tu się dzieje? Nawet nie chce mi się o tym gadać... W tym miejscu nagranie się urywało. Od naszych oddechów zaparowały szyby i siedzieliśmy jak we mgle. Świat zewnętrzny przestał istnieć.

Brody wybrał kolejny plik z katalogu.

–Zostały jeszcze dwa-powiedział.

W pierwszej chwili pomyślałem, e dyktafon się zepsuł. Płynące z głośniczka odgłosy były początkowo zupełnie nierozpoznawalne i tworzyły natrętny rozgwar. Dopiero gdy usłyszałem dudniący głos Guthriego, zamawiającego coś do picia, uświadomiłem sobie, e to nagranie z baru przed spotkaniem mieszkańców miasteczka. Słyszeliśmy strzępy rozmów, a potem głos Brody’ego, cichy i odległy, bo dyktafon z trudem wychwytywał dźwięki dochodzące z drugiego końca sali.

Wysłuchaliśmy kategoriycznych słów Kinrossa, który nie wierzył, e zabójcą jest ktoś

z Runy. Potem pytania Maggie o tosamność zamordowanej kobiety, jeszcze potem nieudanego występu Camerona, który próbował zaznaczyć swój autorytet. Pod koniec spotkania nagranie znowu stało się nieczytelne.

Napięcie w zaparowanym samochodzie stało się nie do zniesienia.

–Ostatnia notatka – powiedział Brody.

Tym razem głos Maggie brzmiał optymistycznie.

Nareszcie dobre nowiny! Mało brakowało i bym tego nie zauwayła. Nie miałam

pojęcia, e karteczka tam jest, bo tkwiła głęboko w kieszeni. Gdybym w porę jej nie znalazła, wszystko by się pokićkało. Chocia nie mam pojęcia, dlaczego chce się spotkać o północy, w dodatku przy Bodach Runa. Facet ma poczucie dramatyzmu, trzeba mu to oddać. Gdyby to był ktoś inny, miałabym wątpliwości, ale on chce tylko zaczekać, a ona pójdzie spać. Tak

czy inaczej, nie mogę przepuścić takiej okazji. Bardzo zaley mi na tym wywiadzie i jeśli Strachan chce się spotkać w cztery oczy, nie będę kaprysiła. Nagle wybuchnęła głośnym śmiechem.

Cieszę się, e nie na darmo stłukłam trzecią najlepszą miseczkę babci. Boe, mam tylko nadzieję, e facet nie wystawi mnie do wiatru. Byłabym strasznie rozczarowana... Nagranie dobiegło końca. Słysząc było tylko bębnienie deszczu w dach i łośne zawodzenie wiatru. Brody bez słowa puścił ostatni fragment notatki.

...jeśli Strachan chce się spotkać w cztery oczy, nie będę kaprysiła... Pierwszy odzyskał głos Fraser.

–Jezu Chryste! Pojechała na spotkanie ze Strachanem?

–Sam pan słyszał – odrzekł cicho Brody. Siedział nieruchomo, jakby nie miał na nic ochoty.

–Ale... Boe, przecie to nie ma sensu! Po co miałby ją zabijać? Ją i tamtych. I co z jego oną? Napadł na własną onę?

Ludzie zdesperowani zrobią wszystko. – Brody powoli pokręcił głową. – Ja te o tym nie pomyślałem, ale Strachan pasuje bardziej ni Kinross. Załoyliśmy, e Janice Donaldson zginęła, bo próbowała za-szantaować klienta, a kto byłby lepszym kandydatem? Owdowiały kapitan promu czy bogaty onkoś, filar miejscowej społeczności?

–Tak, ale... ale po co miałby zawracać sobie głowę tanią dziwką, mając taką onę?

Brody ze znueniem wzruszył ramionami.

–Niektórych kręci brud i ohyda. A co do reszty... Im więcej ktoś ma do stracenia, tym

bardziej chce to zatrzymać.

Nie chciałem przyjąć tego do wiadomości, ale miało to sens, sens straszliwy. Próbując zatrzeć za sobą ślady, Strachan zabił najpierw Janice, potem Duncana. I chociaż w tym, e Maggie tak nalegała na wywiad, nie było nic groźnego, morderca, który nie chce ryzykować, odebrałby to zupełnie inaczej.

–Karteczkę podrzucił wczoraj – powiedziałem powoli. – Kiedy tam byłem. Ja zostałem z Grace i Maggie, a on poszedł po jej kurtkę.

Wmówił nawet onie, e ktoś jest przed domem, wszystko po to, eby w zamieszaniu nie zauwayła, jak wsuwa do kieszeni pospiesznie napisaną kartkę. Kartkę, która wałała się teraz po wrzosowiskach wraz z resztą zawartości torebki Maggie. Szok powoli ustępował miejsca wściekłości, e Strachan mógł popełnić tak potworne zbrodnie. śe zdradził wszystkich, którzy mu zaufali.

W tym mnie.

Rangę rover zakołysał się pod wpływem gwałtownego podmuchu. Podczas gdy słuchaliśmy nagrań, wichura przybrała na sile.

–Co robimy? – spytał Fraser.

Poruszając się z ostroną powolnością ofiary wypadku drogowego, Brody otworzył schowek na mapy i włożył tam dyktafon. Potem zamknął schowek, starannie dociskając pokrywę.

–Niech pan sprawdzi telefon. Sierant sprawdził najpierw swój, potem radionadajnik w samochodzie.

–Nie działają. Brody kiwnął głową, jakby się tego spodziewał.

–Nie moemy dłużej czekać na dochodzeniówkę. Musimy ich tu ściągnąć. Kiedy tylko pogoda się poprawi, Strachan ucieknie. Jak nie jachtem, to inną łodzią. Jest ich tu

mnóstwo, wszystkich nie upilnujemy.

–Nie wiadomo, czy ucieknie – skontrolował Fraser, ale chyba nie bardzo w to wierzył.

–Zabił troje ludzi, w tym policjanta – przekonywał nieugięcie Body. – Maggie nawet

mu nie zagrała, wystarczyło, e tak myślał. Zaczyna gonić w piętę, robi się coraz bardziej zdesperowany. Damy mu okazję i zwieje. Albo zabije kogoś jeszcze. Sądzi pan, e Wallace nam za to podziękuje?

Fraser niechętnie kiwnął głową.

–Ma pan rację.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Po wysłuchaniu nagrań nastąpiła w nim jakaś zmiana,

jakby coś z niego uszło. Nie wiedziałem, co tak na niego wpłynęło. To, e Strachan był mordercą czy to, e był ojcem dziecka Ellen.

–A pan? – spytał inspektor. – Nie mogę pana prosić, eby pan z nami jechał, ale

byłbym wdzięczny. – W bezskutecznej próbie uśmiechu drgnął mu kącik ust. – Przyda nam się

kada para rąk.

Nie bardzo wiedziałem, jak mógłbym im pomóc, zwłaszcza e zamiast pary, miałem tylko jedną mimo to kiwnąłem głową Za daleko zaszedłem. Nie zamierzałem teraz rezygnować.

Strachan zrobił krzywdę zbyt wielu ludziom.

Przed domem stał jego saab i terenówka Grace. Fraser zaparkował tu za nimi, eby - jak się domyśliłem – je zablokować. Gdy wysiedliśmy, wiatr uderzył w nas niczym agresywne zwierzę. Temperatura spadła i oszalałe strugi deszczu mogły w kadej chwili zamarznąć.

Brody przystanął przed saabem, pochylił się i sprawdził opony. Potem zerknął na mnie, eby upewnić się, czyja te to widziałem.

Opony były pokryte grubą warstwą błota.

Fraser ruszył przodem. Dom górował nad nami jak granitowa forteca z gładkimi surowymi murami. Sierant chwycił kołatkę i zaczął walić nią w drzwi, jakby próbował je wywayć.

Zaszczekał pies i zabezpieczone łańcuchem drzwi lekko się uchyliły. Stała za nimi Grace. Uśmiechnęła się z ulgą na nasz widok.

–Przepraszam, ale po wczorajszym...

Siniak na policzku jeszcze bardziej podkreślał jej urodę. Ale pod oczami miała

głębokie cienie. Przed napaścią ich nie było – przed napaścią ze strony własnego męa, który próbował odwrócić od siebie uwagę.

Ogarnęła mnie wściekłość, wściekłość i determinacja.

–Mą w domu? – spytał Fraser.

–Obawiam się, e nie. Znowu gdzieś wybył. – Samochód stoi. Grace była zaskoczona jego obcesowością.

–Nie zawsze jeździ samochodem. Czy coś się stało?

–Wie pani, dokąd poszedł?

–Nie, przykro mi, ale nie. Czy powie mi pan wreszcie, o co chodzi? Dlaczego chcecie

z nim rozmawiać?

Sierant ją zignorował. Pies wciąż z furią ujadał w kuchni, drapiąc pazurami podłogę.

–Moemy się tu rozejrzeć?

–Mówiłam ju, e go nie ma.

–Chcę to sprawdzić. Grace błysnęła oczami i przez chwilę myślałem, e odmówi. Potem gniewnym ruchem

głowy zaprosiła nas do środka.

–Nie lubię, kiedy ktoś zarzuca mi kłamstwo. Ale skoro pan musi...

–Ja pójdę – powiedział Brody. – Pan niech sprawdzi budynki gospodarcze. Grace patrzyła za nimi zła i skonsternowana.

–Davidzie, dlaczego oni szukają Michaela? Co się stało? Zawahałem się i to jej wystarczyło. Po raz pierwszy się zaniepokoiła.

–To ma coś wspólnego z tym, co się dzieje, prawda? Z tymi morderstwami?

–Przykro mi, ale nie mogę nic mówić – odparłem zły, e jej świat miał się za chwilę

rozpaść.

Słyszając nasze głosy, pies wpadł w histerię.

–Na miłość boską! – syknęła niecierpliwie Grace. – Uspokój się, Oscar! – Otworzyła drzwi i wepchnęła psa do kuchni. – Chodź! Na dwór!

Pociągnęła go do tylnych drzwi. Nieświadomy napięcia retriever wesoło zamerdał ogonem.

Brody zszedł na dół. Pokręcił głową.

–Nie ma go. Gdzie Grace?

–Wyprowadza psa. Jest przeraona. Chyba domyśla się, po co przyszliśmy. Inspektor ciężko westchnął.

–Strachan ma sporo na sumieniu. A ona? Boe. Dowiedzieć się, e mąż jest mordercą i ojcem dziecka innej kobiety... – Boleśnie wykrzywił twarz. – Chryste, co tej Ellen odbiło? Przecie...

–Brody... – Nie zdążyłem. W drzwiach stała Grace.

–Pani Strachan... – zaczął Brody.

–Nie wierzę – szepnęła. Była bardzo blada.

–Przepraszam. Nie powinna pani dowiadywać się tego w ten sposób...

–Nie, pan kłamie! Michael nigdy by tego nie zrobił. Nigdy!

–Bardzo mi...

–Wyjdźcie! Precz stąd! – Chciała krzyknąć, lecz tylko zaszlochała.

–Chodźmy – rzucił cicho Brody.

Nie chciałem jej tak zostawiać, ale nie mogłem powiedzieć ani zrobić nic, co by ją

teraz pocieszyło. Gdy wychodziliśmy, przeraona obejmowała się wpół. Potem Brody zamknął drzwi i zniknęła mi z oczu.

–Chryste. Nie chciałem tego.

–Cóż, stało się. – Nie wiedzieć czemu, byłem wściekły. – Poszukajmy Frasera.

Naciągnąłem kaptur i ruszyliśmy. Zrobiło się jeszcze zimniej. Wiatr zalewał nas

lodowatym deszczem i spychał w stronę domu. Gdy skręciliśmy za róg, sierant wyszedł ze stodoły.

–Znalazł pan coś? – krzyknął Brody.

–Sami zobaczcie. Weszliśmy. W kącie stała benzynowa kosiarka do trawy, tu za kosiarką duży

kanister. Kanister nie miał zakrętki, a w miejscu, gdzie powinna być, wisiał urwany plastikowy paseczek.

–Kto się założy, e pasuje do niego ta, którą znaleźliśmy koło przyczepy? –

powiedział Fraser. – Pamiętajcie, jak onie Strachana zabrakło benzyny? Postawię kade

pieniądze, e podlewał tym te wszystkie poary. Chryste, jak go dorwę...

Brody tylko zacisnął zęby.

–Chodźmy na jacht-rzucił.

Kabina była otwarta, a na podłodze wciąż wały się szczątki roztrzaskanych nadajników. Ale Strachana na pokładzie nie było.

–Gdzie on, do diabła, jest? – warknął wściekle Fraser, gdy przystanęliśmy w rozhuśtanej sterówce. – Moe być wszędzie.

Aleja wiedziałem, e mógł pójść tylko w jedno miejsce. Spojrzałem na Brody'ego. On te o tym pomyślał. Strachan był na górze. Przy kurhanach.

Sztorm unicestwiał sam siebie. Nadciągnąwszy znad kręgu ark-tycznego, nabrał siły i prędkości nad północnym Atlantykiem, lecz zanim dotarł do wybrzeży Szkocji, rozerwała go na strzępy jego własna niepohamowana furia.

Na Runie jednak osiągnął swój punkt kulminacyjny i wpadłszy w szal, próbował zmieść wysepkę z powierzchni morza. Gdy wspinaliśmy się na nagie zbocze Beinn Tuiridh, orkan po dwakroć się wzmógł. Temperatura spadała na łeb, na szyję. Deszcz zmienił się w śliski grad, który odbijając się od ziemi, grzmocił mnie w kaptur jak gruby wir.

Zaparkowaliśmy jak najbliżej podnóza i wyruszyliśmy. Było jeszcze jasno, ale

widoczność szybko malała. Do zmierzchu pozostała godzina, najwyżej dwie. A po zapadnięciu zmroku ju i tak niebezpieczna wspinaczka mogła stać się zabójcza.

Mimo wysiłku miałem odrętwiałe ręce, nogi i twarz. Ramię pulsowało mi na zimnie tęnym, wyczerpującym bólem. Co gorsza, nie bardzo wiedzieliśmy, jak dojść do kurhanów. Gdy nie spuszczać z oczu migotliwego ognika, dotarłem tam po omacku półprzytomny z bólu i wyczerpania, była ju noc. Za dnia zbocze było labiryntem wielkich głazów i parowów. Pokrywały je kamienne formacje, które mogły być wytworem zarówno natury, jak i człowieka.

–Nigdy tu nie byłem – wysapał Brody. – Ale to chyba ju niedaleko, zaraz tam będziemy. Trzeba tylko iść prosto.

Miałem co do tego powane wątpliwości. Zbocze było usiane luźnymi kamieniami i drobnym gruzem skalnym, i nie zauważyłem tam adnej ścieki. Szliśmy własną trasą, często napotykać głązy tak due, e musieliśmy się na nie wdrapywać albo je obchodzić. Skoro Strachan zdołał znieść mnie na dół, i to bez niczyjej pomocy, był duo silniejszy, ni myślałem.

I o wiele bardziej niebezpieczny.

Zgięci w pół szliśmy pod wiatr. Wyruszyliśmy razem, lecz stromizna szybko nas rozdzieliła. Brody zdecydowanie parł przed siebie, ale mnie – z ręką na temblaku – było znacznie trudniej. Chocia nie tak trudno jak Fraserowi. Sierant, otyły i bez kondycji, sapał i rzeził, i z kady m krokiem zostawał coraz dalej za nami.

Ju miałem krzyknąć, ebyśmy trochę odpoczęli, gdy usłyszałem głośny grzechot. Fraser upadł. Upadł, porwała go mała lawina kamieni i zsunął się na czworakach w dół. Miał otwarte usta, ciężko dyszał, był zbyt wyczerpany, eby wstać.

Brody niczego nie zauważył i szedł dalej.

–Brody! Zaczekaj! – Wiatr wepchnął mi słowa z powrotem do ust.

Podbiegłem do Frasera. Chwyciłem go pod pachy i spróbowałem podnieść. Był ciężki i zupełnie bezwładny.

–Zaraz – wysapał. – Za chwilę...

–Da pan radę wrócić do samochodu? – krzyknąłem mu prosto do ucha. Kiwnął głową. Pierś podnosiła mu się ciężko i opadała.

–Na pewno? Zirytowany machnął ręką. Zawróciłem. Brody zniknął, ju go nie

widziałem.

Przyspieszyłem kroku, eby go dogonić, i od razu się zasapałem. Szedłem ze spuszczoną głową patrząc pod nogi trochę dlatego, e chciałem osłonić się przed smagającym wiatrem, ale głównie dlatego, e byłem potwornie zmęczony. Ilekroć podnosiłem wzrok, eby poszukać Brody'ego, grad przesłaniał mi widok niczym śnieenie na ekranie telewizora.

W pewnej chwili poślizgnąłem się na kamieniu i musiałem przyklęknąć. Wciągnąłem haust powietrza, nie wiedząc, jak i czy sobie poradzę.

–Brody! – krzyknąłem, lecz opowiedział mi tylko ryk wiatru. Wstałem. Nie mogłem tu zostać, byłem zbyt odsłonięty. Musiałem

zdecydować, czy wracać do samochodu, tak jak Fraser, czy iść dalej, lecz w tej samej chwili spostrzegłem, e pobliskie skały są dziwnie symetryczne. Tak bardzo skupiłem się na pościgu za Brodym, e przestałem zwracać uwagę na otoczenie.

Stałem wśród kurhanów.

Ale Brody przepadł bez śladu. Nie mógł przecie ich nie zauwayć i przejść obok, chocia ja omal tego nie zrobiłem. Rozejrzałem się i wtedy wiatr dmuchnął jeszcze mocniej, tworząc szparę w gradowej kurtynie. Szpara była mała i szybko zniknęła, lecz zdążyłem dostrzec przez nią dużą kamienną budowlę.

Ślizgając się i potykając na głębokich koleinach w rozmokłej ziemi, ruszyłem w tamtą stronę. Budowla przypominała częściowo zburzoną kamienną chatę. Tu przed nią był wypalony krąg po ognisku. Popiół był zimny i na wpół przykryty gradem, lecz patrząc nań, znowu ujrzałem ten migotliwy ognek i przypomniały mi się słowa Strachana: „Poza tym w brochu dobrze się myśli... Lubię myśleć, e dwa tysiące lat temu ktoś siedział tam przy ognisku. śe podtrzymuję tradycję”.

Rozejrzałem się jeszcze raz. Nie, ebym spodziewał się zobaczyć Frasera czy Brody'ego. Mogłem być jedyną ywą istotą na tym zboczu.

Walcząc z wiatrem, podszedłem do chaty. Wejście ziało czernią niczym bezdenna otchłań. Ostronie zajrzałem do środka. Chciałem zobaczyć albo chocia wyczuć, czy ktoś tam jest, lecz zobaczyłem jedynie ciemność. No? Na co czekasz? Pochyliłem głowę i wszedłem.

Wiatr momentalnie ucichł i otuliła mnie cisza. Cisza i aksamitna ciemność pachnąca gliną i starością. Pomieszczenie było tak niskie, e ledwo mogłem się wyprostować. Ale nie, nikt na mnie nie wyskoczył, nikt mnie nie zaatakował. Gdy wzrok przywykł do nowych warunków, zobaczyłem zimne kamienne ściany i nagą ziemię pod nogami.

Wyglądało to tak, jakby od tysięcy lat nikt tu nie mieszkał.

Nagle kątem oka dostrzegłem coś małego i wyblakłego. Pochyliłem się. Od ściany odpadło kilka kamyków, tworząc w niej płytką niszę. W niszy, w ciemnoóltej kałuży zakrzepłego wosku, stał na wpół roztopiony ogarek świecy.

Znalazłem kryjówkę Strachana. Tylko gdzie był Strachan?

Wpadające wejściem światło, szare i rozmyte, poszarzało jeszcze bardziej. Wyprostowałem się i szybko odwróciłem. Serce waliło mi jak młotem. Ktoś wyszedł z cienia.

–Witaj, Davidzie.

Rozdział 26

Milczałem. Sparaliowany umysł nie pozwalał mi się poruszyć ani nawet otworzyć ust. Strachan oderwał się od ściany i stanął na tle wejścia, tak e widziałem tylko jego sylwetkę.

W opuszczonej ręce trzymał nó. Na ostrzu igrały słabe refleksy światła.

–No i proszę, udało się panu tu trafić. Mówiłem, e to bardzo ciekawe miejsce.

Jego głos odbijał się echem od ścian. Echo było przytłumione i jakby spłaszczone. Nie

podszedł bliżej, lecz blokował jedyne wyjście. Próbowałem nie patrzeć na nó. Z ust szła nam para. Oczy miał wystraszone i zapadnięte, policzki sinawoczarne od zarostu. Przechylił głowę, wsłuchując się w zawodzenie wiatru.

–Wie pan, co znaczy Beinn Tuiridh? Po gaelicku to „Jęcząca Góra”. Moim zdaniem to

bardzo stosowna nazwa.

Mówił spokojnie, tonem pogawędki, jakbym przyszedł tu na przechadzkę. Przesunął ręką po ścianie. Drugą, tę z noem, wciąż miał opuszczoną.

–Ten broch nie jest tak stary jak kurhany. Ma pewnie tysiąc lat. Na tych wyspach jest

ich pełno. A ten? Nie wiem, nie jestem pewien, czy zbudowano go ze względu na kurhany,

czy po to, eby je w jakiś sposób zdeprecjonować. No bo po co budować wieię straniczą na

cmentarzu? Chyba tylko po to, eby pilnować zmarłych. Jak pan myśli?

Nie odpowiedziałem. Uśmiechnął się słabo.

–No, tak. Nie przyszedł pan tu z pobudek, e tak powiem, archeologicznych. Prawda? Z trudem odzyskałem głos.

–Maggie Cassidy nie yje. Wciąż patrzył na ścianę.

–Wiem.

–Zabił ją pan? Stał tak jeszcze przez chwilę, a potem z westchnieniem opuścił rękę.

–Tak.

–Duncana te? I Janice Donaldson? Nie zdziwił się, słysząc jej nazwisko. Kiwnął głową i moje ostatnie wątpliwości

rozwiały się jak dym.

–Dlaczego?

–Czy to wane? Martwi pozostaną martwymi, nie przywróci ich pan do ycia. Skurczył się i zapadł w sobie. Myślałem, e go znienawidzę, tymczasem byłem tylko

skonsternowany.

–Przecie musiał pan mieć jakiś powód!

–Nie zrozumiałby pan tego. Próbowałem doszukać się obłędu w jego oczach. Ale znalazłem w nich tylko

zmęczenie. I smutek.

–Janice Donaldson pana szantaowała, tak? Groziła, e powie Grace.

–Grace niech pan do tego nie miesza – warknął ostrzegawczo.

–W takim razie dlaczego?

–Dobrze, szantaowała mnie. Pieprzyłem się z nią i kiedy dowiedziała się, kim jestem, stała się chciwa. Więc ją zabiłem. – Powiedział to apatycznie, jakby było mu wszystko jedno.

–A Duncan i Maggie?

–Weszli mi w drogę.

–Weszli panu w drogę? I tylko dlatego ich pan zabił?

–Tak, tylko dlatego! Pochlastałem ich jak świnie w rzeźni, bo mnie to podnieca! Bo jestem chorym, zboczonym skurwysynem! To chciał pan usłyszeć?

Głos ociekał mu pogardą do samego siebie. Z trudem zapanowałem nad swoim.

–I co teraz?

Gdy rozmawialiśmy, próbowałem uwolnić rękę z temblaka pod kurtką. Nawet gdyby

mi się udało, nie miałbym z nim większych szans, lecz z jedną ręką szanse spadały do zera. Stał częściowo w cieniu, wciąż na tle jaśniejszego wejścia.

–Dobre pytanie – odparł. – Prawda?

–Niech pan nie pogarsza swojej sytuacji – powiedziałem z przekonaniem, którego nie

odczuwałem. – Niech pan pomyśli o Grace.

Zrobił krok w moją stronę.

–Mówiłem, ebyś jej do tego nie mieszał!

Nie drgnąłem z miejsca, chociaż odruchowo chciałem się cofnąć.

–Dlaczego? Pobił ją pan! Swoją własną onę! W jego oczach dostrzegłem prawdziwy ból.

–Zaskoczyła mnie. Byłem w domu, kiedy przyszliście. Domyśliłem się, co planujecie i wiedziałem, e wrócicie. Chciałem was tylko powstrzymać, zyskać na czasie i spokojnie pomyśleć. Ale ten przeklęty pies wyczuł, e jestem na jachcie, i kiedy Grace weszła do sterówki, po prostu... po prostu odwróciłem się i uderzyłem ją na odlew. Nie chciałem uderzyć tak mocno, ale nie mogła zobaczyć, e to ja!

–I wtedy pan to wszystko zainscenizował? Kazał jej przez to wszystko przechodzić?

–Musiałem!

Powiedział to z wyraźnym wstydem. Wyczułem, e mam przewagę, i drąłem dalej.

–Nie ucieknie pan z wyspy, przecie pan wie.

–Nie, prawdopodobnie nie ucieknę. – Uśmiechnął się tak dziwnie, e przeszedł mnie zimny dreszcz. – Ale się i nie poddam.

Podniósł nó i przyjrzał się mu w zamyśleniu. Błysnęło ostrze.

–Wie pan, dlaczego tu przyszedłem? Odpowiedzi ju nie usłyszałem.

Od tyłu rzucił się na niego jakiś cień. Nó zaklekotał na kamieniach, cisnęło mnie na

ścianę i ramię przeszył potworny ból. Tamci kotłowali się na ziemi jak szarobury kłęb. W półmroku dostrzegłem stęłą z wysiłku twarz Brody'ego. Strachan był

młodszy i sprawniejszy, ale Brody potężniejszy. Przygniótł go, przygwoździł i zaczął okładać pięściami. Uderzył w twarz, raz i drugi. Chrupnęła chrząstka i Strachan zwiotczał. Myślałem, e Brody przestanie, ale on nie przestał. Bił go dalej, wspierając ciosy całym cięarem ciała.

–Brody!

Jakby mnie nie słyszał. Strachan nie stawiał ju oporu i gdy Brody znowu wziął zamach, chwyciłem go za rękę.

–Zabijesz go!

Wyszarpnął się. Miał ponurą, skupioną twarz i wiedziałem, e nic do niego nie dociera. Odepchnąłem się od ściany, runąłem na niego i zrzuciłem go ze Strachana.

Poczułem się tak, jakbym włożył do ognia całe ramię. Brody chciał wstać i znowu zaatakować, lecz ból doprowadził mnie do szału. Odepchnąłem go i wrzasnąłem:

–Przestań!

Przez chwilę myślałem, e mnie uderzy, ale nie, furia powoli ustępowała. Ciężko dysząc, oparł się o ścianę.

Ukląknę. Strachan był zakrwawiony i oszołomiony, ale ył.

–Co z nim? – wysapał Brody.

–śyje.

–Szkoda, bo na to nie zasługuje. – Lecz w tych słowach nie było ju mocy. – Gdzie Fraser?

–Zawrócił. Nie dał rady.

Poszukałem noa. Leał pod ścianą. Podniosłem go przez plastikową torebkę. Był to składany nó do oprawiania ryb z długim na ponad dwanaście centymetrów ostrzem. Wystarczająco duy.

Ale gdy nań patrzyłem, coś we mnie drgnęło. G co chodzi? Co jest nie tak?

Brody wyciągnął rękę.

–Ja się tym zajmę. Spokojnie, nie zadżgam go – dodał, gdy się zawahałem.

Podałem mu nó, chocia przez cały czas coś nie dawało mi spokoju. Strachan jęknął.

Brody schował nó do kieszeni.

–Niech pan pomoe mi go podnieść – powiedziałem.

–Sam wstanę – wysapał Strachan. Miał złamany nos, mówił głuchym, splaszczonym głosem. Podeszedłem do niego.

Brody te, ale dopiero gdy wykręcił mu rękę, zobaczyłem, e ma kajdanki.

–Co pan robi?

–Pamiątka z pracy. – Zatrzasnął kajdanki. – Nazwijmy to aresztowaniem obywatelskim.

–Nie zamierzam uciekać. – Strachan nie stawiał oporu.

–Teraz ju na pewno nie. Wstawaj. Szybko. – Brody szarpnął go za rękę. – No co jest? Nic nie mówisz? Nie twierdzisz, e jesteś niewinny? śe nikogo nie zabiłeś?

–Czy to by coś zmieniło? – odparł głucho Strachan. Brody był zaskoczony, jakby nie spodziewał się, e aresztant tak szybko pęknie.

–Nie. – Pchnął go w stronę wyjścia. – Wyłaż. Pochyliłem głowę, szybko mrugając, wyszedłem za nimi na światło dzienne i

lodowaty wiatr zaparł mi dech w piersi. Obejrzałem twarz Strachana. Wyglądała strasznie. Była zakrwawiona i umazana śluzem. Oko miał tak spuchnięte, e prawie się nie otwierało. Policzek te był spuchnięty i domyśliłem się, e Brody złamał mu nie tylko nos. Poszukałem chusteczki w kieszeni i spróbowałem zatamować krwotok.

–Niech krwawi – mruknął Brody. Strachan uśmiechnął się ironicznie.

–Jak zawsze humanitarny, co?

–Da pan radę zejść? – spytałem.

–A mam jakiś wybór? Wyboru nie miał aden z nas. Nie tylko Strachan był w kiepskim stanie. Wspinaczka i

bójka pozbawiły Brody'ego sił. Poszarzała mu twarz i wątpilem, czy wyglądam lepiej od niego. Znowu rozboleła mnie ręka, drałem z zimna, bo wiatr wdzierał się przez

przepaloną kurtkę i ciął mnie jak lodowatym noem. Musieliśmy zejść ze zbocza, i to jak najszybciej.

Brody pchnął Strachana.

–. Ruszaj.

Strachan omal nie upadł.

–Spokojnie – powiedziałem.

–Niech pan mu nie współczuje, z przyjemnością by pana zabił. Strachan zerknął przez

ramię.

–Nie chcę współczucia. A panu, Davidzie, nic z mojej strony nie groziło.

–Jasne – prychnął Brody. – Dlatego wziął pan nóż.

–Poszedłem tam, eby się zabić, a nie po to, eby zabijać kogoś innego.

–Daruj sobie – odparł szorstko Brody, prowadząc go między głazami. Wraenie, e coś jest nie tak, e czegoś nie dostrzegam, było silniejsze ni

kiedykolwiek przedtem. Niemal wbrew sobie chciałem wysłuchać, co Strachan ma do powiedzenia.

–Nie rozumiem. Zamordował pan troje ludzi. Dlaczego nagle postanowił pan się zabić?

Na jego twarzy malował się wyraz prawdziwej rozpacz.

–Bo dość ju ich umarło. Chciałem być ostatni.

Brody pchnął go tak mocno, e Strachan upadł na kolana na pokrytą gradem trawę.

–Ty zakłamany sukinsynu! Śmiesz mówić to, mając krew na rękach? Chryste, powinienem cię...

–Brody! – Stałem między nimi.

Brody trząsł się z gniewu, całą wściekłość skupiając na klęczącym Strachanie. Z trudem się opanował. Rozluźnił zaciśnięte pięści i się cofnął.

–Dobra. Ale kiedy słyszę, jak się nad sobą uala po tym, jak zniszczył ycie tylu

ludziom, jak zniszczył ycie Ellen...

–Wiem, ale to ju koniec. Niech zajmie się nim policja. Brody wziął głęboki oddech i kiwnął głową. Ale Strachan nie spuszczał go z oczu.

–Ellen? – powtórzył. – Co Ellen? – Tylko nie próbuj zaprzeczać – odparł z goryczą Brody. – Wiemy, e jesteś ojcem Ann,

niech ją Bóg ma w swojej opiece.

Strachan zerwał się z ziemi. Był bardzo zdenerwowany, mocno poruszony.

–Skąd wiecie? Kto wam powiedział? Brody obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

–Nie jesteś taki sprytny, jak myślałeś. Maggie Cassidy na to wpadła. Wszyscy o tym wiedzieli.

Strachan wyglądał jak poraony.

–A Grace? Grace te wie?

–To twoje najmniejsze zmartwienie. Po tym wszystkim...

–Wie?

Jego gwałtowność zaskoczyła nas obydwu. Miałem coraz gorsze przeczucia, ogarnął mnie straszliwy lęk.

–Dowiedziała się przypadkiem – odparłem. – Podśluchała. Strachan potwornie zbladł.

–Do miasteczka. Musimy jechać do miasteczka! Brody chwycił go za rękę.

–Nigdzie nie pojedziesz... Strachan się wyszarpnął.

–Puść mnie, ty cholerny idioto! Chryste, co wyście zrobili!

To nie jego gniew mnie przekonał. Przekonało mnie to, co zobaczyłem w jego oczach. Strach. I nagle uświadomiłem sobie, co mnie tak dręczyło. Dlaczego pomyślałem o tym na

widok noa w jego ręku. Dręczyło mnie to, co powiedział: „Pochlastałem ich jak świnię w rzeźni!” Było to chore i odraające, zwłaszcza e widziałem rany na spalonym ciele Maggie i rozbryzgi krwi w jej samochodzie. Ale chocia Maggie zabito noem,

choć dosłownie ją „pochłastano”, pozostałe ofiary zamordowano zupełnie inaczej. Tak więc albo Strachan powiedział to tylko tak, albo...

O Boe! Co myśmy zrobili?

Z trudem zapanowałem nad głosem.

–Niech pan zdejmie mu kajdanki. Brody spojrzał na mnie jak na wariata.

–Co takiego? Nie zamierzam...

–Nie ma na to czasu! – wtrącił Strachan. – Musimy wracać! Szybko!

–On ma rację – powiedziałem. – Musimy się spieszyć.

–Ale dlaczego? Co się stało? – spytał Brody, ale już wyjmował kluczyk z kieszeni.

–On ich nie zabił – odrzekłem, modląc się, eby robił to szybciej. Ogrom naszego błędu dotarł do mnie z przerażającą jasnością. Dopiero teraz. – To Grace. On próbował ją chronić.

–Grace? – powtórzył z niedowierzaniem Brody. – Jego ona? Strachan nienawistnie wykrzywił poharataną twarz.

–Grace nie jest moją oną. Ona jest moją siostrą.

Rozdział 27

Wejście było prawdziwym koszmarem. Grad ju nie padał, lecz kamienie były przysypane białymi kuleczkami topniejącego lodu, który zmienił zbocze w idealnie gładką zjedalnię. Wiatr, który przedtem nas spowalniał, teraz spychał nas w dół i szło się nam jeszcze gorzej.

Spóźniony refleks to najokrutniejszy luksus. Mieliśmy rację i jednocześnie straszliwie się myliliśmy. Intruz w przychodni, roztrzaskane nadajniki na jachcie, napaść na Grace – to wszystko Strachan. Śledził nasze ruchy od pierwszego dnia, obserwował nas, czasem nas sabotował. Ale robił to tylko po to, eby chronić siostrę, nie siebie. To nie on zabijał.

Zabijała ona.

Chwyciły mnie mdłości, gdy pomyślałem, ile czasu zmarnowaliśmy. Pozostawała jedynie nadzieja, e Grace nigdzie nie pojedzie, bo dowiedziawszy się, e zabiła Maggie, Strachan zabrał kluczyki do obydwu samochodów. Gdyby chciała dostać się do miasteczka, musiałyby iść piechotą. Ale minęło tyle czasu, e na pewno by zdążyła. Próbowałem sobie wmówić, e nie od razu poszła do hotelu, ale sam w to nie wierzyłem. Pamiętałem, jak bardzo była zrozpaczona, kiedy wychodziliśmy. Rozpacz szybko przeradza się w gniew. Pytania musiały poczekać. Naszym celem było teraz jak najszybsze dotarcie do Ellen i Ann, zanim dotrze do nich Grace.

O ile nie było ju za późno.

Nie rozmawialiśmy. Nie mieliśmy ani czasu, ani siły. Gdy weszliśmy na równiejszy teren, puściliśmy się biegiem, a raczej chwiejnym truchtem. Słysząc było tylko wycie wiatru i nasze krótkie, płytkie oddechy. Strachan był z nas najsprawniejszy, lecz biegł z ręką przyciśniętą do boku i domyśliłem się, e Brody złamał mu kilka eber.

Fraser zobaczył nas ju z daleka. Czekał w rangę roverze. Nawiewy pracowały pełną parą i w środku było cudownie gorąco. Uśmiechnął się okrutnie na widok zakrwawionej twarzy Strachana.

–Ktoś spadł ze schodów, co? – rzucił.

–Do hotelu – wysapał Brody, siadając obok niego. – Musimy znaleźć Ellen.

–Po co?

–Jedź! Fraser dodał gazu i popędziliśmy w stronę miasteczka. Brody odwrócił się i wciąż

zdyszany spojrzął na Strachana.

–Gadaj.

Twarz Strachana była tak zmasakrowana, e trudno ją było rozpoznać. Złamany rozplaszczony nos, siny spuchnięty policzek, koszmarne opuchnięte oko – musiało go bardzo boleć, ale tego nie okazywał.

–Grace jest chora – zaczął głucho. – To moja wina. Dlatego nie chciałem stamtąd wracać. Gdybym nie ył, ju by nikomu nie zagraała.

–Ale dlaczego w ogóle zagraała? – spytał Brody. – Na miłość boską, jesteś jej bratem. Dlaczego to zrobiła?

–Bratem? – wykrzyknął Fraser. Gwałtownie skręcił i rzuciło nas w bok.

Milczeliśmy. Strachan wyglądał jak człowiek, który spogląda w stworzoną przez siebie otchłań.

–Bo jest zazdrosna.

Za oknami śmigał nagi krajobraz, lecz nikt z nas tam nie patrzył. Odzyskałem głos jako pierwszy.

–Zabiła Maggie, bo jest... zazdrosna? – powtórzyłem z niedowierzaniem.

Strachanowi drgnęły usta. Kołysał się na wszystkie strony, bezwładnie ulegając ruchom samochodu i nie próbując się nawet przytrzymać.

–Dowiedziałem się, co zrobiła, kiedy wróciła do domu cała we krwi. Maggie chciała się ze mną zobaczyć i była u nas dwa razy. Za pierwszym razem Grace mogła niczego nie

zauwayć. Za pierwszym, ale nie za drugim. śeby mnie zmylić, udała, e ktoś jest pod drzwiami, a potem włożyła list do kieszeni jej kurtki. Wzięła nawet mój samochód, eby

Maggie niczego nie podejrzewała.

A jednak, pomyślałem. Intruz był zmyłką. Tyle tylko, e zmyłką Grace, a nie jej męą.

–Musicie zrozumieć moją... naszą sytuację. – W jego głosie po raz pierwszy

zabrzmiała błagalna nuta. – Wychowywaliśmy się we dwoje. Tylko we dwoje. Matka umarła,

kiedy byliśmy mali, ojciec ciągle gdzieś jeździł. Mieszkaliśmy na odległym, odciętym od

świata ranczu z ochroniarzami i korepetytorami. Nikogo nie znaliśmy, mieliśmy tylko siebie...

–Dalej – ponaglił go Brody.

Strachan zwiesił głowę. Bił od niego zapach wilgoci, zjełczanego potu i krwi.

–Kiedy miałem szesnaście lat, upiłem się pewnego razu i poszedłem do jej sypialni. Oszczędzę wam szczegółów. Zrobiłem źle, to była moja wina. Ale adne z nas nie chciało tego przerwać. Ten układ stał się... stał się czymś normalnym. Kiedy byłem starszy, chciałem z tym skończyć, ale Grace... zaszła w ciążę.

–Poroniła – szepnąłem, przypominając sobie, co powiedział mi w salonie. Zdawało się, e od tamtej chwili upłynęły wieki.

–To nie było poronienie. Kazałem jej zrobić skrobankę. – Powiedział to ze wstydem i bólem w głosie. – Pokątnie, na lewo. Wdały się komplikacje, omal nie umarła. Nie zdradziła, kto jest ojcem, chocia okazało się, e ju nie będzie mogła mieć dzieci. Bardzo się wtedy zmieniła. Stała się niezrównoważona. Zawsze była zaborcza, ale od tamtego czasu... Po śmierci ojca próbowałem to przerwać. Powiedziałem jej, e się z kimś spotykam. Myślałem, e się z tym pogodzi. Ale się nie pogodziła. Poszła do tej dziewczyny i zadźgała ją noem.

–Jezus Maria... – szepnął Fraser. Weszliśmy w zakręt i tył wozu zarzucił na mokrym asfalcie. Sierant jechał najszybciej, jak mógł, ale zdawało się, e stoimy w miejscu.

Nie zważając na obrażenia, Strachan przeciągnął ręką po twarzy.

–Nikt jej nie podejrzewał, ale przede mną nie próbowała nawet tego ukryć.

Powiedziała, e nie chce, ebym się z kimkolwiek spotykał. Nigdy.

–Skoro wiedział pan, e jest tak niebezpieczna, dlaczego nie poszedł pan na policję?

Samochód podskoczył na wyboju i musiałem przytrzymać się fotela.

–śeby wydało się, co nas łączyło? – Strachan pokręcił głową. – Zmarli to zmarli. Nikt

ich nie wskrzesi. Grace była taka przeze mnie. Nie mogłem jej zostawić.

Fraser gwałtownie zahamował. Rzuciło nas do przodu, rangę rover wpadł w poślizg i spod kół trysnęły fontanny szarej brei. Drogę blokowało stado owiec. Sierant nacisnął klakson. Ogarnięte paniką owce zabeczały, tłocząc się wełniście tu za oknem, tak blisko, e mogliśmy dosięgnąć ich ręką. Wreszcie przebiliśmy się i sierant znowu dodał gazu.

Strachan jakby tego nie zauwaył.

–Wyjechaliśmy z Afryki i podróowaliśmy po całym świecie, do miejsc, gdzie nikt nas nie znał. Wszyscy myśleli, e jesteśmy małeństwem. Próbowałem ograniczyć... fizyczny

aspekt naszego związku. Widywałem się z innymi kobietami. Głównie z prostytutkami. Nie

mogłem sobie pozwolić na wybredność – dodał z pogardą. – Ale Grace jest nie tylko zazdrosna, ale i przebiegła. Zawsze się o tym dowiadywała i...

Nie dokończył. Ponaglałem Frasera siłą woli. Nie dojechaliśmy jeszcze do domu Strachanów.

Za daleko. O wiele za daleko...

–Za kadym razem przeprowadzaliśmy się gdzie indziej – ciągnął Strachan.– I za kadym razem było gorzej. Dlatego przyjechaliśmy tutaj. Podobało mi się tu. Podobało mi się

to odludzie, poza tym wiedziałem, e na tak małej wyspie Grace będzie miała ograniczone

ruchy. Z czasem staliśmy się częścią Runy. Z czasem stwierdziłem, e naprawdę chcę coś dla tych ludzi zrobić!

Brody spojrział na niego z pogardą.

–A jak do tego waszego małego rajy pasowała Janice Donaldson? Przez twarz Strachana przebiegł bolesny spazm.

–Szantaowała mnie. Widywałem się z nią przez jakiś czas, ale nie znała mojego prawdziwego nazwiska. Pewnego dnia kiedy u niej byłem, przyszedł Kinross. Nie

miałem pojęcia, e jest jej klientem. Nie widział mnie, ale Janice coś wyczuła, pewnie po mojej reakcji. Popytała i dowiedziała się, kim jestem. Kiedy znowu do niej przyszedłem, zagroziła, e powie Grace. Zapłaciłem jej. Chryste, dostała więcej, ni chciała. Ale to i tak było za mało.

–I przez cały czas wiedział pan, e to pańska siostra ją zabiła? – spytał szorstko Brody.

–Oczywiście, e nie! Nie miałem pojęcia, e przyjechała na Runę! Kiedy znaleziono zwłoki, nie wiedziałem, e ma to coś wspólnego z Grace. Te podpalenia, te poary, przedtem tego nie było. Ale kiedy zabito tego policjanta... Nie mogłem się dłużej oszukiwać.

Przypomniało mi się, jak zareagowałem na widok zwłok Duncana. A więc jednak nie udawałem. Ale przeżyłem wstrząs nie na widok spalonego ciała, tylko na myśl, e siostra znowu zaczęła zabijać.

–Dlaczego to zrobiła? – spytał łamiącym się głosem Fraser, nie odwracając głowy.

Ścinał zakręty na pełnym gazie i rzucało nami na wszystkie strony.

–Nie wiem. Dawniej, ilekroć... ilekroć do tego dochodziło, natychmiast

wyjedaliśmy. Tym razem nie mogliśmy. Kiedy zdała sobie sprawę, e policja chce wszcząć

śledztwo w sprawie morderstwa, musiała wpaść w panikę. Pewnie próbowała zatrzeć za sobą

ślady, Duncan wszedł jej w drogę i...

–Wszedł jej w drogę? – Sierant gwałtownie się odwrócił i samochód niebezpiecznie skręcił. – Jak, kurwa? Jak?

–Spokojnie – powiedział Brody i z kamienną twarzą spojrzał na Strachana. – Ilu ludzi przedtem zabiła?

Strachan pokręcił głową.

–Nie wiem. Nie zawsze mi mówi... Czterech. Moe pięciu. Nie wiedziałem, co jest gorsze, liczba ofiar czy to, e Strachan jej nie zna.

–Opowiedz nam o Ellen – rzucił Brody. Strachan zamknął oczy.

–To był błąd. Zawsze było między nami jakieś... napięcie. Unikałem jej, nie chciałem,

eby Grace zaczęła coś podejrzewać. Kilka miesięcy po naszym przyjeździe na Runę

dowiedziałem się, e Ellen jedzie do Dundee, do przyjaciół z college'u. Pod jakimś

pretekstem pojechałem i ja. To się zdarzyło tylko raz. Potem nie chciała się ju spotykać.

Kiedy dowiedziałem się, e jest w ciąży, chciałem dać jej pieniądze, eby wyjechała. Gdzieś,

gdzie jest bezpieczniej. Ale odmówiła. Powiedziała, e nie weźmie ode mnie ani pensa, bo jestem onaty. O ironio...

Gorycz szybko minęła.

–Całymi nocami leałem przeraony, e Grace się dowie, a teraz...

Nie dokończył. Było ju widać ich dom. Obydwa samochody wciąż stały na podjeździe, w oknach paliło się światło. Zatliła się we mnie iskierka nadziei.

–Sprawdzimy, czy tam jest? – spytał Fraser.

–Na pewno jej nie ma – odparł zdecydowanie Strachan.

Brody był rozdarty. Gdyby Grace była w domu, moglibyśmy zaraz z tym skończyć. Ale gdyby jej nie było, tracilibyśmy jeszcze więcej czasu.

–Co to jest? – spytałem. Na podjeździe leało bez ruchu coś ółtawego. Gdy to rozpoznałem, przeszedł mnie zimny dreszcz.

To był ich golden retriever.

–Zabiła psa? – wykrzyknął Fraser. – Po cholerę?

Nikt mu nie odpowiedział. Minęliśmy dom. Strachan był coraz bardziej przygnębiony.

–Jedź szybciej – rzucił Brody.

Kilka minut później zobaczyliśmy pierwsze domy. Zapadał zmierzch. Ulice były złowróbnie opustoszałe. Prawie nie zwalniając, sierant skręcił w boczną uliczkę prowadzącą do hotelu.

Frontowe drzwi były otwarte.

Strachan wyskoczył z samochodu, zanim się zatrzymaliśmy. Wbiegł na schody, znieruchomiał i zbladł.

Brody zajrzał do holu.

–O Chryste...

Hol był zdemolowany. Wszędzie wały się połamane meble. Na podłodze leżał roztrzaskany zegar, lustro było rozbite na milion kawałków. Mieliśmy przed sobą obraz bezmyślnego zniszczenia, skutek nieokiełznanej furii, ale nie to sparaliowało Strachana.

Sparaliowała go krew. Cały hol tonął we krwi.

Od jej metalicznego zapachu powietrze zgęstniało jak w rzeźni. Zebrała się w kałuach na podłodze, jej abstrakcyjne rozbryzgi widniały na boazerii. Najwięcej było ich na ścianie tu za progiem, bo sięgały niemal sufitu. W tym miejscu musiało dojść do pierwszego ataku, ale po śladach na podłodze łatwo się było domyślić, co zaszło potem. W miarę jak ofiara ataku oddalała się chwiejnie od drzwi, ślady krwi tworzyły szlak, złożony początkowo z dych okrągłych plam, potem z rozmazanych smug.

Szlak znikał w barze.

–Nie – wyszeptał Strachan. – Błagam, nie...

Krew była świeża, nie zdążyła jeszcze zakrzepnąć. Nie tak dawno tryskała z ywego człowieka. Strachan i Brody stali jak poraeni. Przepchnąłem się między nimi i omijając kałuże, wbiegłem w głąb holu. Na białej framudze drzwi, w miejscu, gdzie ktoś się jej przytrzymał, widniał krwawy odcisk ręki. Był rozmazany i nie wiedziałem jakiej, dużej czy małej, ale znajdował się w dolnej części drzwi, jakby ten ktoś pełzał.

Albo jakby zrobiło go dziecko.

Nie chciałem zaglądać do baru. Ale nie miałem wyboru. Wziąłem głęboki oddech i wszedłem.

W barze nie ocalało dosłownie nic. Krzesła i stoły były przewracane, zasłony pocięte, butelki, kieliszki i szklanki roztrzaskane. Wśród tego wszystkiego leżał Cameron. Z pośmiertnie rozluźnionymi kończynami opierał się bezwładnie o ladę. Ubranie miał przesiąknięte krwią, która zaczynała dopiero zasychać. Szeroka rana utworzyła na jego gardle drugie usta, przecinając je w poprzek i prawie odsłaniając sterczące jabłko Adama.

Oczy miał wytrzeszczone, jakby nie mógł uwierzyć, że Grace mu to robi.

–Jezu Chryste – wymamrotał Fraser.

Pachniało przyprawiającą o zawrót głowy mieszaniną alkoholu i krwi. Był tam jeszcze inny zapach, lecz zanim go rozpoznałem, ciszę zburzył przeraźliwy krzyk.

Krzyk dziecka.

Dochodził z kuchni. Zanim ucichł, Strachan puścił się biegiem w tamtą stronę. My za nim. Pchnęliśmy wahadłowe drzwi, wpadliśmy do środka i stanęliśmy jak wryci.

Zniszczenia w barze były niczym w porównaniu z tym, co tam zobaczyliśmy. Pod nogami chrzęściły potłuczone talerze, podłogę pokrywały brudne sterty rozrzuconego jedzenia. Stół był przewrócony, krzesła roztrzaskane, wysoki sosnowy kredens leżał na boku. Od ściany oderwano nawet starą kuchenkę gazową, jakby i ją ktoś chciał przewrócić.

Ale aden z nas tego nie zarejestrował.

W kącie stała Ellen, przerażona, zakrwawiona, lecz żywa. W każdej chwili gotowa wziąć zamach lub odparować cios, w rękach trzymała ciężki rondel, ściskając go tak mocno, że zbieleły jej kłykcie.

Między nią i drzwiami czaiła się Grace. Kurczowo obejmowała Ann, zatykając jej usta wolną ręką.

W drugiej miała nóż. Jego ostrze muskało szyję dziewczynki.

–Cofnijcie się! – krzyknęła Ellen. – Nie podchodźcie do niej! Nie podeszliśmy.

Ubranie Grace było mokre i zabłocone, włosy

zmierzwiłone i rozwiane, twarz napuchnięta i zalana łzami. Nawet w takim stanie była piękna, lecz teraz nie ulegało już wątpliwości, że trawi ją obłąd.

Uświadomiłem sobie coś jeszcze. Zapach, którego nie mogłem rozpoznać w holu, tu rozpoznałem natychmiast. Był tak intensywny, że zatykał gardło.

Gaz.

Spojrzałem na oderwaną od ściany kuchenkę i zerknąłem na Brody'ego. Inspektor leciutko skinął głową.

–Butle są za domem – szepnął do Frasera, nie odrywając oczu od Grace. – Poszukaj zaworu.

Fraser powoli wycofał się z kuchni i zniknął w holu. Zamknęły się za nim drzwi.

–Czekała tu, kiedy wróciłam od Rosę – wyszłochała Ellen. – Wszedł z nami Bruce i kiedy chciał z nią porozmawiać...

–Wiem – powiedział spokojnie Strachan. Podszedł krok bliżej. – Odłó nó, Grace.

Grace popatrzyła na jego zakrwawioną twarz. Skojarzyła mi się z napiętą cięciwą łuku, która w kadej chwili moe pęknąć.

–Michael... Co ci się stało?

–Niewane. Puść ją. Błąd. Grace ohydnie wykrzywiła twarz.

–Ją? Twoją córkę? Strachan stracił pewność siebie. Ale szybko ją odzyskał.

–Nic ci nie zrobiła. Zawsze ją lubiłaś. Wiem, e nie chcesz jej skrzywdzić.

–To prawda? – Grace się rozplakała. – Prawda? Powiedz, e oni kłamią! Proszę cię, powiedz!

Powiedz, do cholery, pomyślałem. Powiedz, co tylko zechce! Ale Strachan za długo się wahał. Grace zmarszczyła czoło.

–Nie! – jęknęła.

–Grace...

–Zamknij się! – Ściągną w jej szyi napięły się jak struny. – Przeleciałeś tę sukę! Woląłeś ją ni mnie?

–Grace, wszystko ci wyjaśnię... – zaczął Strachan, ale tracił ją. Tracił ją.

–Kłamiesz! Kłamałeś przez cały czas! Tamte ci wybaczyłam, ale jej... Jak mogłeś?

Było tak, jakby oprócz nich, brata i siostry, nie istniał nikt inny. Zapach gazu stawał się coraz silniejszy. Co ten Fraser tak długo robi? Powoli, ostronie Brody zrobił krok w stronę Grace.

–Niech pani odłoy nó. Nikt nie robi...

–Nie podchodź! – krzyknęła. Brody się wycofał. Grace patrzyła na nas z podnoszącymi się i opadającymi piersiami

i potwornie wykrzywioną twarzą.

Ciszę zburzył nagle metaliczny stukot. Ellen upuściła rondel, który odbił się od podłogi z przeraźliwym brzękiem. Podeszła bliżej.

–Ellen, nie! – powiedział Strachan, lecz w jego głosie było więcej strachu niż zdecydowania.

Ellen nie zwracała na niego uwagi. Całą uwagę skupiła na Grace.

–To mnie chcesz, prawda? Proszę, jestem. Ale puść moją córkę.

–Na miłość boską, Ellen...- zaczął Brody, ale równie dobrze mógłby się nie odzywać. Ellen zapraszająco rozłożyła ręce.

–No? Na co czekasz? Kącik ust Grace podskakiwał i opadał jak sekundnik zepsutego zegarka.

–Spójrz na mnie – rzucił rozpaczliwie Strachan. – Na mnie, nie na nią. Ona jest niewana...

–Nie wtrącaj się – warknęła ostrzegawczo Ellen.

Ale on zrobił ju krok w stronę siostry, jeden, potem drugi. Wyciągnął przed siebie ręce, jakby próbował oblaskawić dzikie zwierzę.

–Liczysz się tylko ty – mówił. – Przecie wiesz. Puść ją. Puść ją i wyjedziemy stąd. Zaczniemy wszystko od nowa. We dwoje, tylko ty i ja.

Grace patrzyła na niego z poądaniem tak jawnym, e a obscenicznym.

–Odłó nó – powtórzył Strachan.

Grace jakby złagodniała. Czuliśmy, e nadeszła decydująca chwila, e oto way się los małego dziecka. Wyciekający gaz drapał w gardle.

I w tym momencie Ann szarpnęła się i uwolniła spod jej ręki.

–Mamusi, to boli... Grace natychmiast zatkała jej usta. Miała oblęd w oczach.

–Niepotrzebnie kłamałeś, Michael – powiedziała i odchyliła głowę Ann do tyłu.

–Nie! – Strachan rzucił się na nią w chwili, gdy nóg opadł.

My rzuciliśmy się za nim, lecz Ellen zareagowała najszybciej z nas wszystkich i gdy rozwścieczona do nieprzytomności Grace przeraźliwie krzyknęła, wyrwała jej córkę z rąk. Podczas gdy Brody pomagał Strachanowi obezwładnić siostrę, ja podbiegłem do nich, do Ellen i Ann.

–Puść ją muszę ją obejrzeć!

Ellen jakby mnie nie słyszała. Wysmarowana krwią ze wszystkich sił obejmowała

Ann i histerycznie szlochała. Widziałem jednak, że to krew z jej płytkich ran i drobnych skaleczeń, że dziewczynce nic się nie stało. Dzięki Bogu. Zalała mnie fala ulgi, lecz w tej samej chwili usłyszałem głos Brody’ego.

–David...

Brzmiał dziwnie. Obejrzałem się. Inspektor wykręcił Grace rękę, lecz ona nie stawiała

już oporu. Obydwoje patrzyli na Strachana. Stał tu obok i z lekko zaskoczoną miną spoglądał w dół.

Z brzucha sterczał mu nóg.

–Michael? – szepnęła Grace.

–Wszystko w porządku – odparł i załamały się pod nim nogi.

–Michael! – krzyknęła Grace. Chciała do niego podbiec, lecz Brody ją przytrzymał. Zdrową ręką chwycił

Strachana pod pachę.

–Ellen, zabierz stąd Ann. – Strachan osunął się na podłogę. – Zaprowadź ją do sąsiadów.

–Czy on...

–Idź już! Chciałem, żeby jak najszybciej wyszły. Smród propanu przyprawiał o mdłości.

Zerknąłem na przenośny grzejnik. Leżał na podłodze i na szczęście był wyłączony. Brakowało tylko, żeby w pomieszczeniu pełnym gazu palił się ogień. Gdzie ten przeklęty Fraser? Co tak długo robi?

Grace histerycznie szlochała. Ukląłem. Strachan miał przeraźliwie bladą twarz.

–Puśćcie ją – wycharczał. – Ona ju nie ucieknie.

Zerknąłem na Brody’ego i kiwnąłem głową. Brody zawahał się i zwolnił uścisk. Grace opadła na kolana przy bracie.

–Boe, Michael... – Z udręką w oczach spojrzała na mnie. – Niech pan coś zrobi!

Niech mu pan pomoe!

Strachan spróbował się uśmiechnąć. Wziął ją za rękę.

–Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

–Niech pan nie mówi – powiedziałem. – i się nie rusza. Zbadałem ranę. Wyglądała fatalnie. Nó wbił się w brzuch po rękojeść. Obraenia wewnętrzne musiały być straszne.

–A pan niech nie będzie taki ponury – szepnął.

–To tylko draśnięcie – odparłem. – Pomogę panu się położyć. Tylko niech pan nie dotyka noa.

Gdyby go wyjął, błyskawicznie wykrwawiłby się na śmierć. Ostrze działało jak korek i spowalniało krwotok. Przynajmniej chwilowo.

Grace położyła sobie jego głowę na kolanach. Wciąż szlochała, lecz ju nie tak histerycznie jak przedtem. Opuściły ją siły, opuściło ją szaleństwo. Próbując zachować spokój, szybko przeanalizowałem dostępne opcje. Nie było ich wiele. Nie mieliśmy odpowiedniego sprzętu, jedyny pielęgniarz na wyspie leał martwy w barze. Strachan umarłby bez względu na to, co byśmy zrobili, chyba e udałoby się go przewieźć na Lewis.

Wrócił Fraser. Wpadł do kuchni i poślizgnął się na zaścieniających podłogę skorupach.

–Jezu! – sapnął na widok Strachana. Szybko wziął się w garść. – Butle są zamknięte,

nie mogę otworzyć drzwiczek!

Brody próbował odsunąć kredens, który blokował tylne drzwi. Wyprostował się i rozejrzał wokoło.

–Klucze muszą być gdzieś tutaj.

Ale nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie Ellen je trzyma, nic by nam to nie dało.

Wszystkie szuflady były wyciągnięte, a ich zawartość porozrzucana. Klucze mogły być wszędzie i nigdzie.

Brody doszedł do takiego samego wniosku.

–Nie ma czasu na szukanie. Musimy stąd wyjść. I wyłamać drzwiczki.

W normalnych okolicznościach o przeniesieniu Strachana nie byłoby mowy, ale gaz nie pozostawiał nam wyboru. Zgęstniał do tego stopnia, e czułem jego smak i wiedziałem, e zaraz nie będzie tu czym oddychać. Propan jest cięższy od powietrza, dlatego najwięcej było go tu nad podłogą, tam, gdzie leżał Strachan.

–Moemy wynieść go na stole – odparłem.

Grace wciąż szlochała. Strachan obserwował nas bez słowa. Musiało go potwornie boleć, mimo to był niezwykle opanowany. Niemal spokojny.

–Zostawcie mnie – powiedział słabnącym głosem.

–Miał pan nic nie mówić.

Uśmiechnął się i przez chwilę wyglądał jak Strachan, którego poznałem zaraz po przyjeździe na Runę. Grace głaskała go po twarzy, zawodząc i jęcząc jak ranne zwierzę.

–Przepraszam, przepraszam...

–Ciii... Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Fraser i Brody zmagali się z ciężkim stołem. Ruszyłem do okna z nadzieją, e się

otworzy, e nie zamalowano ram. Było małe, ale nawet odrobina świeżego powietrza znacznie polepszyłaby sytuację. Lecz kiedy zrobiłem dwa kroki w tamtą stronę, zobaczyłem, e Strachan podnosi coś z podłogi.

–Nie, odejdz, David. W ręku trzymał zapalarkę do gazu. Kciuk opierał na przycisku.

–Przykro mi, ale nigdzie mnie nie zabierzecie...

–Odló to, Michael – powiedziałem z całą stanowczością, na jaką było mnie stać. Wystarczyłaby jedna iskierka i... Zerknąłem na grzejnik. Grzejnik miał butlę, w drucianej klatce tu za ścianą stało kilkanaście zapasowych – wylecielibyśmy w powietrze razem z całym hotelem.

–Nie odłogę...- Błada twarz Strachana błyszczała od potu.-Wyjdźcie stąd. Wszyscy.

–Nie bądź głupi – warknął Brody. Strachan podniósł zapalarkę.

–Jeszcze jedno słowo i przysięgam, e to nacisnę.

–Do kurwy nędzy, zamknij się, Brody! – krzyknął Fraser. Strachan uśmiechnął się trupim uśmiechem.

–Bardzo dobra rada. Liczę do dziesięciu. Raz...

–A co z Grace? – spytałem, chcąc zyskać na czasie.

–Grace i ja zostaniemy razem. Prawda, siostrzyczko? Grace zamrugła przez łzy, jakby dopiero teraz dotarło do niej, co się dzieje.

–Michael, co ty chcesz zrobić?

–Zaufaj mi – odparł z uśmiechem Strachan.

I nagle, zanim ktokolwiek z nas zdążył zareagować, wyszarpnął nó z brzucha. Przerażliwie krzyknął, kurczowo ściskając rękę siostry. Z rany buchnęła krew.

Zrobiłem krok w jego stronę, ale znowu podniósł zapalarkę.

–Wychodźcie! Ale ju! – syknął przez zaciśnięte zęby. – O Chryste...

–Michael... Brody chwycił mnie za rękę.

–Wychodź.

Fraser biegł ju do drzwi. Popatrzyłem na Strachana ostatni raz. Wciąż leał, jedną ręką ściskając zapalarkę, drugą rękę siostry. Na twarzy Grace malowało się niedowierzanie. Spojrzała na mnie, otworzyła usta, eby coś powiedzieć, ale wtedy Brody wyciągnął mnie na korytarz.

–Nie, zaczekaj...

–Biegnij! – ryknął i pchnął mnie w plecy. Trzymał mnie, nie chciał puścić, niemal wywlókł mnie na dwór. Fraser stał ju przy

rangę roverze i szperał w kieszeni w poszukiwaniu kluczyków.

–Zostaw go! – krzyknął Brody, nie zwalniając kroku. – Uciekaj!

Do najbliższych domów mieliśmy za daleko, ale był tam stary kamienny murek.

Brody zawlókł mnie tam, powalił na ziemię, a sekundę później tu obok wylądował Fraser. Czekaliśmy, ciężko dysząc.

Nic się nie działo.

Ostronie wyjrzałem. Zapadający zmierzch, łośnie trzaskające na wietrze drzwi - hotel wyglądał znajomo, zwyczajnie i prozaicznie.

–Minęło ponad dziesięć sekund – wymamrotał Fraser. Wstałem.

–Co pan, do diabła, robi? – spytał Brody. Pokręciłem głową.

–Chcę...

I wtedy hotel eksplodował. Zobaczyłem oślepiający rozbłysk i ściana potwornego huku omal nie zwała mnie z

nóg. Przykucnąłem, osłoniłem głowę i posypały się na nas odłamki dachówek i cegieł. Gdy ich głuchy stukot ustał, zaryzykowałem szybkie zerknięcie.

Hotel spowijał całun kłębiącego się dymu. Dach wyleciał w powietrze, przez roztrzaskane okna widać było ólte jęzory szybko rozprzestrzeniającego się ognia.

Z pobliskich domów wybiegali ludzie. Nawet tu, za murkiem, czułem gorący oddech poaru.

Rozwścieczony spojrzałem na Brody'ego.

–Mogłem go powstrzymać!

–Nie, nie mogłeś. – Brody miał znuony głos. – A nawet gdyby, on ju nie ył.

Wyciągnął nó.

Odwróciłem wzrok, wiedząc, e ma rację. Palił się ju cały hotel. Drewniane ściany i podłogi płonęły jak podpałka. Ściany, podłogi i wszystko to, co zostało w środku.

–Co z Grace? – spytałem.

Brody patrzył w ogień. Miał mroczną twarz.

–A co ma być? – odparł.

Rozdział 28

Dwa dni później nad Runą wstał jasny, słoneczny dzień. Było ju prawie południe, gdy wysiedliśmy z samochodu na drodze nad portem i weszliśmy na szczyt klifu z widokiem na Stać Ross. Wokół czarnej, wysokiej jak wiea skały krążyły mewy, ojej podnóe roztrzaskiwały się fale, wyrzucając w powietrze fontanny piany. Rozkoszując się ciepłym słońcem, wciągnąłem do płuc haust świeiego słonego powietrza.

Wracałem do domu.

Policja przyjechała poprzedniego dnia rano. Nasyciwszy się chaosem, który osobiście nadzorował, sztorm minął ledwie kilka godzin po poarze hotelu. Przed upływem nocy -pogorzeliisko tliło się jeszcze i dymiło-zaczęły działać telefony. W końcu mogliśmy zadzwonić do Wallace'a. Morze było zbyt wzburzone, eby jakakolwiek łódź mogła wpłynąć lub wypłynąć z portu, lecz niebo pojaśniało i wczesnym rankiem nad skałami zwiśł śmigłowiec stray przybrzenej z pierwszą grupą policjantów, od których dwadzieścia cztery godziny później miało się tu zaroić.

Całą wyspę ogarnęło gorączkowe śledztwo, dlatego znalazłem wreszcie czas, eby zadzwonić do Jenny. Rozmowa była trudna, ale zapewniłem ją, e nic mi nie jest, i obiecałem, e najdalej za dwa dni wrócę do domu. Chocia na Runie była ju policja, nie mogłem tak od razu wyjechać. Nie chodziło tylko o nieuchronne przesłuchania, sprawozdania i raporty – po prostu czułem, e mam tu jeszcze coś do zrobienia. Wiedziałem, e zanim wydobędą z pogorzeliiska zwłoki Strachana, Grace i Camerona, upłynie co najmniej kilka dni, moe nawet tydzień, zakładając, e w ogóle coś z nich pozostało. Ale były jeszcze zwłoki Maggie i Duncana, i chciałem uczestniczyć w ich badaniu.

Musiałem. Zaszedłem tak daleko, e po prostu musiałem.

I uczestniczyłem. Ciało Maggie zostało przewiezione na ląd poprzedniego wieczoru, wczesnym rankiem wydobyto z przyczepy ciało Duncana. I jego latarkę, która miała zostać zbadana w laboratorium. Nie dość, e pasowała kształtem do rany, to jeszcze były na niej zapieczone ślady krwi. Trzeba to było potwierdzić, ale dawałem głowę, e to właśnie nią Grace zabiła Duncana.

Zrobiłem, co mogłem. Nie miałem powodu zostawać tu dłużej. Poegnałem się tylko z kilkoma osobami. Wymieniłem niezręczny uścisk dłoni z Fraserem, potem poszedłem do Ellen i Ann. Mieszkały u sąsiadów, lecz znosiły to wszystko zaskakująco dobrze.

–Hotel to tylko cegły i zaprawa murarska – powiedziała Ellen, – A co do Michaela...

Spojrzała na bawiącą się w pobliu córkę i jej oczy zasnuł mroczny cień. – Przykro

mi, e nie

yje. Ale bardziej cieszę się z tego, co ocalało.

Kolejny śmigłowiec stray przybrzanej miał przylecieć za godzinę i wysadziwszy policjantów, zabrać mnie do Stornoway. Stornoway, Glasgow, Londyn – podróż, którą rozpocząłem przed tygodniem, powoli dobiegała końca.

Nareszcie.

Myślałem, e będę skakał z radości, ale nie. Chocia bardzo tęskniłem za Jenny, idąc z Brodym, czułem się dziwnie nijako. Brody te milczał i był zamyślony. Chocia u niego spałem, od przyjazdu policji widywałem go bardzo rzadko. Inspektor, nie inspektor, był teraz zwykłym cywilem i grzecznie odsunięto go od śledztwa. Współczułem mu. Po tym wszystkim musiał bardzo to przeżyć.

Na szczycie klifu zrobiliśmy sobie odpoczynek. Nieco dalej kamienny Starzec z Runy wciąż wypatrywał swojego zaginionego syna. Niecki nie było widać, lecz wiedzieliśmy, e samochód Maggie ju stamtąd zabrano. W zimowym słońcu krążyły rozkrzyczane mewy i głuptaki. Wciąż wiało, ale duo słabiej. Grubą warstwę chmur zastąpiły białe cumulusy sunące spokojnie po błękitnym niebie. Pod pewnymi względami zanosilo się na piękny dzień.

–To jeden z moich ulubionych widoków – powiedział Brody, patrząc na port, gdzie niczym wielki komin z morza sterczał Stać Ross. Siwe włosy falowały inspektorowi na

wietrze niczym fale sześćdziesiąt metrów niej. Wyciągnął rękę i pogłaskał psa. – Bess dawno

nie miała okazji tu pobiegać.

Potarłem ramię. Wciąż bolało, ale prawie do tego przywykłem. W Londynie zamierzałem je przeświecić.

–Co teraz będzie? – spytałem. – Z Runą.

Wyspa była w stanie szoku. W ciągu ledwie kilku dni straciła czterech mieszkańców, łącznie ze swoim dobroczyńcą. Ludzie nie mogli się z tym pogodzić, tym bardziej e ofiary zginęły w tak potworny sposób. Nie oszczędziła ich równie wichura, która poobijała kutry w porcie i zerwała cumy pięknego jachtu Strachanów. Jego wrak miano znaleźć dopiero kilka dni później, lecz jacht był najmniejszą stratą. Wiedziałem, e znacznie trudniej będzie im podnieść się po innych.

–Bóg wie. – Brody’emu opadły kąciaki ust. – Przez jakiś czas jeszcze jakoś pociągnie. Ale bez farmy, bez pracy, bez inwestycji... Wątpię, czy przetrwa.

–Myśli pan, e będzie jak z St Kildą?

–Nie od razu. Ale w końcu... – Uśmiechnął się lekko. – Miejmy nadzieję, e miejscowi nie potopią chociaż psów przed wyjazdem.

–Zostanie pan? Wzruszył ramionami.

–Zobaczymy. Ale nie mam po co wyjechać. Bess przywarowała i z łbem na łapach wpatrywała się w niego natarczywie. Brody

wyjął z kieszeni piłkę tenisową i rzucił ją. Suka po-truchtała przez trawę na sztywnych nogach, wesoło machając ogonem.

–śałużę tylko, e nie porozmawialiśmy z Grace. śe nie dowiedzieliśmy się, dlaczego to zrobiła.

Brody podniósł piłkę i znowu rzucił ją psu.

–Z zazdrości – powiedział. – Tak jak Strachan. I pewnie z nienawiści. Nawet pan nie wie, jakie to silne uczucie.

–Ale to i tak wszystkiego nie wyjaśnia. Choćby tego, dlaczego Duncana i Janice Donaldson zabiła uderzeniem w głowę, a Maggie i Camerona zadźgała noem. Tak jak tamte, o których mówił Strachan.

–Kwestia środków i okazji. Nie przypuszczam, e cokolwiek planowała. Działała pod wpływem chwili. Latarka Duncana była pewnie pod ręką. Coś innego było pod ręką, kiedy zabiła Janice. Ale ju nigdy się tego nie dowiemy.

Bess położyła piłkę u jego stóp. Brody podniósł ją, rzucił i uśmiechnął się smutno.

–Nie na wszystkie pytania da się odpowiedzieć, ebyśmy nie wiem, jak chcieli.

Czasami trzeba to sobie odpuścić i yć dalej.

–Chyba tak.

Zapalił papierosa i zaciągnął się z wyraźną przyjemnością. Schował paczkę do kieszeni.

–Nie wiedziałem, e jest pan leworęczny.

–Słucham?

–Rzucał pan piłkę lewą ręką.

–Tak? Nie wiedziałem. Serce zabiło mi szybciej.

–Kilka dni temu, kiedy nalewał nam pan herbaty, robił to pan prawą. Tłumaczyłem wtedy Fraserowi, e zabójca jest mańkutem.

Przyjrzał mi się zmruonymi oczami, pytająco i z lekkim poirytowaniem.

–Do czego pan zmierza, Davidzie? Zaszło mi w ustach.

–Grace była praworęczna. Zmarszczył czoło.

–Skąd pan wie?

–Tam, w hotelu, z Ann, trzymała nó prawą ręką. Przypomniało mi się to dopiero teraz, kiedy zobaczyłem, jak rzuca pan piłkę. A przedtem widziałem, jak filetowała kurczaka. Te robiła to prawą.

–Moe coś się panu pomyliło?

Chciałbym. Przez chwilę łudziłem się nadzieją. Ale wiedziałem swoje.

–Nie – odparłem, chyba z alem. – Ale nawet gdyby, zawsze mona sprawdzić odciski palców na jej pędzlach i rękojeściach noy.

–A jeśli jest oburęczna?

–Wtedy znajdziemy na nich równą ilość odcisków z obydwu rąk. Brody zaciągnął się dymem.

–Widział pan, jaka ona jest. Powanie myśli pan, e Strachan kłamał?

–Nie, nie mam adnych wątpliwości, e zamordowała Maggie i Bóg wie ile innych, zanim tu przyjechali. Ale Strachan po prostu załoył, e zabiła równie Janice Donaldson i Duncana. Chyba się mylił.

Pragnąłem, eby Brody zbył to śmiechem, eby wytknął błędy w moim rozumowaniu. Ale on tylko westchnął.

–Za długo pan tu siedział, Davidzie. Szuka pan czegoś, czego nie ma. Musiałem zwilić usta, inaczej nie mógłbym nic powiedzieć.

–Skąd pan wiedział, e Duncana zabito jego własną latarką? Brody zmarszczył brwi.

–A nie latarką? Przecie sam pan tak mówił.

–Nie, nie mówiłem. Zastanawiałem się nad tym, ale tylko się zastanawiałem.

Wspomniałem o tym dopiero po przyjeździe ludzi Wallace’a.

–Pewnie słyszałem to od nich.

–Kiedy? Lekko poirytowany machnął ręką.

–Nie wiem. Moe wczoraj.

–Latarkę zabrano z pogorzelniska dopiero wczoraj wieczorem. To, czy jest narzędziem

zbrodni, wykaą dopiero badania. śaden z techników nie mógł tak powiedzieć.

Mruąc oczy w blasku jaskrawego słońca, Brody spojrział na Stać Ross. Sześćdziesiąt metrów pod nami roztrzaskiwały się fale.

–Niech pan to sobie odpuści, Davidzie – szepnął. Ale ja nie mogłem. Serce waliło mi tak głośno, e chyba to słyszał.

–Grace nie zabiła Duncana, prawda? Ani Duncana, ani Janice Donaldson. Odpowiedział mi tylko krzyk mew i odległy szum morza. Powiedz coś. Zaprzecz. Ale

on był jak Starzec z Runy, nieugięty i milczący. Z trudem odzyskałem głos.

–Dlaczego? Dlaczego pan to zrobił? Rzucił papierosa, rozgniół go czubkiem buta, podniósł i schował do kieszeni.

–Za Rebecę. Chwilę trwało, zanim to do mnie dotarło. Rebecca, córka, która uciekła z domu i

zaginęła. Której Brody szukał przez wiele lat. „Nie yje” – tak wtedy powiedział, ale dopiero teraz zrozumiałem, jak potworne kryją się za tym rzeczy. Wszystko stało się nagle jasne i przejrzyste.

–Myślał pan, e to Strachan ją zamordował. Zabił pan Janice, eby go zrobić.

Ból w jego oczach był wystarczającą odpowiedzią. Bez słowa zapalił kolejnego

papierosa.

–To był wypadek – powiedział. – Od lat zbierałem dowody przeciwko niemu. Tylko dlatego przyjechałem na tę przeklętą wyspę. żeby być blisko niego.

Krąjąca nad nami mewa złapała wiatr i pochyliła skrzydła. Stojąc na szczycie skąpanego w zimowym słońcu klifu, poczułem się nagle jak w nierzeczywistym świecie, jak w zbyt szybko zjedającej windzie.

–Wiedział pan, e ju przedtem ktoś zginął? Wiatr rozwiął smukę papierosowego dymu.

–Domyślałem się, miałem podstawy. Myślałem ju, e Becky nie yje. Szedłem za nią tak długo i nagle ślad się urwał. Dlatego, kiedy doszły mnie plotki, e przed zniknięciem spotykała się z jakimś bogatym Południowoafrykańczykiem, zacząłem kopać. Dowiedziałem się, e Strachanowie często przenosili się z miejsca na miejsce, e mieszkali w wielu krajach, ale zawsze bardzo krótko. Przejrzałem archiwa prasowe i okazało się, e mniej więcej w tym samym czasie ginęły tam lub znikaly kobiety. Nie wszędzie, ale było ich za duo, eby mona to uznać za przypadek. Im dłużej szukałem, tym bardziej byłem przekonany, e zabił równie Becky. Wszystko pasowało.

–I nie zawiadomił pan policji? Na miłość boską przecie był pan inspektorem! Posłuchaliby pana!

–Nie bez dowodów. Szukając jej, pociągnąłem za wszystkie sznurki, prosiłem o pomoc kogo tylko mogłem. Ju i tak wielu kolegów myślało, e mi odbiło. A gdybym poszedł na bezpośrednią konfrontację, Strachan znowu by przywarował. Rzec w tym, e Rebecca uywała nazwiska swojego ojczyma i w aden sposób nie mógł mnie z nią skojarzyć. Dlatego postanowiłem tu przyjechać. Miałem nadzieję, e powinie mu się noga.

Cały drałem, ale bynajmniej nie z zimna.

–No i? – spytałem zaskoczony swoim gniewem. – Zmęczył się pan czekaniem?

Brody strząsnął popiół z papierosa. Momentalnie porwał go wiatr.

–Nie. Pojawiła się Janice Donaldson.

Z nieprzeniknioną twarzą opowiedział mi, jak to pod pozorem załatwienia jakichś

spraw jeździł do Stornoway, ilekroć Strachan pływał tam jachtem. Początkowo bał się, e Strachan szuka kolejnej ofiary, ale kiedy okazało się, e kobiety, z którymi się spotykał, są całe i zdrowe, ulga ustąpiła miejsca zaskoczeniu, a potem frustracji.

Pewnego wieczoru kiedy Janice Donaldson wyszła z baru, zagadnął ją i zaproponował pieniądze w zamian za informacje o przyzwyczajeniach i nawykach Strachana – miał nadzieję, e dowie się czegoś o jego skłonnościach do przemocy. Po raz pierwszy zaryzykował i odsłonił przyłbicę, ale doszedł do wniosku, e warto. Przecie Janice go nie znała.

A przynajmniej tak myślał.

–Skojarzyła mnie – mówił. – Okazało się, e mieszkała kiedyś w Glasgow i wskazano mi ją jako potencjalną informatorkę, kiedy szukałem Becky. Znała ją. Wyznaczyłem nagrodę

i chciała ją zgarnąć, ale tu przedtem aresztowano ją za nagabywanie klientów. Kiedy wyszła,

mnie ju nie było. Dlatego zaproponowała, e opowie mi o niej teraz.

Za pieniądze oczywiście.

Zaciągnął się i wydmuchał dym na wiatr.

–Powiedziała, e Becky była prostytutką. Domyślałem się tego, bo wiedziałem, jak yła. Ale domyślać się i usłyszeć to od kogoś takiego... Nie chciałem jej zapłacić, więc

zagroziła, e powie Strachanowi, kim jestem, e o niego wypytuję. A potem zaczęła

wygadywać o Rebecce rzeczy, których aden ojciec nie chciałby usłyszeć. Dlatego ją uderzyłem.

Spojrzał na swoją rękę. Przypomniało mi się, z jaką łatwością pobił do nieprzytomności Strachana w brochu. Czułem ucisk temblaka pod kurtką, doskonale zdawałem sobie sprawę, e stoję ledwie kilka metrów od skraju przepaści. Z trudem odwróciłem wzrok. Mało brakowało i bym się cofnął.

–Zawsze byłem wybuchowy – ciągnął niemal łagodnie. – Dlatego ona ode ranie odeszła. I dlatego, e piłem. Ale myślałem, e nad tym panuję. Od lat nie piłem niczego mocniejszego ni herbata. Rozmawialiśmy w dokach. Nie uderzyłem jej mocno, ale była

pijana. Upadła, trafiła głową w słup...

A więc jednak nie pałka, mimo to uderzenie.

–Jeśli to był wypadek, dlaczego nie poszedł pan na policję? Po raz pierwszy ujrzałem gniewny błysk w jego oczach.

–Miałem dać się zamknąć za nieumyślne spowodowanie śmierci, podczas gdy ten sukinsyn wciąż przebywał na wolności? O nie. Był inny sposób.

–Postanowił go pan zrobić.

–Powiedzmy. Rozwiązanie było pokrętne, lecz całkiem sensowne – z jego punktu widzenia. Z Janice

Donaldson nic go oficjalnie nie łączyło, ale Strachan to zupełnie inna sprawa. Gdyby Janice znaleziono martwą na Runie i gdyby wyszło na jaw, e był jej klientem – a Brody ju by o to zadbał – miejscowy dobroczyńca szybko stałby się głównym podejrzanym. Plan nie był doskonały, lecz gdyby wypalił, sprawiedliwości stałoby się zadość.

Dla Brody'ego było to lepsze ni nic.

I nagle coś przyszło mi do głowy. Przypomniała mi się jej czaszka, czaszka Janice z siateczką drobniutkich pęknięć.

–Ona jeszcze żyła, prawda? Brody spojrział na Stać Ross.

–Myślałem, e ją zabiłem. Włóylem ją do baganika, ale gdybym wiedział, e yje, nie zaryzykowałbym przewiezienia jej promem. Wróciłem, otworzyłem baganik i zobaczyłem, e zwymiotowała. Ale wtedy była ju martwa.

Nie, z taką raną nie przeżyłaby podróży promem. W najlepszym wypadku doszłoby do krwotoku, który bez szybkiej pomocy lekarskiej byłby niewątpliwie śmiertelny.

A na taką pomoc nie miała szans.

Tak więc Brody działał zgodnie z planem. Podrzucił w chacie dowody rzeczowe, które miały jeszcze bardziej obciążyć Strachana: sierść golden retrievera i odcisk kalosza, który zdjął kiedyś w ich szopie. Potem podpalił zwłoki. Zrobił to nie tylko po to, eby zatrzeć ślady, które mogły połączyć go z Janice, ale i po to, eby ukryć fakt, i Janice nie umarła w chacie, co śledczy z pewnością by odkryli. Sprzedał nawet samochód i kupił nowy, dobrze wiedząc, e bez względu na to, jak dokładnie by go wyczyścił, w baganiku pozostałyby mikroskopijne ślady krwi. Wykorzystał całe swoje doświadczenie i wiedzę, starał się wszystko przewidzieć.

Lecz z morderstwem jest tak jak z yciem: i jedno, i drugie jest nieprzewidywalne.

Zaciągnął się papierosem.

–Chciałem, eby zwłoki znalazł ktoś inny. Ale po miesiącu czekania, wiedząc, e tam leą nie mogłem dluej tego wytrzymać. Chryste, kiedy poszedłem tam i je zobaczyłem... -Bez słowa pokręcił głową. – Poląłem je benzyną ale tylko trochę, bo miało to wyglądać na nieudaną próbę podpalenia. Przecie chciałem, eby ją zidentyfikowano, eby policja uznała to za morderstwo. Ale mogłem tylko zgłosić znalezisko i mieć nadzieję, e śledczy zrobią swoje.

Ale zamiast wykwalifikowanych śledczych przysłano mu pijanego sieranta i młodego, niedoświadczzonego policjanta. No i mnie.

Gdy uświadomiłem sobie ogrom jego zdrady, chwyciły mnie mdłości. Wykorzystał nas wszystkich, grał na naszym zaufaniu i konsekwentnie wrabiał Strachana. Nic dziwnego, e z grona podejrzanych tak szybko wykluczył Camerona i Kinrossa. W gardle rosła mi gula rozgoryczenia.

–A Duncan? – spytałem zbyt zły, eby się go bać. – Wliczył go pan w straty uboczne?

Brody przyjął to oskarenie z kamienną twarzą.

–Popelniłem błąd. W zawalonej chacie przepadły wszystkie dowody rzeczowe, które tam podrzuciłem, i martwiłem się, e policja nie obciąży Strachana, nawet jeśli zidentyfikują

zwłoki. Dlatego zacząłem sondować Duncana. Wiedziałem, e jest bystry. Postanowiłem go

wykorzystać.

Zły na siebie znowu pokręcił głową.

–Byłem głupi. Niepotrzebnie to pokomplikowałem. Nie powiedziałem mu duo, tylko tyle, e mam pewne podejrzenia co do Strachana i e ktoś powinien go prześwietlić. Chciałem

trochę nim posterować, eby mógł to rozgryźć i zgarnąć wszystkie laury. Ale potem dałem

ciała. Powiedziałem mu, e Strachan jeździ do Stornoway na dziwki.

Przyjrzał się rozarzonemu czubkowi papierosa.

–Od razu spytał mnie, skąd o tym wiem. Powiedziałem, e to tylko plotki, ale czułem, e jest źle. Widzi pan, nikt inny nie miał o tym pojęcia. Poza tym wybrałem fatalny moment,

bo zaraz potem odkrył pan, e Janice była prostytutką. Widziałem, e Duncan zastanawia się,

skąd o tym wiedziałem. Nie mogłem ryzykować.

Fakt, nie mógł. Teraz ju rozumiałem, dlaczego Duncan był taki rozkojarzony, kiedy po raz ostatni widziałem go ywego. Moe ju coś podejrzewał. Brody nie mógł do tego dopuścić. Nikt nie mógł wiedzieć, e śledzi Strachana od lat, e ma motyw, by go zrobić.

Nawet jeśli musiałby przy tym zataić, e zamordowano mu córkę. Westchnął z alem.

–Zawsze wpada się na drobnostkach. Jak choćby na tej przeklętej latarce. Miałem pod

kurtką łom, ale Duncan położył ją i się odwrócił. Więc zamiast łomem, uderzyłem go latarką.

–Wzruszył ramionami. – Wtedy myślałem, e to wszystko jedno.

Wstręt, jaki do niego czułem, jeszcze bardziej podsycił mój gniew. Z trudem panowałem nad jednym i drugim.

–Te poary miały tylko odwrócić naszą uwagę, tak? Podpalił pan świetlicę i

pryczepę nie po to, eby zatrzeć ślady czy zniszczyć dowody rzeczowe. Chciał pan tylko,

ebyśmy tak pomyśleli, eby śmierć Duncana robiła wraenie przypadkowej. I eby jednocześnie mógł pan zrobić Strachana, podrzucając tę nakrętkę od kanistra... Urwałem. Kolejny fragment układanki dopasował się do pozostałych.

–Dlatego Grace zabrakło benzyny. Ściągnął ją pan z baku, eby mieć czym wzniecać poary.

–Musiałem skądś ją wziąć. Gdybym wziął od niego, mógłby się czegoś domyślić. – Brody oderwał wzrok od horyzontu i spojrzał na mnie. – Tak a propos: nie wiedziałem, e jest pan w przychodni. Wysiadł prąd, w środku nie paliło się światło, więc myślałem, e wrócił pan do hotelu.

–A gdyby wiedział pan, e tam jestem? Miałoby to jakieś znaczenie? Strząsnął popiół z papierosa.

–Chyba nie.

–Chryste, i ani razu nie pomyślał pan, e moe się pan mylić? śe coś tu nie gra? A kiedy Strachan zniszczył nadajniki na jachcie i upozorował napad na Grace: nie zastanowiło pana, po co miałyby to robić, skoro nikogo nie zabił?

–Być moe nikogo stąd – odparł Brody i po raz pierwszy lekko się zdenerwował. – Uznałem, e spanikował. śe chce uciec, zanim policja zacznie wszystkich przesłuchiwać. Wolałby raczej, eby go nie prześwielali.

–Ale okazało się, e to nie jego powinni prześwietlić, tylko jego siostrę. Wybrał pan nie tego Strachana!

Brody westchnął i znowu spojrzął na horyzont.

–Otó to.

Có za przeraająca ironia. Poniewa próbował wrobić Strachana, jego siostra tak jak wszyscy inni myślała, e na wyspie grasuje morderca. Uwierzyła nawet, e ją napadł. Dlatego czym prędzej skorzystała z okazji: zabiła Maggie i podpaliła jej zwłoki, eby wyglądało to tak, jakby zabójca Duncana i Janice znowu odebrał komuś ycie. Pełny krąg.

–Warto było? – spytałem cicho. – Naprawdę warto było ich zabijać? Widziałem zarys

jego głowy na tle czystego błękitnego nieba. Miał

nieprzeniknioną twarz.

–Niech pan sam na to odpowie. Pan te miał kiedyś córkę.

Nie umiałem. Gniew powoli mijał, ustępując miejsca smutkowi. I przeraającej świadomości mojego położenia. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo Brody jest ostrony. Niedopałki papierosów chował do kieszeni, nie pozostawiał po sobie adnych

śladów. Nawet ze zdrową ręką nie miałbym z nim najmniejszych szans. Zabił ju dwoje ludzi. Bez wahania zrobiłby to po raz trzeci.

Zerknąłem na skraj przepaści. A jednak nie wyjedziesz dzisiaj z Runy, pomyślałem

odrętwiały.

Na horyzoncie ukazał się maleńki punkcik. Zbyt nieruchomy jak na ptaka, zdawał się wisieć w powietrzu. Śmigłowiec stray przybrzenej. Przyleciał za wcześnie. Ale nadzieja szybko zgasła. Był za daleko. Dzielilo go od nas co najmniej dziesięć, piętnaście minut lotu.

Za długo.

Brody te go zauwaył. Patrzył w tamtym kierunku i wiatr targał mu włosy. Papieros między jego palcami spalił się niemal do końca.

–Byłem dobrym policjantem – rzucił obojętnie. – Fatalnym mężem i ojcem, ale dobrym policjantem. Zaczynasz po stronie aniołków i nagle stwierdzasz, e stałeś się tym,

czego nienawidziłeś. Jak to moliwe?

Rozpaczliwie spoglądałem na śmigłowiec. Wciąż był maleńki, prawie się nie powiększał. Z tej odległości nikt z załogi by nas nie dostrzegł. Zacząłem wyjmować rękę z temblaka, wiedząc, e nic to nie da.

–I co teraz? Na jego ustach zagościło na mała chwilę coś w rodzaju cierpkiego uśmiechu.

–Dobre pytanie.

–Śmierć Janice to był wypadek. To, co stało się z Rebeccą te się jakoś liczy. Brody po raz ostatni zaciągnął się dymem. Zgasił papierosa na podeszwie buta i

schował niedopałek do kieszeni.

–Nie zamierzam iść do więzienia. Ale, jeśli ma to jakieś znaczenie, przepraszam. Pogłaskał Bess po głowie. Serce waliło mi jak młotem.

–Grzeczny pies. Zostań. Cofnąłem się odruchowo, gdy się wyprostował. Wystawił twarz do słońca i zamknął

oczy.

I zanim zdąyłem zareagować, ruszył biegiem w stronę urwiska.

–Nie! – krzyknąłem.

Moje słowa porwał wiatr. Nie zwalniając, Brody rzucił się w przepaść. Zdawało się,

e na chwilę zawisł w powietrzu jak ptak. Potem zniknął.

Wciąż patrzyłem w tamto miejsce. Ale jego już tam nie było. Była tylko pustka, z której dochodził krzyk mew i łoskot roztrzaskujących się fal.

Epilog

Nastało lato i dzięki kojącemu działaniu ludzkiej pamięci wydarzenia z Runy zaczęły się powoli zacierać. Oględziny pośmiertne przeszłości nie przyniosły niczego nowego ani zaskakującego. Tak jak powiedział Strachan: martwi pozostaną martwymi, a ywi muszą yć dalej.

Rewizja w domu Brody'ego ujawniła jego dossier, dokumentację, którą inspektor zgromadził z biegiem lat. Był to kawał dobrej policyjnej roboty, czego się zresztą spodziewałem. Po prostu za płytko kopał. Tak jak nikomu innemu, nie przyszło mu nawet do głowy, e Grace moe być siostrą Michaela.

Okazało się, e popełnił śmiertelny błąd.

Dossier zawierało jednak przeraającą listę zamordowanych kobiet, chocia nie sposób było dokładnie określić, ile z nich Brody – podobnie jak Strachan – pomiął. Było bardzo prawdopodobne, e losu niektórych ofiar Grace nigdy ju nie poznamy.

Choćby losu Rebecki.

Ciało jej ojca wyłowila z morza załoga kutra rybackiego tydzień po tym, jak rzucił się ze skał. Siła upadku i woda morska zrobiły swoje, jednak nie było wątpliwości, e to on. Ten wątek mona było ostatecznie zamknąć, z czego inspektor na pewno by się ucieszył.

Nigdy nie lubił bałaganu.

Ale nie wszystko skończyło się tak czysto i porządnie. Poar, podsycany rozlanym w barze alkoholem i ropą z generatora, dokończył dzieła zniszczenia, zapoczątkowanego przez eksplozję butli z gazem, i doszczętnie strawił hotel. Szczątki Camerona, kilka kawałków zwęglonej kości, poddano badaniom DNA i zidentyfikowano tylko dlatego, e jego zwłoki leały w barze. Grace i Michael Strachanowie zginęli w kuchni. Ich kości nie sposób było rozróżnić. Nawet po śmierci Michael nie zdołał uciec od siostry.

Moe jest w tym trochę ironii, ale Runa świetnie sobie radzi. Nie dość, e nie spotkał jej los StKildy, to jeszcze się rozwija. Rozgłos, jaki zyskała, przyciągnął tam masę dziennikarzy, archeologów, przyrodników, no i oczywiście zachwyconych jej sławą turystów. Nikt nie wiedział, jak długo to wszystko potrwa, ale prom Kinrossa stał się nagle bardzo popularny. Mówiło się nawet o budowie nowego hotelu, ale jeśli nawet powstanie, nie będzie prowadziła go Ellen.

Spotkałem ją ponownie podczas śledztwa w sprawie samobójstwa Brody'ego. Nosiła się z tą samą godnością, jaką u niej pamiętałem, ale chocia oczy wciąż miała

mroczne, dostrzegłem w nich równie optymizm. Przeprowadziła się z Ann do Edynburga, gdzie za

pieniądze z ubezpieczenia wynajęła domek. Zarówno Strachan, jak i Brody zostawili jej due spadki, ale ona przekazała te pieniądze na fundusz rozwoju Runy. Z dawną zaciekłością mówiła, e sązbrukane krwią. Nie chciała mieć z nimi nic wspólnego.

Ale coś z Runy zabrała: psa Brody'ego. Gdyby tego nie zrobiła, Bess by uśpiono, a ona uwaala, e nie mona karać staruszki za zbrodnie jej właściciela.

Brody byłby jej wdzięczny.

Natomiast ja zaskakująco szybko wróciłem do normalnego ycia. Bywały takie dni, kiedy zastanawiałem się, ilu ludzi by przeżyło, gdybym nie pojechał na Runę i gdyby uznano, e Janice Donaldson zginęła w wypadku. Tak, oczywiście, wiedziałem, e toksyczna obsesja Brody'ego prędzej czy później pchnęłaby go do kolejnej próby i e obłąd Grace znowu dałby o sobie znać. Ale bardzo ciążyło mi to na sumieniu.

Gdy leałem kiedyś, nie mogąc zasnąć, Jenny obudziła się i spytała, co mi jest. Chciałem jej powiedzieć, chciałem wypędzić z siebie duchy, które przywędrowały za mną z Runy. Ale nie wiedzieć czemu, nie potrafiłem.

–Nic – odparłem z uśmiechem, dobrze wiedząc, e to właśnie drobne kłamstwa najbardziej psują związek. – Nie mogę spać.

Po moim powrocie panowało między nami due napięcie. To, co zdarzyło się na Runie, jeszcze bardziej zniechęciło ją do mojego zawodu. Uwaala, e za bardzo łączy mnie z przeszłością, e wiąę mnie z moimi zmarłymi w sposób, któremu nie ufała. Ale myliła się: to właś nie ze względu na śmierć mojej rodziny próbowałem rzucić kiedyś pracę. Niestety, nie zdołałem jej przekonać.

–Jesteś wykwalifikowanym lekarzem – powiedziała podczas jednej z naszych bliskich kłótni utarczek. – Mógłbyś dostać pracę w kadej przychodni. Jest mi wszystko jedno, gdzie by to było.

–A jeśli nie to chcę robić?

–Kiedyś chciałeś! Miałbyś do czynienia z ludzkim yciem, a nie ze śmiercią!

Nie umiałem jej wytłumaczyć, e teraz te mam do czynienia z yciem. Z tym, jak

ktoś je stracił, kto mu je odebrał. I z tym, co trzeba zrobić, eby nie odebrano go ju nikomu innemu.

Ale w miarę upływu czasu tarcia ustały. Nadeszło lato, a wraz z latem gorące dni i kojące noce. Wspomnienia z Runy coraz bardziej się zacierały. Pytania dotyczące naszej przyszłości pozostały bez odpowiedzi, jednak za obopólną zgodą odłożyliśmy je na półkę. Mimo to napięcie zupełnie nie minęło. Burza nam jeszcze nie groziła, chociaż zawsze krążyła tu za horyzontem. Dostałem miesięczne stypendium naukowe w ośrodku antropologicznym

w Tennessee, na tak zwanej Trupiej Farmie, gdzie kiedyś uczyłem się fachu. Miałem wyjechać dopiero jesienią ale nie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji. Nie chodziło tylko o to, e na trzydzieści dni musiałbym zostawić Jenny, co na pewno by się jej nie spodobało. Chodziło o swoistą deklarację, jaką złożyłbym, wyjedając. Nie mogłem yć bez pracy, ale nie mogłem te yć bez Jenny. Raz ju jej omal nie straciłem. Nie wyobraałem sobie, e mógłbym stracić ją ponownie.

Ale ciągle odkładałem chwilę podjęcia decyzji.

A potem, pewnego sobotniego wieczoru, dopadła nas przeszłość.

Byliśmy u mnie, na parterze, bo od podwórza miałem taras, gdzie mieścił się stół i kilka krzeseł. Było ciepło i słonecznie, więc zaprosiliśmy przyjaciół na kolację. Mieli przyjść dopiero za pół godziny, mimo to rozpałem ju grill. Zimne piwo w rękę, zapach węgla drzewnego – czekał nas miły weekend. Grill dobrze nam się kojarzył, przypominał czasy, kiedy się poznaliśmy. Jenny przyniosła sałatkę i właśnie karmiła mnie oliwkami, kiedy zadzwonił telefon.

–Odbiorę – powiedziała, odkładając szczypcę i łopatkę. – Ty pilnuj grilla, tak łatwo się nie wymigasz.

Patrzyłem za nią z uśmiechem. Miała teraz dłuższe włosy i wiązała je z tyłu w kucyk. Ładnie wyglądała. Z zadowoleniem pociągnąłem łyk piwa i zająłem się brykietami. Właśnie podlewałem je podpałką, gdy wróciła Jenny.

–Jakaś młoda dama do ciebie – powiedziała, unosząc brew. – Rebecca Brody.

Wytrzeszczyłem oczy.

Od powrotu z Runy minęło sporo czasu. Wiedząc, e Jenny nie zechce znać takich szczegółów, nie powiedziałem jej, jak miała na imię córka Andrew.

–Co się stało? – spytała zaniepokojona.

–Mówiła coś jeszcze?

–Niewiele. Pytała, czy jesteś i czy mogłaby wpaść. Nie zachęcałam jej, ale

powiedziała, e tylko na chwilę. David, co ci jest? Wyglądasz tak, jakbyś zobaczył ducha.

Roześmiałem się niepewnie.

–To zabawne.

Zrzedła jej mina, gdy powiedziałem jej, z kim rozmawiała.

–Przepraszam – dodałem. – Myślałem, e ona nie yje. Nie mam pojęcia, czego tu chce. I jak zdobyła mój adres.

Jenny milczała chwilę, wreszcie westchnęła.

–Nie martw się, to nie twoja wina. Na pewno ma jakiś powód. Zadzwoił dzwonek w holu. Spojrzałem na nią z wahaniem.

Uśmiechnęła się, nachyliła i pocałowała mnie.

–Idź. Porozmawiaj z nią, dam ci spokój. Jeśli chcesz, zaproś ją na kolację.

–Dzięki. – Cmoknąłem ją w policzek i wszedłem do domu. Cieszyłem się, e tak dobrze to przyjęła, ale nie miałem ochoty gościć u siebie córki Brody’ego. Nie przeczę, byłem jej ciekaw, ale na myśl, e zaraz stanę z nią twarzą w twarz, ogarnęło mnie dziwne zdenerwowanie. Andrew zginął przekonany, e Rebecca nie yje.

Zginęło przez nią pięcioro ludzi.

Ale trudno było jąza to winić. Daj jej szansę, pomyślałem. Przynajmniej chciała tu przyjechać. Nie zrobiłaby tego, gdyby nie poczuwała się choćby do częściowej odpowiedzialności za to, co się stało.

Wziąłem głęboki oddech i otworzyłem drzwi.

W progu stała młoda rudowłosa kobieta. Szczupła i opalona, była w dych okularach przeciwsłonecznych. Lecz ani okulary, ani jej luźna sukienka nie mogły ukryć tego, e była uderzająco piękna.

–Cześć – rzuciłem z uśmiechem.

Było w niej coś znajomego. Próbowałem skojarzyć sobie co, i poszukałem w jej twarzy podobieństwa do Brody’ego. Nie znalazłem adnego. Poczułem pimowy

zapach jej perfum i uśmiech zamarł mi na twarzy.

–Dzień dobry, panie doktorze – powiedziała Grace Strachan. Czas zwolnił bieg, wszystko stało się idealnie wyraźne. Zdąłem

jeszcze pomyśleć, e jacht nie zerwał się jednak z cumy, i zobaczyłem, jak Grace wyjmuję z torebki nóż.

Widok noża wyrwał mnie z szoku. Gdy się na mnie rzuciła, zacząłem reagować, ale tylko zacząłem, bo było już za późno. Chwyciłem za ostrze, lecz przecięło mi dłoń i palce a do kości. Nie zdążyłem nawet zarejestrować bólu, bo ułamek sekundy później nóż wbił mi się w brzuch.

Szok i zimno, poczułem tylko to. Miałem równie straszliwą świadomość, e naruszono moją nietykalność, e zadano mi potworny gwałt. Przemknęło mi przez myśl, e to niemożliwe, e to nie dzieje się naprawdę. Ale się działo. Nabrałem powietrza, eby krzyknąć, lecz z moich ust wydobyło się tylko zdławione sapnięcie. Grace chciała wyszarpnąć nóż, ale czując gorącą lepkość krwi, chwyciłem za rękojeść i kurczowo

zaciśnąłem na niej palce. Trzymałem ją ze wszystkich sił nawet wtedy, gdy ugięły się pode mną nogi. Trzymaj. Trzymaj, bo umrzesz.

Ty i Jenny.

Grace stęknęła, próbując wyciągnąć nóż i osuwając się wraz ze mną na podłogę. Wreszcie sapnęła gniewnie i zrezygnowała. Ciężko dysząc, stanęła nade mną z wykrzywionymi ustami.

–On mnie puścił! – syknęła i po jej policzkach spłynęły dwa równoległe strumyczki łez. – Zabił się, ale mnie puścił!

Próbowałem coś powiedzieć, lecz nie mogłem. Jej twarz wisiała nade mną przez chwilę, brzydka i wykrzywiona, i nagle zniknęła. W drzwiach nikogo nie było, w głębi ulicy gasło echo kroków.

Spojrzałem na brzuch. Nóż sterczał zeń obrzydliwie. Koszula była przesiąknięta krwią. Czułem, e zbiera się pode mną kałuża. Wstań. Rusz się. Nie miałem siły.

Próbowałem krzyknąć. Tylko zaskrzeczałem. Robiło się ciemno. Ciemno i zimno. Już? Przecie to lato. Nie czułem adnego bólu, tylko promieniujące z brzucha odrętwienie. Na sąsiedniej ulicy zabrzmiał wesóły kurant sprzedawcy lodów. Słyszałem, jak Jenny chodzi po tarasie, słyszałem brzęk szklanek, przyjazny i zapraszający. Wiedziałem, e powinienem się poruszyć, przynajmniej spróbować, lecz

czułem, e nie dam rady. Wszystko zachodziło mgłą. Pamiętałem tylko, e nie mogę wypuścić noa. Nie wiedziałem ju dlaczego. Wiedziałem tylko, e to bardzo wane.

Podziękowania

Podjęcie się napisania kontynuacji powieści jest zadaniem odstrasającym dla każdego pisarza. Przy pisaniu tej pomagało mi wiele osób. Detektyw posterunkowy Iain Souter z policji szetlandzkiej zapoznał mnie z trudnościami, jakie funkcjonariusze napotykają w pracy na odległych szkockich wyspach, i udzielił mi wielu bezcennych rad – dzięki, Iain. Doktor Tim Thomson, wykładowca antropologii sądowej na Uniwersytecie Teesside (dawniej Dundee), szczerze podzielił się ze mną swoim doświadczeniem na temat przypadków śmierci w ogniu, a doktor Arpad Vass z Narodowego Laboratorium w Oak Ridge, w Tennessee, znowu rozwił wszystkie moje wątpliwości. Bany Gromett z Instytutu Meteorologicznego zapoznał mnie z warunkami sztormowymi na Hebrydach Zewnętrznych, a biuro bezpieczeństwa przeciwpoarowego hrabstwa Yorkshire – z wybuchowymi właściwościami propanu. Jakikolwiek błędy rzeczowe czy nieścisłości powinno się wytknąć mnie, nie im.

Chciałbym podziękować moim agentom, Micowi Cheethamowi i Simonowi Kavanagh; Camilli Ferrier, Carolinie Hardman i reszcie z Marsh Agency; mojemu redaktorowi Simonowi Taylorowi, wszystkim z Transworldu oraz mojej amerykańskiej redaktorce Caitlin Alexander. Dziękuję również Dustowi za oszałamiającą stronę internetową, Jeremy'emu Freestonowi za to, e natychmiast chwycił aparat fotograficzny, Benowi Steinerowi za korekty i poprawki oraz moim rodzicom, Sheili i Frankowi Beckettom, za ich entuzjazm. I wreszcie wielkie podziękowania dla mojej ony Hilary za jej przenikliwe a do bólu spostrzeenia, a przede wszystkim za cierpliwość.

„KB.”

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-26

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/